

Tanya Huff

ŚLAD

KRWI

ROZDZIAŁ 1

Zbliżający się do pełni księżyc wisiał nisko na nocnym niebie. W jego świetle nawet ujarzmione przez człowieka, ciche i spokojne pola zmieniały się w tajemniczą krainę srebrnego blasku i cieni. Za każdym źdźbłem trawy, spieczonym na złoty brąz przez trwające od dwóch miesięcy letnie upały, wyrastał smukły, czarny sobowtór. Krzaki przy płocie, schronienie dla istot zbyt strachliwych, by zapuszczać się na otwartą przestrzeń, zaszumiały, a potem zamilkły, jakby skrywające się w nich nocne stworzenie wróciło do swoich spraw.

Spore stado owiec, których ostrzyżone runo przybierało w świetle księżyca mlecznobiałą barwę, przycupnęło w rogu łąki niczym wzgórze z białego kamienia. Czasem tylko gdzieś poruszyła się jakaś szczeka, gdzie indziej zwierzę, które nie dawało już rady stać nieruchomo nawet podczas snu, zastrzygło uchem lub drgnęło. Wzgórze to nagle ożyło, gdy kilka głów uniosło się, a arystokratyczne nozdrza wciągnęły powiew zefiru. Owce znały stworzenie, które przemknęło przez płot na łąkę. bo chociaż były niespokojne, patrzyły, jak się zbliża, bardziej z zaciekawieniem niż lękiem.

Ogromna czarna bestia zatrzymała się, żeby obsi-kać słupek, potem zrobiła kilka kroków w głąb pola i usiadła, oglądając się opiekuńczo na owce. Coś w jej sylwetce, w kształcie łba mówiło wyraźnie „wilk”, podczas gdy maść, rozmiary, szerokość klatki piersiowej oraz reakcja stada uparcie powtarzały „pies”.

Przekonana, że wszystko jest tak, jak być powinno, bestia zaczęła biec wzdłuż płotu. Łaciaty ogon merdał niczym wskazówka, księżyc znaczył jej gęstą sierść lśniąco pasmami. Przyśpieszyła, przeskoczyła przez oset - bardziej dla samej radości skakania niż dlatego, że był przeszkodą na drodze - i przemknęła przez niżej położony koniec pastwiska.

Bez ostrzeżenia wyraźniejszego niż odległe kasznięcie czarny łeb eksplodował ulewą krwi i kości. Ciało, poderwane nad ziemię siłą uderzenia, przez chwilę drgało w bezmyślnych spazmach, aż wreszcie znieruchomiało.

Nagłe pojawienie się zapachu krwi wywołało pełne przerażenia beczenie i panikę stada, które uciekło na drugi koniec pola i kłębiło się przy płocie. Szczęśliwym trafem kierunek, jaki wybrały, ustawił je po nawietrznej. Nic więcej się nie działo, uspokoiły się zatem, a kilka starszych osobników wraz z jagniętami wysunęło się z białej masy i zaczęło zbierać się do snu.

Trzy bestie, które chwilę potem przeskoczyły przez płot, prawdopodobnie nawet nie zauważyły owiec. Ogromne pazury zdawały się ledwie dotykać ziemi, gdy ich właściciele gnali ku ciału. Jedna z nich, ze zjeżoną rudawą grzywą, zaczęła iść śladem zabitego, ale warknięcie większej z pozostałych przywołało ją z powrotem.

Trzy wąskie pyski uniosły się w górę, a wycie, które z nich popłynęło, sprawiło, że owce znowu wpadły w panikę.

Pierwotny dźwięk wznosił się i opadał, nie pozostawiając już żadnych wątpliwości. To na pewno nie były psy.

Vicki nienawidziła sierpnia. W tym miesiącu Toronto zawsze udowodniało, że stało się metropolią na skalę światową. Upał i wilgoć rosły wraz z natężeniem spalin, a powietrze w szklano-cementowej do-

linie Yonge i Bloor przybierało żółtobrazowy odcień i zostawiało w gardle gorzki smak. Każdy chodzący po mieście świr decydował się dać upust szaleństwu, nawet zwykli ludzie szybko tracili cierpliwość. Policjanci wbici w granatowe spodnie, czapki i ciężkie buty nienawidzili sierpnia z powodów i prywatnych, i służbowych. Vicki szybko zrzuciła mundur, służbę zakończyła już rok temu, ale i tak dalej nienawidziła tego miesiąca. Co więcej, teraz sierpień nieodwołalnie kojarzył jej się z porzuceniem pracy, którą kochała. Ten i tak niezbyt

sympatyczny miesiąc miał na koncie niewybaczalne krzywdy. Kiedy otwierała drzwi mieszkania, starała się nie wdychać własnego zapachu. Spędziła cały dzień, tak jak trzy poprzednie, zbierając zamówienia w małej wytwórni kawy na Rainside Drive. Poprzedniego miesiąca firmę nawiedziła plaga usterek, które, jak w końcu zrozumieli właściciele, były sabotażami. Małe, wyspecjalizowane przedsiębiorstwo nie mogło sobie pozwolić na przestoje, jeśli miało konkurować z międzynarodowymi korporacjami. Zdesperowani właściciele wynajęli Vicki, żeby odkryła, co się dzieje.

- I oto Vicki Nelson, prywatny detektyw, rozwiązała kolejną zagadkę. - Zamknęła za sobą drzwi i z ulgą ściągnęła przepoconą koszulkę. Już pierwszego dnia mogła wskazać, kto uszkadzał sprzęt, ale potrzebowała jeszcze dwóch, by odkryć, jak to robił, i zebrać dość dowodów, żeby postawić zarzuty. Jutro położy raport na biurku pana Glassmana i jej stopa nigdy więcej tam nie postanie.

A teraz chciała wziąć prysznic, zjeść coś, co nie pachniało kawą, i spędzić długi, nudny wieczór przyssana do telewizora. Kopnęła brudny T-shirt w kąt i ściągnęła spodnie. Owszem, śmierdziała straszliwie, ale miało to też swoje jasne strony - kiedy usiadła w metrze, nikt nie próbował się wcisnąć na miejsce obok.

Ledwo gorąca woda zaczęła zmywać z niej odór i odrętwienie, zadzwonił telefon. I dzwonił. Próbowwała go zignorować, zagłuszyć, ale nie udało się. Zawsze była nałogowym odbieraczem telefonów. Burcząc pod nosem, zakręciła kran, szybko owinęła się ręcznikiem i pobiegła do słuchawki.

- O, jesteś kochanie. Co tak długo?

- Mamo, to bardzo małe mieszkanie - westchnęła Vicki.

Powinna była wiedzieć. - Nie przyszło ci do głowy, tak koło siódmego dzwonka, że może jednak nie odbiorę?

- Oczywiście, że nie. Gdyby cię nie było, odezwałaby się automatyczna sekretarka.

Nigdy nie włączała sekretarki, kiedy była w domu. Uważała to za wyjątkowo chamskie. Może najwyższy czas przemyśleć tę kwestię? Ręcznik zaczął się odwijać, więc Vicki chwyciła go

mocniej - drugie piętro to jeszcze nie dość wysoko, żeby chodzić po mieszkaniu nago.

- Mamo, brałam prysznic.

- To dobrze, nie oderwałam cię od niczego ważnego. Chciałam do ciebie zadzwonić, zanim wyjdę z pracy... „Żeby wydział zapłacił za rozmowę”, uzupełniła w duchu Vicki. Jej matka pracowała na Uniwersytecie Królewskim w Kingston dłużej niż większość dożywotnich profesorów i nadużywała swojego stanowiska sekretarki, jak tylko się dało.

- ...i dowiedzieć się, kiedy masz w tym roku urlop, bo może spędziłybyśmy trochę czasu razem.

Jasne. Vicki kochała swoją matkę, ale spędzenie więcej niż trzy dni w jej towarzystwie prowadziło prosto do matkobójstwa.

- Mamo, ja już nie miewam urlopu. Pracuję na własny rachunek i muszę brać się za robotę, kiedy

tylko jakaś się trafi. A poza tym byłeś u mnie w kwietniu.

- Vicki, leżałaś wtedy w szpitalu. Trudno to nazwać wizytą towarzyską.

Dwie pionowe blizny na jej lewym nadgarstku zbladły, pozostały po nich tylko czerwone linie na bladej skórze.

Wyglądały jak ślad po próbie samobójczej. Unikanie wyjaśnień, skąd się wzięły, kosztowało Vicki naprawdę wiele wysiłku i misternych niedomówień. Wiadomość, że została wybrana przez socjopatycznego hakera na ofiarę dla demona, nie była czymś, nad czym jej matka przeszłaby do porządku dziennego.

-Jak tylko będę miała wolny weekend, przyjadę. Obiecuję. A teraz muszę już kończyć, kapie ze mnie na dywan.

- Przywieź ze sobą tego Henry'ego Fitzroya. Chciałabym go poznać.

Vicki uśmiechnęła się szeroko. Henry Fitzroy kontra jej matka. To chyba było warte nawet weekendu w Kingston.

- Raczej nie, mamo.

- Czemu nie? Coś z nim nie tak? Czemu mnie unikał w szpitalu?

- Nie unikał cię i wszystko z nim w porządku... -, „No dobra, zmarł w 1536 roku, ale niespecjalnie się tym przejął”. - Jest pisarzem. Jest trochę... nietypowy.

- Bardziej nietypowy niż Michael Celluci? - Mamo!

Niemal słyszała, jak jej matka unosi brwi.

- Kochanie, może tego nie pamiętasz, ale swego czasu umawiałaś się z wieloma nietypowymi chłopcami.

- Mamo, ja już się nie umawiam z chłopcami. Mam trzydzieści dwa lata.

- Wiesz, co mam na myśli. Pamiętasz tego młodzieńca w liceum? Nie pamiętam, jak mu było na imię, ale miał harem...

- Mamo, zadzwonię do ciebie.

- Niedługo.

- Niedługo - zgodziła się Vicki, kolejny raz podtrzymała rącznik i rozłączyła się. - Swego czasu umawiałam się z wieloma nietypowymi chłopcami... - prychnęła i ruszyła z powrotem do łazienki. No dobra, może paru było trochę dziwnych, ale na sto jeden procent żaden nie był wampirem.

Odkręciła wodę i uśmiechnęła się szeroko, wyobrażając sobie tę scenę. „Mamo, poznaj Henry'ego Fitzroya. Henry pija krew”.

Uśmiech stał się jeszcze szerszy, kiedy Vicki weszła pod strumień wody. Matka, nieuleczalnie praktyczna, pewnie zapytałaby jakiej grupy. Naprawdę wiele by trzeba, żeby zburzyć jej sposób patrzenia na świat.

Właśnie przekładała jajecznicę z patelni na talerz, kiedy telefon znowu zadzwonił.

- Wychodzi na to - mruknęła, łapiąc za widelec i przechodząc do pokoju dziennego - że to choler-stwo nigdy nie dzwoni, kiedy akurat nic nie robię. -Do zachodu pozostało jeszcze kilka godzin - z pewnością nie dzwonił Henry.

- Vicki? Tu Celluci. - Ze względu na liczbę Micha-elów w szeregach sił policyjnych Toronto większość nabrała zwyczaju mówienia o sobie po nazwisku, na służbie i poza nią. - Pamiętasz imię domniemanego współnika Questa? Tego, któremu nigdy nie postawiono zarzutów?

- Dobry wieczór, Mike. Miło cię słyszeć. U mnie wszystko w porządku, dziękuję. - Wepchnęła do ust furę jajecznicy i czekała na wybuch.

- Daruj sobie te bzdury, Vicki. Miał takie kobiece nazwisko... Marion, Maralyn...

- Margot. Alan Margot. A co?

Nawet mimo zagłuszających go odgłosów ruchu ulicznego

usłyszała w głosie Celluciego radosne samozadowolenie.

- To tajne.

- Słuchaj, sukinsynu, skoro już korzystasz z mojego mózgu, bo jesteś zbyt leniwy, żeby pogrzebać we własnym, to nie wyskakuj z gadką „to tajne”. Nie. Jeśli chcesz dożyć emerytury. Westchnął.

- Użyj tego mózgu, z którego ponoć skorzystałem.

- Wyciągnęliście z jeziora kolejne ciało?

- Przed chwilą.

Więc wciąż był na miejscu. To wyjaśniało odgłosy w tle.

- Ten sam układ siniaków?

- Tak, przynajmniej według mnie. Koroner właśnie zabrał ciało.

- Dorwij drania.

- Taki mam plan.

Rozłączyła się i zsunęła na skórzaną leżankę, balansując ostrożnie talerzem z jajecznicą. Dwa lata temu to była jej sprawa. To ona odpowiadała za znalezienie bydlaka, który pobił piętnastolatkę do nieprzytomności i wrzucił ją do jeziora Ontario. Po sześciu tygodniach pracy złapali faceta nazwiskiem Quest. Zgarnęli go, oskarżyli i na tym się skończyło. Ktoś jeszcze był w to zamieszany, Vicki nie miała żadnych wątpliwości, ale Quest nie chciał mówić i nie zdołali postawić zarzutów nikomu więcej.

Tym razem...

Zdjęła okulary. Tym razem Celluci go dorwie, a Vicki Nelson, „była-jasnowłosa-dziewczyna-z--policji”, będzie siedziała na tyłku. Pokój przed nią

rozmazał się w nierozróżnialną masę niewyraźnych kolorowych plam. Włożyła z powrotem okulary.

- Cholera!

Oddychając głęboko, zmusiła się do uspokojenia. W końcu liczyło się tylko złapanie Margota - a nie kto to zrobił.

Wygrzebała pilota i włączyła telewizor. Jaysi byli w Milwaukee.

- Bohaterowie tego lata. - Więła się do zajadania stygnącej jajecznicy, pozwalając się zahipnotyzować głosom komentatorów rozmawiających przed meczem. Jak większość Kanadyjczyków powyżej pewnego wieku, Vicki była przede wszystkim fanką hokeja, ale nie sposób mieszkać w Toronto i

nie oszaleć na punkcie baseballu.

To była końcówka siódmej zmiany, trzy do pięciu, Jaysi dwa punkty w plecy, dwóch zawodników już wyautowanych i jeden na drugiej bazie, z Mookie Wilsonem na miejscu pałkarza. Wilson miał w odbiciach ponad trzysta punktów przeciw praworęcznym i Vicki widziała, jak miotacz Brewersów się poci. I wtedy zadzwonił telefon.

- No jasne. - Postawiła sobie telefon na kolanach. Słońce zaszło o 8:41. Teraz była 9:05. To na pewno Henry.

Pierwsza piłka.

- Co jest?

- Vicki? Tu Henry. Wszystko w porządku? Pierwsze uderzenie.

- Tak, w porządku. Ale zadzwoniłeś w nieodpowiedniej chwili.

- Przykro mi, ale są tu moi przyjaciele, którzy potrzebują twojej pomocy.

- Mojej?

- Cóż, potrzebna im pomoc prywatnego detektywa, a ty jesteś jedynym, jakiego znam.

Drugie uderzenie.

- Potrzebują pomocy już, w tej chwili? - Do końca gry zostały tylko dwie zmiany. Czy to naprawdę było takie pilne?

- Vicki, to ważne. - Po tonie mogła ocenić, że nie przesadzał.

Vicki z westchnieniem wyłączyła telewizor. Wilson właśnie wybił piłkę wysoko na lewą stronę boiska.

- No cóż, skoro to ważne...

- Tak, ważne.

- Zaraz u ciebie będę. - Słuchawka była już w połowie drogi na widełki, kiedy porażona nagłą myślą Vicki poderwała ją z powrotem do ust. - Henry?

- Tak? - Jeszcze tam był.

- Ci przyjaciele przypadkiem nie są wampirami?

- Nie - przez zmartwienie w jego głosie przebił się lekki cień rozbawienia. - Nie są wampirami.

Greg obojętnie skinął głową młodej kobiecie, którą

przeprowadził przez stanowisko ochrony, a potem dalej, do holu. Vicki Nelson, bo tak się nazywała, tego lata wiele razy przychodziła akurat wtedy, kiedy on siedział za biurkiem.

Chociaż wyglądała na

kogoś, kogo w innych okolicznościach mógłby polubić, jakoś nie potrafił uwolnić się od wrażenia, jakie na nim wywarła podczas pierwszego spotkania, zeszłej wiosny. Co więcej, obserwując ją, doszedł do wniosku, że Vicki nie należy do kobiet, które w normalnych okolicznościach otworzyłyby drzwi w negliżu. A to dowodziło, przynajmniej według Grega, że przecucie go nie myliło - tamtej nocy naprawdę coś ukrywała. Ale co?

W ciągu ostatnich miesięcy jego wiara w to, że Henry Fitzroy jest wampirem, osłabła. Lubił pana Fitzroya, szanował go. Był pisarzem, a nie Dzieckiem Nocy, stąd te wszystkie dziwactwa, ale Grega wciąż dręczyła jedna, ostatnia wątpliwość.

Co ta młoda kobieta ukrywała tamtej nocy? I dlaczego?

Czasem rozważał w myślach, czy nie zapytać wprost, ale coś w zarysie jej szczęki zawsze go powstrzymywało, więc tylko się zastanawiał i miał na wszystko oko. Tak na wszelki wypadek. Kiedy tylko drzwi windy się za nią zamknęły, Vicki ogarnęło uczucie specyficznej ulgi. Spojrzenie tego strażnika zawsze sprawiało, że czuła się, cóż, nieczysta. „Sama jestem sobie winna. W końcu to ja otworzyłam drzwi praktycznie naga”. Inny pomysł nie przyszedł jej wtedy do głowy, a ponieważ zdołała rozproszyć staruszka na tyle, że zapomniał o przebicciu Henry'emu serca kijem do krykieta, chyba nie powinna się skarżyć na skutki uboczne.

Wcisnęła guzik czternastego piętra i wsunęła białą koszulkę z kołnierzykiem w szorty. Mała „przygoda”, która zdarzyła się zeszłej wiosny, pozbawiła ją kilku kilogramów. Jak dotąd nie wróciły na swoje miejsce. Miała za dużo mięśni, żeby ktokolwiek uznał ją za szczupłą - do tego ukrytego pragnienia nie przyznawała się nikomu - ale miło było mieć troszkę większe wcięcie w taili. Mrużąc oczy w świetle jarzeniówek, przyjrzała, się swojemu odbiciu w stalowych ścianach windy.

„Nieźle, jak na te lata”, uznała, poprawiając znieawidzone okulary. Przez chwilę rozważała, czy nie powinna była ubrać się

bardziej oficjalnie, ale potem uznała, że jacykolwiek przyjaciele Henry'ego Fitzroya, bękarta Henryka VIII, eksksięcia Richmond itd., itp., raczej nie będą się przejmować, że prywatny detektyw przyszedł w szortach.

Kiedy winda zatrzymała się na czternastym piętrze, Vicki przewiesiła torebkę przez ramię i przybrała „służbowy” wyraz twarzy. Utrzymała go dokładnie do momentu, kiedy drzwi apartamentu stanęły otworem, a jedyną istotą stojącą w przedpokoju okazał się ogromny rudawy pies.

„To - nie, on - musi być psem”. Vicki wyciągnęła rękę, żeby mógł ją powąchać. „Wilków nie robią w tym kolorze. Ani rozmiarze. Prawda?” Mogła też wspomnieć, że wilki z reguły nie bywają w apartamentowcach w centrum Toronto, ale bądź co bądź to mieszkanie Henry'ego, wszystko było możliwe.

Oczy zwierzęcia otaczały czarne obwódki, co tylko potęgowało i tak niezwykłą ekspresyjność pyska. Z zapalem obwąchał wyciągniętą dłoń, po czym wepchnął łeb pod palce Vicki, domagając się pieszczot.

Uśmiechnęła się, zamknęła za sobą drzwi i posłusznie zaczęła drapać psa po gęstej sierści za spiczastymi uszami.

- Henry? - zawołała, podczas gdy ogromny ogon, który mógłby powalić na ziemię dorosłego człowieka, obijał się rytmicznie o ścianę. - Jesteś w domu?

- W salonie.

Coś w tonie jego głosu sprawiło, że zmarszczyła brwi, ale niemal natychmiast przestała o tym myśleć, gdy łapa wielkości spodka stanęła na palcach jej stopy.

Oczy zwierzęcia otaczały czarne obwódki, co tylko potęgowało i tak niezwykłą ekspresyjność pyska. Z zapalem obwąchał wyciągniętą dłoń, po czym wepchnął łeb pod palce Vicki, domagając się pieszczot.

Uśmiechnęła się, zamknęła za sobą drzwi i posłusznie zaczęła drapać psa po gęstej sierści za spiczastymi uszami.

- Henry? - zawołała, podczas gdy ogromny ogon, który mógłby powalić na ziemię dorosłego człowieka, obijał się rytmicznie o ścianę. - Jesteś w domu?

- W salonie.

Coś w tonie jego głosu sprawiło, że zmarszczyła brwi, ale

niemal natychmiast przestała o tym myśleć, gdy łapa wielkości spodka stanęła na palcach jej stopy.

- Odsuń się, ty wielki brutalu. - Pies przesunął się posłusznie. Łagodnie ujęła jego pysk w dłoń i potrząsnęła masywnym łbem.
- Chodź, kolego, czekają na nas.

Uśmiechnął się - naprawdę inaczej nie dało się tego określić - okręcił i wpadł do salonu, a Vicki, odrobinę bardziej dostojnie, podążyła za nim.

Henry stał tam, gdzie zwykle, przy ogromnej ścianie okien wychodzących na miasto, światło, które włączał tylko w tych rzadkich sytuacjach, kiedy miał gości, rozjaśniało jego rudozłote włosy i sprawiało, że orzechowe oczy wydawały się niemal złote. Choć to akurat Vicki zgadywała, bo z tej odległości marnie widziała szczegóły, ale nigdy nie miała dość patrzenia na niego. Henry był nie tylko przystojny, wręcz niezwykły. Doskonale rozumiała, czemu biedne Lucy i Mina nie miały żadnych szans w starciu z jego dobrze znanym książkowym pobratymcem.

Nie był sam. Młoda kobieta majstrująca przy odtwarzaczu CD odwróciła się, kiedy Vicki weszła do pokoju, i dokładnie zlustrowała ją wzrokiem. Rozbawiona detektyw odwdzięczyła się tym samym.

„Czyżby tancerka?” Chociaż niewielka, dziewczyna była dość umięśniona i poruszała się w sposób, który można by wziąć za wyzywanie. „Nie próbuj tego, mała. Nawet jeśli nie jestem od ciebie dwa razy starsza” - dziewczyna nie miała więcej niż siedemnaście czy osiemnaście lat - „to z pewnością wredniejsza”. Vicki uświadomiła sobie od razu, że krótka grzywa srebrno-złotych włosów była naturalnego koloru. Brwi można rozjaśnić, ale nie rzęsy. Chociaż dziewczyna właściwie nie była ładna, jej jasne włosy egzotycznie kontrastowały z mocną opalenizną. „A ta sukienka niewiele zakrywa”.

Ich spojrzenia spotkały się i Vicki uniosła brwi. Przez chwilę już prawie, prawie rozumiała, co się tu naprawdę dzieje, ale potem to wrażenie minęło, a dziewczyna spoglądała na nią spod jasnych rzęs i uśmiechała się nieśmiało.

Wielki rudy pies usiadł wcześniej obok Henry'e-go, jego łeb niemal sięgał talii mężczyzny. Teraz obaj podeszli bliżej. Henry

miał starannie obojętny wyraz twarzy, pies sprawiał wrażenie rozbawionego.

- Vicki, chciałbym ci przedstawić Rose Heerkens. Jej rodzina ma pewne problemy i myślę, że byłabyś w stanie im pomóc.

- Miło mi. - Vicki wyciągnęła rękę. Dziewczyna szybko zerknęła na Henry'ego - „co

on jej o mnie powiedział?" - i podała jej swoją. Bardzo niewiele kobiet radzi sobie z mocnym chwytem, bo nie są tego uczone.

Siła, odpowiadająca jej własnej, i odciski, którymi pokryta była dłoń dziewczyny, zaskoczyły Vicki.

Rose wskazała psa opierającego się teraz o jej nogi.

- To jest Sztorm. Sztorm wyciągnął łapę.

Vicki z uśmiechem pochyliła się, by ją ująć.

- Miło mi poznać i ciebie, Sztormie.

Wielki pies szczeknął krótko i pochylił się, przejeżdżając językiem po twarzy Vicki, niemal zrzucając jej okulary.

- Sztorm, przestań. - Zagłębiając dłonie w gęstej sierści, Rose odciągnęła psa. - Może ona nie chce być cała obśliniona.

- Nic nie szkodzi. - Vicki wytarła twarz ręką i poprawiła okulary. - Co to za rasa? Jest piękny. - Roześmiała się, bo

Sztorm najwidoczniej rozpoznał komplement i wyglądał na wyjątkowo zadowolonego z siebie.

- Proszę go nie zachęcać, pani Nelson. Już i tak jest

wystarczająco próżny. - Rose oparła kolano tuż za ogromnym psim barkiem i szturchnęła go, przewracając. - A co do rasy... jest z tych denerwujących.

Sztorm nie wyglądał na zniechęconego. Z wywieszonym jęzorem przewrócił się na grzbiet, unosząc wszystkie łapy w górę, i spojrzał wyczekująco na Vicki.

- Chcesz, żeby cię podrapać po brzuchu?

- Sztorm! - rozkazujący głos Henry'ego poderwał skarconego zwierzaka z podłogi.

Popatrzyła na wampira ze zdziwieniem. Co mu się stało?

- Może - napotkał spojrzenie Vicki, a potem przeniósł wzrok na dziewczynę i psa - przejdźmy już do rzeczy.

Vicki odkryła, że idzie w stronę kanapy, chociaż wcale o tym nie pomyślała. Nienawidziła, kiedy to robił. Nienawidziła tego, jak reagowała. I naprawdę nienawidziła niepewności, czy słucha

wampira czy księcia - w jakiś sposób poddawanie się woli istoty niehumanoidalnej było mniej upokarzające niż słuchanie średniowiecznego dyktatora. „Potem sobie o tym porozmawiamy z jego nieumarłą wysokością...”

Położyła torbę na podłodze i usadowiła się na czerwonym aksamicie, patrząc, jak Rose zwija się w fotelu, a Sztorm na podłodze u jej stóp. Wyglądał wspaniale na tle kremowego dywanu, ale rude futro odrobinę zbyt mocno kontrastowało ze szkarłatem fotela. Henry przerzucił jedną nogę przez oparcie kanapy i zajął miejsce obok Vicki, tak blisko, że przez chwilę czuła wyłącznie jego obecność.

- Za wcześnie, Vicki. Straciłaś dużo krwi. Czują rumieniec na twarzy. Nie przyszło jej do głowy, że on nie będzie chciał... Przecież ku temu zmierzali, prawda?

- W szpitalu większość oddali mi z powrotem. Henry, nic mi nie jest. Naprawdę.

- Wierzę ci. - Uśmiechnął się, a ona odkryła, że powietrze na korytarzu już jej nie wystarczy.

Miał czterysta pięćdziesiąt lat, żeby ćwiczyć ten uśmiech, przypomniawszy sobie. Oddychaj, kobieto.

- Musimy być bardzo ostrożni - ciągnął, delikatnie kładąc dłonie na jej ramionach. - Nie chcę cię skrzywdzić.

Ta rozmowa tak bardzo przypominała dialog z marnej opery mydlanej, że Vicki aż się uśmiechnęła.

- Tylko pamiętaj, że ja nie mam kilkuset lat czasu - powiedziała, sięgając po klucze do mieszkania. - Spróbuję cię nie popędzać.

To było prawie cztery miesiące temu, gdy po raz pierwszy, odkąd wypisano ją ze szpitala, wyszli razem. I jeszcze „tego” nie zrobili. Vicki starała się być cierpliwa, ale zdarzały się takie chwile, zwłaszcza wtedy, kiedy siedział blisko niej, że miała ochotę podciąć mu nogi i powalić na podłogę. Z wysiłkiem skupiła się na sprawach służbowych.

Wszyscy najwyraźniej czekali, aż coś powie, więc postarała się przyjąć wyraz twarzy pod tytułem „policjant twoim najlepszym przyjacielem” i zwróciła się do Rose.

- W czym mogę wam pomóc? Rose znowu spojrzała na Henry'ego. Chociaż Vicki nie dostrzegła odpowiedzi wampira, wyglądało na to, że uspokoił młodą kobietę, bo ta wzięła głęboki oddech, przeczesała drżącymi palcami włosy z tyłu głowy i odparła:

- W ciągu ostatnich dwóch miesięcy zastrzelono dwóch członków naszej rodziny. - Musiała przerwać, żeby przemóc rozpacz i mówić dalej. - Potrzebujemy pani pomocy, pani Nelson, by znaleźć zabójcę.

Morderstwo. Cóż, to była sprawa poważniejsza, niż Vicki się spodziewała. Co więcej, podwójne morderstwo. Poprawiła okulary i tonem złagodzone przez współczucie zapytała:

- Czy policja znalazła jakieś ślady?

- Właściwie nic nie wiedzą.

- Co znaczy „właściwie nic nie wiedzą”? - Vicki mogła wymieni kilka wyjaśnień, ale żadne do niej nie przemawiało.

- Po prostu jej pokaż, Rose - powiedział cicho Henry.

Vicki odwróciła się w jego stronę. Jej widzenie obwodowe było zbyt marne, żeby mogła sobie pozwolić na luksus zerkania kątem oka. Wyraz twarzy wampira pasował do tonu głosu.

Cokolwiek Rose miała pokazać, było ważne. Bardziej niż trochę zaniepokojona, odwróciła się z powrotem do dziewczyny.

Rose, która czekała, aż Vicki na nią spojrzy, wysunęła stopy z sandałów i podniosła się. Sztorm, ob-wąchawszy szybko jej buty, stanął obok. W jednej chwili ściągnęła z siebie sukienkę, przez ułamek sekundy była naga, a potem w miejscu jasnowłosej dziewczyny i wielkiego rudego psa pojawił się rudowłosy mężczyzna i wielki biały pies.

Mężczyzna bardzo przypominał dziewczynę. Mieli takie same wysoko zarysowane kości policzkowe, duże oczy, spiczaste podbródki. „I te same gibkie ciała tancerza”, zauważyła Vicki, szybko oceniwszy to, co ich w oczywisty sposób od siebie różniło.

- Wilkołaki - usłyszała własny głos i zdziwiła się, jak bardzo jest opanowana. „Prawdopodobnie zgubny wpływ Henry'ego. Tak się kończy przestawanie z wampirem... Już on mi za to zapłaci”.

Młody mężczyzna, ani trochę niezawstydzony jej spojrzeniem i

swoją nagością, mrugnął.

Vicki z zażenowaniem przypomniała sobie, jak wcześniej traktowała psa - „nie, wilka. Nie, łaka.

A, jak zwał, tak zwał, do diabła z tym". Poczuła, że się rumieni, i natychmiast odwróciła wzrok. Kiedy znowu odważyła się spojrzeć, odkryła, że przegapiła moment przemiany. Rose już wkładała sukienkę. Młody mężczyzna - Sztorm? - z rezygnacją wciągał na siebie parę jaskrawoniebieskich spodenek, które minimalnie okrywały jego nagość.

Kiedy poczuł na sobie spojrzenie Vicki, podniósł głowę i podszedł z wyciągniętą dłonią.

- Cześć. Sądzę, że przydadzą się dalsze prezentacje. Jestem Peter.

- Ach, cześć. - Najwidoczniej imiona zmieniały się w zależności od formy. Odrobinę zszokowana Vicki uścisnęła jego dłoń. Była tak samo pokryta wzorem zgrubień i odcisków jak dłoń Rose.

Logicz-

ne, skoro przez część życia biegali na czterech kończynach. - Jesteś, hmmm, bratem Rose?

- Bliźniakiem. - Jego uśmiech przypominał wyraz pyska rudawego psa. Vicki odkryła, że uśmiecha się w odpowiedzi. - Ona jest ta starsza. A ja ten przystojniejszy.

- Hałaśliwszy - poprawiła Rose, wracając na fotel. - Chodź tu i siadaj. - Z westchnieniem godnym męczennika Peter zrobił, co mu kazano, opadając z wdziękiem na miejsce, które zajmował jako Sztorm, i oparł plecy o kolana siostry. - Pani Nelson, przepraszamy za tę teatralność - ciągnęła - ale Henry powiedział, że to najlepszy sposób, by wszystko wyjaśnić, że pani...

Zawahała się, a Henry gładko dokończył:

- ...że nie zaprzeczysz temu, co zobaczysz na własne oczy.

Vicki uznała, że to miał być komplement, więc zadowolila się tylko cichym prychnięciem i lekko sarkastycznym:

- Niby czemu miałyby być inaczej.

- Pomoże nam pani, prawda? - Peter pochylił się i oparł lekko dłoń na kolanie Vicki. W tym dotyku nie było nic seksualnego, a towarzyszący mu wyraz twarzy niósł ze sobą tylko mieszankę zmartwienia i nadziei.

„Wilkołaki", westchnęła Vicki. „Najpierw wampiry i demony, teraz wilkołaki. A potem?" Skrzyżowała nogi, odsuwając je od dłoni Petera, i usiadła wygodniej. To będzie długa historia.

- Najlepiej zacznijcie od początku.

ROZDZIAŁ 2

Od początku? - powtórzyła Rose, a ton jej głosu zmienił stwierdzenie w pytanie. Westchnęła i odgarnęła z twarzy kosmyki jasnych włosów. - Chyba zaczęło się, kiedy zastrzelili Srebrną.

- Srebrną? - zapytała Vicki. Czuła, że jeśli nie będzie się domagać wyjaśnień, zaraz się pogubi.

- Naszą ciotkę Sylvię - zaczęła Rose, ale brat przerwał jej, kiedy zobaczył minę Vicki.

- Mamy dwa imiona - wyjaśnił. - Jedno dla każdej formy. - Położył dłoń z krótkimi palcami na swojej opalonej, muskularnej klatce piersiowej. - To jest Peter, ale przy drzwiach przywitał panią Sztorm. A w swoim kudłatym kształcie Rose nazywa się Chmura. Tak jest łatwiej, niż tłumaczyć ludziom z zewnątrz, czemu psy na farmie nazywają się tak samo jak członkowie rodziny.

- Potrafię sobie wyobrazić - zgodziła się Vicki, zadowolona, że potwierdziło się jej wcześniejsze przypuszczenie. - Ale czy to nie wprowadza lekkiego zamieszania?

Peter wzruszył ramionami.

- Niby czemu? Pani ma więcej niż jedno imię. Jest pani „panią Nelson” dla jednych, „Vicki” dla drugich i nie wprowadza to żadnego zamieszania.

- Nie, zwykle nie - przyznała mu rację. - Więc wasza ciotka została zastrzelona, kiedy była w swojej... eee... wilczej formie. Cóż, nazywano ich wilkołakami, więc uznała, że „wilcza forma” będzie odpowiednim terminem. Z pewnością bardziej poprawnym politycznie niż „psia”. „I pomyśleć, że zanim Henry pojawił się w moim życiu, nigdy nie martwiłam się takimi rze-

czami..." Musi mu koniecznie podziękować.

- Tak - potwierdził Peter. - Nasza rodzina ma dużą owczą farmę na północ od London, w Ontario...

Przerwał, jakby rzucając wyzwanie, by to skomentowała, ale Vicki miała zainteresowanie na twarzy i kłódkę na ustach.

- ...a Srebrna została postrzelona w głowę, kiedy sprawdzała, co się dzieje ze stadem.

- W nocy? - Tak.

- Rozważaliśmy, czy nie powiedzieć policji, że ktoś zastrzelił jednego z naszych psów - mówiła dalej Rose. - Wtedy myśleliśmy, że tylko o to chodzi, że to jakiś dupek ze strzelbą, który nie miał pojęcia, iż Srebrna była kimś więcej. To się zdarza, ludzie co chwila tracą psy - głos zaczął jej się załamywać. Peter otarł się głową o kolana siostry. Przeczesała palcami jego włosy i kontynuowała. Vicki zauważyła, że dotyk był dla nich ważny. - Ale ostatnie, czego nam potrzeba, to policja pętająca się wokoło, zadająca pytania, wie pani, dostrzegająca to i owo, więc rodzina postanowiła sama się tym zająć.

Wargi Petera uniosły się, odsłaniając zęby. Długie i białe, najmniej ludzkie w całej ludzkiej postaci

Vicki pojęła, że gdyby „rodzina” złapała zabójcę Srebrnej, sprawiedliwość mu wymierzona miałaby niewiele wspólnego z prawem i sądami. Rok temu kategorycznie odrzuciłaby taki sposób załatwienia sprawy - ale rok temu nosiła odznakę i wszystko było o wiele prostsze.

-cA co powiedzieliście ludziom, którzy pytali, gdzie jest wasza ciotka?

- Że wreszcie dołączyła do wuja Roberta w Yukonie. Ciągłe powtarzała, że to zrobi, więc nikt nie był specjalnie zaskoczony. Ciotka Nadine, bliźniaczka ciotki Sylvii... - Rose znowu przełknęła głośno ślinę, a Peter mocniej się do niej przycisnął. - Trzymała się na uboczu przez jakiś czas. U naszych bliźniacze więzi są bardzo mocne, a ciotka często czuła potrzebę wycia. W każdym razie w poniedziałek w nocy Heban - czyli wuj Jason - został postrzelony w głowę, kiedy sprawdzał owce z jagniętami. Nikt nic nie słyszał. Nie zdołaliśmy wyczuć żadnego zapachu w pobliżu ciała.

- Karabin snajperski - zgadła Vicki. Zmarszczyła brwi. -
Sprawca musiał znać się na rzeczy, trafić ruchomy cel w nocy...
- W poniedziałek była pełnia - wtrącił Henry. - Było bardzo jasno.

- Przy celowniku optycznym to bez znaczenia. A kiedy zabito Srebrną, nie było pełni. - Pokręciła głową. - Taki strzał, dwa takie strzały...

- To nie wszystko - przerwała jej Rose, rzucając coś przez pokój. - Ojciec znalazł to w pobliżu ciała, Vicki nie udało się złapać małej bryłki metalu w powietrzu, wylądowała jej na kolanach. Przeklinając w duchu swój brak percepcji głębi, zaczęła gme-rać w fałdach szortów. Wreszcie znalazła to, czego szukała - coś, co mimo spłaszczonego kształtu mogło być wyłącznie srebrną kulą. Zagryzła wargi, żeby nie zapytać odruchowo: „waszego wuja zabił Samotny Strażnik*?”.

Henry sięgnął ponad jej ramieniem i uniósł bryłkę w dwóch palcach do światła.

- Srebrna kula - wyjaśnił - jest jednym z tradycyjnych sposobów na zabicie wilkołaka. Srebro to mit. Zwykle wystarczy sama kula.

- Wyobrażam to sobie. - Prawdopodobnie kaliber .30, skoro po przebiciu się przez ciało, kości i uderzeniu w ziemię pocisk zachował jeszcze jakikolwiek kształt. Jeśli wystrzelono go z broni snajperskiej, z głowy Hebana niewiele zostało. Vicki odwróciła się do bliźniąt, które obserwowały ją z nieruchomymi twarzami. - Zakładam, że niczego podobnego nie znaleziono przy ciele waszej ciotki, bo inaczej byście o tym wspomnieli.

* Lone Ranger - postać z amerykańskiego serialu radiowego i telewizyjnego. Zamaskowany obrońca uciśnionych, strzelał srebrnymi kulami (przyp. tłum.).

Rose spojrzała na brata i oboje pokręcili głowami.

- To i tak nie ma znaczenia. Nawet bez pocisku wzór wskazuje na pojedynczego strzelca. - Vicki westchnęła i pochyliła się, opierając przedramiona na udach. - I jeszcze coś: ktokolwiek zabił Hebana, strzelał właśnie do wilkołaka. Jeśli jedna osoba

wie, że jesteście łakami, inni też się dowiedzą, to pewnik. Te zabójstwa mogą być skutkiem lokalnego...

- ...polowania na czarownice - dokończył cicho Henry, gdy zrobiła pauzę.

Vicki skinęła głową, nie odrywając spojrzenia od bliźniąt, i ciągnęła:

- Jesteście inni, a to, co inne, przeraża większość ludzi. Mogą na was wyładowywać swój strach.

Peter wymienił z siostrą spojrzenia.

- To nie musi być aż tak skomplikowane - powiedział. - Mój starszy brat służy w policji London. Barry, jego partner, wie, że Colin jest lakiem.

- A czy jego partner jest strzelcem wyborowym? - Podejrzewała tak nie bez powodu. Wspomniany partner mógł być równie dobrze właścicielem karabinu kaliber .30, a dowolna szóstka obywateli w jakimkolwiek miasteczku zapewne miała na własność z pół tuzina takich.

Bliźnięta przytaknęły.

Wydech Vicki przeszedł w długie, niskie gwizdnięcie.

- No to mamy problem. Czy wasz brat rozmawiał ze swoim partnerem?

- Nie, wuj Stuart na to nie pozwolił. Powiedział, że problemy watahy zostają w watasze. Ciotka Na-dine namówiła go, by zadzwonił do Henry'ego, a Henry przekonał oboje, że powinniśmy porozmawiać z panią. Bo pani jest naszą jedyną szansą. Pomoże nam pani, pani Nelson? Wuj Stuart powiedział, że mamy się zgodzić na każdą stawkę, jaką pani poda.

Dłoń Petera znowu znalazła się na kolanie Vicki, a on sam spoglądał na nią z tak jednoznacznym błaganiem, że nie zastanawiając się, powiedziała:

- Mam odkryć, że to nie był Barry.

- Ma pani odkryć, kto to był - poprawiła Rose. - Kto to JEST. - Nagle, tylko na chwilę, strach wypłynął na powierzchnię. - Pani Nelson, ktoś nas zabija. Ja nie chcę umrzeć.

„Żegnaj, bajeczko, witaj, ponura rzeczywistości”.

- Ja też nie chcę, żebyś umarła - powiedziała łagodnie Vicki. - Ale mogę nie nadawać się do rozwiązania tej sprawy. - Oba zabójstwa zdarzyły się w nocy, a wzrok nie pozwalał jej

normalnie funkcjonować po zmroku. Już w mieście miała z tym duże problemy, a co dopiero na wsi, bez żadnych latarni wskazujących drogę... Tam będzie ślepa.

Z drugiej strony, jaki mieli wybór? Z całą pewnością lepsza ona niż nic. A problemy ze wzrokiem w żaden sposób nie wpływały na jej umysł, wykształcenie i lata doświadczeń. To była naprawdę ważna sprawa, decydująca o życiu i śmierci. „Taka jak te, którymi nadal zajmuje się Celluci”. Do diabła z tym! Mogła obejść swoją niepełnosprawność.

- Nie mogę wyjechać od razu. - Rozpromienione twarze pełne ulgi i nadziei upewniły ją, że podjęła właściwą decyzję. - Niestety, mam zobowiązania, z których nie dam rady się wyplątać. Może być w piątek?

- W piątek wieczorem - wtrącił gładko Henry. - Po zachodzie słońca. A tymczasem nikomu nie wolno nigdzie chodzić w pojedynkę. Nikomu. I Heban, i Srebrna zostali zastrzeleni, kiedy byli sami. To jedyny element wzoru, który możemy zmienić. Upewnijcie się, że reszta rodziny to zrozumie. W miarę możliwości trzymajcie się blisko domu, w polu widzenia domowników, a najlepiej zwykłych ludzi, jeśli tylko zdołacie. Ktokolwiek to robi, liczy, że nic nikomu nie powiecie. Póki macie świadków, poty jesteście w miarę bezpieczni. Pomiąłem coś, Vicki?

- Nie, nie sędzę. - Zapomniał tylko zapytać ją o opinię, zanim zaczął swój mały wykład, ale o tym porozmawiają później. A jeśli chodzi o założenie, że on też jedzie, cóż, rozwiązywało to problem transportu, ale tworzyło całą masę innych, z którymi będzie musiała sobie poradzić - też później. Na to „później” czekała z niechęcią.

- Przez te dwa dni - zwróciła się do bliźniaków - zróbcie listę, a właściwie dwie. Jedną ludzi, którzy wiedzą, czym jesteście, a drugą ludzi, którzy mogą to podejrzewać. Niech każdy z rodziny dołoży swoje.

- Możemy to zrobić, żaden problem. - Peter odetchnął z ulgą i poderwał się.

Najwidoczniej fakt, że detektyw i wampir działali jako zespół, nie był dla niego zaskoczeniem. Vicki zastanawiała się, co Henry im powiedział przed jej przyjazdem.

- Jutro z samego rana - owinęła pocisk chusteczkami i wrzuciła do jednego z foliowych woreczków, które zawsze nosiła w torbie - podrzucę to do laboratorium balistycznego. Sprawdzą, czy da się coś powiedzieć o broni, z której go wystrzelono.

- Ale Colin powiedział... - zaczęła Rose. Vicki przerwała jej.

- Colin powiedział, że to wywoła niewygodne pytania. Cóż, w London pewnie by tak się stało, a biorąc pod uwagę sytuację waszej rodziny, nie byłyby to pytania, na które chcielibyście odpowiadać. Dobrzy

gliniarze pamiętają najdrobniejsze szczegóły. Gdyby Colin wręczył im srebrne kule, mógłby się tym przyczynić do zdemaskowania was w przyszłości. Ale - jej głos zawierał maksymalną dawkę uspokojenia - jesteśmy w Toronto. Mamy tu o wiele więcej przestępstw i, uchwaj Boże, nikt nie zwróci uwagi nawet na srebrne kule. Nikt nie będzie o nich pamiętał. Zrobiła przerwę, żeby wziąć oddech, zwinęła woreczek z chusteczkami i wepchnęła w bezpieczny zakamarek torby.

- Ale nie spodziewajcie się zbyt wiele. Pocisk jest mocno uszkodzony.

- Dobrze. Powiemy ciotce Nadine, żeby oczekiwała was w piątek w nocy. - Peter uśmiechnął się z tak ogromną i szczerą wdzięcznością, że Vicki poczuła się jak ostatni drań. W końcu przez chwilę zastanawiała się, czy nie odmówić im pomocy. - Dziękujemy, pani Nelson.

- Tak, dziękujemy. - Rose też wstała i poparła subtelniejszym uśmiechem olśniewający uśmiech brata. - Naprawdę to doceniamy. Henry miał rację.

Pytanie, w czym Henry tym razem miał rację, poszło w niepamięć, gdy Peter ściągnął spodenki. Vicki przypuszczała, że się do tego przyzwyczai, ale w tej chwili nagi młody mężczyzna odrobinę ją rozpraszał. Pojawienie się Sztorma przyjęła z ulgą. Otrząsnął się energicznie i pobiegł do drzwi.

- Dlaczego... - zaczęła Vicki.

Rose natychmiast zrozumiała, o co chodzi.

- Bo lubi podróżować z głową wystawioną przez okno samochodu. - z westchnieniem wepchnęła porzucone szorty do torebki. - Marny z niego towarzysz podróży.

- Wygląda na to, że me może się jej doczekać.

- Niezbyt lubimy miasto - wyjaśniła Rosą marszcząc oosł - Śmierdzi. Jeszcze raz dziękujemy, pani Nelson. Do zobaczenia w piątek.

- Nie ma za co. - Obserwowała, jak Henry odprowadza Rose do drzwi, ostrzega ich, by byli ostrożni, i wraca do salonu. Jego mina sprawiła, że zrezygnowała z oskarżeń o protekcjonalność i nie liczenie się z innymi, które planowała wygłosić. - Co się stało?

Rudozłote brwi powędrowały w górę.

- Ktoś zabija moich przyjaciół - przypomniał cicho.

Vicki poczuła, że się rumieni.

- Przepraszam. Trudno o tym pamiętać, kiedy wszystko jest takie... - machnęła dłonią, szukając gorączkowo właściwego słowa - ...dziwne.

- Jednak trzeba.

- Wiem, wiem - zmusiła się, by nie zabrzmiało to jak kajanie.

Nie powinien jej o tym przypominać. - Nawet przez chwilę nie pomyślałeś, że mogę odmówić, prawda?

- Przez kilka ostatnich miesięcy udało mi się dobrze cię poznać.

- Jego twarz złagodniała. - Potrzebujesz być potrzebna, a oni cię potrzebują. Nie ma wielu prywatnych detektywów, którym można by powierzyć taką sprawę.

Łatwo było w to uwierzyć, a żartobliwą uwagę o potrzebie bycia potrzebną - zignorować.

- Czy wszystkie łaki są takie - zastanowiła się nad odpowiednim określeniem - zamknięte w sobie? Gdyby moja rodzina przechodziła przez to, co oni, stałabym się emocjonalnym wrakiem.

Jakoś w to wątpił, ale pytanie zasługiwało na odpowiedź.

- Od najmłodszych lat łaki uczą się ukrywać z tym, kim są, i to nie tylko fizycznie. Dla dobra watahy nigdy nie należy okazywać słabości obcym. Powinnaś czuć się zaszczycona, że aż tak się przed tobą otworzyli. Poza tym łaki o wiele bardziej niż ludzie żyją chwilą. Opłakują zmarłych, a potem idą dalej. Bez bagażu przeszłości, bez niecierpliwego zerkania w przyszłość.

Vicki prychnęła.

- Bardzo poetyckie. Ale przez to niemal nie mają szans, by

poradzić sobie z taką sytuacją, prawda?

- Dlatego zwrócili się do ciebie.

- A gdyby mnie nie było?

- Wtedy by zginęli. Zmarszczyła brwi.

- A dlaczego ty nie mógłbyś ich uratować? Zajął swoje stałe miejsce przy oknie, opierając się plecami o szkło.

- Nie pozwoliliby mi.

- Bo jesteś wampirem?

- Bo Stuart nie pozwoliłby na takie podważanie jego autorytetu.

Jeśli on nie jest w stanie ocalić watahy, to ja też nie. Ty jesteś samicą, a to już problem Nadine. Śmierć bliźniaczki bardzo nią wstrząsnęła, gdybyś była łakiem, pewnie zdołałabyś zająć jej miejsce. W obecnej sytuacji muszą sobie jakoś poradzic. -

Pokręcił głową, widząc jej minę. - Vicki, nie możesz ich oceniać wedle ludzkich standardów, nieważne, jak ludzie się wydają przez większość czasu. Zresztą już za późno, żeby się wycofać. Powiedziałaś Rose i Peterowi, że im pomożesz. Jej podbródek poderwał się do góry.

- Czy dałam jakikolwiek sygnał, że chcę się wycofać?

- Nie.

- No właśnie, do jasnej cholery. Nie dałam. - Współpracowała z Radą Miejską Toronto, mogła współpracować z wilkołakami. Przynajmniej w ich przypadku dogryzanie sobie i powariowanie coś znaczyło. Tak naprawdę łaki były prawdopodobnie najmniejszym z jej problemów. - Możemy mieć pewne trudności. Mówię o sobie.

- Na przykład to, że nie masz prawa jazdy - w jego głosie dźwięczał śmiech.

- Nie. Prawdziwe problemy.

Odwrócił się i rozłożył ramiona. W świetle lampy jego włosy stały się złote.

- Więc mi o nich opowiedz.

„To się nazywa zwyrodnienie barwnikowe siatkówki. Slepnę. Nic nie widzę w nocy. Prawie nie mam obwodowego widzenia”. Nie mogła mu tego powiedzieć. Nie dałaby sobie rady ze współczuciem. Nie z jego współczuciem. Nie po tym, przez co przeszła z Cellucim. „Pieprzyć to”. Poprawiła okulary i

potrzęsnęła głową.

Henry opuścił ręce. Po chwili, kiedy cisza stała się nie do zniesienia, powiedział:

- Wybacz, że się wprosiłem. Poprzednim razem stworzyliśmy całkiem dobry zespół. Pomyślałem też, że przyda ci się trochę pomocy w radzeniu sobie z... dziwaczością.

Udało jej się roześmiać niemal szczerze. - Ja pracuję w dzień, ty w nocy?

- Tak jak ostatnio. - Oparł się o szybę i patrzył, jak Vicki rozmyśla, rozkłada to w głowie na czynniki pierwsze. Była jedną z najbardziej upartych, kłótliwych, niezależnych kobiet, jakie poznał w ciągu czterech i pół wieku, i chciał, żeby mu zaufała. Cokolwiek ją dręczyło, dadzą sobie wspólnie radę. Problem na pewno nie był na tyle poważny, żeby powstrzymać ją od poświęcenia wszystkich sił sprawie. Nie mógł na to pozwolić. Jego przyjaciele ginęli.

„- Pani Nelson, ja nie chcę umrzeć.

- Ja też nie chcę, żebyś umarła, Rose”.

Vicki przygryzła dolną wargę. Jeśli zaczną współpracować, wampir w końcu się dowie. Musiała zdecydować, co jest ważniejsze - zachowanie tajemnicy czy śmierć kolejnych niewinnych osób. „Kiedy tak to ufać, wybór przestaje być wyborem”. W pojedynkę nie podołałaby tej sprawie, ale z Henrym już tak. „Walić to. Poradzimy sobie”.

Widząc jak jej twarz łagodnieje, wampir uśmiechnął się. Przez wieki nauczył się bardzo dobrze czytać w ludziach, zauważać drobiazgi, które odzwierciedlały ich najskrytsze myśli. A Vicki przez większość czasu miała wszystko wprost wypisane na twarzy. Można w niej było czytać tak łatwo, jakby była billboardem.

- No to piątek, po zachodzie słońca. Wpadniesz po mnie.

Skłonił się bez śladu drwiny.

- Jak moja pani rozkaże.

Vicki odpowiedziała uśmiechem, a potem ziewnęła i przeciągnęła się, wyginając plecy i rozrzucając ramiona na czerwonym aksamicie.

Henry obserwował, jak u nasady jej szyi tętni puls. Nie pił od trzech nocy, czuł coraz większe pragnienie. Vicki go chciała.

Zwykle gdy byli razem, wyczuwał zapach jej pożądania, ale trzymał się na dystans, pamiętając o krwi, którą niedawno straciła, i wciąż czekał na odpowiedni moment. Wtedy, wiosną, ten jeden, jedyny raz, gdy musiał z niej pić, ominęły ją wszelkie dodatkowe przyjemności.

Zapach jej życia wypełnił mieszkanie. Henry podszedł bliżej, stawiając kroki w rytm uderzeń serca kobiety. Kiedy był już przy kanapie, wyciągnął rękę.

Vicki ujęła ją i podniosła się.

- Dzięki. - znowu ziewnęła, zasłaniając usta. - Rany, ależ jestem wyprana. Nie uwierzyłbyś, o której musiałam dziś wstać. Cały dzień spędziłam w fabryce. Tam musiało być z plus dwadzieścia sześć stopni, a do tego miałam dwie roboty na raz. - Zrzuciła torbę na ramię i skierowała się w stronę drzwi. - Nie musisz mnie odprowadzać. Będę czekać w piątek po zachodzie słońca. - Pomachała mu wesoło i wyszła.

Henry otworzył usta, żeby zaprotestować, zamknął je, znowu otworzył, wreszcie westchnął.

Kiedy winda zatrzymała się na parterze, Vicki wreszcie przestała się śmiać. Mina Henry'ego, jakby podczas niewinnego spaceru nadepnął na leżące grabie, była po prostu bezcenna. Oddałaby rok życia, żeby tylko mieć jego zdjęcie. „Jeśli jego królewska nieumarła wysokość sądzi, że to on kontroluje sytuację, niech lepiej jeszcze raz to sobie przemyśli”. Wyjście z mieszkania kosztowało ją niemal więcej siły woli, niż miała, ale było warto.

- Zaczynij dzień tak, jak chciałabyś go zakończyć -oznajmiła na wydechu, wycierając spocone dłonie o szorty. - Może stare powiedzonka mamy są jednak coś warte.

Wciąż się uśmiechała, kiedy wsiadała do taksówki, zarumieniona z radości ze zwycięstwa. Potem odchyliła się na siedzeniu i spojrzała na okna budynku, rozmazane czworokąty świateł. W żadnym nie widziała Henry'ego, nawet nie potrafiła określić, który czworokąt należy do niego. Ale był tam. Spoglądał na nią z góry. Pragnął jej. Tak jak ona jego -i czuła się jak nastolatka, której hormony właśnie przyspieszyły do nadświatlnej.

Dlaczego nie była tam, na górze, z nim?

Pozwoliła głowie opaść na zapoconą skórę siedzenia i westchnęła.

-Jestem totalną idiotką.

- Możliwe - zgodził się taksjarsz, odwracając się ze złotozębnym uśmiechem. - A chce paniusia być ruchomą idiotką? licznik tyka.

Vicki spojrzała na niego.

- Huron Street - warknęła. - Na południe od college'u. Proszę po prostu jechać.

Prychnął i odwrócił się do kierownicy.

- Nie miałaś szczęścia w miłości, paniusiu, ale to nie powód, żeby się na mnie odgrywać.

Mamrotanie taksjarza zlało się z odgłosami ulicznego ruchu, a przez całą drogę przez Bloor Street Vicki czuła, jak spojrzenie Henry'ego pali ją w kark. Zanosilo się na długą noc.

Taśma się skończyła. Rose sięgnęła między siedzenia po nową, ale bez powodzenia. Długa droga powrotna z Toronto sprawiła, że czuła się odrętwiała, zmęczona i zbyt spięta, by choć na chwilę oderwać wzrok od drogi - nawet jeśli była to tylko pusta żwi-rówka niecały kilometr od domu.

- Hej - szturchnęła brata w plecy. - Może byś się na coś przydał i znalazł... Sztorm, trzymaj się! - Jej stopa wbiła się w hamulec. Podczas gdy tył ślizgał się po żwirze, a kierownica wirowała jak oszalała, Rose walczyła o odzyskanie kontroli nad samochodem, mętnie świadoma, że obok niej wbija się w siedzenie Peter, nie Sztorm.

„Nie uda nam się!” Rozciągnięty w poprzek drogi cień był coraz bliżej.

Bliżej.

I wtedy, kiedy już myślała, że może uda im się zatrzymać na czas, a jej serce z ulgą znowu zaczęło bić, przedni zderzak i cień spotkały się. __

Dobrze. Byli cali. Plan nie obejmował ich śmierci w wypadku samochodowym. Szkoda, że zmiana wiatru zmusiła go do opuszczenia stałych terenów łowieckich, ale to jeszcze nie powód, by rezygnować z polowania. Oparł policzek o kolbę, obserwując przez celownik, jak się rozwinię sytuacja. Byli już blisko domu. Jedno z nich pójdzie po pomoc, zostawiając drugie dla niego.

- Wygląda na to, że tata miał rację. Drzewo przegniło. - Peter wszedł na pień. W świetle reflektorów wyglądał jak rudowłosy Puk. - Myślisz, że damy radę je ruszyć? Rose pokręciła głową.

- Nie we dwoje. Lepiej biegnij do domu po pomoc. Zaczekam przy samochodzie.

- Dlaczego nie pójdziemy razem?

- Bo nie chcę zostawiać tu samochodu. - Odgarnęła włosy z twarzy. - Peter, to pięć minut stąd. Nic mi nie będzie. Boże, aleś ty się zrobił ostatnio nad-opiekuńczy.

- Wcale nie! Ja tylko...

W tej samej chwili usłyszeli zbliżającą się ciężarówkę. Sekundę później Rose i Sztorm wyszli z samochodu, żeby ją zobaczyć. Tylko farma Heerkensów wychodziła na tę drogę. Tylko oni jeździli tędy nocą. Zacisnął dłonie na śliskim od potu metalu.

- Na skrzyżowaniu wylali dziś olej. Śmierdzi koszmarnie. - Frederick Kleinbein podciągnął spodnie na wystającym brzuchu i spojrzał przyjaźnie na Rose. - Pojechałem dłuższą drogą, żeby ominąć smród. Dobrze się stało, co? Weźmiemy łańcuch od ciężarówki, przyczepimy do drzewa i odciągniemy je na pobocze. - Siegnął i delikatnie złapał Sztorma za pysk, kołysząc jego łbem na boki. - Może przyczepimy cię do drzewa? Zapracujesz na swoje utrzymanie.

- „Nie ma ślepców większych niż ci, co patrzą i nie widzą...” -
Teraz już nie będzie szans na strzał.

- Dziękuję, panie Kleinbein.

- Za co? Odwaliłaś połowę roboty, a ciężarówka resztę. -

Wychylił się przez okno, ocierając brwi śnieżnobiałą chusteczką. - A teraz ty i ten twój prze-
rośnięty szczeniak zmykajcie do domu. Powiedz ojcu, że część
drewna przy koronie nadaje się jeszcze do palenia. Jeśli nie
będzie go chciał, to ja wezmę. I powiedz, że oddam pompę
przed końcem miesiąca.

Rose odsunęła się, kiedy odpalił ciężarówkę, a potem pochyliła,
kiedy dodał coś, czego nie dosłyszała przez szum silnika.

- Co?

Ale on tylko pomachał i już go nie było.

- Powiedział - rzekł Peter, kiedy czerwony blask tylnych świateł
zniknął i można się było bezpiecznie przemienić - „przekaż
pозdrowienia bratu”. A potem się zaśmiał.

- Myślisz, że cię widział?

- Rose, to całkiem normalne. Mógł mieć na myśli mnie, mógł
mieć na myśli Colina. W końcu pomagał mu przy zbiorach. Za
bardzo się martwisz.

- Może tak - przyznała, ale kiedy głowa Sztorma znowu
wychyliła się przez okno, dodała w duchu: „a może nie”.

Został na swoim miejscu, obserwując ich, póki nie
odjechali. Wtedy wyjął z karabinu nabój ze srebrem i schował
do kieszeni. Użyje go następnym razem.

- Jest pani pewna? - Starszawy pan Glassman uderzał wymanikiurowanym paznokciem w sprawozdanie. - To się obroni w sądzie?

- Nie mam żadnych wątpliwości. Jest tam wszystko, czego pan potrzebuje. - Za każdym razem, gdy miała do czynienia ze starszym panem Glassmanem, bez żadnego konkretnego powodu stawała na baczność. Nie przytłaczał posturą, nie zachowywał się też jak wojskowy, więc to musiał być wpływ jego osobowości. Chociaż podczas wojny był zaledwie dzieckiem, zdołał nie tylko przeżyć obozy koncentracyjne i holocaust, ale też przeprowadzić bezpiecznie przez ten koszmar młodszego brata Josepha.

Zamknął sprawozdanie i westchnął głęboko.

- Harris. - To nazwisko oznaczało kres sabotaży, chociaż kiedy je wypowiadał, sprawiał wrażenie bardziej zmęczonego niż wściekłego. - Pani Nelson, proszę przyjąć podziękowania za szybkie załatwienie sprawy. - Wstał i wyciągnął rękę.

Vicki ujęła ją. Uścisk miękkiej dłoni był siłny.

- Widzę, że dołączyła pani rachunek do raportu - ciągnął. - Czekamy do końca tygodnia. Zakładam, że pojawi się pani w sądzie, jeśli będzie to konieczne?

- To część usługi - zapewniła. - Jeśli będę potrzebna, stawię się.

- Hej, lalunia! - Harris, który spędzał ostatnie minuty przerwy na słońcu z paroma kumplami, poderwał się na nogi, kiedy Vicki wychodziła z budynku. - Pakujemy się, co? Nie daliśmy rady?

Vicki naprawdę miała szczerzy zamiar go zignorować.

- Szkoda, że będziesz kręcić tym swoim zgrabnym tyłeczkiem gdzie indziej. Z drugiej strony...

Zaśmiał się, widząc jej reakcję i śmiał się nadal, kiedy przeszła przez parking i stanęła przed nim. W czasach młodości musiał być z niego kawał chłopca. Została mu tylko ciężka,

napompowana sylwetka kogoś, kto swego czasu był dobrze umięśniony, i koszulki naciągane na brzuch piwny zastępujący talię. Był typem klauna, którego wszyscy wokół starali się usprawiedliwiać.

„Nie zwracaj na niego uwagi, on już taki jest”.

Vicki zawsze uważała, że tacy są najgorsi. Tym razem Harris przekroczył wszelkie granice. Mógł sobie narzekać do woli na ludzi, którzy nie łapali jego żartów, ale w sądzie.

- Co jest, lalunia? Nie możesz odejść bez buzi na pożegnanie? - Odwrócił się, żeby sprawdzić, czy dwaj mężczyźni siedzący przy budynku docenili jego żart, i nie dostrzegł wyrazu twarzy Vicki.

Miała za sobą ciężką noc. Miała zły humor. I naprawdę bardzo chętnie wyładowałaby wszystkie frustracje na tym rasistowskim, seksistowskim sukinsynu. Był od niej jakieś dziesięć centymetrów wyższy i z pięćdziesiąt kilo cięższy, ale oceniała, że skopanie mu tyłka nie sprawi jej szczególnych trudności. „Kuszące, ale nie”. Chociaż zmrużyła oczy i zacisnęła mocno zęby, lata praktyki pozwoliły jej utrzymać nerwy na wodzy. „Nie jest tego wart”.

Kiedy odwróciła się, żeby odejść, Harris z szerokim uśmiechem klepnął ją w tyłek.

Vicki uśmiechnęła się. „A co mi tam...”

Obróciła się wokół własnej osi i kopnęła go, znacznie lżej, niż była w stanie, w zewnętrzną krawędź kolana. Mężczyzna upadł, wyjąc z bólu, zupełnie jakby podcięła mu nogi. Cios tuż pod żebra wycisnął powietrze z jego płuc, wydobywając z nich bolesny jęk. Vicki oparła się pokusie nadeptnięcia tam, gdzie najbardziej bolało, lecz pozwoliła sobie na precyzyjne kopnięcie prosto w tyłek, który Harris właśnie odsłonił, podciągając kolana do klatki piersiowej. Potem uśmiechnęła się szeroko do jego kumpli i ponownie ruszyła do domu.

Mógł ją oskarżyć. Ale nie sądziła, by to zrobił. Nie stała mu się większa krzywda, a Vicki była gotowa się założyć, że kiedy już odzyska oddech, to wszystkie fakty w jego głowie dopasują się do wizji świata - wizji, która nie uwzględniała kobiet powalających mężczyzn na ziemię.

Uświadomiła też sobie, że wszystko wyglądałoby zupełnie

inaczej, gdyby wciąż nosiła odznakę -tacy jak Harris chętnie krzyczeli o brutalności policji.

„No proszę”, poprawiła okulary i rzuciła się biegiem, żeby zdążyć na autobus, który właśnie dojeżdżał do wiaduktu Eglinton Avenue, „chyba mogę polubić życie w cywilu”. Euforia wyparowała wraz z adrenaliną, a wyrzu-ty sumienia dopadły Vicki już dwie przecznice da-lej. Dręczyło ją nie tyle użycie przemocy, co reakcja. Chociaż próbowała, nie potrafiła sobie wmówić, że Harris dostał to, o co się już od dawna prosił. Kiedy przeciskała się na tył autobusu, żeby wysiąść na przystanku na Dundas, mdliło ją na samą myśl o niedawnym zajściu.

„Przemoc nigdy nie jest rozwiązaniem, ale czasem, jak w przypadku karaluchów, jest jedyną możliwością”. Zepchnąwszy z drogi dwóch na wpół przytomnych nastolatków, w ostatniej chwili dopadła drzwi wyjściowych. „A Harris to karaluch. Ko-niec dyskusji”. Było za gorąco na utarczki z osobistym poczuciem etyki. Obiecała sobie, że przemyśli to wszystko jeszcze raz, kiedy zrobi się nieco chłodniej.

Idąc, czuła przez podeszwy trampek żar asfaltu. Tak szybko, jak tylko to możliwe w tłumie, skręciła w Huron Street w stronę domu. Ehmdas i Hu-ron przecinały się w samym centrum Chinatown pełnym restauracji i małych ryneczków, na których sprzedawano egzotyczne warzywa i żywe ryby. W upale metalowe pojemniki na odpadki roślinne podgrzewały się i odór, jaki tu panował, z całą pewnością nie zachęcał do zakupów. Oddychając płytko przez usta, Vicki w pełni zrozumiała, czemu łaki wyniosły się z miast.

Przechodząc, zerknęła na „sadzawkę”. Upchnięta przy krawężniku, gdzie zdarł się asfalt i brakowało kilku płyt chodnikowych, zbierała miejscowe ścieki i dryfujące ku niej odpadki organiczne. Kiedy temperatura rosła, co jakiś czas na ohydnej powierzchni pojawiały się śmierdzące bąble. Vicki nie miała pojęcia, jak głęboka może być sadzawka, która w ciągu pięciu lat ani razu nie wyschła, miała za to teorię -pewnego dnia coś wypęłźnie z tej pełnej resztek miski pierwotnej zupy i zacznie terroryzować okolice. Lepiej mieć na nią oko, żeby tego nie przegapić.

Kiedy dotarła do mieszkania, była już cała oblepiona potem i marzyła tylko o zimnym prysznicu i jeszcze zimniejszym drinku. Na jedno i drugie musiała jednak poczekać. Wkładając klucz do zamka, poczuła dochodzący ze środka zapach parzonej kawy.

- Jest jakieś czterdzieści dziewięć stopni w cieniu - mruknęła, otwierając drzwi. - Jak ty możesz pić gorącą kawę?

Dobrze, że nie oczekiwała odpowiedzi, bo jej nie otrzymała. Zatraskując zamek, rzuciła torbę w kąt, po czym przeszła do małego pokoju dziennego.

- Miło, że wpadłeś, Celluci. - Zmarszczyła brwi. - Wyglądasz jak kawał gówna.

- Dzięki, Matko Tereso. - Uniósł kubek i wziął kilka głębokich łyków, nie odrywając ust od naczynia. Kiedy skończył pić, spojrzał jej w oczy. - Dorwaliśmy sukinsyna.

- Margota?

Celluci skinął głową.

- Na amen. Zgarnęliśmy drania w południe. „W południe. Kiedy ja udowadniałam, że mam większe jaja niż Billy Harris”. W jednej chwili Vicki ogarnęła taka zazdrość, że odebrało jej mowę. Tym właśnie powinna się zajmować: zmieniać świat, a nie robić z siebie idiotkę na parkingu przed wytwórnią kawy. Przygryzając dolną wargę, zdołała wepchnąć potwora z powrotem do jego jamy, ale już nie uśmiechnąć.

- Dobra robota, - Gdy pozwoliła, by Mike Celluci wrócił do jej życia, wpuściła go razem z policyjną robotą. Będzie musiała się nauczyć z tym żyć. I tyle.

Skinął. Na jego twarzy malowało się tylko zmęczenie. Vicki poczuła, że opuszczają część napięcia. Albo zrozumiał, albo był zbyt wykończony, żeby się kłócić. Tak czy inaczej, efekt jej pasował. Wzięła pusty kubek z dłoni Mike'a.

- Kiedy ostatnio spałeś?

- We wtorek. - A jadłeś?

-Hmmm... - Zmarszczył brwi i potarł dłonią oczy.

- Prawdziwe jedzenie - naciskała Vicki. - Nie coś z pudełka, oblepione lukrem.

- Nie pamiętam.

Pokręciła głową i przeszła do kuchni.

- Najpierw kanapka, potem spać. Lepiej, żebyś nie miał nic przeciwko zimnej pieczonej wołowinie, bo tylko to mam. - Układając mięso na chlebie, uśmiechnęła się. Prawie jak za starych, dobrych czasów. Lata temu, kiedy po raz pierwszy coś między nimi zaiskrzyło, zawarli pakt. Jeśli któreś z nich nie będzie w stanie się sobą zająć, pozwoli, by zrobiło to drugie.

- Ta praca może pożreć człowiekowi duszę na wiele sposobów - powiedziała, kiedy rozmasowywał napięte mięśnie jej pleców. - Utworzenie małej grupy wsparcia ma sens.

- A nie chodzi ci przypadkiem tylko o to, żeby mieć komu się chełpić wykonanym zadaniem? - prychnął.

Trafiła go łokciem w splot słoneczny. Uśmiechnęła się słodko, kiedy łapał oddech.

- To też.

Równie ważny jak ktoś, kto rozumiał, kiedy wszystko szło dobrze, był ktoś, kto rozumiał, kiedy szło źle. Kto nie zadawał głupich pytań bez odpowiedzi i nie współczuł, gdy współczucie było tylko solą sypaną na otwartą ranę zadaną przez porażkę. Ktoś, kto po prostu zrobi kanapkę, pościeli łóżko i pójdzie sobie, zostawiając ostatni komplet czystej pościeli na pastwę zagniecen i potu.

Sześć godzin później Celluci wtoczył się do pokoju dziennego i spojrzał półprzytomnie na ekran telewizora.

- Która zmiana?

- Połowa czwartej.

Opadł na jedyne krzesło w pokoju. Vicki rozciągnęła się na leżance.

- Jakies gole? - zapytał, drapiąc się w owłosioną klatkę piersiową.

- Tu się gra na bazy, dupku, jak zresztą dobrze

wiesz. Póki co żadnych nie zdobyto.

Zaburczało mu w brzuchu, na tyle głośno, że dźwięk przebił się przez wiwaty, jakimi publika powitała pierwszy aut.

- Pizza?

Vicki rzuciła mu telefon.

- Moje mieszkanie, więc ty stawiasz.

W pudełku został już tylko jeden stygnący kawałek, a Jaysom udało się zdobyć dwupunktowe prowadzenie, kiedy powiedziała Mike'owi, że jedzie do London.

- W Anglii?

- Nie, w Ontario.

- Nowa sprawa?

- Bingo.

-Jaka?

„Szukam kogoś, być może kilku osób, zamieszanych w strzelanie srebrnymi kulami do rodziny hodujących owce wilkołaków" Przynajmniej to była prawdziwa praca. Ważna praca.

- Eee... nie mogę ci teraz powiedzieć. Może później. - „Może za milion lat...”

Celluci skrzywił się. Coś przed nim ukrywała, zawsze to zauważał.

-Jak się tam dostaniesz? Pociągiem? Autobusem? - Wyciągnął nogę i szturchnął Vicki w bok bosą stopą. - Biegiem?

Prychnęła.

- To nie ja mam wałeczki w talii. Wbrew sobie naburmuszył się. Uśmiechnęła się szeroko, podczas gdy Mike uda-wał, że jej uwaga nie zrobiła na nim żadnego wrażenia, wyraźnie wręcz zmuszając się do odprężenia.

„Jaka szkoda", pomyślała Vicki, „że to tylko pogarsza sytuację”.

- Henry zawiezie mnie jutro wieczorem.

- Henry? - Celluci starannie utrzymywał neutralny ton głosu.

Miała oczywiście pełne prawo spędzać czas, z kim chciała, ale w Henrym Fitzroyu było coś, co mu się bardzo nie podobało.

Sprawdził i nie znalazł nic, co skłoniłoby go do zmiany zdania.

W ogóle nic nie znalazł. - Ma coś wspólnego z tą sprawą? -

Ostatnim razem miał. Skończyło się na tym, że Vicki

wylądowała na wpół martwa u stóp potwora rodem z filmów

klasy B. Celluci nie był pod wrażeniem.

Vicki poprawiła okulary. Ile mu powiedzieć...

- Przyjaźni się z ludźmi, dla których pracuję.

- Zostanie, czy tylko cię podwiezie? - Słusznie interpretując jej opuszczające się w gniewie brwi, dodał: - Spokojnie. Oboje wiemy, ile problemów przy sprawie może przysporzyć cywil. Chcę się tylko upewnić, czy nie komplikujesz sobie życia. - No cóż, altruizm nie wyszedł mu zbyt przekonująco. Trudno.

- Po pierwsze, Celluci, spróbuj zapamiętać, że teraz jestem cywilem. - Prychnął, a ona spojrzała spode łba. - Po drugie, on mnie tylko podwiezie i wprowadzi w szczegóły. Nie będzie się wtrącał. -,Będzie pomagał. Będziemy pracować razem". Nie zamierzała wspominać o tym Celluciemu, nie, póki sama jeszcze nie wiedziała, co o tym myśli. Poza tym wiązałyby się to z dalszymi wyjaśnieniami, których nie mogła udzielić. Chciała pracować z Henrym Fitzroyem, Celluciemu nic do tego. Tę ostatnią myśl odczytał z jej twarzy niemal poprawnie.

- Chodziło mi o twoją karierę, nie o łóżko - warknął, opróżniając butelkę z resztki ciepłego piwa. -Pomyśl czasem o czymś mniej sprośnym, Vicki.

- Ja mam pomyśleć? - teraz to ona prychnęła. Podniosła się z leżanki, a jej spocona skóra odkleiła się od winylu z boleśnie rozdierającym dźwiękiem. - To nie ja zaczęłam. Ale skoro już o tym wspomniałeś...

Od razu poznał, że ten ruch ma go rozproszyć i odwrócić uwagę od Henry'ego. Była całkiem niezła w rozpraszaniu, więc postanowił współpracować. Później znajdzie dość czasu na małe śledztwo i sprawdzenie tajemniczej osoby pana Fitzroya.

W pół drogi do sypialni zapytał z drażniącą powagą - a przynajmniej taką powagą, na jaką mógł się zdobyć mimo urywanego oddechu:

- A co z meczem?

- Mają przewagę dwóch okrążeń, a do końca zostało półtorej zmiany - wymruczała Vicki. - Na pewno dadzą sobie radę bez nas.

Kiedy zęby Henry'ego otworzyły żyłę na nadgarstku Tony'ego, wampir spojrzał w oczy młodszego mężczyzny. Źrenice miał rozszerzone, a orgazm sprawił, że powieki stały się ciężkie.

Mimo to Tony patrzył chciwie na pijącego wampira.

Kiedy już było po wszystkim, Henry upewnił się, że koagulant zawarty w jego ślinie powstrzymał krwawienie, po czym uniósł na łokciu.

- Zawsze patrzysz? - zapytał. Tony ociężale skinął głową.

- To podniecające. Patrzeć, jak to robisz.

Henry roześmiał się i odgarnął długi kosmyk wilgotnych brązowych włosów z czoła Tony'ego. Przez ostatnie pięć miesięcy, odkąd Vicki przekonała chłopaka, żeby pomógł ocalić życie wampirowi, pił z niego tak często, jak tylko mógł, nie narażając na niebezpieczeństwo.

- Kiedy robię inne rzeczy, też patrzysz?

Tony uśmiechnął się szeroka

- Nie pamiętam. Masz coś przeciwko?

- Nie. To miłe uczucie. Nie musisz ukrywać, kim się jest.

Tony ziewnął, a jego wzrok prześlizgnął się w dół po ciele Henry'ego.

- Nie ukrywasz zbyt wiele - stwierdził miękko. -Spotkamy się w weekend?

- Nie. Jadę z Vicki do London. Moi przyjaciele mają kłopoty.

- Jeszcze więcej wampirów? - Wilkołaki.

- Super. - Słowo było niewyraźne, a głos ledwie słyszalny. Tony zasnął.

To bardzo miłe, nie musisz ukrywać, kim się jest, uznał Henry, patrząc, jak puls na szyi młodszego mężczyzny zwalnia. Od dawna nie mógł sobie pozwolić na luksus zdjęcia wszystkich masek, a teraz miał nie jednego, a dwóch śmiertelników, którzy go znali od tej prawdziwej strony.

Uśmiechnął się i pogładził kciukiem miękką skórę po wewnętrznej stronie nadgarstka Tony'ego. Nie mógł pić z łąków, więc ta wyprawa sprawi, że on i Vicki wreszcie poznają się... dogłębnie.

ROZDZIAŁ 3

JAYSI PRZEGRYWAJĄ W DZIEWIĄTEJ ZMIANIE.

- Cholera! - Vicki zmrużyła oczy, patrząc na nagłówek. Wiadomość, jak tym razem Jaysi dali ciała, nie była warta trzydziestu centów. Ponieważ nie było jeszcze widać autobusu, oparła się o skrzynkę z gazetami i od razu tego pożałowała. Skrzyńka przez cały dzień nagrzewała się od sierpniowego słońca i jej metalowe ścianki z powodzeniem mogłyby służyć za grill, gdyby ktoś akurat miał stek do upieczenia.

- No tak, tylko tego mi było trzeba - warknęła, pocierając zaczerwienione przedramię. Oczy ją swędziały i bolały od zestawu kropelek i tortur, którym przed chwilą poddał je okulista, a teraz jeszcze podsmażyła sobie jakieś piętnaście centymetrów kwadratowych skóry. A autobusu ciągle nie było. - Walić to. Równie dobrze mogę się przejść, póki jeszcze widzę chodnik. - Kopnęła skrzynkę z gazetami i wyszła na ulicę, rzucając wyzwanie camaro przejeżdżającemu przez Broadview na żółtym świetle. Kierowca wcisnął klakson, kiedy wyszła mu przed maskę, ale wyraz jej twarzy zamknął mu usta, zanim zdążyła się z nich wydobyć obraźliwa uwaga. Najwidoczniej nie wszyscy młodzieńcy jeżdżący camaro szukali śmierci.

Przeszła przez zamglony most na Gerrard Street, walcząc o zachowanie kontroli nad własnymi emocjami.

Aż do tego ranka sądziła, że już pogodziła się z chorobą oczu, przez którą musiała odejść z policji. Nie zaakceptowała jej z godnością, w żadnym wypadku, ale gniew i uzalanie się nad sobą już nie napędzały jej życia. Wielu, wielu ludzi ze zwyrodnieniem barwnikowym siatkówki było w gorszym stanie niż ona. trudno jednak o tym pamiętać, sko-ro w ciągu ostatniego miesiąca widzenie obwodowe Vicki zmniejszyło się o kolejne dwa stopnie, a widzenie w ciemności znikło bez śladu. Świat zaczął się zmieniać w zamknięty i ograniczony pokaz

slajdów. Spójrz przed siebie. Obróć głowę. Spójrz przed siebie. Obróć głowę. Spójrz przed siebie. I czy ktoś mógłby włączyć światło, bardzo proszę.

„Na co ja się przydam stadu wilkołaków? Jak mam powstrzymać zabójcę, którego nawet nie zobaczę?” Bardziej rozsądna część umysłu Vicki powtarzała z uporem, że łaki zatrudniały ją ze względu na zdolności detektywistyczne i doświadczenie, nie wzrok, ale bezskutecznie. „Może będę miała szczęście i okaże się, że któryś z nich przeszedł trening psa przewodnika”.

- Hejka, Wiktor!a!

Zmarszczyła brwi i rozejrzała się. Gniew zaprowadził ją niemal do Parliament i Gerrard, dalej niż się spodziewała.

- Co ty robisz w tej części miasta? Tony uśmiechnął się, podchodząc bliżej.

- Co się stało ze starym dobrym „cześć, jak się masz”?

Vicki westchnęła. Nie chciała się na nim wyżywać. Odkąd wspólnie uratowali Henry'ego, ich relacje zmieniły się, weszły stopień wyżej niż związek glina-dzieciak, zwłaszcza że Tony już dawno przestał być dzieckiem. Cztery lata temu, kiedy go pierwszy raz zgarnęła, był wychudzonym piętnastoletnim łobuziakiem. Z biegiem czasu stał się jej najlepszym zestawem oczu i uszu na ulicy. Teraz najwyraźniej zmierzali ku bardziej partnerskiemu układowi, ale starych nawyków ciężko się pozbyć i Vicki wciąż czuła się za niego odpowiedzialna.

- No dobra. - Otarła z brody kroplę potu. - Cześć. Jak się masz?

- Jak to jest - zapytał koleżeńskim tonem, idąc z nią krok w krok - że kiedy pytasz „jak się masz”, słyhać „w jakie gównu wdepnąłeś”?

- W jakie?

- W żadne.

Vicki odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć, ale Tony tylko uśmiechnął się świętoszkowato, niczym żywy obraz niesłusznie posądzanej niewinności. Musiała przyznać, że wyglądał całkiem niezłe. W oczach ani śladu prochów, czyste włosy, nawet przybrał trochę na wadze.

- I dobrze. A teraz, wracając do pierwszego pytania: co robisz w tej części miasta?

- Mam tu mieszkanie - oznajmił z tak wystudiowaną nonszalancją, na jaką mógł się zdobyć tylko niemal dwudziestoletni chłopak.

- Co? - zakrzyknęła ze zdziwieniem, specjalnie dla niego, bo widać było, że tego właśnie oczekiwał. Jego zadowolenie poprawiło jej humor.

- To tylko pokój w suterenie. - Lekceważąco wzruszył ramionami. - Ale mam własną łazienkę. Nigdy przedtem nie miałem.

- Tony, jak ty za to płacisz? - Zawsze zdarzało mu się zarabiać na przypadkowych numerkach. Vic-ki miała nadzieję, że nie wszedł w to na dobre. Nie tylko dlatego, że to nielegalne, ale dlatego, że cień AIDS czał się przy każdym zbliżeniu.

- Mógłbym powiedzieć, że to nie twoja sprawa... - Kiedy jej brwi opadły, uniósł pojednawczo ręce do góry. - Ale nie powiem. Mam pracę. Zaczynam w poniedziałek. Henry zna przedsiębiorcę, który szukał gońca.

- Kogo?

- Faceta na posyłki.

- Henry ci to znalazł?

- No. Mieszkanie też.

Przez te wszystkie lata Tony nie chciał przyjąć od niej więcej niż posiłek od czasu do czasu i trochę forsy w zamian za informacje. Henry Fitzroy znał good niecałych pięciu miesięcy i już zapanował nad całym jego życiem. Vicki musiała siłą rozewrzeć szczękę, zanim udało jej się coś powiedzieć.

- Dużo czasu spędzasz z Henrym? - W pytaniu zabrzmiała niebezpieczna nuta.

Tony spojrzał na nią uważnie, mrużąc lekko oczy w jaskrawym świetle popołudniowego słońca.

- Niespecjalnie. Ale słyszałem, że w weekend wy dwoje będziecie wyć do księżycy. - W odpowiedzi na jej skrzywioną minę pochylił się bliżej i doskonale imitując akcent z filmów grozy, powiedział: - Wilkołaki.

- Rozmawiał z tobą o sprawie?

- Nie, tylko wspomniał.

- Dziwne, że cię nie zaprosił.

- Rany, Wiktor. - Tony pokręcił głową. - Kiedy masz taki humor, nie da się z tobą gadać. Zalicz kogoś czy co i rozchmurz się. - Pomachał jej wesoło i pobiegł, żeby dogonić stojący na światłach autobus.

Odpowiedź Vicki zagłuszył warkot silników. I może dobrze.

- Powiedziałem coś nie tak?

Vicki nie odrywała głowy od chłodnej szyby okna samochodu. Światła przy drodze były dla niej bezużyteczne, więc po co odwracać się do kogoś, kogo i tak się nie zobaczy.

- O czym ty mówisz?

Ton jej głosu był tak agresywnie neutralny, że Henry musiał się uśmiechnąć. Przez chwilę skupiał się na wprowadzeniu BMW w ledwie wystarczającą lukę między dwiema ciężarówkami i dalej, na wolny pas. Udało mu się przejechać z maksymalną dozwoloną prędkością odcinek długości jakichś siedmiu czy ośmiu samochodów, zanim znowu wbili się w korek.

- Odkąd po ciebie podjechałem, nie powiedziałaś ani jednego uprzejmego słowa. Wkurzyłem cię czymś?

- Nie. - Zmieniła pozycję, popukała palcami w kolano i wzięła głęboki oddech. - Tak. - Osobiste animozje nie mogą wpływać na sprawę. I tak już

zapowiadało się, że nie będzie łatwo. Jeśli nie uporają się z tym teraz, wynikną z tego kłopoty, i to poważne. - Rozmawiałam dziś z Tonym.

- Aha. - Zazdrość, to zrozumiał. - Vicki, wiesz, że muszę pić z wielu śmiertelników, a poprzedniej nocy ty postanowiłaś... Obróciła się i spojrzała na niewyraźny zarys jego sylwetki, który widziała na tle przeciwległego okna.

- A co to ma do rzeczy? - Walnęła pięścią w udo dla podkreślenia swoich słów. - Przez cztery lata nie udało mi się skłonić Tony'ego, żeby przyjął ode mnie coś więcej niż parę hamburgerów i trochę drobnych. A teraz ty, ni stąd, ni zowąd znajdujesz mu pracę i mieszkanie.

Henry zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem, w czym problem. - Gniew Vicki był szczery, jej oddech i puls przyspieszyły, ale skoro nie chodziło o fizyczny aspekt jego związku z To-nym... - Nie chcesz, żeby zszedł z ulicy?

- Oczywiście, że chcę, ale... - „Ale to ja chciałam go stamtąd ściągnąć”. Tego nie mogła powiedzieć, brzmiało tak dziecinnie. Poza tym absolutnie nie o to chodziło. W jednej chwili gniew zmienił się w zażenowanie: - ...ale nie wiem, jak ci się udało tego dokonać - zakończyła niezdarnie.

Przerwa i zmiana emocji tak wyraźnie zdradzały, co pomyślała, że równie dobrze mogła to powiedzieć głośno. Czterysta pięćdziesiąt lat z całą pewnością wystarczyło, żeby nauczyć się dyskrecji, więc Henry mądrze odpowiedział tylko na wypowiedziane słowa.

- Wychowano mnie tak, bym troszczył się o swoich ludzi.

Vicki prychnęła, wdzięczna za zmianę tematu.

- Henry, twój ojciec był jednym z największych tyranów w historii, palącym sprawiedliwie i katolików, i protestantów. Jakikolwiek sprzeciw, osobisty czy polityczny, zwykle oznaczał śmierć.

- Zgoda - przyznał ponuro Henry. - Nie musisz mnie o tym przekonywać, byłem tam. Na szczęście nie wychowywał mnie ojciec. - Henryk VIII był dla swojego bękarta ikoną, na którą ten miał patrzeć z podziwem. Co więcej, panował w czasach, gdy król rządził wszystkim. - Księżę Norfolk zadbał, żebym nauczył się odpowiedzialności na miarę księcia i tylko los sprawił, że nie został jednym z ostatnich uśmierconych pod rządami Henryka VIII.

- A Tony to jeden z twoich ludzi. Zignorował sarkazm.

- Tak.

Dla niego to rzeczywiście było takie proste, uświadomiła sobie Vicki. Nie mogła też zaprzeczyć, że Tony reagował na to w sposób, w jaki nigdy nie reagował na jej starania. Kusiło ją, żeby zapytać: „a kim ja jestem?”, ale tego nie zrobiła. Zła odpowiedź pewnie wprawiłaby ją w furję, zaś dobrej nie znała. Przez chwilę walczyła z wylotem klimatyzacji.

- Opowiedz mi o wilkołakach.

Z całą pewnością to był bezpieczniejszy temat.

- Od czego mam zacząć?

Vicki wywróciła oczami.

- Może od podstaw? W akademii policyjnej nie było wykładów z likantropii.

- Dobrze. - Henry zabębnił palcami o kierownicę i zastanawiał się przez chwilę. - Po pierwsze, zapomnij o wszystkim, co widziałas w filmach. Jeśli ugryzie cię wilkołak, będziesz tylko krwawić, nic więcej. Ludzie nie mogą stać się łakami.

- Co dowodzi, że wilkołaki nie są ludźmi.

- Nie są.

- Więc czym są w takim razie, małymi futrzakami z Alfa Centauri?

- Według najstarszych legend pochodzą wprost od samicy wilka i starożytnego boga polowań. Co do tego są mniej więcej zgodne wszystkie watahy, ale imię boga zmienia się w zależności od regionu. Kiedy religie starożytnych Greków i Rzymian zaczęły się rozprzestrzeniać, łaki nazywały się wybrańcami Diany, polującą watahą bogini. Chrześcijaństwo dodało historię Lilith, pierwszej żony Adama, która po opuszczeniu Raju legła z wilkiem, którego piątego dnia stworzył Bóg, i powiła mu dzieci.

- A w co ty wierzysz?

- Że są na niebie i ziemi rzeczy, o których nie śnili wasi filozofowie.

Vicki prychnęła.

- Jakie to typowe - mruknęła. - I źle zacytowane.

- Skąd wiesz? Pamiętaj, że słyszałem oryginalne wykonanie.

Niewiele mnie tak w życiu zmęczyło, jak przekonanie

Szekspira, żeby nie nazywał tego bie-

daka Yoluff. - Mówił jak najbardziej poważnie, ale to musiał być żart. - Yoluff, książę Danii. Wyobrażasz to sobie?

- Nie. I nie obchodzą mnie mityczne łaki. Chcę wiedzieć, czego się tej nocy spodziewać.

- Co wiesz o wilkach?

- Tyle ile mówili na „National Geographic”. Podejrzewam, że to, co bracia Grimm napisali o zabiciu złego wilka, się nie liczy?

- Litości. Braci Grimm odsuńmy na bok. Łaki funkcjonują

podobnie jak wilki. Każda wataha to grupa rodzinna osobników w różnym wieku, rządzona przez dominującego samca i dominującą samicę.

- W jakim sensie „dominującego”?

- Oni rządzą w watasze. W rodzinie. Na farmie. Oni się rozmnażają.

- To Stuart i Nadine, o których wcześniej wspominałeś?

- Tak.

Vicki w zamyśleniu potarła dolną wargę.

- W przypadku sprawy tak ważnej można by się spodziewać, że to oni przyjadą i ze mną porozmawiają.

- Dominująca para prawie nigdy nie opuszcza swojego terytorium. Są do niego przywiązani w sposób, jakiego nie jesteśmy w stanie zrozumieć.

- Masz na myśli: jakiego ja nie jestem w stanie zrozumieć - poprawiła z irytacją.

- Tak - westchnął. - To miałem na myśli. Ale za-

nim mnie oskarżysz o... cóż, o cokolwiek miałaś zamiar, weź pod uwagę, że czterysta pięćdziesiąt lat doświadczenia jednak się liczy.

Miał rację. I niesprawiedliwą przewagę.

- Przepraszam. Mów dalej.

- Donald, ojciec Rose i Petera, kiedyś był samcem alfa, więc podejrzewam, że wciąż łączy go silna więź z ziemią. Sylvia i Jason nie żyją. Colin pracuje na nocną zmianę, a to utrudniałoby użycie mnie jako pośrednika. Pozostają Rose i Peter, a oni nie są dorosłymi łakami.

- A i tak byliby tylko wisienką na torcie, który mógłbyś spokojnie upiec sam.

Henry zmarszczył brwi, potem uśmiechnął się, kiedy już dotarł do niego sens metafory.

- Sądziłem, że nie zdołasz im odmówić - rzekł miękko. - Nie po tym, jak ich zobaczyłaś.

„A czemu sądzisz, że tobie bym nie odmówiła?”, pomyślała, ale głośno powiedziała tylko:

- Opowiadałeś o strukturze watahy.

- Tak. Mniej więcej trzynaście lat temu, kiedy matka Rose i Petera zmarła, ich wuj Stuart i ciotka Nadine przejęli władzę.

Stuart pochodzi z Vermont, ale od dłuższego czasu był samcem beta w tej wa-tasze.

- Po prostu do nich dołączył?

- Młode samce często opuszczają dom. To zwiększa ich szanse na rozmnażanie i miesza geny. Poza tym Donald oddał władzę bez walki. Śmierć Marjory mocno nim wstrząsnęła.

- Walki? - Vicki przypomniała sobie lśnienie zębów Petera. - Metaforycznie rzecz ujmując, mam nadzieję?

- Zazwyczaj nie. Niewiele samców tylko przewraca się na brzuch i odsłania gardło, a Stuart już wcześniej próbował przejąć watahę.

Vicki wydała z siebie zduszony dźwięk. Henry poklepał ją po ramieniu.

- Nie przejmuj się - poradził. - W gruncie rzeczy łaki są miłymi, normalnymi ludźmi.

- Którzy zmieniają się w wilki. - W ten sposób Vicki nauczono myśleć. Tak ją wychowano. Ale z drugiej strony, siedziała w BMW z wampirem - dziwniej już nie mogło być. - Czy wszystkie... ekhm... nadnaturalne stworzenia trzymają się razem?

- Razem? - powtórzył zaskoczony Henry.

Vicki poprawiła okulary. W ciemności to nic nie dało, ale gest i tak ją uspokoił.

- Powiedz mi tylko, że twój lekarz nie ma na nazwisko Frankenstein.

- Nie ma - roześmiał się Henry. - A Perkina He-erkensa, dziadka Rose i Petera, poznałem w całkiem normalny sposób.

Odzyskiwał świadomość powoli, w miarę jak dzień oddawał władzę nad światem. Najpierw bicie serca czerpiące siłę z mroku, wolny i regularny rytm upewniający go, że przeżył. Potem oddech, wciąż płytki, bo na tej głębokości znajdowało się niewiele-
le tlenu. Wreszcie uwolnił zmysły, by sięgnęły poza małe stworzenia zagrzebane w ziemi, aż na jej powierzchnię. Dopiero

gdy zyskał pewność, że żadne ludzkie życie nie jest na tyle blisko, by zobaczyć, jak się wydostaje, zaczął wykopywać sobie drogę na wolność.

Jego kryjówka najbardziej przypominała zapadniętą lisią norę, chociaż Henry miał nadzieję, że jeśli zostanie odkryta, naziści wezmą ją za płytki grób. Czym zresztą mogła się w każdej chwili stać, doszedł do wniosku, wygrzebując się ze spulchnionej ziemi. Odkopanie za dnia zabiłoby go pewniej niż ogień nieprzyjaciela.

- Naprawdę, ale to naprawdę tego nienawidzę -wymruczał, kiedy już wysunął głowę na powierzchnię i mógł zdjąć małą, podziurkowaną maskę, która chroniła nos i usta przed ziemią. Zakopywał się tylko w ostateczności, jeśli świt zastał go z dala od innego schronienia. Raz czy dwa zbyt długo z tym zwlekał i musiał odgarniać ziemię, czując na plecach płomienie słońca. Pogrzebanie za bardzo mu przypominało przerażenie, jakie towarzyszyło jego pierwszemu przebudzeniu, kiedy był zamknięty w pospolitej trumnie, nieśmiertelny i samotny w szponach głodu.

Wyciągał z ziemi drugą nogę, gdy nagle zauważył zwierzę leżące nieruchomo w głębokim cieniu pod jodłą.

„Wilki? W Holandii?” Zamarł. Nie, nie wilk. Wilki nie były rdzawo umaszczone, ale z całą pewnością zwierzę miało wilka wśród bliskich przodków. Czołgało się ostrożnie pod wiatr, z uszami położonymi po sobie i puszystym ogonem przy boku. Reagowało na woń innego drapieżnika, przygotowując się do ataku w obronie swojego terytorium.

Białe zęby zalśniły w ciemności, a głęboki warkot wydostał się z ogromnego gardła.

Wargi Henry'ego uniosły się w górę. Też zawarczał.

Zwierzę wyglądało na zaskoczone.

Jeszcze bardziej zaskoczone było chwilę później, kiedy odkryło, że leży na grzbiecie, przyciśnięte do leśnego runa, a obie ręce Henry'ego, głęboko zagrzebane w sierści, trzymając je mocno. Walczyło i próbowało gryźć, wierzgając przy tym wszystkimi łapami. Chociaż wciąż warczało, nie wydawało żadnych głośniejszych dźwięków. Kiedy pojęło, że nie da rady się uwolnić, zaczęło się wić, póki nie liznęło czubkiem języka

nadgarstka Henryko.

Wampir ostrożnie pozwolił mu wstać.

Otrząsnęło się energicznie, przeciągnęło i usiadło, przechylając łeb na jedną stronę i obserwując dziwnego przeciwnika, z nosem i brwiami opuszczonymi w dół, zupełnie jakby marszczyło je ze zdziwieniem. Henry musiał powstrzymać uśmiech -pokazując zęby w takiej chwili, zaczęłby wszystko od początku.

Ustaliwszy, kto tu rządzi, otrzepał z ziemi swój gruby strój robotnika i wsunął dłoń pod koszulę, by sprawdzić, co z płócienną torebką, którą miał przymocowaną w talii. Wiedział, że dokumenty były

bezpieczne, ale wolał się upewnić.

Większość nocy zajmie mu dotarcie do wioski, gdzie spotka się z kontaktem z holenderskiego ruchu oporu. Zanim tam dotrze, musi się jeszcze posilić -inaczej praca ze śmiertelnikami będzie nie do zniesienia - więc lepiej już wyruszać. Sprawdził kierunek na dostarczonym mu przez Kierownictwo Operacji Specjalnych kompasie i ruszył na północny wschód. Zwierzę wstało i podążyło za nim. Henry słyszał, jak przez pewien czas przedziera się przez krzaki. Ledwie dało się odróżnić dźwięk jego ruchów od innych, równie tajemniczych dźwięków, jakich las nocą był pełen. Kiedy wampir przyśpieszył, zapadła cisza. Nie był zaskoczony. Wilk pełnej krwi miałby problem z dotrzymaniem mu kroku. Pies, nieważne, jakich miał przodków, był bez szans.

Jakieś trzy godziny przed świtem, niedaleko wioski, natknął się na niemiecki patrol. Kiedy go mijali, stojącego nieruchomo przy ścieżce w odległości zaledwie kilku centymetrów, Henry uśmiechnął się ponuro, dostrzegając na ich czapkach czaszkę i skrzyżowane piszczele. Totenkopf. Oddział SS pilnujący bezpieczeństwa na okupowanych terenach, zwłaszcza tam, gdzie działał ruch oporu.

Maruder na końcu był młodym mężczyzną o szerokiej klatce piersiowej, któremu jakimś cudem, mimo pory i stanu ścieżki, udawało się maszerować niemal paradnym krokiem, a postawa „no-i-kto-tu-jest-prawdziwym-przedstawicielem-rasy-panów” wręcz z niego biła. Jego kamraci celowo pozwolili, by został z

tyłu. Widać nawet w SS były pewne granice.

Henry czasem współczuł przeciętnym niemieckim żołnierzom, ale nie nazistom. Chwycił młodzieńca od tyłu z zabójczą skutecznością, uciszył go i ściągnął ze ścieżki w ułamku sekundy. Póki biło serce, pozostałe obrażenia nie grały żadnej roli. Szybko, gdyż posilając się, był całkowicie bezbronny, Henry rozdarł nadgarstek ofiary i zaczął pić. Kiedy skończył, położył dłoń na głowie żołnierza i bez wysiłku złamał mu kark. Potem zastygł, nagle świadomy, że ktoś go obserwuje.

Las zamarł razem z nim. Nawet wiatr się uspokoił. Słysząc było jedynie miękkie kapanie krwi na pokrytą liśćmi ziemię. Wciąż skulony nad ciałem, z napiętymi mięśniami, gotowy do ataku, Henry odwrócił się twarzą do wiatru.

Dziwny, ogromny, ni to pies, ni to wilk patrzył na niego spokojnie jeszcze przez kilka sekund, a potem wycofał się, aż w końcu nawet oczy wampira nie mogły go odróżnić od ruchomych cieni.

Nic powinien był go wytropić. Przeczucie nadciągającego niebezpieczeństwa przeszło Henry'ego zimnym dreszczem.

Ruszył w stronę miejsca, gdzie znikło zwierzę. Jedno bicie serca później zatrzymał się. Czuł, że wraca patrol, niewątpliwie poszukujący zaginionego żołnierza.

Zwierzęciem będzie musiał zająć się kiedy indziej. Chwytną jedną ręką za kurtkę, a drugą za spodnie, podniósł ciało i umieścił je w koronie drzewa, dobrze ponad poziomem wzroku.

Rzucił ostat-

nie niespokojne spojrzenie w cień i poszedł do wioski.

Znalazł ją bez trudu.

Ostre białe światło z sześciu zamontowanych na samochodach reflektorów oświetlało plac. Grupa miejscowych stała po jednej stronie, pilnowana przez oddział SS. Mężczyzna, najpewniej miejscowy dowódca, chodził w tę i z powrotem, uderzając szpicrutą o wysokie skórzane buty w najbardziej pochwalany wśród nazistów sposób. Poza tym panowała

nienaturalna cisza.

Henry podszedł bliżej. Oszczędził wartownika. Póki nie wiedział, co się dzieje, wolał nie pogarszać sytuacji kolejnym trupem. Wślizgnął się we wnękę przy drzwiach na skraju placu, by poczekać w ukryciu na rozwój wydarzeń.

Nawet w najlepszych czasach wioska nie liczyła więcej niż dwustu mieszkańców. Leżała w pobliżu granicy i torów potrzebnych najeźdźcom, by kontynuować zwycięski marsz na północ, dlatego stała się ośrodkiem holenderskiego ruchu oporu. To on ściągnął tu Henry'ego, ale niestety również SS.

Na placu było siedemdziesięciu jeden mieszkańców, przede wszystkim starcy, młodzi i chorzy. Wyciągnięci z łóżek, mieli na sobie przeróżne nocne stroje, a na twarzach identyczną mieszankę ostrożności i niepewności. Na oczach Henry'ego dwóch uzbrojonych po zęby żołnierzy przyprowadziło jeszcze pięć osób.

- To już wszyscy? - zapytał oficer. Otrzymałszy potwierdzenie, przemaszerował przed tłum.

- Wiem, gdzie są pozostali członkowie waszych rodzin - powiedział ostro. Mówił po holendersku z akcentem, ale dawało się go zrozumieć. - Pociąg, który chcieli zatrzymać, nie przyjedzie. To była pułapka, żeby ich zwabić - zrobił przerwę, czekając na jakąś reakcję, ale odpowiedziały mu tylko te same, ostrożne i niepewne spojrzenia. Ci, którzy byli już w odpowiednim wieku, by rozumieć, co się dzieje, bali się, jednak dobrze to ukrywali. Wrażliwy nos Henry'ego wyczuł zapach strachu, ale dowódca nie widział żadnej reakcji na swoje słowa. Mówił więc jeszcze ostrzej. - Teraz już nie żyją. Wszyscy. - Jakiś chłopiec powstrzymywał płacz, a dowódca prawie się uśmiechnął. - Ale to nie wystarczy - ciągnął bardziej miękko tonem. - By zniszczyć wszelki opór, wszelką myśl o oporze zostaniecie straceni, a każdy budynek w tej wiosce doszczętnie spalimy jako przykład tego, co się dzieje z cywilami, którzy ośmielają się wspierać ruch oporu, oraz tymi, którzy ośmielają się sprzeciwiać rasię panów.

- Niemcy - prychnęła stara kobieta, ściskając sprany szlafrok artretycznymi palcami. - Zagadają cię na śmierć, zanim zdążą

zastrzelić.

Henry był skłonny się z nią zgodzić. Dowódca chyba obejrzał za dużo filmów propagandowych. Ale to nie zmniejszało niebezpieczeństwa. Pomijając inne skutki „reform gospodarczych”, Hitlerowi z pewnością udało się dać pracę każdemu sadystycz

nemu sukinsynowi, jakiego znalazł.

- Ty. - Wskazał szpicrutą na starą kobietę. -Chodź tutaj.

Odrzącała powstrzymujące ją ręce i mrużąc coś pod nosem, wystąpiła z tłumu. Czubek jej głowy, pokryty rzadkimi siwymi włosami związanymi w ciasny kok, sięgał ledwie na wysokość obojczyka dowódcy.

- Właśnie zgłosiłaś się na ochotnika - oznajmił. -Będziesz pierwsza.

Mrużąc kaprawe oczy przed światłem reflektorów tak mocno, że miała je niemal zamknięte, kobieta uniosła głowę i powiedziała coś tak nieuprzejmego, a w dodatku niemożliwego z biologicznego punktu widzenia, że starszemu mężczyźnie stojącemu w grupie mieszkańców wyrwało się pełne szoku:

- Matko!

By upewnić się, że dowódca zrozumiał, o co jej chodziło, powtórzyła to samo po niemiecku. Szpic-ruta uniosła się w górę. Henry drgnął, w pełni świadomy, że robi coś głupiego, impulsywnego, ale nie zdołał się powstrzymać.

Złapał dowódcę za nadgarstek, zebrał wszystkie siły i wyrwał mu ramię ze stawu. Pozwolił ciału upaść i odwrócił się, by zaatakować resztę oddziału, wymachując przerażającym, krwawym trofeum niczym kijem, z wargami uniesionymi tak, by odślaniały lśniące, wydłużone kły.

Cały atak zajął mniej niż siedem sekund.

Naziści nie pierwsi używali strachu jako broni. Rodzaj

Henry'ego nauczył się cenić jego wartość

wieki wcześniej. To właśnie strach dał mu czas, by dopaść pierwszego strażnika, zanim którykolwiek z nich przypomniał sobie, że trzyma broń.

Nim odzyskali dość rezonu, by strzelać, miał już kolejne ciało, którego mógł użyć jako tarczy. Usłyszał jakieś słowa wykrzywane po holendersku, miękki odgłos stóp w kapciach

biegnących po ubitej ziemi i nagle, na szczęście, reflektory zgasły.

Pierwszy raz od chwili, gdy wszedł na plac, Henry wszystko doskonale widział. Za to Niemcy nie widzieli nic. Spanikowali do reszty i próbowali uciekać, ale odwrót zablokował im atakujący z warkotem pies, największy, jakiego kiedykolwiek widzieli.

Potem zaczęła się rzeź.

Stojąc nad ostatnią ofiarą, czując w każdym nerwie pieśń krwi, Henry patrzył, jak zwierzę, które podążało za nim przez całą noc, podchodzi bliżej. Utykało, sierść znaczyła mu wilgotna plama, w ciemnościach bardziej czarna niż czerwona. Wyglądało dziko niczym wilk z baśni braci Grimm.

Dzieliło ich jeszcze kilkadziesiąt centymetrów, kiedy uderzenia podszew o bruk sprawiły, że obaj odwrócili głowy. Henry poruszył się, ale pies był szybszy. Zanurkował, przetoczył się i wstał, ściskając pistolet maszynowy w dwóch bardzo ludzkich dłoniach. Kiedy żołnierze piechoty pojawili się w polu widzenia, otworzył ogień. Nikt nie przeżył.

Z bronią opartą o nagie ramię odwrócił się do Henry'ego, ocierając krew wokół ust wierzchem brudnej dłoni. Jego włosy, dokładnie w tym samym rudawym odcieniu co sierść, opadały w splątanych puklach na czoło i oczy - te same oczy, które obserwowały Henry'ego, gdy ten wygrzebywał się z ziemi, a później posilał.

- Jestem Perkin Heerkens - powiedział po angielsku z mocnym akcentem. - Jeśli nazywasz się Henry Fitzroy, to jestem twoim kontaktem.

Po czterystu pięćdziesięciu latach Henry nie spodziewał się, że cokolwiek zdoła go zdziwić. Okazało się, że musi jeszcze raz rozważyć to twierdzenie.

- Nie powiedzieli mi, że jesteś wilkołakiem - odparł po holendersku.

Perkin uśmiechnął się, co sprawiało, że wyglądał młodziej, ale też groźniej.

- Mnie nie powiedzieli, że jesteś wampirem - wytknął. - Więc chyba jesteśmy kwita.

- To nie całkiem normalny sposób zawierania znajomości - mruknęła Vicki, przez chwilę żałując, że nie jest teraz w domu i nie kłóci się w miły, normalny sposób z Cellucim. - Mówisz o wampirze ze służb specjalnych spotykającym się z wilkołakiem z holenderskiego ruchu oporu.

- A co w tym niezwykłego? - Henry wyminął samochód campingowy z amerykańską rejestracją i rudym kotkiem śpiącym przy tylnej szybie. - Wilkołaki są bardzo przywiązane do swojego terytorium.

-Jeśli żyły jako część normalnego... - przemyślała to jeszcze raz i zaczęła od nowa. - Jeśli żyły jako część ludzkich społeczności, jak udało im się uniknąć poboru?

- Obowiązkowa służba wojskowa to brytyjsko-- północnoamerykański fenomen - przypomniał jej Henry. - Europa walczyła o przetrwanie, a wszystko działo się tak szybko, że łatwo było przeoczyć parę kobiet i mężczyzn na odizolowanych terenach. Jeśli musieli, opuszczali „cywilizację” na czas wojny i żyli z ziemi.

- No dobra, ale co z brytyjskimi i północnoamerykańskimi wilkołakami?

- Nie ma brytyjskich wilkołaków...

- Dlaczego? - przerwała mu Vicki.

- Bo to wyspa. Biorąc pod uwagę skłonność ludzi do zabijania tego, czego nie rozumieją, nie ma tam dość miejsca dla nich i dla łaków. - Dodał po chwili: - Być może kiedyś w Brytanii żyły wilkołaki...

Vicki opadła niżej na fotel i zaczęła majstrować przy wentylacji. Ja nie chcę umrzeć, pani Nelson".

- Więc laki nie żyją na całym świecie?

- Nie. W Europie aż do północnych Włoch, w prawie całej Rosji i najbardziej wysuniętych na północny zachód regionach Chin i Tybetu. O ile wiem, nie ma rdzennych północnoamerykańskich łaków, ale mogą się mylić. Wiele z nich migrowało.

- Po drugiej wojnie światowej? - Nie tylko.

- Więc wracamy do mojego pytania. Jak unikały poborów? Usłyszała, jak Henry wzrusza ramionami, ocierając się o grubą tweedową tapicerkę siedzenia.
- Nie mam pojęcia, ale biorąc pod uwagę, że większość z nich to kompletni daltoniści, zapewne nie przechodziły testów sprawności. Alianci wykorzystywali obserwatorów daltonistów do rekonesansów powietrznych, bo zwracali uwagę przede wszystkim na kształty i potrafili przejrzeć większość kamuflażu. Może niektórzy z nich byli łakami.
- No a co z tobą? Jak wampir przekonał rząd, że powinno mu się pozwolić zasłużyć w walce o wolność? - Przypomniała sobie, jak przekonujący potrafi być Henry. - Hmm... nieważne.
- Właściwie to nigdy nie rozmawiałem z kanadyjskim rządem. Ukryłem się na statku z piechotą i wróciłem do Anglii, gdzie jeden z moich starych przyjaciół został bardzo wpływową osobą. On się wszystkim zajął.
- Aha. - Nie pytała, kim był ten stary przyjaciel; wyobraźnia już podsuwała jej wizje Henry'ego i pewnych wpływowych osób we wstydlivych sytuacjach. - Co się stało z mieszkańcami wioski?
- Z kim?
- Mieszkańcami wioski. Tej, gdzie poznałeś Per-kina. Wszyscy zginęli?
- Nie, oczywiście, że nie!
Dla Vicki to wcale nie było takie oczywiste. W końcu wybito tam cały oddział SS, a naziści nie pochwalali takich działań.
- Perkin i ja zorganizowaliśmy wszystko tak, że wyglądało, jakby zginęli w ataku aliantów na linię kolejową.
- Wezwalesz posiłki z powietrza?
Kiedy odezwał, poznała po jego głosie, że uśmiecha się szeroko.
- Wspomniałem, że ten mój stary przyjaciel był bardzo wpływową osobą?
- A zatem - jedna rzecz wciąż nie dawała jej spokoju - mieszkańcy wioski wiedzieli, że mieszka wśród nich wataha wilkołaków?
- Nie, dopóki wojna się nie zaczęła.
- A kiedy się zaczęła?
- Podczas wojny każdy wróg nazistów był chętnie witany

sojusznikiem. Nawet Brytyjczycy i Amerykanie jakoś się dogadywali.

Vicki uznała, że ma to swój sens.

- A co było po wojnie?

- Perkin wyemigrował. Nie wiem.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu. Opuścili już Toronto w towarzystwie zaledwie kilku innych pojazdów mknących autostradą. Vicki zamknęła oczy i rozmyślała o historii Henry'ego. Wojna, mimo wszystkich komplikacji jakie niosła, w pewien sposób wiele upraszczała. W każdym razie pozwalała jasno określić wrogów.

- Henry - zapytała nagle - naprawdę wierzysz, że wataha wilkołaków może żyć w społeczeństwie ludzi, a ich sąsiedzi się nie zorientują?

- Vicki, myślisz jak mieszcuch. Najbliższy sąsiad Heerkensów mieszka trzy mile od nich. Widują się z ludźmi spoza watahy, kiedy tego zechcą. Poza tym, gdybyś mnie nie znała, gdybyś zeszłej wiosny nie

spotkała demona, uwierzyłybyś w wilkołaki? Czy jakikolwiek dorosły mieszkaniec Ameryki Północnej by uwierzył?

- Ktoś bez wątpienia tak - przypomniała mu chłodno. - Chociaż spodziewałabym się raczej szantażu niż morderstwa.

- To miałoby więcej sensu - zgodził się Henry.

Westchnęła i otworzyła oczy. No i proszę - wylądowała na wsi, próbując rozwiązać sprawę przy pomocy lupy i wampira, odcięta od zasobów policji miejskiej. Nie, żeby te zasoby były specjalnie pomocne. Balistyka zadzwoniła do Vicki tuż przed jej wyjściem. Kula prawdopodobnie pochodziła ze standardowego naboju NATO 7.62 mm, co zawężyło krąg podejrzanych do całego Paktu Północnoatlantyckiego, a także każdego myśliwego z karabinem.

Przyjazd na farmę Heerkensów to nie było coś, na co czekałaby z niecierpliwością.

Pierwszy raz miała zajmować się sprawą sama. A co, jeśli nie była tak dobra, jak myślała?

- W schowku leży mapa. - Henry zjechał z autostrady. - Możesz mi ją podać?

Znalazła, a raczej wymacała w schowku mapę i wręczyła

towarzyszowi podróży. Oddał ją z powrotem.

- Chociaż mam wiele talentów, raczej nie będę czytał mapy, jadąc nieznaną drogą. Ty to musisz zrobić.

Zaciskając palce na złożonym papierze, Vicki wyciągnęła mapę w jego stronę.

- Nie wiem, gdzie jesteśmy.

- Na Airport Road i zaraz skęcimy w Oxford Street. Powiedz mi, ile mam jechać Oxford do skętu w Clarke Side Road.

Latarnie uliczne dawały niewiele światła, zdołali dojrzeć tylko przednią szybę. Gdyby Vicki naprawdę się postarała, zobaczyłaby kontur mapy. Ale na pewno nie znalazłaby na niej dwóch małych linii.

- Pod daszkiem przeciwsłonecznym jest lampka -podsunął Henry.

Mała lampka była w zasadzie bezużyteczna.

- Nie mogę jej znaleźć

- Nawet nie spojrziałaś...

- Nie powiedziałam, że nie będę jej szukać, tylko że nie mogę. - Odkąd zgodziła się opuścić bezpieczne, znane tereny Toronto, wiedziała, że będzie musiała powiedzieć mu prawdę o swoich oczach. Nie pojmowała, jak mogła dać się zapędzić w kozi róg. Napięcie sprawiało, że naprężyła ramiona, a żołądek zwijał się w supeł. Jakkolwiek by to wyjaśniała, nawet używając terminów medycznych, zawsze wydawało jej się, że brzmi to jak usprawiedliwienie, prośba o pomoc albo zrozumienie. A kiedy już pojawi się etykieta „niepełnosprawna”, Henry zacznie myśleć o niej inaczej, tak jak pozostali. - Nie widzę w ciemności. Mam ograniczone widzenie obwodowe i z każdą wizytą u cholernego lekarza jestem coraz większym krótkowidzem. - Ton jej głosu wyzywał, żeby odważył się to skomentować.

Henry zapytał tylko:

- Dlaczego?

- To degenerująca choroba oczu. zwyrodnienie barwnikowe siatkówki...

- Retinitis pigmentsa, RP - przerwał jej. A więc to przed nim ukrywała. - Wiem, co to jest - pilnował, by emocje nie zmieniły jego głosu, by mówić tak, jakby stwierdzał suche fakty. - Nie

wydaje się zbyt zaawansowana.

„Świetnie, tylko kolejnego eksperta mi brakowało. Jakby nie wystarczył Celluci!”

- Nie słuchałeś - prychnęła, gniotąc mapę w kulę zmiętego papieru. - W nocy nic nie widzę. Przez to musiałam opuścić służbę. Po zmroku jestem gównem warta. Jeśli mam rozwiązywać tę sprawę w nocy, równie dobrze możesz teraz zawrócić. - Ale ukryta pod warstwą gniewu jakaś część Vicki bała się, że on naprawdę to zrobi, a inna, że po prostu poklepie ją po głowie i powie, że wszystko będzie dobrze - bo nie będzie, już nigdy. A ona spróbuje zderzyć mu z twarzy ten wyraz współczucia, co w jadącym samochodzie skończy się śmiercią obojga.

Henry wzruszył ramionami. Nie miał zamiaru grać w to, co odbierał jako uzalanie się nad sobą.

- W promieniach słońca zmieniam się w dymiącą kupkę związków węgla. Wygląda na to, że nie jest z tobą aż tak źle.

- Nie rozumiesz.

- Od czterystu pięćdziesięciu lat nie widziałem słońca. Wydaje mi się, że rozumiem.

Vicki poprawiła okulary i odwróciła się, żeby spojrzeć przez okno, które ledwie widziała. Nie była pewna, jak powinna przyjąć brak reakcji na jej gniew. Po chwili odezwała się:

- No dobra, rozumiesz. Więc cierpię na względnie lekką przypadłość. Mogę funkcjonować. Nie ośleplam. Nie ogłuchłam. Nie zwariowałam. Ale i tak jest do dupy.

- Owszem. - W jej odpowiedzi wyczytał rozczarowanie i zastanawiał się, czy jest świadoma tego, że od ludzi, którym mówiła o swoim stanie, oczekiwała ostentacyjnego współczucia. Odrzucając je, czuła się silna, rekompensując sobie to, co postrzegala jako swoją słabość. Zapewne wraz z pojawieniem się choroby pierwszy raz znalazła się w sytuacji, kiedy nie mogła sprawić, że wszystko będzie dobrze - tylko dlatego, że bardzo chciała, by tak było. - Myślałaś o znalezieniu partnera? Kogoś, kto pracowałby w nocy?

Vicki prychnęła, a gniew ustąpił rozbawieniu.

- Masz na myśli pomagającego mi na stałe w pracy? Henry, ty piszesz romansidła. Nie masz pojęcia o tego typu sprawach.

Wyprostował się gwałtownie za kierownicą. Był wampirem. Królem nocy. Romansidla to tylko sposób, w jaki zarabiał na czynsz.

- Nie powiedziałbym...

- A poza tym - przerwała mu - ledwie zarabiam tyle, żeby się utrzymać. Nie bez powodu nazywają Toronto „Miastem Dobrobytu”.

- Gdybyś mogła pracować w nocy, dostawałabyś więcej zleceń. Z tym nie sposób było się kłócić. Miał rację. Jego głos stał się głębszy, a Vicki poczuła, jak włoski na jej karku unoszą się w górę.

- Pomyśl o tym. "Nie stosuj na mnie swoich wampirzych sztuczek, sukinsynu". Ale zanim skończyła formułować myśl, jej usta już się zgodziły.

Resztę drogi do farmy jechali w milczeniu. Kiedy zjechali z piaszczystej drogi, którą podążali przez ostatnie kilka mil, Vicki widziała tylko niewyraźną plamę światła przed samochodem. Potem Henry wyłączył światła i nie widziała już nic. W ciszy, która nagle zapadła, drapanie pazurów o szybę obok jej głowy zabrzmiało straszliwie głośno. Nie zdołała całkiem stłumić rosnącego w gardle okrzyku zdumienia.

- To Sztorm - wyjaśnił Henry. W jego głosie słychać było uśmiech. - Zostań w wozie, póki nie podejdem, żeby cię poprowadzić.

- Pieprz się - odparła słodko, znalazła klamkę i otworzyła drzwi.

- Tak, ja też się cieszę, że cię widzę - mruknęła, próbując odepchnąć ogromny łeb. Oddech łaka był odrobinę lepszy niż u większości psów - „niewątpliwie dzięki temu, że jego druga forma umie używać szczoteczki do zębów” - ale tylko odrobinę.

Kiedy uświadomiła sobie, że o ile nie zmieni się nagle w kulturystę, jej szanse na przesunięcie Sztorma są bliskie zeru, usiadła i poddała się entuzjastycznemu powitaniu. Miała wielką ochotę pogłaskać miękką sierść, ale wspomnienie nagiego ciała Petera skutecznie ją powstrzymywało.

- Sztorm, wystarczy.

Z ostatnim energicznym pociągnięciem nosem łak odsunął się z drogi, a Vicki poczuła na ramieniu dłoń Henry'ego. Strząsnęła ją i wysiadła z samochodu. Chociaż widziała księżyc

zmniejszający się po pełni - zawieszony w ciemności trzy czwarte białego srebrnego koła - jego światło było zbyt rozproszone, żeby jej pomóc. Rozmyte żółte prostokąty po prawej to prawdopodobnie światła domu. Vicki rozważała, czy nie ruszyć w ich stronę tylko po to, by udowodnić, że nie jest tak bezradna, jak myślał Henry.

Wampir patrzył, jak myśli odbijają się na twarzy kobiety i pokręcił głową. Podziwiał jej niezależność, ale miał nadzieję, że nie przyćmi ona zdrowego rozsądku. Kiedy Vicki już wbiła sobie do głowy, że musi coś udowodnić, nie było sposobu, by ją od tego odwieść. Przynajmniej nie kiedy chodziło o niego.

Włożył jej w dłoń torbę, przytrzymując, póki nie zobaczył, jak zaciska palce na uchu. Wtedy delikatnie oparł jej wolną rękę na swoim ramieniu.

- Ścieżka zakręca - wyszeptał jej do ucha. - Nie chcesz wdepnąć w rabatki Nadine. Nadine gryzie.

Vicki zignorowała sposób, w jaki jego oddech postawił jej wszystkie włoski na karku, i skupiła się na tym, by iść tak, jakby wcale nie była prowadzona. Nie miała wątpliwości, że łaki, przynajmniej w wilczej formie, widzą w ciemności równie dobrze co Henry i nie zamierzała umniejszać swojej pozycji, sprawiając na wszystkich, którzy mogli teraz na nią patrzeć, wrażenie słabej.

Z głową uniesioną wysoko skupiła się na prostokątach światła, starając się zapamiętać ścieżkę pod podeszwami sandałów i to, jak zakręcała między podjazdem a domem. Znajomy beton i duszny zapach miasta zniknęły zastąpione przez, jak przypuszczała, niezbyt przyjemny odór owczego łajna. Rozpoznawała granie świerszczy, ale reszta dźwięków nocy była dla niej zupełnie obca.

W Toronto każdy zapach, każdy dźwięk niósł ze sobą znaczenie. Tu nie mówiły nic. Vicki to się bardzo nie podobało. Sprawiało, że stawała się jeszcze bardziej bezradna, niż wynikałoby to ze stanu jej wzroku.

Dwa nagłe ukłucia bólu - jedno w łydkę, a drugie w przedramię - wyrwały ją z przygnębienia i przypomniały o dodatkowym aspekcie sprawy, którego nie wzięła pod uwagę.

- Cholerne robale! - Uwolniła rękę i klepnęła się nią po nogach.

- Henry, właśnie sobie coś przypomniałam: nienawidzę wsi!
Weszli w obszar łuny światła padającej z domu i prawie udało jej się dostrzec uśmiech na twarzy wampira.
- Za późno - powiedział, otwierając drzwi. Pierwsze, co zobaczyła Vicki, kiedy stanęła na progu, to przyjemna, nosząca ślady częstego użytkowania kuchnia pełna ludzi i psów. Drugie wrażenie natychmiast poprawiło pierwsze: „Pełna łaków. Ludzie są psami. Wilkami. Och, do diabła z tym”.

Było już późno, dochodziła jedenasta. Celluci odchylił się na krześle i spojrzał na ostatni kawałek papieru zalegający na biurku. Sprawę Alana Margota zamknął w rekordowym czasie i teraz mógł zostawić ją sądom. Co dawało mu czas na zajęcie się innym, wymagającym załatwienia drobiazgiem. Henrym Frtzroyem.

Coś z nim było nie tak, a Celluci miał szczerzy zamiar dowiedzieć się, co. Sięgnął po kartkę papieru, pustą, jeśli nie liczyć nazwiska schludnie wydrukowanego u góry dużymi, czarnymi literami, złożył ją dwa razy i schował do portfela. Jutro przeprowadzi standardowe poszukiwania na temat pana Fitz-roya, a jeśli nic nie znajdzie... Kiedy wstawał, na jego twarzy rozkwitł drapieżny uśmiech. Jeśli nic nie znajdzie, zawsze wymyśli jakiś sposób, żeby drążyć głębiej. Ktoś mógłby to nazwać nadużywaniem władzy. Detektyw sierżant Michael Celluci nazywał to troską o przyjaciela.

ROZDZIAŁ 4

Jestem Nadine Heerkens-Wells. A pani musi być Vicki Nelson. Podchodząca z wyciągniętą ręką kobieta miała wiele wspólnego z Peterem i Rose. Te same szeroko rozstawione oczy i trójkątna twarz, ta sama gęsta grzywa - w jej przypadku w kolorze matowej czerni przyprószone siwizną - ten sam uścisk dłoni z krót-

kimi palcami, poznaczonej odciskami.

Jej oczy były zamglone, a zza tej mgły wyglądał poczucie straty tak głębokie, tak intensywne, że nie dało się go całkiem ukryć i nigdy nie uda się go całkiem wymazać. Vicki przełknęła ciężko ślinę, zdumiona mocą własnej reakcji na ból innej kobiety.

Bez wątpienia miała przed sobą przywódczynię, a wyraz twarzy Nadine dowodził, że powitalny uśmiech pierwotnie był ostrzegawczym warknięciem. „No cóż, przypuszczam, że niezależnie od tego, co Henry jej powiedział, nie ma powodu mi ufać”. Starając się zachować niezmiennie uprzejmy wyraz twarzy, Vicki ostrożnie odwzajemniła uścisk.

zwalczając niewytłumaczalne pragnienie zademonstrowania całej swojej siły.

- Mam nadzieję, że będę w stanie pomóc - powiedziała tonem „służącej społeczeństwu”, spoglądając kobiecie prosto w oczy. Jej osobowość i smutek uderzyła w Vicki z niemal fizyczną siłą. Otoczenie czekało w ciszy na decyzję dominującej samicy, Henry przyglądał się z boku, marszcząc z niepokojem brwi. Aby Vicki mogła skutecznie działać, ona i Nadine musiały uznać się za równe sobie. Czy im się to podobało, czy nie.

Nadine miała brązowe oczy, ze złotą otoczką wokół źrenicy. Głębokie linie znaczyły ich kąciki, a powieki były opuchnięte. „Mogę dać sobie z nią radę”, pojęła Vicki. "Jestem młodsza,

silniejsza. Jestem... kompletnie szalona". Zmusiła mięśnie twarzy, by rozluźniły się i przestały okazywać, jakie wrażenie wywarła na niej Nadine.

- Nie sądziłam, że London leży tak daleko od Toronto - zauważyła konwersacyjnym tonem, jak gdyby powietrze nie było ciężkie od napięcia.

- Musi być pani zmęczona po tak długiej podróży - odparła Nadine i tylko Vicki dostrzegła, że kobieta zrozumiała i zaakceptowała to, co właśnie między nimi zaszło. - Proszę usiąść.

Potem obie odwróciły wzrok.

Na ten sygnał goście zostali otoczeni przez las szczerych uścisków dłoni i mokrych nosów, a następnie usadzeni przy ogromnym stole kuchennym. Henry zastanawiał się, czy Vicki zdaje sobie sprawę,

że właśnie została zaakceptowana jako ktoś w rodzaju dodatkowego członka watahy, tak jak on. W ciągu dwóch ostatnich nocy przez wiele godzin przekonywał Nadine przez telefon, że pozostając na zewnątrz watahy, Vicki miałyby nikłe szanse na odnalezienie zabójcy, że ich nie zdradzi, tak jak nie zdradziła jego. I cały czas pamiętał, że wszystko tak naprawdę zależy od przebiegu pierwszego spotkania.

- Cieniu, bądź cicho.

Czarny szczeniak - wielkości małego owczarka niemieckiego - który tańczył wokół kolan Vicki i poszczekiwał piskliwie, nagle zmienił się w małego, nagiego chłopca w wieku sześciu albo siedmiu lat. Odwrócił się i spojrzał krytycznie na Nadine.

- Ale mam - zaprotestował. - Zawsze mówiłaś, że na obcych się szczeka.

- To nie jest obcy - wyjaśniła matka, pochylając się, by odgarnąć matowo czarne włosy z jego twarzy - to pani Nelson. Wywrócił oczami.

- To wiem, ale nie znam jej. Więc jest obca.

- Nie bądź głupkiem, Danielu. Mama mówi, że ona jest w porządku - wytknęła tonem zarezerwowanym wyłącznie dla młodszych braci jedna z dwóch identycznych nastolatek, które siedziały na kanapie pod oknem.

- I przyjechała z Henrym - dodała druga, dokładnie takim

samym tonem.

- A gdyby była obca - dokończyła pierwsza - nie przemieniłbyś się przed nią. Czyli nie jest. Więc się zamknij.

Pokręcił głową.

- Nadal jej nie znam.

- Więc poznaj ją szybko - zasugerowała matka, odwracając go z powrotem w stronę Vicki - żebyśmy mieli wreszcie trochę spokoju.

Chociaż się przyglądała, Vicki przegapiła chwilę, kiedy Daniel znowu stał się Cieniem. W jednej sekundzie mały chłopiec, w drugiej mały pies... „Nie taki znowu mały. I nie mogę nazywać ich psami. Ale z drugiej strony, wilkami też nie są”. Zimny nos wsunął się pod jej kolano, aż podskoczyła. „Więc czym on jest, szczeniakiem czy wilczątkiem? O rany, ależ to się komplikuje”. Starając się nie okazywać wewnętrznych rozterek, pochyliła się i wyciągnęła rękę.

Cień obwąchał ją dokładnie, a potem wepchnął głowę pod palce. Jego sierść wciąż była dziecięco miękka.

- Jeśli zacznie go pani drapać, pani Nelson, będzie to pani musiała robić całą noc - westchnęła jedna z sióstr.

Cień wysunął nos z jej dłoni, odwrócił się, opierając się o nogi kobiety w ten sam sposób, w jaki Sztorm opierał się o nogi Rose w mieszkaniu Hen-ryego. Co przypomniało Vicki...

- Gdzie są Peter i Rose? Peter... - przerwała i pokręciła głową. - To znaczy Sztorm przywitał nas przy samochodzie i byłam pewna, że widziałam Rose... to jest Chmurę... kiedy tu wchodziłam.

- Poszli po wuja Stuarta - powiedział siwiejący mężczyzna obok Henry'ego. Chociaż brał udział

w powitaniach, dopiero teraz się odezwał. Wyciągnął rękę ponad stołem. Stara blizna szpeciła skórę jego przedramienia.

Vicki nie była całkowicie pewna, ale wyglądało to jak ślad po ugryzieniu. - Jestem Donald Heerkens. ich ojciec.

- Jestem Jennifer - oznajmiła jedna z dziewczynek na kanapie, zanim Donald zdążył powiedzieć coś jeszcze.

- A ja Marie.

„Cholera, jak ludzie was odróżniają?” zastanowiła się Vicki.

Kiedy siedziały, wydawały się dokładnie tego samego wzrostu i

wagi, nawet miny miały identyczne. „Z drugiej strony, nie jestem zbyt spostrzegawcza. Wszystkie dzieci w tym wieku wyglądają dla mnie tak samo”.

Obie zachichotały, widząc, jak wuj zerka na nie spode łba.

- Wiec teraz zna już pani wszystkich - ciągnęła Marie.

- Wszystkich poza tatą - dodała Jennifer. - Bo Rosę i Petera już pani poznała - obie uśmiechnęły się jednocześnie. Nawet dołeczki w policzkach miały w tych samych miejscach.

Tata to musi być Stuart, uświadomiła sobie Vicki. Mąż Nadine, ojciec Daniela, szwagier Donalda, wuj Petera i Rose.

Dominujący samiec. Spotkanie z nim zapowiadało się bardzo interesująco.

- Miło być ignorowanym w swoim własnym domu - warknął ktoś od drzwi.

Cień wystrzelił spod palców Vicki, przebiegł przez kuchnię, szekając jak mały kudłaty wariat, i skoczył na mężczyznę, który właśnie wszedł do domu - a ten złapał go, uniósł nad głowę i odwrócił do góry nogami.

Vicki nie potrzebowała prezentacji. Stuart miał równie silną osobowość co Nadine i z całą pewnością był bardzo męski. I bardzo nagi. Vicki musiała przyznać, że zrobił na niej wrażenie, choć przewyższał go o jakieś dziesięć centymetrów. Oceniając według ludzkich standardów, a tylko takie potrafiła zastosować, bez względu na to, co mówił Henry, Stuart wydawał się młodszy od swojej żony o jakieś pięć lat. Jego włosy - wszystkie jego włosy, a miał ich na ciele dość dużo - nie zostały jeszcze przyprószone siwizną.

- Stuart... - Nadine ściągnęła spodnie z oparcia krzesła i rzuciła mężowi.

Złapał je jedną ręką, obejmując Daniela drugą. Potem spojrzał wprost na Vicki.

- Nie przepadam za ubraniem, pani Nelson - powiedział. Znał jej tożsamość tak samo dobrze, jak ona znała jego. - To powstrzymuje przemianę, a podczas upału jest cholernie niewygodne. Jeśli ma tu pani trochę pobyc, będzie się pani musiała przyzwyczaić, że niewiele na sobie nosimy.

- To wasz dom - odparła Vicki dokładnie tym samym tonem. - Nie mnie decydować, co powinniście nosić.

Przez chwilę wpatrywał się w jej twarz, a potem nagle uśmiechnął się. Vicki miała wrażenie, że właśnie zdała jakiś test.

- Ludzie zwykle martwią się o ubrania.

- Oszczędzam moje zmartwienie na ważniejsze sprawy.

Henry ukrył uśmiech. Odkąd się poznali, starał się pojąć, czy Vicki była zdolna do przystosowania się do każdych okoliczności, czy też dążyła do celu po równej, prostej drodze, ignorując wszystko poza nią. Po ośmiu miesiącach wnikliwej obserwacji wciąż tego nie wiedział.

Rzucając spodnie w kąt, Stuart wyciągnął rękę.

- Miło mi panią poznać, pani Nelson. Odwzajemniła i uśmiech, i uścisk, uważając, by

nie był za silny. „Za silny dla nagiego wilkołaka. Ta, jasne”.

- I nawzajem. Proszę mi mówić Vicki.

- Zatem Vicki. - Odwrócił się do Henry'ego. Za

szła w nim minimalna zmiana, a jego uśmiech stał się zupełnie inny. Znowu wyciągnął rękę. - Henry.

- Stuart. - Uśmiech był ostrzeżeniem, nie wyzwaniem. Henry to rozpoznał i zaakceptował. Bardzo szybko ostrzeżenie mogło zmienić się w wyzwanie, a żaden z nich tego nie chciał. Póki Henry nie wychodził przed szereg, sytuacja pozostawała napięta, ale stabilna.

Niezainteresowany pozami dorosłych, Daniel zaczął się wiercić.

Rozluźnił uścisk ojca na tyle, by się przemienić i zaczął szczeleć. Stuart postawił go na ziemi, a w tej samej chwili drzwi otworzyły się i do środka weszli Chmura i Sztorm.

Przez kilka następnych chwil dwa starsze łaki pozwalały, by młodszy kuzyn je atakował. Walka toczyła się przy akompaniamencie warknięć, uderzeń

i udawanych - w każdym razie Vicki założyła, że są udawane - skomleń bólu. Jako że żadne z dorosłych nie wydawało się zaniepokojone, skorzystała z okazji, by się porządnie rozejrzeć. Meble kuchenne były ciężkie, stare i nosiły ślady wielu lat użytkowania. Przy drewnianym stole zmieściłoby się osiem osób, a nawet dwanaście niezbyt by się tłoczyło. Chociaż krzesła nosiły ślady zębów, były - sądząc po tym, które zajmowała Vicki - zrobione tak, by to długo znosić. Wciąż nie

brakowało im żadnej z nóg. stojących pewnie na wytartym linoleum. Kanapa, na której siedziały bliźniaczki, ulokowana pod oknem przy tylnych drzwiach, została zapewne kupiona w latach pięćdziesiątych i od tamtej pory nie ruszono jej z miejsca. Lodówka sprawiała wrażenie całkiem nowej, tak samo jak kuchenka

elektryczna. Właściwie to kuchenka wyglądała na tak nową, że nie mogła być często używana. Stary piec na drewno, stojący w rogu, prawdopodobnie nie tylko dawał ciepło w zimie, ale i służył do gotowania. Nie przyszło jej do głowy, by zapytać Henry'ego, co jedzą łaki i czy powinna się do nich przyłączyć. Na myśl o ociekającym krwią kawałku mięsa i dymiących wnętrznościach na śniadanie żołądek zwinął jej się w supeł. Przy północnej ścianie stały szafki kuchenne, zaś na południowej znajdowały się drzwi prowadzące, jak zakładała Vicki, do pozostałej części domu.

Dla mieszczucha kuchnia wręcz pęczniała od zapachów. Czuć było dym, owcze łajno - pewnie też same owce, chociaż Vicki nie miała pojęcia, jak

owce pachną - i bardzo mocno, cóż, łaki. Nie była to kombinacja nieprzyjemna, ale zdecydowanie wyrazista.

Prace domowe najwidoczniej nie zajmowały wysokiego miejsca na liście wilkołaczyczych priorytetów. Vicki to nie przeszkadzało, sama nie przepadała za spędzaniem czasu w taki sposób. Ale jej matka z całą pewnością dostałaby drgawek na widok kłębków sierści zalegających w każdym możliwym zakątku i zagłębieniu.

„Oczywiście moja matka dostałaby drgawek nie tylko z tego powodu...”

Peter wstał i uniósł popiskującego Cienia na wysokość ramion - przednie łapy trzymał w lewej ręce, tylne w prawej - pewnie trzymając zęby szczeniaka z dala od bardziej wrażliwych, wystających części swojego ciała.

„...więc może lepiej, że jej tu nie ma”. Już zaczynała się zastanawiać, czy powinna wspomnieć o przyczynach swojego przyjazdu, kiedy Stuart odchrząknął. Peter wypuścił Cienia, uśmiechnął się na powitanie do Vicki i Henry'ego, przemienił i zwinął na podłodze obok swojej bliźniaczki. Cień szczechnął z

podnieceniem i opadł, dysząc u stóp matki. Wszyscy pozostali, w tym dwoje gości, odwrócili się wyczekująco do Stuarta.

„A on tylko odchrząknął”. Vicki znowu była pod wrażeniem.

„Gdyby mógł to chrząknięcie pakować i sprzedawać, zbiłby fortunę”.

- Pani Nelson. Vicki. Henry zapewnił nas, że można ci ufać. - Miał bladoniebieskie oczy, jak husky, uderzająco jasne pod grubymi, czarnymi brwiami. - Na pewno zdajesz sobie sprawę, że nasze życie nieprzyjemnie by się skomplikowało, gdyby świat się o nas dowiedział.

- Owszem, zdaję. - Dlatego postanowiła nie obrażać się na to pytanie. - Chociaż ktoś z całą pewnością wie.

- Tak. - Vicki nie miała pojęcia, jakim cudem można wywarzyć słowo zbudowane z samych bezdźwięcznych spółgłosek. - Są w okolicy ludzie, którzy wiedzą o watasze. Starszy lekarz w London, miejscowy leśniczy i partner Colina. - Colina policjanta. - Wilkołak w szeregach policji London był fenomenem, o którym Vicki nie mogła zapomnieć. Wyciągnęła z głębin torby notes

i długopis. - Bliźnięta - Rose i Peter - wspominały o nim.

Na twarzy Donalda zaskoczenie wydawało się przeważać nad dumą.

- Mój najstarszy syn. Pierwszy spośród nas, który otrzymał coś, co można nazwać pracą.

- Pierwszy, który skończył szkołę średnią - powiedziała Nadine. Widząc minę Vicki, dodała: - Zasadniczo szkoła jest dla łaków bardzo... stresująca. Większość z nas opuszczają, kiedy tylko może. - Jej wargi ułożyły się w coś, co, jak przypuszczała Vicki, było uśmiechem. - Problem w tym, że nie chcą nas z niej wypuścić, ale też utrudniają pozostanie.

- Świat staje się coraz mniejszy - powiedział cicho Henry. - Łaki muszą się integrować. Prędzej czy później zostaną odkryte. - Nie miał wątpliwości,

Jak ludzie potraktowaliby łaki. Zostałyby uznane za zwierzęta, o ile w ogóle pozwolono by im żyć. Skoro taki drobiazg jak kolor skóry był problemem nie do przejścia, jakie szanse miały łaki?

Vicka doszła do podobnych wniosków.

- Cóż - odezwała się głosem nietolerującym sprzeciwu - miejmy nadzieję, że nastąpi to raczej później. Mnie osobiście zadziwia, jak udało wam się ograniczyć lisie do tych trzech osób.

Stuart wzruszył ramionami.

- Zachowujemy tajemnicę, a ludzie są dobrzy w wierzeniu w to, w co chcą wierzyć.

- I widzeniu tego, co chcą widzieć - dodał Donald, a skóra wokół jego oczu zmarszczyła się z rozbawienia.

- Albo niewidzeniu - dołożyła Marie, chichocząc.

Zebrane wilkołaki pokiwały głowami - nieważne, jakiego aktualnie były kształtu - wszystkie poza Cieniem, który zasnął z brodą opartą o bosą stopę matki.

- A co z tymi, którzy podejrzewają, czym jesteście? - zapytała Vicki. Ofiary niemal zawsze знаły morderców. W przeciwnym razie mało która sprawa znajdowała rozwiązanie.

- Nie ma takich osób,

- Słucham?

- Nie ma takich osób - powtórzył Stuart. Widać było, że wierzy w to, co mówi, ale Vicki uznała to za mrzonki. Na dźwięk dobiegający z prawej zerknęła na dwa łaki leżące na podłodze. Chmu ra wyglądała, jakby chciała się nie zgodzić. „Albo iść na spacer. Jak niby mam to odróżnić?”

- Kontaktujecie się z ludźmi. Młodszy, w każdym razie, regularnie. - Vicki zrobiła gest w stronę obu par bliźniąt. - Co z innymi dziećmi w szkole? Nauczycielami?

- Nie przemieniamy się w szkole - zaprotestowała Marie.

Jennifer wsparła ją, energicznie kiwając głową.

- Nie możemy, kiedy jesteśmy ubrani.

- A ponieważ w szkole musicie być ubrani, nie możecie się przemienić. - Wyglądały na zadowolone, że tak szybko załapała.

- To musi być frustrujące...

Marie wzruszyła ramionami.

- Nie jest tak źle.

- Nie macie czasem ochoty powiedzieć ludziom, co możecie zrobić? Pokazać im swój drugi kształt?

W pełnej zaskoczenia ciszy, jaka zapadła, warknięcie Stuarta zabrzmiało bardzo głośno i złowrogo. Dziewczęta miały takie

miny, jakby Vicki właśnie zasugerowała im coś obscenicznego.

- OK, czyli nie. - „Nie oceniaj ich wedle ludzkich standardów.

Spróbuj o tym pamiętać". - A co z bliskimi przyjaciółmi?

Sztorm i Chmura nie dali po sobie niczego poznać. Marie i Jennifer wyglądały na zaskoczone i zmieszane.

- Chłopcy?

Obie dziewczynki zmarszczyły nosy w identycznym geście odrazy.

- Ludzie nie pachną właściwie - wyjaśnił krótko Stuart. - Takie rzeczy nigdy się nie zdarzają.

- Nie pachną właściwie? - Nie.

Vicki uznała, że lepiej nie rozwijać tematu. Naprawdę nie miała siły na dyskusję o kryteriach doboru i rozmnażania u wilkołaków, nie o tej porze. Jednak należało jeszcze omówić dwie sprawy. Pierwsza sprawiała, że Vicki czuła się bardzo niekomfortowo i wciąż, chociaż już od prawie roku pracowała na własny rachunek, nie wymyśliła taktownego sposobu na poruszenie tematu.

-Jeśli chodzi o moje honorarium...

- Jesteśmy w stanie je zapłacić - powiedział Stuart i tylko skinął głową, kiedy podała sumę.

- W porządku. W takim razie - splotła palce i przez chwilę się w nie wpatrywała - jeszcze jedna sprawa. Kiedy już znajde winnego, co wtedy? Nie postawimy go przed sądem. Nie można w majestacie prawa sądzić go za morderstwo, nie ujawniając istnienia waszego rodzaju.

Stuart uśmiechnął się i Vicki poczuła, że mimo panującego w kuchni gorąca przeszywa ją zimny dreszcz.

- Zostanie osądzony w majestacie prawa. Prawa watahy.

- Zemsta, tak?

- Czemu nie? Zabił dwoje z nas bez powodu, bez przyczyny.

Kto inny, jeśli nie my, ma prawo być sędzią i ławą przysięgłych?

- No właśnie, kto?

- Nie zdołamy go powstrzymać przed dalszymi morderstwami - powiedział cicho Henry. Wydawało mu się, że rozumie wahania Vicki, choć tylko teoretycznie. Etyka szesnastego wieku miała więcej wyrozumiałości dla przedkładania sprawiedliwości

ponad prawo niż etyka wieku dwudziestego.

Vicki uświadomiła sobie, że właściwie wszystko sprowadza się do pytania, czyje życie jest więcej warte: ludzi zebranych w tym pokoju czy maniaka -samotnika lub całej grupy - który odstrzeliwał ich jedno po drugim? Cóż, jeśli tak to ująć...

- Chciałabym sprawdzić te osoby, o których mówiliście.

- Już to zrobiliśmy - zaczął Donald, ale Stuart mu przerwał,

- Dziś jest za późno na cokolwiek. Dostarczymy ci informacji jutro.

Po śmierci bliźniaczki Nadine próbowali poradzić sobie z problemem na własną rękę. Vicki nie była zaskoczona, że już sprawdzili podejrzanych. Wołałaby jednak, żeby tego nie robili. Amatorzy zwykle tylko wprowadzali zamieszanie.

- Znaleźliście coś?

Stuart westchnął i przeczesał włosy dłońmi.

- Tylko to, co już wiedzieliśmy. Doktor Dixon to bardzo stary człowiek. Nie zdradził nas przez ponad czterdzieści lat i raczej tego nie zrobi. Arthur Fortrin pod koniec lipca pojechał na północ, wróci dopiero na długi weekend w Święto Pracy. A partner Golina, Barry Wu, ma i umiejętności, i możliwości. Vicki zabębniła długopisem o papier.

- To nie stawia Barry'ego w najlepszym świetle.

- To prawda - zgodził się Stuart. - Nie stawia.

- Hej, Colin! Zaczekaj chwilę...

Colin westchnął i oparł się o otwarte drzwi pół-ciężarówki.

Innego wyjścia nie miał: wskoczenie do środka i odjechanie z rykiem silnika w chmurze oparów z rury wydechowej z pewnością nie polepszyłyby spraw. Patrzył, jak jego partner przechodzi przez ciemny parking, omijając obdrapany samochód należący do nocnej zmiany. Brwi miał zmarszczone i wyglądał jak ktoś, kto chciałby otrzymać kilka odpowiedzi. A tego właśnie Colin starał się unikać.

- Co się z tobą dzieje, Heerkens? - Barry Wu za

trzymał się. Z mokrych włosów spłynęła mu strużka wody. Stad

ją gniewnie z twarzy. - Najpierw przez całą zmianę zachowujesz się jak dupek pierwszej klasy, potem znikasz bez słowa, kiedy jestem pod prysznicem. Ani się nie żegnasz, ani nie każesz mi się odpierdolić.

- Jesteś moim partnerem, Barry, nie żoną. - Próba złagodzenia sytuacji dowcipem okazała się porażką. Colin wciąż węszył gniew. Z całych sił starał się na niego nie reagować, zduszając warkot jeszcze w gardle, zanim stał się słyszalny.

- Właśnie, partnerem - choć myślałem, że jestem też twoim przyjacielem - i jako partner mam prawo wiedzieć, co ci leży na wątrobie.

- To sprawy watahy...

- Gówno prawda. Wpływa na twoją pracę - naszą pracę - więc to też moja sprawa. Zmiana od trzeciej do jedenastej to dość problemów bez ciebie i twoich humorów na dodatek.

„No dobra. Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, myślimy, że zamordowałeś dwóch członków mojej rodziny”. Tyle że Colin wcale tak nie myślał, nie chciał tak myśleć, ale musiał.

Przeszukał szafkę Barry'ego, bagażnik samochodu, nawet rozejrzał się szybko po jego mieszkaniu, kiedy któregoś dnia po służbie poszli tam na kilka piw. Nic poza bronią, o której wataha już wiedziała. Żadnych śladów wskazujących na to, że odlewał srebrne kule. Jego zapachu też nie było czuć nigdzie w lesie. Jeśli Barry odpowiadał za te dwie śmierci, nie zostawiał dowodów, gdzie popadnie; jeśli nie - Colin nie znalazł niczego, co mog-łoby go ostatecznie oczyścić.

Łak chciał konfrontacji. Przywódca watahy nie zgodził się na to. Colin, rozdarty pomiędzy prawem watahy a lojalnością wobec partnera, ledwie dawał sobie z tym radę.

Wsiadł do ciężarówki i zatrzasnął drzwi.

- Słuchaj - parsknął - chcę ci powiedzieć, ale nie mogę. Daj spokój. - Odpalił silnik i wyjechał z parkingu, w pełni świadomy, że Barry go nie posłucha. Będzie się tym martwił i rozbierał problem na kawałeczki, zupełnie jak Cień, kiedy darł kapeć, póki nie zobaczył przed sobą kupki skrawków. Colin wolał nawet nie myśleć o jutrzejszej zmianie.

Ale z drugiej strony, do jutra pozostało sporo cza-su, a może ten superdetektyw z Toronto, którego

wataha zatrudniła za namową Henry'ego Fitzroya, coś znajdzie.
- Kiedy wyjadę z miasta - powiedział swojemu odbiciu w lusterku - zawyję długo i głośno. Zasłużyłem.

Obserwował, jak Colin wraca do domu - nawet przez celownik było widać, że ma zły humor. Z palcem delikatnie opartym na spuście odprowadził go z samochodu do domu, ale nie mógł strzelić, choć miał czyste pole. Wmawiał sobie, że to zbyt niebezpieczne - zbyt wielu pozostałych kręciło się w pobliżu - ale w głębi serca wiedział, że to przez mundur. Colin musi umrzeć w swoim drugim kształcie.

Cienie poruszały się w oknach, potem światło w kuchni zgasło i dom pogrążył się w ciemności. Ogień zniszczyłby większość tych stworzeń, ale wątpił, czy udałoby mu się dostać na tyle blisko, by go podłożyć.

Starannie trzymając się zawietrznej, wrócił na drogę do samochodu, wykorzystując nabyte dawno temu umiejętności w całkiem nowym celu. Co prawda rekonesans, który tej nocy przeprowadził, przyniósł mu niewiele nowych informacji i nie dał szansy na zabicie kolejnej bestii, ale za to dostał się blisko ich domu i przekonał, że jego zwycięstwo jest tylko kwestią czasu.

Jednak pojawili się goście i należało wziąć ich pod uwagę. Póki nie dowie się, kim są, nie będzie działał przeciwko nim. Nie chciał mieć niewinnych ludzi na sumieniu.

Henry stał przy łóżku i patrzył na śpiącą Vicki. Jedno ramię miała zarzucone za głowę, drugie na brzuchu. Pościel, tak samo jak ciemność, nie były w stanie ukryć jej przed wzrokiem wampira. Patrzył, jak oddycha, słuchał rytmu jej serca, podążał za ścieżką krwi pulsującej na nadgarstkach i szyi. Nawet kiedy spała, jej żywotność wręcz dudniła w pokoju. Czuł, jak jego

głód rośnie.

Spała z kącikami ust lekko uniesionymi, zupełnie jakby znała jakiś miły sekret.

Nie. Tej nocy spotkało ją już wystarczająco dużo dziwnych rzeczy. On mógł poczekać.

Lekko, bardzo lekko przesunął palcem po miękkiej skórze po wewnętrznej stronie jej ramienia. - Jutro - szepnął.

W pierwszej chwili po przebudzeniu Vicki nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Słońce ozłociło wnętrze jej powiek i chociaż ślicznie to wyglądało, coś było

nie tak. Okna sypialni wychodziły na wąską alejkę i okna budynku po drugiej stronie, więc nie mogło być aż tak jasno, nawet gdyby wieczorem nie zaciągnęła zasłon, co jej się nigdy nie zdarzyło.

Potem wszystko sobie przypomniała i otworzyła oczy. Sufit był niebieską rozmytą plamą, przecinaną przez żółtą rozmytą plamę. Vicki sięgnęła na prawo i przesuwiała palcami po szafce nocnej, póki nie znalazła okularów. Założyła je i rozmycie zniknęło, chociaż sam sufit niewiele się zmienił. Dalej był niebieski. Żółta plama okazała się promieniem słońca wdzierającym się do środka przez szparę między bawełnianymi zasłonami Jej pokój, wcześniej pokój Sylvii, znajdował się we wschodniej części domu. Przypomniawszy to sobie, Vicki usiadła.

Czarny kształt, który rozciągnął się w lewym kącie u stóp łóżka, trochę ją wystraszył, póki nie rozpoznała Cienia. Ostrożnie, by go nie obudzić, wysunęła się spod okrycia i już miała wstać, kiedy zauważyła, że drzwi sypialni były otwarte na oścież.

Zważywszy na kąt, pod jakim stało łóżko, ktokolwiek by wszedł, miałby ją na widoku.

Pełnym widoku.

Vicki nie zносиła piżam i choć kupiła T-shirt do spania, było tak gorąco, że nie zawracała sobie tym głowy. Zniosła jakoś obecność Cienia - głównie dlatego, że starała się nie myśleć o

nim jako Danielu -ale jego kuzyni, wuj czy ojciec - zwłaszcza ojciec - to zupełnie inna para kaloszy. Co gorsza, czuła zapach kawy, więc wiedziała, że ktoś już wstał.

„Cóż, nic mogę spędzić całego dnia w łóżku...” Wzięła się w garść, po czym przemknęła przez mały kawałek gołej podłogi i zamknęła drzwi. Cień podrapał się w pysk, ale nie obudził. Czując się o wiele bezpieczniej, Vicki sięgnęła po parę czystych majtek i zaczęła zapinać stanik. Będzie musiała zamienić słówko z Cie... z Danielem, kiedy już się obudzi, bo była pewna, że wieczorem zamknęła drzwi.

Które właśnie się otworzyły.

Do pokoju weszła Jennifer. Lub Marie.

I miała na sobie znacznie mniej niż praktycznie naga Vicki.

- Cześć. Mama kazała sprawdzić, czy już się pani obudziła. Jest bardzo wcześnie, ale ciocia Sylvia zawsze mówiła, że słońce w tym pokoju działa jak budzik.

Schodzi pani na dół? - Eee... tak.

- Dobrze. - Pokręciła głową nad stanikiem. - Rany. ale się cieszę, że mnie coś takiego nigdy nie będzie potrzebne. -

Rozejrzała się i westchnęła ostentacyjnie. - Więc tu polazł ten karzełek. Jeśli będzie panią męczył, proszę go po prostu wyrzucić.

- Dobrze... eee... tak zrobię.

Vicki zamknęła drzwi, gdy tylko puszysty ogon długonogiego, młodocianego łaka zniknął za progiem.

Coś, co Henry powiedział jej zeszłej nocy, kiedy wchodzili razem po schodach, nagle zyskało sens.

„Wewnątrz watahy łaki nie mają poczucia prywatności”.

Ubrała się w rekordowym tempie, prysznic sobie darowała.

Odkąd ojciec odszedł, gdy miała dziesięć lat, była sama z matką. Z wyjątkiem roku spędzonego w akademiku przez całe swoje dorosłe życie mieszkała sama. Miała wrażenie, że bliskość panująca w rodzinie, w której się właśnie znalazła, szybko jej się przeje...

Popijając bardzo dobrą kawę, z łokciami opartymi na stole, Vicki starała się sprawiać wrażenie, że codziennie je śniadanie w towarzystwie półnagich kobiet.

- Winylowe krzesła się lepia - wyjaśniła Nadine, wygładzając bawełnianą spódnicę. Owinęła ją sobie tak, by móc zdjąć jednym szarpnięciem.

Najwidoczniej po tym, jak zeszłej nocy Stuart dał sobie spokój ze spodniami, reszta rodziny postanowiła ubierać się wedle uznania. Albo nie ubierać. Ponieważ gorąco już pozostawiło mokry ślad na plecach Vicki, opcja „nie ubierać” nie wydawała się jej wcale takim złym pomysłem. Nie mogła nie zauważyć przeróżnych części garderoby porozrzucanych po domu, na wypadek gdyby pojawił się ktoś obcy.

- Jeśli to jest ktoś, kogo nie chcemy spotkać - potwierdziła Nadine, kiedy ją o to zapytała - po prostu zostajemy w kudłatym kształcie i ignorujemy go.

Biorąc pod uwagę rozmiary kudłatych kształtów, Vicki była gotowa się założyć, że łaki nie miały problemów z intruzami. Ze swojego miejsca mogła wyjrzeć przez największe z trzech kuchennych okien. Widok obejmował zaniedbany kawałek trawnika, osmagany wiatrem i deszczem budynek z garażem po zachodniej stronie oraz podwórko. Chmura i Sztorm leżeli pod ogromną wierzbą, która rosła na środku trawnika. Samiec uniósł głowę i ziewnął. Wstał powoli, przeciągnął się, otrząsnął energicznie. Jego ciemna sierść lśniła w słońcu. Obwąchał Chmurę, ale został zignorowany. Przysiadł, wsunął pysk pod szczękę siostry i uniósł ją na jakieś piętnaście centymetrów. Bez efektu, powtórzył więc sztuczkę. Za trzeci razem Chmura przekreśliła się, przemieniła i Rose złapała brata za pysk.

- Jesteśmy na końcu bardzo długiej alei - Nadine uprzedziła pytanie Vicki. - Z drogi nie można dojrzeć domu, a poza listonoszem i nami nikt z niej nie korzysta.

Na trawniku Chmura gonila za bratem - dwukrotnie obiegli drzewo i zniknęli z pola widzenia.

Stukanie pazurów o linoleum na powrót zwróciło uwagę Vicki na wnętrze domu. To tylko Cień szedł po schodach i do kuchni. Usiadł przed lodówką, podrapał się, a potem przemienił, żeby otworzyć jej drzwi

- Mamo, nie ma nic do jedzenia.

- Danielu, nie wietrz lodówki.

Westchnął, ale posłusznie ją zamknął, a Vicki zadziwiła się, jak uniwersalne mogą być pewne sytuacje...

- Skoro jesteś głodny, może byś poszedł do stodoły i zapolował na szczury?

...a jak nieuniwersalne inne. Daniel westchnął i podciągnął się tak, żeby oprzeć się o ramię matki.

- Nie wiem, czy mam ochotę na szczury. Nadine uśmiechnęła się, odgarniając mu włosy z czoła.

- Jeśli jakiegoś złapiesz i nie zjesz, przynieś go mnie.

To najwidoczniej rozwiązywało wszystkie problemy, bo Cień oparł przednie łapy na kolanach matki, musnął jej twarz językiem, po czym wybiegł na zewnątrz. Przezroczyście drzwi były, jak zauważyła Vicki, tak umocowane, że otwierały się swobodnie na obie strony, bez żadnego zatrzasku, który utrudniałby popchnięcie ich nosem lub łapą.

- Tak szybko dorastają - powiedziała w zamyśleniu Nadine, łapiąc lecącą muchę.

Przez jedną straszliwą chwilę, wciąż nie do końca przetrawiwszy kwestię szczurów, Vicki bała się, że Nadine zje owada, ale kobieta tylko go zgmiotła i rzuciła na podłogę.

Łatwiej było znieść zaniedbania w kwestii porządku. Vicki odgoniła muchę z brzegu własnego kubka i usilnie postarała się zachować otwarty umysł. „Szczury. Jasne. Jeśli do zachodu słońca nic nie zjem, może Henry zabierze mnie do McDonald'sa”.

- Tej jesieni Chmurę czeka pierwsza ruja. - Nadine ciągnęła tym samym tonem, wycierając dłoń o spódnicę. - Więc już niedługo Peter będzie musiał odejść.

- Odejść? - Na trawniku Cień ścigał łopoczący czubek ogona Sztorma.

- Nie może zostać, to by było zbyt ryzykowne. Odeślemy go prawdopodobnie na początku września.

- Ale...

- Kiedy Chmura dostanie rui, Sztorm zrobi wszystko, by się do niej dobrać. Lepiej, żeby samce były daleko, kiedy samice z ich

miotu - ich bliźniaczki - dojrzewają. - Jej głos lekko zadrżał, gdy dodała: - Więzy między bliźniętami są u naszego rodzaju bardzo mocne.

- Rose o tym wspominała. - Vicki palcem odrysowała wzór na kubku, niepewna, czy powinna powiedzieć coś o śmierci Sylvii. Ból w oczach Nadine był tak bardzo osobisty, że współczucie mogłoby zostać uznane za naruszenie prywatności. Palce Nadine zabębniły o blat stołu.

- Łaki widzą śmierć jako naturalne następstwo życia - wyjaśniła, odczytując powód wahania Vic-ki - Nasza rozpacz jest bardzo specyficzna i szybko się kończy. Jason był moim bratem i brakuje mi go, ale strata bliźniaczki sprawiła, że czuję się, jakby część mnie umarła.

- Rozumiem.

- Nie, nie rozumiesz. Nie jesteś w stanie - głos Nadine przeszedł w warkot, a wargi uniosły się, odsłaniając zęby. - Kiedy znajdziesz to zwierzę

z jego bronią dla tchórzy, zapłaci za ból, jaki nam sprawił. Vicki uświadomiła sobie, jak łatwo zapomniała, po co tu przyjechała, zagubiła się w tej dziwaczności i straciła z oczu fakt, że dwie osoby zostały zamordowane. No więc niektóre aspekty sprawy były trochę niezwykle. I co z tego. Odstawiła kubek, nie zdając sobie sprawy, że wyraz jej twarzy jest niemal dokładnym odbiciem twarzy Nadine.

- Lepiej zacznę szukać.

ROZDZIAŁ 5

Dlaczego nie mogę iść? - Daniel ze złością spoglądał na Petera.

- Dotąd zawsze mnie ze sobą braliście.

- To zbyt niebezpieczne. - Peter wciągnął sportowe spodenki.

Vicki próbowała się nie gapić, lecz niezbyt jej się to udawało. - Co jeśli ten człowiek, który zastrzelił Srebrną i Hebana, gdzieś tam jest?

Wargi odsłoniły małe, ostre zęby.

- Ugryzłbym go!

- On by cię zastrzelił. Nie idziesz. - Ale Peter...

- Nie. - Chmuro?

Warknęła, jasno dając do zrozumienia, co o tym myśli.

- Dobra. - Daniel usiadł na trawie. - Ale jak się wpakujecie w kłopoty, nie biegnijcie do mnie ze skowytem. - Oparł podbródek na złożonych dłoniach

i kiedy Chmura polizała go szybko, przechodząc obok, spojrzał na nią spode łba.

Vicki zrównała się z Peterem i cała trójka ruszyła na niemal całkiem zarośniętą ścieżkę za stodołą.

- Hej, Peter! Peter odwrócił się.

- Ei kee ayaki awro! - słowa zabrzmiały bardzo rytmicznie i melodyjnie i niemal ociekały złością sześciolatka.

Peter roześmiał się.

- Co on powiedział?

- Że parzę się z owcami.

Vicki nie przyszło do głowy, że łaki mogą mieć własny język, chociaż teraz, kiedy o tym już pomyślała, wydało jej się to oczywiste. Brzmiał odrobinę jak inuicki, a przynajmniej tak, jak i nuicki brzmiał w programach edukacyjnych o Arktyce - Vicki

nigdy nie była dalej na północ niż nad Thunder Bay. Kiedy wspomniała o tym Peterowi, kopnął kepeę poźółklej trawy.

- Nigdy nie słyszałem inuickiego, ale mamy ten sam problem co oni. Im bardziej integrujemy się z ludźmi, tym więcej mówimy ich językiem i tracimy swój. Dziadek i babcia mówili po holendersku, angielsku i łączemu. Ojciec zna trochę holenderski, ale tylko ciotka Sylvia знаła podstawy łączego - westchnął. - Nauczyła mnie, a ja staram się uczyć Daniela, ale sam wiele nie wiem. Ten drań, który zabił Sylvie, zniszczył też szansę na zachowanie naszego j języka.

- Chyba nieźle dajesz sobie radę. - Videi machnęła dłonią w stronę wierzby za nimi. - Daniel go używa... - To była marna pociecha, ale innej nie mogła zaoferować.

Peter rozpromienił się.

- To prawda. Jest jak gąbka, wszystko w niego wsiąka. Za to Chmura - spróbował złapać bliźniaczkę za ogon, ale machnęła nim, usuwając z zasięgu braterskiej dłoni - nauczyła się „akaywo” i poddała.

- Akaywo - powtórzyła Vicki. W jej ustach słowo nie brzmiało tak, jak kiedy Peter je wypowiadał, ale dawało się rozpoznać. W pewnym stopniu. - Co to znaczy?

- No cóż... głównie „dobrego polowania”. Ale też witaj, do widzenia, jak leci, dawno się nie widzieliśmy. - Jak „aloha”.

- Aloha. Alo-ha - Peter wydłużał drugą sylabę, póki nie zadrzała na granicy wycia. - Dobre słowo. Ale nie jedno z naszych... Nagle Chmura postawiła uszy, a potem zanurkowała w krzaki. Chwilę później Peter wcisnął spodenki w dłoń Vicki i podążył za siostrą.

Łaki zniknęły za ścianą krzaków i zielska. Vicki zabiła jednego z miliona komarów, które wypłoszyło z zarośli to nagłe poruszenie.

- A teraz co? - zastanowiła się. Sądząc po odgłosach, dalej gonili to coś, cokolwiek to było. - Hej! -zawołała. - Po prostu pójdę do końca ścieżki. Tam mnie dogonicie! - Nie usłyszała żadnej odpowiedzi, ale szczerze mówiąc, wcale się jej nie spodziewała.

Na ścieżce było niemal przyjemnie - na pewno nie chłodno, ale nie aż tak gorąco, jak z pewnością zrobi się później. Vicki spojrzała na zegarek. 8:40.

„- Możesz podzwonić dziś rano, jeśli chcesz - powiedziała Nadine - ale lepiej idź na pola i obejrzyj to miejsce, zanim zrobi się za gorąco. Za kilka godzin, kiedy temperatura się podniesie, wszyscy się zdrzemną i nie będzie ci miał kto pokazać drogi. Poza tym Peter i Rose mogą ci opowiedzieć o tej trójce ludzi". Całkiem niezły pomysł... gdyby tylko Peter i Rose albo Peter i Chmura, albo nawet Sztorm i Chmura -wszystko jedno - byli w pobliżu._

Odgoniła chmurę muszek, zmiażdżyła następ-nego komara atakującego jej kolano i zastanowiła się, czy z Henrym wszystko w porządku. Łaki przygotowały dla niego światłoodporny pokój, ale w tej chwili Vicki nie była pewna, czy można ufać ich dobrym intencjom. Z drugiej strony, Henry bywał tu już wcześniej i, jak widać, przeżył.

Poprawiła okulary. Ich skrzydełka zrobiły się śliskie od potu. Doszła do końca ścieżki i zatrzymała się, odrobinę przytłoczona przestrzenią, jaka się przed nią rozciągała. Na górze niebo, proste i nieskończone. Na dole płot, a za nim pole, następny płot i większe pole. Na obu pasły się owce. Trzy z nich stały po drugiej stronie, tuż przy pierwszym płocie. Dwie jadły, a trzecia spoglądała na kobietę.

p-

Vicki nigdy nie obilo się o uszy, że owce mogą być groźne, ale z drugiej strony, co ona mogła wiedzieć -po raz pierwszy znalazła się tak blisko nich.

~ No dobrze. - Ostrożnie opierając się o płot, oderwała zaczepioną o pordzewiały drut kępkę runa i obróciła ją między palcami. - Podejrzewam, że nie widziałyście nic tej nocy, gdy Jason Heerkens, znany też jako Heban, został zamordowany? Na dźwięk jej głosu gapiąca się owca wywróciła oczami i wycofała się, a pozostałe dwie, wciąż żując, skrzyły każda w swoją stronę i odeszły kilka metrów.

- To tyle, jeśli chodzi o przesłuchiwanie świadków - mruknęła Vicki, obracając się do ścieżki. -Gdzie, do cholery, są Chmura i Pe... Sztorm?

Jakby w odpowiedzi łąki wypadły z krzaków i z wywieszonymi jęzorami ruszyły w jej stronę, machając ogonami. Chmura, nie zatrzymując się, przeskoczyła płot i zastygła, rozłożona na trawie. Sztorm, ledwie o sekundę za nią, zmienił się w powietrzu i obok siostry przykucnął Peter. Owce, przyzwyczajone do takich widoków, ledwie podniosły głowy znad trawy. Vicki, mniej przywykła, starała się zachować nie-poruszony wyraz twarzy. W milczeniu podała Peterowi spodenki.

- Dzięki. - Włożył je z wypracowaną zręcznością. - Tym razem prawie go złapaliśmy.

- Kogo?

- Starego świstaka. Mieszka pod stosem cedrowych pali przy ścieżce. Jest szybki i sprytny, ale tym razem dopadł nory o włos wcześniej, niż zęby Chmury dopadły jego.

- Nie mogliście się po prostu zmienić i przesunąć drewno? Peter potrząsnął głową. Z jego włosów wypadły kawałki paproci.

- To byłoby oszustwo.

- Nie polowaliśmy, by jeść - wyjaśniła Rose, wyciągając się w trawie. - Gdybyśmy użyli rąk, nie byłoby zabawy.

Zdaniem Vicki, świstak raczej dobrze się bawił, bez względu na to, czego by użyli, ale postanowiła zachować tę myśl dla siebie. Przerzuciła torbę przez płot i sama, o wiele wolniej, podążyła w jej ślady. Z palikami by sobie poradziła, ale drut nie dawał podparcia wystarczającego, by się odbić. „A jeśli postaram się dotrzymać kroku parze nastoletnich wilkołaków, pewnie sobie coś naciągnę albo złamię. Że już nie wspomnę o uszczerbku na wiarygodności”. Poprawiła okulary.

- Dokąd teraz?

- Na koniec dużej łąki - wskazał Peter - przy lesie.

Las stanowił wystarczającą osłonę dla całej armii zabójców. Vicki podniosła torbę. Czas zacząć zarabiać.

- Do kogo należy las?

- Do rządu. To teren korony. - Peter prowadził wzdłuż płotu, Chmura trzymała się przy nim. - Nie pójdziemy na przełaj, owce są w ciąży z jesiennymi jagniętami i nie chcemy im przeszkadzać więcej niż

trzeba. Nasza własność kończy się na linii drzew -ciągnął - ale

współpracujemy z rezerwatem Fansha-we. - Uśmiechnął się szeroko. - Pomagamy utrzymać jedno z najlepszych stad jeleni w hrabstwie.

- Na pewno. Niech zgadnę, tak poznaliście leśniczego?

- Aha. Trafił na jedną z ofiar watahy. Wiedział, że to nie psy, rozpoznał robotę wilka, ale nie mógł dojść, co tam robią przypadkowe ślady bosych stóp. Wytropił nas. Dobry był...

- A wy, to znaczy wataha, nie byliście tak ostrożni, jak powinniście. - Z doświadczenia Vicki wynikało, że do ujawnienia większości sekretów tego świata prowadziły właśnie zaniedbania.

- Tak. Ale Arthur okazał się w porządku.

- Ale mógł się okazać zagrożeniem - wytknęła Vicki.

Peter wzruszył ramionami. Z punktu widzenia watahy, co się stało, to się nie odstanie. Postarali się, żeby więcej nie doszło do podobnej sytuacji, i więcej o tym nie myśleli.

- A co z doktorem? - obserwowała, jak Chmura kłapie pyskiem na pasikonika i przez chwilę zastanowiła się, czy odmienne formy mają też odmienne upodobania kulinarne.

- Doktor Dixon to stara historia - powiedział Peter, złapał skaczącego owada w powietrzu i wrzucił sobie do ust.

Vicki przełknęła zbliżającą się falę mdłości. Chrzęst, chrzęst i przełknięcie. Obserwowanie, jak Chmura to robi, to jedno, ale...

„Cóż, dostałam odpowiedź

na moje pytanie". Potem dostrzegła minę Petera. „Ten dupek zjadł to, żeby mnie obrzydzić!" Poprawiła okulary i złapała pasikonika, który wskoczył jej na szorty. Na szczęście był mały. Dawno temu, na kursie przetrwania, instruktor powiedział, że wiele owadów można zjeść. Miała nadzieję, że nie żartował. Pogryźć pasikonika nie było łatwo.

„Właściwie smakuje jak rozmiękły orzeszek".

Wyraz twarzy Petera wszystko jej wynagrodził. Ostatnim razem tak oszołomiła młodego chłopaka, kiedy była o wiele młodsza, a jej matka wyjechała na weekend.

Mike Celluci powiedziałby, że Vicki ma obsesję na punkcie rywalizacji. A ona tylko chciała utrzymać status quo i pozycję na górze drabiny. I żaden nastolatek, człowiek czy łak, nie mógł być lepszy od niej...

- No więc - wygrzebała coś językiem spomiędzy zębów i przełknęła to szybko, wszak były jakieś granice - opowiadałeś mi o doktorze Dixo-nie.

- Eee... tak. - Zerknął na nią kątem oka, ale postanowił nie komentować. - Kiedy nasi dziadkowie emigrowali z Holandii po wojnie, babcia była w ciąży z ciotką Sylvia i ciotką Nadine. Dojechali już do London, kiedy zaczęła rodzić. Zwykle nie korzystamy z pomocy lekarzy, w razie potrzeby wystarczy wataha. Kiedy Daniel się rodził, poszedłem do stodoły, ale Rose została, żeby patrzeć.

Na dźwięk swojego imienia Chmura podniosła łeb. Wyprzedziła ich i właśnie obsikiwała płot.

- W każdym razie - ciągnął Peter, a jego nos drgnął, gdy przechodzili obok słupka - w tłumie był ten młody lekarz i zanim dziadek zdążył wynieść babcie, zagarnął i jego, i tatę, który miał jakieś pięć lat, do swojego gabinetu. - Parsknął. - Ale się zdziwił. Jak tylko zostali sami, dziadek się przemienił i prawie rozerwał mu gardło. Na szczęście dla doktora z ciotką Sylvia było coś nie tak - nie wiem dokładnie co - w każdym razie doktor Dixon zachował się, jak na lekarza przystało i dziadek go oszczędził. Od tamtą pory zajmuje się naszymi wszystkimi lekarskimi sprawami.

- Pożyteczna znajomość - liczba „lekarskich spraw”, które w Kanadzie należało uwzględnić w urzędowych dokumentach, mocno przytłaczała. Łaki miały szczęście, że trafiły na doktora Dixona. -Więc zostaje tylko Barry Wu.

- Tak. - Peter westchnął głęboko i podrapał się po kępie rudych włosów na piersi. - Ale o nim niech pani lepiej porozmawia z Colinem.

- Mam zamiar. Ale chciałabym poznać także twoje zdanie. Peter wzruszył ramionami.

- Lubię go. Mam nadzieję, że tego on nie zrobił. Colina by to zabiło.

- Długo byli partnerami?

- Od początku. Razem chodzili do szkoły policyjnej. - Doszli do drugiego płotu. Chmura przeskoczyła nad nim tak samo jak wcześniej. Peter wsunął kciuki pod gumkę spodenek, ale zmienił zdanie i zaczął się

wspinać. - Barry jest w porządku. Zareagował na nas tak samo jak ty... - odwracając głowę w niemożliwy z punktu widzenia anatomii sposób, uśmiechnął się do Vicki przez ramię - ...trochę nim wstrząsnęło, ale wszystko zaakceptował.

Chmura wyprzedziła ich z nosem przy ziemi. Kiedy przeszła już jakieś trzy czwarte pola, zatrzymała się, usiadła, wycelowała pysk w niebo i zawyła. Ten dźwięk sprawił, że wszystkie włosy na ciele Vicki zjeżyły się, a w gardle urosła olbrzymia gula.

Nadeszła odpowiedź - dwa inne głosy, splatając się ze sobą, zawyły harmonijnie gdzieś niedaleko. Potem Peter, wciąż w ludzkiej formie, zaśpiewał swoją własną pieśń.

W końcu wycie umilkło. Owce wyglądały na mocno zdenerwowane.

- Ojciec i wuj Stuart - wyjaśnił Peter. - Sprawdzają ogrodzenia.

- Zaczzerwienił się odrobinę. - To niemal niewykonalne, żeby się nie przyłączyć...

Vicki, która też poczuła - i gwałtownie zdusiła -pragnienie, by dodać do ich pieśni coś od siebie, skinęła głową ze zrozumieniem.

- To tu?

- Tak, właśnie tu.

Na pierwszy rzut oka „właśnie tu” nie różniło się zbyt wiele od jakiegokolwiek innego kawałka pola. - Jesteś pewien?

- Oczywiście, że jestem. Nie padało, zapach wciąż jest mocny. Poza tym - bosą stopą przeczesał gęstą trawę - byłem pierwszy przy ciele. - Chmura oparła się o jego nogi. Schylił się i pociągnął siostrę delikatnie za uszy. - Niełatwo o czymś takim zapomnieć.

- Nie, pewnie nie. - Może powinna powiedzieć, że czas leczy rany, ale Vicki nie wierzyła w kłamstwa, nawet jeśli miały nieść ukojenie. Brutalne zabójstwo kogoś bliskiego powinno pozostać w pamięci. Vicki zapytała łagodniejszym tonem: - Dasz sobie z tym radę?

- Jasne, żaden problem. - Jego dłoń zanurzyła się w miękkim futrze na karku Chmury.

Łaki bardzo często się dotykały, przypominała sobie Vicki, i to nie tylko najmłodszy. Poprzedniej nocy dorośli rzadko kiedy nie utrzymywali ze sobą kontaktu

fizycznego. Ona sama nie pamiętała, kiedy ostatni raz spontanicznie dotknęła swojej matki. „I czemu teraz o tym myślę?” Wyciągnęła z torby notes i długopis.

- W takim razie zaczynamy.

Heban biegł przez pole na północny wschód. Siła postrzału obróciła ciało tak, że to, co zostało z głowy, wskazywało niemal dokładnie na północ. Nawet bez opisu Petera na trawie było dość rudawobrazo-wych plam, by dało się stwierdzić, że strzał musiał paść z południa.

Vicki klękła i spojrzała w kierunku lasu. „Niesamowita dedukcja, Sherlocku”. Wstała, ścierając odciski, jakie wyschnięta trawa zostawiła na jej kolanach.

- Gdzie zastrzelono waszą ciotkę?

Peter wciąż siedział, trzymając na kolanach głowę Chmury.

- Na małym polu południowym, z tamtej strony - wskazał.

Leżało na skraju lasu. - Heban szedł stamtąd.

- Podobny strzał? - Tak.

Strzał w głowę, w nocy, do ruchomego celu. Ktokolwiek to zrobił, był dobry. - Jak leżało ciało?

- O tak. - Peter przesunął Chmurę na północny zachód. Nie protestowała, ale też nie wyglądała na zachwyconą.

Trop Srebrnej szedł z południa, a strzał obrócił ją pod identycznym kątem co Hebana.

Lasy rezerwatu leżały na wschód od małego południowego pola.

- Chyba możemy założyć, że to ta sama osoba i że strzela, kryjąc się w lesie - mruknęła, marząc o miejskiej ulicy i czystym polu widzenia. Drzewa poruszały się w sposób obcy budynkom, a z miejsca, w którym stała Vicki, las przypominał solidną zielono-brązową ścianę, za którą kryło się nie wiadomo co. Wilgotna kropla spłynęła jej spod włosów na kark. Ktoś mógł ich obserwować właśnie w tej chwili, unosić karabin, celować... „Odbija ci. Do zabójstw dochodziło w nocy”. Ale nie powstrzymała cienkiego głosiku przez dodaniem: „póki co”. Odwróciła się plecami do lasu. Między łopatkami, tam, gdzie nie mogła dosięgnąć, czuła swędzenie. Wstała.

- Chodźcie.

- Dokąd? - Peter podniósł się bez wysiłku. Vicki starała się nie okazywać irytacji.

- Musimy poszukać kuli, która zabiła waszą ciotkę.
 - Po co? - Zrównał się z nią, a Chmura wybiegła do przodu.
 - Wyeliminujemy możliwość, że było dwóch zabójców. Jak dotąd wzór się zgadza, poza jedną rzeczą.
 - Srebrną kulą?
 - Właśnie. Jeśli do obu zabójstw doszło w identycznych okolicznościach, istnieje duże prawdopodobieństwo, że odpowiada za nie jedna osoba. -Jak ją znaleźć?
 - Trzeba cofnąć się po wzorze. Peter zmarszczył brwi.
 - Chyba nie rozumiem.
 - Czysta logika, Peterze, czysta logika. - Przeszła niezgrabnie przez płot. - Wszystko jest ze sobą powiązane, muszę tylko odkryć, jak.
 - Po śmierci ciotki Sylvii wataha ruszyła zapolować na mordercę, ale nie mogliśmy wyczuć w lesie żadnych zapachów, które tam nie przynależały.
 - Co masz na myśli, mówiąc „przynależały”?
 - No, tam jest wiele zapachów. Szukaliśmy jakiegoś dziwnego. - Zachichotał, widząc minę Vicki, i ciągnął o wiele mniej protekcyjnym tonem: -
W każdym razie po tym, jak zastrzelono wuja Jaso-na, wuj Stuart nie pozwolił nikomu chodzić do lasu. Tylko Colinowi. „Dobry sposób na pozbycie się Colina”, pomyślała Vicki, zdziwiona, jak głupie rzeczy potrafili robić ludzie inteligentni, ale głośno powiedziała tylko:
- I co odkrył Colin?
 - Nie odkrył zapachu Barry'ego, a chyba tego przede wszystkim szukał.
- Chmura krążyła po spirali, z nosem przy ziemi, niemal w środku pola. - To tu?
- Mhm.
- Zacisnąwszy zęby, Vicki czekała na wycie. Nie nadeszło. Kiedy zapytała o to Petera, ten wzruszył ramionami.
- To stało się tygodnie temu.
 - Nie tęsknicie za nią?
 - Oczywiście, że tak, ale... - Znowu wzruszył ramionami. Nie umiał tego wytłumaczyć. Wszyscy poza ciotką Nadine

skończyli już opłakiwać Srebrną.

Zanim doszli do Chmury, już znalazła pocisk i wykopywała go bardziej entuzjastycznie niż efektywnie. Pysk i łapy miała brązowe od ziemi, podobnie jak sierść.

- Dobry nos! - wykrzyknęła Vicki i pochyliła się, żeby podnieść pocisk. „Dobrze, że nie mieliśmy tu niczego więcej szukać” dodała w myślach, spoglądając na rozkopaną ziemię. Wytarła zdobycz o szorty i podniosła ją do światła. Z całą pewnością nie był to ołów.

Peter wbił spojrzenie w metal.

- Więc to jedna osoba?

Vicki skinęła głową, wrzucając znalezisko do torby.

- Prawdopodobnie strzelec wyborowy. Zabijający nocą pojedynczym strzałem w głowę. Jednoosobowy pluton egzekucyjny.

- I teraz go pani znajdzie?

- Zacznę szukać.

- Powinniśmy wytropić tego bydlaka - warknął Peter, wrywając garść trawy. - W końcu jesteśmy łowcami!

- Łowy na ludzi wymagają szczególnych umiejętności - zauważyła chłodno Vicki. Nie potrzebowała porywów bohaterstwa. - Trzeba się tego nauczyć, tak jak innych rzeczy. A teraz - spojrzała w stronę lasu, a potem na dwa młode łaki - chcę, żebyście wrócili do domu. Ja rozejrzę się po lesie.

- Hmm... Pani Nelson, pani nie ma zbyt dużego doświadczenia w chodzeniu po lesie, prawda? - zapytała ostrożnie Rose.

- Nie, niespecjalnie - przyznała Vicki. - Ale... Rose, co ty, u diabła, robisz?

- Chodzi o to, że jest pani z miasta i...

- Nie to miałam na myśli. - Stała między lasem i dziewczyną.

- Wiesz, że ktoś obserwuje twoją rodzinę zza tych drzew.

Czemu się przemieniasz? Po co tak głupio ryzykujesz?

Rose otarła ziemię z twarzy.

- Ale teraz nikogo tam nie ma.

- Tego nie wiesz! - Vicki nie miała pojęcia, jakim cudem całe

cholerne hrabstwo jeszcze nie poznało ich rodzinnej tajemnicy.

- Wiem.

- Skąd?

- Stamtąd wieje wiatr.

- Wiatr? Las jest po zawietrznej? Możesz wywęszyć, że nikogo tam nie ma?

- Tak.

Kolejny raz przypomniała sobie, że nie powinna ich oceniać według ludzkich norm, i postanowiła odpuścić.

- Myślę, że powinniście iść do domu.

- Może jednak zostaniemy z panią?

- Nie. - Vicki pokręciła głową. - Wpłyniecie na to, co zobaczę. - Uniosła rękę, uciszając Petera, który już chciał zaprotestować. - Nawet jeśli nie będziecie chcieli tego zrobić. Zresztą to zbyt niebezpieczne.

Peter wzruszył ramionami.

- Od śmierci Hebana było bezpiecznie. Potrwało chwilę, zanim zrozumiała.

- Chcesz powiedzieć, że zastrzelono tu dwóch członków waszej rodziny, a wy dalej przychodzicie pod las, w zasięg strzału? W nocy?

- Chodziliśmy parami, tak jak kazał Henry - zaprotestował. - I węszyliśmy.

„Cholera, nie wierzę...”

- Od tej chwili macie tu w ogóle nie przychodzić, dopóki nie wyjaśnimy sprawy.

- Ale musimy pilnować owiec

- Czemu? - powiedziała ostro Vicki, machając ręką w kierunku stada. - Czy one coś robią?

- Poza jedzeniem i spaniem? Raczej nie. Ale z powodu drapieżników w Kanadzie jest niewiele komercyjnych hodowli owiec. - Peter odsłonił zęby, a ukryte pod włosami uszy położył po sobie. - My tego problemu nie mamy.

- Ale trzeba ich ciągle pilnować - ciągnęła Rose. -Więc ktoś tu musi przychodzić.

- Nie możecie trzymać owiec bliżej domu?

- Nie. Na przemian zmieniamy pastwiska - wyjaśnił Peter.

- Chrzanić pastwiska i owce - powiedziała Vicki tonem, który,

w przeciwieństwie do słów, przywo-
dził na myśl wykład na temat podstawowych zasad
bezpieczeństwa w przedszkolu. - Wasze życie jest
ważniejsze. Albo zostawiacie owce, albo trzymacie
je bliżej domu.

Rose i Peter wymienili zaniepokojone spojrzenia.

- Nie chodzi tylko o owce... - zaczęła Rose.

- Więc o co?

- Cóż, to jest granica terytorium naszej rodziny. Musi być
oznaczona.

- Jak to „oznaczona”? - zapytała Vicki, choć wydawało jej się to
nie najlepszym pomysłem. Rose pomachała brudnymi rękoma.

- No wie pani, oznaczona. Zapachem.

- Myślałam, że już dawno to zrobiliście.

- No tak, ale musimy powtarzać od czasu do czasu.

Vicki westchnęła.

- Więc jesteście gotowi ryzykować życie, żeby ob-sikać słupek?

- To nie takie proste. - Rose też westchnęła. - Ale nie, chyba nie
jesteśmy.

- Może porozmawiamy z wujem Stuartem... - zaproponował
Peter.

- Dobrze, porozmawiajcie - zgodziła się Vicki. -W domu. Teraz.

- Ale...

- Nie. - Ostatnio życie Vicki trochę się skomplikowało -
choroba, Henry, wilkołaki - ale teraz pracowała i niezależnie od
okoliczności czuła, że znowu stanęła na nogi. Spomiędzy tych
drzew oddano dwa strzały i gdzieś tam były maleńkie ślady,
które zostawiał za sobą każdy, nawet najbardziej ostrożny
przestępca. Zaprowadzą ją z lasu prosto do gardła tego drania.

Bliźnięta zauważyły zmianę w głosie i zachowaniu Vicki i
zareagowały. Chmura wstała i otrząsnęła się, zmieniając na
chwilę w obłok miękkiej, białej sierści. Peter poderwał się,
opierając o bark siostry. Wsunął kciuki pod gumkę spodenek.

- Mogłabyś? - zapytał, wskazując brodą na torbę kobiety.

Vicki westchnęła. Nagle poczuła się staro. Dystans między
trzydziestojednolatką a siedemnastolatkiem był o wiele większy
niż między trzydziestojednolatką a
czterystopięćdziesięciolatkiem.

- Zapewne wasze nosy mówią, że nadal jest bezpiecznie?
- Dam sobie łapę i ogon uciąć.
- To dawaj. - Wyciągnęła rękę.

Uśmiechnął się, rozebrał i rzucił jej spodenki. Peter przeciągnął się, potem Sztorm zrobił to samo i razem z Chmurą pobiegł w kierunku domu.

Vicki odprowadzała ich wzrokiem, póki nie przeskoczyli przez bliższy z płotów. Później wepchnęła spodenki Petera do torby i odwróciła się w stronę lasu. Poszycie zdawało się wyciągać w górę, by dotknąć koron drzew. Każdy liść wisiał nieruchomo i osowiały w sierpniowym upale. Kto wie, co się tam czaiło? Ona na pewno nie wiedziała...

Zatrzymała się na skraju pola, wyprostowała, wzięła głęboki oddech i wkroczyła w dzicz. Coś jej mówiło, że to nie będzie przyjemne.

Barry Wu mrugnął, strząsając kroplę potu z powieki, zmrużył oczy i przesunął o milimetr w dół lufę Springfielda .30-06. Zwykle strzelał do staromodnych celów ustawionych na najdalszą możliwą odległość, ale właśnie przygotował parę naboju o obniżonej prędkości początkowej - tych, które po dziewięćdziesięciu metrach reagowały balistycznie w sposób, w jaki normalne naboje zareagowałyby po czterystu pięćdziesięciu - i chciał je wypróbować. Odkąd skończył czternaście lat, sam odlewał naboje, a ostatnio interesował się coraz egzotyczniejszymi rodzajami amunicji. Taką wypróbowywał po raz pierwszy.

W odległości kilkudziesięciu metrów czekała ołowiana sylwetka grizzly, w skali pięć do jednego.

Kula wbiła się w cel z satysfakcjonującym solidnym dźwiękiem, a Barry poczuł, że wraz z upadkiem tarczy odchodzi część napięcia. Sięgnął do zamka, wypuścił łuskę i wsunął kolejny nabój do komory. Strzelanie zawsze go uspokajało. Kiedy szło mu dobrze, a ostatnio zawsze tak było, on i karabin stawali się jednością. Wszystkie życiowe wyboje dawało się po prostu

odstrzelić.

„No dobra, nie wszystkie”, przyznał, kiedy łoś i kozica opadli jedno po drugim. „Muszę coś zrobić z Colinem Heerkensem”. Zaufanie, niezbędne, żeby mogli dobrze razem pracować, było zagrożone. Ro-snący gniew sprawił, że Barry trafił w skraj wapiti.

ale jeleń z białym ogonem dostał tuż za barkiem. „Wyjaśnimy to tej nocy”. Wycelowwał w ostatni cel i nacisnął spust. „Tak czy inaczej”.

Dziewięćdziesiąt metrów przed nim ołowiana sylwetka wilka szarego opadła pod uderzeniem kuli.

Vicki potarła bąbel na policzku, a drugą ręką bezskutecznie odganiała stado komarów, które towarzyszyły jej na każdym kroku. Na szczęście większość z nich stanowiły samce. „Albo samice na diecie”, poprawiła, starając się nie wciągać owadów wraz z powietrzem. Przeszła jakieś dziewięćdziesiąt metrów w głąb lasu, pole i owce zniknęły, a spoglądając za siebie, widziała tylko więcej drzew. Nie była to aż tak ciężka wyprawa, jak się tego obawiała, ale przechadzka po parku też nie. Na szczęście promienie słońca dochodziły do poszycia na tyle mocne, że miała z niego pożytek. Świat był w odcieniach zieleni, ale widoczny.

- Ktoś tu powinien posprzątać - mruknęła, wyplątując włosy z uschniętej gałęzi. - Najlepiej miotaczem ognia.

W miarę możliwości szła prosto, wybierając drzewo czy krzak rosnące przy zakładanej linii strzału i idąc w jego stronę. Gdzieś w tym lesie było miejsce, które wybrał snajper. Szybko zorientowała się, że mogło się znajdować tylko w koronach drzew, a to

wyjaśniało, czemu łaki nic nie znalazły. Jeśli polowały jak wilki, trzymały nosy przy ziemi.

Problem tkwił w tym, że żadne z drzew, które dotąd minęła, nie nadawało się do wspinaczki. Drzewa na tyle duże, by utrzymać dorosłego, wystrzeliwały gładko w górę ku słońcu i

wypuszczały gałęzie dopiero tam, gdzie to się opłacało.

- Zatem, o ile nie przyszedł z drabiną... - Vicki westchnęła i otarła rękawem kroplę potu z policzka. Trochę na prawo od obranego kierunku widziała coś, co mogło być pagórką, i postanowiła pójść w tę stronę. Przechodząc nad opadłym konarem, potknęła się, gdy mniejsze gałęzie, ukryte pod warstwą zeszłorocznych liści, umknęły spod jej stopy.

- Parkingi. - Poprawiła okulary, wstała i spojrzała spode łba na roztaczającą wokół swe letnie

wdzięki Matkę Naturę. - Zdecydowanie jestem za parkingami.

Parę warstw asfaltu uczyniłoby dla tego miejsca cuda. - Gdzieś z boku zaczęła grać cykada. - Zamknij się - rzuciła jej Vicki i ruszyła da-lej.

Pagórek okazał się zboczem niskiej sterty kamieni, na których ogromna sosna zdołała zapuścić i utrzymać korzenie.

Strzepnawszy stos opadających igieł, Vicki usiadła na jej skraju i zajęła się kontemplowaniem swoich zadrapań i ugryzień.

To wszystko wina Henry'ego. Mogła teraz siedzieć w domu przed osiemnastocalowym, działającym na trzy prędkości wentylatorem, oglądając poranne kreskówki i...

- ...i łaki nadal by umierały. - Westchnęła i zaczęła układać leżące na ziemi igły w małe stosiki. Dokonała wyboru, co zrobić ze swoim życiem - spróbować jakoś poprawić stan ścieku, jakim stawał się świat - i nie było sensu narzekać tylko dlatego, że praca nie należała do łatwych. Za to zrobiła się o wiele ciekawsza, odkąd pojawił się Henry. Tworzyli zespół, wszystko jedno, czy to dobrze czy ile -zwłaszcza że kiedy ostatnio razem pracowali, Vicki była bliższa śmierci niż kiedykolwiek w ciągu dziewięciu lat pracy w policji.

- A teraz jestem pożerana żywcem. - Potarła ugryzienie z tyłu nogi czubkiem trampka. - Może podchodzę do tego od złej strony. Może powinnam zacząć od ludzi. Co ja tu niby zauważę? - Wtedy jej ręka zamarła i powoli przesunęła się do światła, póki na igły nie padło słońce.

Ślad po opaleniu był tak nikły, że musiała trzymać głowę pod odpowiednim kątem, by go w ogóle zauważyć. Długi na jakieś pięć centymetrów i trochę ponad centymetr szeroki, był nieco ciemniejszą linią na bladobrazowym dywanie martwych igieł -

ślad, jaki mogła zostawić łuska na suchej jak podpałka powierzchni.

"No dobra", musiała uczciwie przyznać. „Mogło być wiek innych przyczyn - kwaśny deszcz albo królicze siki". Ale dla niej wyglądało to jak opalenie po łusce. „Oczywiście, mógł je zrobić uprawniony myśliwy, który przyszedł tu odstrzelić to, co odstrzeli-wuja uprawnieni myśliwi".

Wokół pełno było kawałków skały, na których strzelec mógł stanąć, żeby zabrać łuskę, i mnóstwo miejsc, które Vicki sama oczyściła z igieł, ale i tak poszukała tam śladów. To, że się żadnych nie spodziewała, nie zmniejszyło jej frustracji, gdy rzeczywiście ich nie znalazła. Lepiej poszukać miejsca, z którego padł strzał. Wzniesienie wyrastało na niespełna metr ponad poszyciem, a widok z niego nie był wcale lepszy. Vicki spojrzała w górę. Sosna była wyższa niż większość drzew wokoło, ale jej gałęzie, obciążone igłami, sięgały do ziemi. Po chwili po północnej stronie Vicki znalazła słabo oświetlony zakamarek, którego dach tworzyły żywe igły, a ziemię pokrywały martwe. Było tam cicho, niemal chłodno, a gałęzie wyrastały z pnia równo jak szczeble drabiny - i dobrze, bo Vicki ledwie je widziała.

To było to. To musiało być to.

Czy widziała sosnę z pola? Nie mogła sobie przypomnieć, dla niej wszystkie drzewa wyglądały tak samo.

Niemal szorując nosem po korze, przyjrzała się kilku małym gałązkom ułamanym tuż przy pniu. Mógł je złamać ktoś szukający oparcia dla stopy. „Albo wiewiórka z nadwagą. Pewności nie ma i nie będzie". Wsunęła okulary mocniej na nos i chwyciła za najbliższą gałąź.

Wspinanie się było o wiele trudniejsze, niż wyobrażenie, jakie o nim miała, stojąc na ziemi. Dziesiątki gałązek szturchały ją, zaczepiały i na wszelkie sposoby utrudniały postęp, a jakby tego było mało, całe to cholerne drzewo się ruszało. Vicki nie wspinała się na drzewa od mniej więcej 1972 roku i zaczynała sobie przypominać, dlaczego.

Gdyby jej nos nie znalazł się tuż przy odcisku sportowego buta, pewnie by go nie zauważyła. Na spłaszczonej kropli żywicy był ślad wielkości niemal trzech centymetrów kwadratowych. Nie

wystarczy do wskazania sprawcy, nie w kraju, gdzie każda kobieta, mężczyzna czy dziecko mają przynajmniej jedną parę sportowego obuwia. Substancja była tak miękka, że zdjęcie jej z drzewa zniszczyłoby ślad, Vicki zrobiła więc kilka szybkich szkiców - balansując na jednej drżącej nodze - a potem oparła stopę tak blisko śladu, jak tylko się dało, i podciągnęła się w górę.

Jej głowa znalazła się w strugach słońca. Vicki zamrugła i zaklęła, a kiedy odzyskała wzrok, zaklęła znowu.

- Jezu Chryste na rowerku...

Weszła dalej w las, niż sądziła. Jakieś czterysta pięćdziesiąt metrów na północ leżało miejsce, gdzie został zastrzelony Heban. Pół obrotu i mogła zobaczyć małe pastwisko, na którym zginęła Srebrna, odrobinę bliżej, ale i tak imponująco daleko. Jeśli to Barry Wu pociągnął za spust, powinien bez problemu dostać się do drużyny olimpijskiej albo nawet wrócić do domu ze złotym medalem. Nawet z celownikiem optycznym trzeba było i niezwykłych umiejętności, i lat praktyki, żeby osiągnąć wymaganą dokładność. Strzelić w ruchomy cel z czterystu pięćdziesięciu metrów...

Słyszała kiedyś, że według praw fizyki, ludzie nie powinni być w stanie odbić piłek rzucanych w pierwszej lidze baseballu. Poddając się tym samym prawom, zabójca odbił nie jedną, ale dwie piłki, i to hen poza boisko. Szybkie poszukiwania ujawniły zadarcia na korze w miejscu, gdzie opierał broń o drzewo.

- Niestety - westchnęła Vicki, opierając się wygodnie plecami o rosnącą gałąź - odkrycie „jak i gdzie” nie przybliżyło odpowiedzi na pytanie „kto i dlaczego”. - Zamknęła na chwilę oczy. Słońce parzyło ją w powieki, gdy zastanawiała się, jak postąpi. Czy jeśli znajdzie zabójcę, wyda go łakom na egzekucję. Nie znalazła odpowiedzi. Alternatywy też nie.

Nadszedł czas, by wrócić do domu i trochę po-dzwonić, chociaż miała mdlące przeczucie, że przejażdżka do miasta i przyjrzenie się butom

sportowym funkcjonariusza Barry'ego Wu przyniosłoby więcej pożytku.

Wspinaczka w dół zajęła mniej czasu niż w górę tylko dlatego,

że wtrąciła się grawitacja i Vicki spadła jakieś dwa metry w dół, zanim wylądowała na gałęzi na tyle grubej, by ją utrzymała. Z mocno bijącym sercem pokonała resztę drogi w dół w sposób odrobinę bardziej tradycyjny.

Gdyby jej scyzoryk zawierał piłę, spróbowaliby zabrać ze sobą ostatnią gałąź, tę, która pozwalała wspinającemu wyjrzeć w stronę słońca. Niestety, nie zawierał, a cięcie gałęzi pięciocentymetrowym ostrzem jakoś do niej nie przemawiało. Tak naprawdę tylko trzymając laki z dala od pola, mogła zapobiec ponownemu użyciu tego drzewa jako stanowiska strzeleckiego.

- Nigdy nie ma w pobliżu bobra, kiedy jest po trzebny - mruknęła, żałując, że nie wzięła siekiery. Jednak odkryła dwa istotne fakty dotyczące mordercy. Musiał mierzyć co najmniej metr siedemdziesiąt, tak jak ona - gdyby był niższy, jego ramię nie sięgnęłoby do miejsca, gdzie opierał lufę. Bardzo możliwe, że miał krótkie i proste włosy. Ona sama wyciągnęła z własnych garść igieł. Gdyby były długie albo kręcone, nie zeszlaby z drzewa żywa.

- Przepraszam?

Wrzask był całkiem mimowolny i jeszcze zanim opuścił jej gardło, Vicki uznała, że się nie liczy. Z ręką zaciśniętą na torbie - w przeszłości okazywała się użyteczną bronią - odwróciła się, stając twarzą w twarz z dwiema zaskoczonymi kobietami w śred-

nim wieku. Obie miały sporych rozmiarów lornetki zawieszane na szyi, jedna z podłużną torbą długości około metra i szerokości dwudziestu centymetrów.

- Zastanawialiśmy się - powiedziała ta niższa - co pani robiła na tym drzewie.

Vicki wzruszyła ramionami, czując, jak drżą od adrenaliny.

- Ach, tylko się rozglądałam. - Machnęła nonszalancko ręką w kierunku torby. - Panie tutaj na małe polowanko?

- Można to tak ująć. Chociaż to statyw do aparatu, nie strzelba.

- To nielegalne strzelać w rezerwacie - dodała druga. Spojrzała na Vicki, wyraźnie niezadowolona, że zastały ją na drzewie. - Gdybyśmy zobaczyły, że ktoś strzela, z pewnością byśmy to zgłosiły.

- Hej, jestem nieuzbrojona. - Vicki uniosła obie ręce do góry, ale ponieważ żadna z kobiet nie doceniła żartu, opuściła je. - Jesteście ptasznikami, prawda? - W ostatnim gazetyowym felietonie o przyrodzie czytała, że woleli ten termin.

„Obserwatorzy ptaków” byli już passe.

Najwyraźniej autor się nie mylił.

W ciągu kolejnych dwudziestu minut Vicki dowiedziała się więcej, niżby chciała, o fotografii, o tym, że mimo lornetek żadna z kobiet nie zauważyła nic dziwnego na farmie Heerkensów - „nie patrzymy na własność ludzi, patrzymy na ptaki” - i że żadna z nich nie wie, gdzie w ogóle ta farma leży, a karabin kaliber .30 i celownik łatwo by się zmieściły w torbie na statyw i dałoby się je nosić po lesie, nie wzbudzając podejrzeń. Chociaż żadna z kobiet nie natknęła się na myśliwego, obu zdarzało się znaleźć łuski, więc zawsze zachowywały czujność. Z charakterystyczną dla klasy średniej pewnością, że nikt nigdy nie zechce ich skrzywdzić, wyśmiały ostrzeżenia Vicki, by były ostrożne.

W London działały dwa kluby obserwatorów ptaków i grupa fotograficzna przy YMCA, która często zaglądała do rezerwatu. Wyposażona w imiona i numery telefonów do osób, z którymi mogła się kontaktować - „choć ten drugi klub to nic więcej jak banda dyletantów” - Vicki pożegnała się z ptaszniczkami i zaczęła przedzierać przez zarośla. Była gotowa się założyć, że nie każdy człowiek z lornetką oglądał ptaki. Niektórzy mieli inny cel niż zrobienie zdjęcia.

- Henry Fitzroy? - Dave Graham zerknął nad ramieniem partnera na stertę papierów. - Czy to nie ten facet, z którym spotyka się Vicki?

- A jeśli tak, to co? - warknął Celluci, celowo przewracając cały stos do góry nogami.

- Nic, nic. - Dave przeszedł na swoją stronę biurka i usiadł. - Czy Vicki... hmmm... prosiła cię, żebyś go sprawdził?

- Nie.

Dave rozpoznał znajomy ton i widział, że powinien odpuścić, ale pewnym pokusom śmiertelnik po prostu nie mógł się oprzeć.

- Myślałem, że ty i Vicki macie układ oparty na... jak to szło... zaufaniu i wzajemnym szacunku?

Celluci zmrużył oczy i zabębnił palcami po leżącym przed nim świstku.

- Tak. I co z tego?

- No cóż. - Dave wziął długi łyk kawy. - Mnie tam się wydaje, że sprawdzanie innych mężczyzn w jej życiu niezupełnie pasuje do powyższego założenia.

Celluci gwałtownie odsunął krzesło i wstał.

- Nie twój zasrany interes.

- Masz rację. Przepraszam. - Dave uśmiechnął się z doskonałą obojętnością.

- Troszczę się o przyjaciółkę, i tyle. Jasne? To pisarz, diabli wiedzą, w co jest zamieszany.

- Racja.

Palce Celluciego, jakby obdarzone własną wolą, zgmiotły leżącą na wierzchu kartkę w ciasną kulę.

- Może się spotykać, z kim chce - warknął przez zaciśnięte zęby i wypadł z biura.

Dave parsknął śmiechem prosto w kawę.

- Pewnie, że może - powiedział sam do siebie - póki nie robi tego zbyt często i póki ma na to twoją zgodę. - Kiedy Vicki się dowie i rozpęta piekło, lepiej żeby Dave stał naprawdę daleko.

O 10:27 Vicki była już pewna, że się zgubiła. Wyjście z lasu zajęło jej już dwa razy więcej czasu niż wejście do niego.

Wszystkie drzewa wyglądały tak samo, a gęste korony uniemożliwiały określenie

kierunku na podstawie słońca. Dwie ścieżki okazały się prowadzić donikąd, a modrosójka spędziła trzy minuty, próbując ją odstraszyć, skrzecząc przy tym obelżywie.

Przeróżne szelesty dochodzące z poszycia dowodziły, że tubylców ta sytuacja nawet bawiła.

Vicki wbiła wzrok w mech, który porastał drzewo równiutko dookoła.

- Gdzie, do diabła, są skauci, kiedy człowiek jakiegoś potrzebuje?

ROZDZIAŁ 6

Nic nie świadczyło o tym, że las się przerzedza. Po prostu w jednej chwili Vicki była między drzewami, a w drugiej już w szczerym polu. I to nie na znajomym. Nie było owiec, płotu ani niczego innego, co by jej powiedziało, gdzie w zasadzie się znajduje.

Poprawiła torbę na ramieniu i ruszyła w stronę białego domu i zabudowań, do których tulił się kraniec pola. Może tam znajdzie jakieś wskazówki albo skorzysta z telefonu.

- ...albo jakiś wielki pies i farmer z widłami pogonią mnie za wkroczenie na ich teren. - Była prawie pewna, że na wsi takie rzeczy się działy i że nie było to zgodne z prawem. Nie miało to jednak najmniejszego znaczenia, bo nie chciała pchać się z powrotem do lasu. Pół tuzina farmerów z widłami by jej tam nie zagoniło.

Kiedy podeszła bliżej, brodząc po kolana w trawie, nawłociach i ostach, nabrała przekonania, że na tej farmie nikt od dawna nie pracował. Stodoła

była spłowiała i wyglądała na nieużywaną. Vicki poczuła zapach róż pnących się po jednej ze ścian białego domu.

Pole przechodziło w ogromny warzywnik. Vic-ki rozpoznała kapustę, krzaczki pomidorów, krzewy malin - reszta nie wyglądała znajomo. „W zasadzie to nic dziwnego”. Wybrała drogę wokoło grządek. „Moje warzywa z reguły mają naklejoną datę ważności...”

- Och. Dzień dobry.

- Dzień dobry. - Starszy mężczyzna, który nagle pojawił się na drodze, najwyraźniej czekał na ciąg dalszy powitania.

- Ja... hmmm... zgubiłam się w lesie.

Jego spojrzenie zaczęło oględziny od trampków

Vicki, potem przeszło do podrapanych i pogryzionych nóg, szortów, zatrzymało się na chwilę na koszulce Blue Jaysów, zboczyło na torbę i wreszcie dosięgło twarzy.

- Aha. - Uśmiech uniósł końce jego starannie przystrzyżonych, siwych wąsów.

To jedno słowo wkurzyłoby Vicki jak cholera, gdyby nie zawierało aż tyle prawdy. Wyciągnęła rękę.

- Vicki Nelson.

- Carl Biehn.

Jego dłoń była sucha i stwardniała od pracy, a uścisk mocny.

Przez lata Vicki nauczyła się, że można się wiele dowiedzieć o człowieku ze sposobu, w jaki ściska czyjąś dłoń - albo tego, czy w ogóle ją ściska. Niektórzy mężczyźni byli kompletnie zagubieni, jeśli oferowana im dłoń należała do kobiety. Uścisk Carla Biehna miał w sobie oszczędność mówiącą, że nie musi niczego udowadniać. Vicki od razu go za to polubiła.

- Chyba przydałoby się pani trochę wody, pani Nelson.

- Przydałoby mi się jezioro - przyznała, ścierając pot spływający na brodę.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

-Jeziora nie ma, ale zobaczę, co da się zrobić. -Poprowadził ją wokół krzaków malin. Pierwszy rzut oka na resztę ogrodu wyrwał z ust Vicki okrzyk zachwyty.

- Podoba się pani? - Carl zapytał niemal nieśmiało.

- To... - odrzuciła listę nieadekwatnych przymiotników i powiedziała po prostu: - ...najpiękniejszy ogród, jaki kiedykolwiek widziałam.

- Dziękuję. - Niemal promieniał z powodu i jej uwagi, i ogrodu, w którym kwiaty układały się w tęczę, rozbitą na setki kawałeczków rozsypanych po wszystkich możliwych odcieniach zieleni. - Pan był dla mnie łaskawy tego lata.

Vicki zeszywniała, ale już więcej nie wspominał o Bogu. „I dzięki Bogu”. Nie miała pojęcia, czy to jej podziw przełamał rezerwę starszego mężczyzny, nie miał jej wcale, gdy chodziło o ogród. Idąc pomiędzy grządkami, przedstawiał mijane kwiaty, jakby były starymi przyjaciółmi - tu poprawiając palik, który

utrzymywał w pionie krwiste mieczyki, tam łagodnie odrywając usychający kwiat.

- ...te brudnopomarańczowe piękności to karłowate hermocalis, liliowce. Jeśli zasieje się wczesne, średnie i późne rodzaje, pięknie kwitną od czerwca do września. Nie są wymagające, nietrudno im dogodzić, tylko trochę nawozu i potażu, a one to docenią. A te tu złocienie...

Spędziwszy prawie całe życie w różnych mieszkaniach, Vicki nie rozumiała praktycznie nic z ogrodnictwa czy botaniki, ale potrafiła docenić - i doceniała - ogrom pracy, jaki musiał zostać włożony w stworzenie i utrzymanie takiej oazy kolorów pośród spalonych letnim słońcem pól. Doceniała też głębokie emocje, które ogród budził u Carla Biehna. Traktował go nie jak dzieło sztuki, lecz żywą istotę - dało się to poznać po tonie jego głosu, wyrazie twarzy, ruchach. Ludzie, którzy troszczyli się o coś poza sobą, rzadko zaglądali do świata Vicki i jej pierwsze, pozytywne wrażenie jeszcze się pogłębiło.

Na betonowym podjeździe, przy tylnych drzwiach stała staromodna pompa. Carl poprowadził Vicki przez trawnik, kończąc swój entuzjastyczny monolog o nowym gatunku róż i jednocześnie sięgając do rączki.

- Wiadro znowu się gdzieś zapodziało, pani Nelson. Mam nadzieję, że to pani nie przeszkadza.

Vicki uśmiechnęła się.

- Jeśli to panu nie przeszkadza, po prostu wsadzę głowę pod wodę.

- Proszę bardzo.

Choć wiekowa, pompa działała sprawnie, wydobywając z ziemi czystą, zimną, delikatnie żelazistą.

wodę. Vicki nie pamiętała, kiedy ostatni raz smakowała coś tak wspaniałego, a nagły szok, jakim był strumień spływający z tyłu głowy, zmył poranną ociężałość. Najchętniej cała by pod niego weszła, gdyby mogła.

Odgarniając z twarzy mokre włosy, wyprostowała się i wskazała na pompę.

- Mogę?

Kiedy Carl przyznał, że nie miałby nic przeciwko, zamienili się miejscami. Rączka chodziła ciężiej, niż Vicki się spodziewała,

musiała się na niej wręcz uwieszać. Ogrodnictwo widocznie pozwalało jej starszemu dobroczyńcy zachować dobrą formę.
- To naprawdę niezwykle - mruknęła. - Nigdy czegoś takiego nie widziałam.

- Tydzień temu to był dopiero widok. - Stał, wycierając ręce o spodnie, i spoglądał z dumą na morze barw. - Muszę przyznać, że nie wyszło źle. Wszystko tam jest, od a do zy, od astrów do złocieni.

Vicki cofnęła się o krok, kiedy bąk, z nóżkami oblepionymi pyłkiem, przeleciał chybotliwie tuż przed jej nosem. Z tego miejsca widziała kwiaty, warzywa i pola poza nimi. Kontrast był ogromny.

- Tam dalej wszystko wydaje się zeschnięte na wiór. Jak pan nawadnia ogród? To musi być praca bez końca.

- Wcale nie. - Postawił jedną stopę na podeście i oparł przedramię o udo. - Używam podwodnego systemu irygacyjnego wynalezionej przez Izraelitów. Ja muszę tylko odkręcić kran, reszta robi się sama. Ale zabezpieczyłem się na wszelki wypadek i podciągnąłem do ogrodu trzydziestometrowy wąż podłączony do ujścia wody, gdyby jakaś roślina potrzebowała dodatkowej uwagi.

Machnęła dłonią pomiędzy brązem i zieleniami

- Nie mogę przetrwać tej różnicy.

- Czasem Pan potrzebuje odrobiny naszej pomocy, by czynić cuda. Pani Nelson, czy dostąpiła pani zbawienia?

Pytanie zostało zadane tak niespodziewanie i tak rozsądnym tonem, że dopiero po chwili Vicki zrozumiała, o co chodziło.

Kolejną chwilę zajęło jej wymyślenie czegoś, jak miała nadzieję, na kształt ostatecznej, ucinającej temat odpowiedzi.

- Jestem anglikanką. - Tak naprawdę nie była, ale jej matka już tak. Mniej więcej.

- Aha. - Skinął głową, schodząc z podestu. - Ko-ściół Anglii. - Przez sekundę widać było odcisk jego wilgotnej podeszwy w kleszczach słońca i betonu -rozszerzające się półkolem, które ostatnio widziała na żywicy, na pniu drzewa.

Mimo nagłego uderzenia adrenaliny postarała się zachować obojętny wyraz twarzy. Oparła stopę o podest i pochyliła się, żeby zawiązać but. W promieniach słońca ślad szybko wysechł,

ale z pewnością był identyczny.

Tak jak jej własny, niestety. Wystarczyło szybkie zerknięcie, by stwierdzić, że oboje nosili tę samą markę butów sportowych.

Markę, którą miała na nogach połowa cywilizowanego świata.

„Szlag. Szlag. Szlag!" Dobre i złe wieści. Albo złe i dobre, nie

była pewna. Dowody nie wskazywały już jednoznacznie na

Carla Biehna, ale lista podejrzanych posiadaczy butów tej marki

zwiększyła się o miliony. Oczywiście były małe różnice -

rozmiar, otarcia gumy, stopień znoszenia - ale żadnych szans na

łatwe dopasowanie śladu do konkretnej podeszwy.

- Pani Nelson, wszystko w porządku? Może powinna pani usiąść na chwilę w cieniu?

- Nic mi nie jest. - Patrzył na nią z taką troską, że musiała się uśmiechnąć. - Dziękuję panu, panie Biehn.

- Cóż, może zajmiemy się dostarczeniem pani we właściwe miejsce. Jeśli mógłbym panią gdzieś podwieźć...

-Jeśli ty nie możesz, z całą pewnością ja to zrobię.

Vicki odwróciła się. Stojący w drzwiach mężczyzna miał trochę ponad trzydzieści lat, był przeciętnego wzrostu, przeciętnego wyglądu i ponadprzeciętnego mniemania o sobie. Patrzył wprost na nią, w pozie niewątpliwie najlepiej prezentującej jego męską sylwetkę - całkiem niezłą, musiała przyznać. „O ile ktoś lubi graczy w squasha i bywalców klubów sportowych..." Ona nie lubiła.

Wsunąwszy na nos parę drogich okularów, mężczyzna wyszedł na słońce. Jego włosy lśniły jak polerowane złoto.

„Założę się, że ma pasemka". Nosił niebieskie skórzane półbuty.

Bez skarpet. Vicki nie znosiła mężczyzn noszących buty bez skarpet. Chociaż

istniało duże prawdopodobieństwo, że miał też parę sportowego obuwia, Vicki wątpiła, by był skłonny zniszczyć manicure, wspinając się na drzewo. Szkoda, bo chętnie nakarmiłaby nim wilkołaki.

Usłyszała, jak Carl tłumy westchnienie.

- Pani Nelson, przedstawiam i pani mojego siostrzeńca. Mark Williams.

Młodszy mężczyzna uśmiechnął się szeroko do wuja.

- A już myślałem, że twoje jedyne hobby to ogrodnictwo,

obserwowanie ptaków i zbawianie dusz. - Wycelował powalający uśmiech prosto w Vicki.

„Jakiś dentysta się tu nieźle napracował. I nieźle dorobił”, pomyślała, zeskrobując kroplę zaschniętej żywicy z koszulki i starając się nie rzucać morderczych spojrzeń.

- Pani Nelson zgubiła się w rezerwacie - wyjaśnił krótko Carl. - Właśnie miałem ją odwiedzić do domu.

- Och, proszę, ja to zrobię. - Głos Marka ocierał się o pieszczotliwość i był o wiele więcej niż odrobinę pełen tego, co Vicki uważała za obraźliwe. - O ile znam mojego wuja, kiedy już znajdzie się w samochodzie sam na sam z czarującą kobietą, będzie tylko wygłaszał kazania.

- Ależ nie chcę zawracać panu głowy - bardziej rozkazała, niż odpowiedziała uprzejmie i Mark wyglądał na zaskoczonego. - Gdyby był pan tak miły... - ciągnęła, odwracając się do Carla. Woląka kazania niż towarzystwo Marka. Przypominał jej pryszczę, którego kiedyś wycisnęła.

- Oczywiście. - Choć Carl naprawdę starał się zachować powagę, dostrzegła błysk rozbawienia w jego oku i drżenie wąsów. Wskazał dłonią na podjazd, dając do zrozumienia, że Vicki ma iść za nim.

Nietrudno było dopasować samochód do kierowcy. Czarny džip, najnowszy model ze złotymi detalami, wnętrzem wyłożonym pluszem, szyberdachem i rdzą u dołu drzwi stanowił niemal wyraźne odzwierciedlenie Marka. Dziesięcioletni, beżowy se-dan, niedawno woskowany, równie wyraźnie - choć nie aż tak głośno - krzyczał „Carl”.

Vicki już trzymała dłoń na klamce, kiedy Mark zawołał:

- Hej! Nawet nie wiem, jak pani na imię.

Odwróciła się, a temperatura powietrza opadła gwałtownie pod wpływem jej uśmiechu.

- Wiem - odparła, po czym wsiadła do samochodu.

Bardzo drogi zestaw stereo odrobinę ją zaskoczył.

- Lubię słuchać gospel, kiedy prowadzę - wyjaśnił Carl, zauważywszy, że kobieta wpatruje się w światła, przyciski i przełączniki wystarczające do wyposażenia kokpitu. Zatrzymał

samochód na końcu podjazdu. - Dokąd?

No właśnie, dokąd. Nie знаła adresu ani nawet nazwy drogi.

- Na... hmmm... owczą farmę Heerkensów. Wie pan, gdzie to jest?

- Tak.

Stłumione emocje wręcz kłębiły się w tym jednym słowie. Vicki zmarszczyła brwi. - Jakiś problem?

Kostki jego dłoni pobieleły, tak mocno zaciskał je na kierownicy. - Jest pani z rodziny?

- Nie. Jestem przyjaciółką ich przyjaciela. Uznał, że przyda mi się odpoczynek poza miastem, i przywiózł mnie tu na weekend.

- Mike Celluci nie uwie-rzyłby w ani jedno słowo - często powtarzał, że Vic-ki była najgorszym kłamcą, jakiego znał - ale Carla wyraźnie opuściło napięcie. Skrecił na piaskową drogę i pojechał na północ.

- Poznałam ich dopiero w ten weekend - ciągnęła obojętnym tonem. Doświadczenie nauczyło ją, że w rozmowach z ludźmi tak rzeczowymi, jak jej gospodarz, najlepiej sprawdzała się bezpośredniość. -Dobrze ich pan zna? Carl zacisnął usta w cienką, białą linię, ale po chwili odpowiedział:

- Kiedy się tu sprowadziłem, dziesięć, jedenaście lat temu, próbowałem się z nimi zapoznać. Próbowałem być dobrym sąsiadem. Nie okazali zainteresowania.

- Cóż, trzymają się na uboczu.

- Na uboczu! - Jego parsknięcie nie miało nic wspólnego ze śmiechem. - Próbowałem spełnić chrześcijański obowiązek. Pani Nelson, czy pani wie, że żadne z tych dzieci nie zostało ochrzczone?

Vicki pokręciła głową, ale zanim zdążyła się odezwać, on już mówił dalej.

- Próbowałem przywrócić tę rodzinę Bogu i wie pani, co mnie spotkało w zamian za troskę? Kazano mi opuścić ich ziemię i trzymać się z dala, skoro nie potrafię zostawić mojego Boga w domu.

„Ciesz się, że nikt cię nie ugryzł”, pomyślała Vicki.

- Pewnie to pana zdenerwowało.

- Pani Nelson, Bóg to nie coś, co noszę w kieszeni jak portfel -
oznajmił oschle. - Jest częścią wszystkiego, co robię. Tak, to
mnie zdenerwowało...

„Na tyle, żeby zabić?” przeszło jej przez myśl.

- ...ale mój gniew był gniewem słusznym i poświęciłem go
chwale Pana.

- A co Pan z nim zrobił? Uśmiechnął się do niej.

- Obrócił go na swoją korzyść.

"To może znaczyć wszystko". Vicki spojrzała za okno. "Jak się
porusza w rozmowie temat wilkołaków?"

- Pana kuzyn wspomniał, że jest pan ptasznikiem...

- Kiedy nie muszę zajmować się ogrodem.

- Chadza pan na teren rezerwatu?

- Niekiedy.

- Mój kuzyn jest ptasznikiem - skłamała jak z nut. - Zawsze
opowiada, że w lesie można zobaczyć masę fascynujących
rzeczy, że niezwykłości i dziwy czają się za każdym drzewem.

- Tak? Musi mieć wiele szczęścia. - Jaki najciekawszy gatunek
udało się panu dostrzec?

Szare brwi ściągnęły się.

- Raz rybitwę antarktyczną. Nie mam pojęcia, jakim sposobem
trafiła tak daleko na południe. Modliłem się o jej szczęśliwy
powrót do domu. Widziałem ją tylko raz. Lubię myśleć, że moje
modlitwy zostały wysłuchane.

- Rybitwę antarktyczną?

- Dokładnie taka - nie odrywał oczu od drogi - była reakcja
innych, którym powiedziałem. Pani Nelson, ja nigdy nie kłamię.
I nigdy nie daję nikomu szansy, żeby nazwał mnie kłamcą dwa
razy.

Poczuła się, jakby ją właśnie spoliczkowano.

- Przepraszam. - „Daleko mnie to nie zaprowadziło”. - Wygląda
na to, że są tu dobre tereny łowieckie - powiedziała
mimoходом, wyglądając
przez okno na mijane drzewa i pola, kolejne drzewa i kolejne
pola. - Poluje pan?

- Nie. - W tej jednej sylabie było tyle odrazy, tyle emocji, że
Vicki musiała mu uwierzyć. - Zabieranie życia istotom Bożym
to herezja.

Odwróciła się do niego, zastanawiając się, jak wytłumaczyłby swoją dietę. - Je pan mięso?

- Od 1954 roku nie.

- Ach. - No i wytłumaczył. - A pana siostrzeniec?

- W moim domu przestrzega moich zasad. Nie próbuję rządzić resztą jego życia.

„Ani jej nie aprobujesz”.

- Od dawna u pana mieszka?

- Nie. Mark jest synem mojej zmarłej siostry - dodał po chwili. - To mój jedyny żyjący krewny.

„Co wyjaśnia, czemu pozwalasz temu oślizgłemu dupkowi się tu kręcić”. Wyczuwała jego dezaprobatę, ale nie potrafiła określić, czy była wymierzona w nią, czy w Marka.

- Nigdy nie polowałam - zagała, starając się na nowo mu przypodobać. W zasadzie mówiła prawdę. Nigdy nie polowała na nic, co chodziło na czterech nogach.

- To dobrze. A modli się pani?

- Pewnie nie tak często, jak powinnam. To wywołało u niego uśmiech.

- Pewnie nie - zgodził się, zatrzymując samochód przy końcu długiej drogi prowadzącej do farmy He-erkensów. - Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu, ale dalej nie mogę pani zabrać.

- Mieć coś przeciwko? Oszczędził mi pan długiej drogi, jestem pana dłużniczką. - Wysiadła z samochodu i przytrzymując okulary jednym palcem, pochyliła się, by zajrzeć przez otwarte okno. - Dziękuję za podwiezienie. I za wodę. I za szansę zobaczenia pana ogrodu.

Skinął poważnie głową.

- Nie ma za co. Czy zdołam panią przekonać, pani Nelson, by towarzyszyła mi pani w jutrzejszej modlitwie?

- Nie sądzę.

- Niech i tak będzie - rzekł zrezygnowany. - Proszę na siebie uważać. Narażając duszę, naraża też pani szansę na życie wieczne.

Vicki wyczuwała jego szczerłość. To nie były puste słowa, skinęła więc głową.

- Będę uważać. - Odstąpiła od auta. Odczekała, póki nie

zawrócił w trzech oszczędnych manewrach, a potem założyła torbę na ramię i ruszyła do farmy.

I w tej właśnie chwili zobaczyła, jak Sztorm wynurza się z żywopłotu jakieś sto metrów dalej. Z wywieszonym językiem pobiegł w jej stronę, a słońce oświetlało złotymi błyskami jego sierść.

Opony otarły się o żwir, kiedy ogromny sedan przyśpieszył i ruszył wprost na młodego wilkołaka.

Vicki próbowała krzyczeć - do Sztorma, do Carla, nie była pewna, ale z jej nagle wyschniętego gardła wydobył się tylko zduszony skrzek.

A potem, w rozbryzgu ziemi i kamyczków, było po wszystkim. Carl Biehn, jego samochód i jego Bóg zniknęli w oddali, a Sztorm tańczył wokoło niej z radości.

Kiedy jej serce zaczęło znowu bić, Vicki poprawiła okulary, wolną ręką odruchowo drapiąc ciepłą sierść między uszami Sztorma. Mogła przysiąc... „Za długo stałam na słońcu...”

Ponieważ nie znalazł w pobliżu niczego, co mogło by go zainteresować, Mark Williams wrócił do domu i wyjął z lodówki zimne piwo.

- Dzięki Bogu, drogi wuj Carl nie ma nic przeciw „alkoholowi w rozsądnych ilościach” - roześmiał się. - Dzięki Bogu - powtórzył.

Liczył, że ta blond suka miała już powyżej uszu gadki tego starego wariata o pokoju, miłości i innych religijnych bzdurach. I tak nie była w jego typie. Wolał niższe, bardziej zahukane, lubiące, gdy się nad nimi dominuje. Takie, które nie biegną od razu z krzykiem na policję, gdy on lekko nagnie reguły.

- Takie, przez które nie ląduje się w samym środku niczego. - Wziął głęboki łyk piwa i wyjrzał przez okna na drgające w upale pola. - Cholera - westchnął. - To wszystko przez Annete. Gdyby Annete nie planowała zdradzić jego małego biznesu, który prowadził w Vancouver, nie musiałby się śpieszyć i zatrudniać niezgułowatego

profesjonalisty do pomocy. Wzdrygnął się na wspomnienie, jak niewiele brakowało, by spędził swoje najlepsze lata za kratkami. Na szczęście udało mu się tak wszystko zaaranżować, że to wynajęty pomocnik oberwał za wszystko. Zanim jego rodzina zdołała dopaść Marka i zażądać swojej działki, on zdążył zwinąć interes, wyciągnąć z niego, ile się dało i zwać na prowincję.

- I tak oto wylądowałem na końcu świata. - Dopił piwo i ziewnął. Mogło być gorzej. Na szczęście miał okazję uprawiać rzadki sport. Uśmiechnął się i wrzucił pustą puszkę do pojemnika. Zabawa, jaką sobie urządził ostatniej nocy, potwierdziła, że nie wyszedł z wprawy.

Drugie ziewnięcie prawie wyrwało mu szczękę z zawiasów. Był na nogach niemal do świtu, a potem został obudzony nieprzyzwoicie wcześnie. Może nadszedł czas na drzemkę.

- Nie chcemy przecież, żeby w krytycznej chwili zadrżały nam palce. Poza tym - sięgnął po kolejne piwo - w nocy są ciekawsze rzeczy do roboty niż spanie.

Kiedy przerośnięty żywopłot liliowców osłaniał ich już od strony drogi, Vicki w milczeniu podała Peterowi jego spodenki.

- Dzięki. Co pani robiła z tym starym Biehnem?

- Wysłałam z lasu na jego ziemię. - Nie zaszkodzi, jeśli Peter pomyśli, że zrobiła to celowo. - Podwiózł mnie z powrotem.

- Aha. Dobrze, że wuj Stuart go nie widział.

- Twój wuj go stąd przegonił?

- Tak. A gdyby ciotka Nadine go nie powstrzymała, pewnie by zaatakował.

Vicki poczuła, jak unoszą się jej brwi. Odwróciła się, by spojrzeć na Petera. Zdążyła się przyzwyczaić, że nie zawsze widziała ludzi idących obok, ale czasem po prostu musiała zerknąć na ich minę.

- Zaatakowałby go z powodu różnic religijnych? - Tak powiedział stary Biehn? - prychnął Peter. -

Jennifer i Marie miały wtedy sześć, może siedem

lat, a ciotka Nadine była w ciąży z Danielem. Stary Biehn przyszedł - wpadał wtedy często, chciał zbawiać nasze dusze i doprowadzał nas do szału -i zaczął gadać o piekle. Nie wiem, co dokładnie powiedział, bo mnie tam nie było, ale tak wystraszy! dziewczynki, że zaczęły wyc. - Peter zmarszczył brwi, a uszy położył po sobie. - Nie robi się takich rzeczy szczeniakom. W każdym razie pojawił się wuj Stuart, i tyle. Biehn więcej nie przyszedł.

- Mocno go to zezłościło.

- Nie aż tak, jak wuja Stuarda.

- Ale musicie go czasem widywać... Peter wyglądał na zaskoczonego.

- Po co?

Vicki pomyślała przez chwilę. „No właśnie, po co?” Ona sama ani razu nie widziała dwóch mło-

dych mężczyzn, którzy mieszkali w suterenie w jej budynku.

Jeśli przez trzy lata nie natknęła się na nich w korytarzu prowadzącym do jedynych drzwi wyjściowych... „Cóż, tu, z taką przestrzenią dooko-

ła, szanse na to, że nigdy się z kimś nie zobaczysz, są duże”. -

Nieważne. Dotarli do końca drogi. Vicki oparła się z wdziękiem o ogromne drzewo, które chyliło się nad trawnikiem. Otarła mokrą brew i już otwierała usta, żeby zapytać, gdzie są wszyscy, kiedy Peter odrzucił głowę do tyłu i zaśpiewał coś bez słów, modulując głos.

- Rose chce pani coś powiedzieć - wyjaśnił.

Rose chciała opowiedzieć o Fredericku Kleinbeinie.

- Myślę, że ona to sobie wyobraziła - podsunął Peter, kiedy jego siostra skończyła. - A co pani myśli, pani Nelson?

- Myślę - powiedziała Vicki - że lepiej z nim porozmawiam. -

Nie dodała, że wątpi, by drzewo zważyło się na drogę akurat w odpowiednim momencie z przyczyn naturalnych. Na

poczekaniu mogła wymyślić co najmniej dwa sposoby, jak to zrobić bez zostawiania zapachu, który wytropiłyby wilkołaki.

Gdyby Peter pobiegł po pomoc, po powrocie bez wątpienia znalazłby bliźniaczkę zastrzeloną w ten sam sposób co Srebrna i Heban. A zatem zabójca nie poprzestał na tym jednym drzewie w lesie, co otwierało zupełnie nowe możliwości.

„Dzięki Bogu za Fredericka Kleinbeina". Jego przyjazd bez wątpienia ocalił życie Chmurze i jednocześnie wykreślił go z listy podejrzanych.

Ale i tak lepiej z nim porozmawiać.

Rose z triumfem spojrzała na brata.

- Mieszka zaraz za skrzyżowaniem. Mogę pani powiedzieć, jak się tam dostać, jeśli chce pani wziąć samochód Henry'ego.

- Samochód Henry'ego?

- Tak. To jakieś pięć i pół kilometra, może trochę więcej. Łatwo tam dojść na czterech nogach, ale trudniej na dwóch.

Peter pochylił się, węższąc.

- Coś nie tak?

„Nic nie jest nie tak. Tak jak podejrzewałam, jestem gównem warta. Widzisz, ja nie widzę. I nie mogę prowadzić. Jak mam cokolwiek zrobić i jak, do diabła, mam wam powiedzieć..."

Podskoczyła, kiedy Rose pogładziła ją po ramieniu, przesuając stwardniałymi palcami po spoconej skórze. Ten dotyk niósł ukojenie, nie litość. Nie odsunęła ramienia.

- Nie prowadzę - wyjaśniła ostro, żeby powstrzymać drżenie głosu. - Nie widzę na tyle dobrze.

- Och. I to wszystko? - Peter odchylił się z ulgą. - Żaden problem, zawieziemy panią. Tylko pójde po kluczyki. - Rzucił jej szeroki uśmiech i pobiegł do domu.

„Och. I to wszystko?" Vicki odwróciła się do Rose, która uśmiechnęła się, zadowolona, że problem został rozwiązany. „Nie oceniaj ich wedle ludzkich standardów". To zdanie powoli stawało się jej litanią.

- ...no i wuj Stuart mówi, że jeśli pan chce, drewno jest pańskie.

- Dobrze, dobrze. Powiedźcie wujowi, że zabiorę je, jak upał zelżeje. - Frederick Kleinbein otarł masywną dłoń ociekającą potem twarz. - Mam trochę późnych malin, które marnieją, bo jestem za gruby i leniwy, żeby je zbierać. Chcecie?

Bliźnięta odwróciły się do Vicki. Wzruszyła ramionami.

- Tylko nie proście mnie o pomoc. Zostanę w cieniu i

porozmawiam sobie z panem Kleinbeinem. -Było widać, że aż się palił do pogawędki z obcą kobietą.

- A więc - zaczął chwilę później - przyjechała pani z miasta.

Dobrze zna pani Heerkensów?

- Ani trochę. Jestem znajomą ich znajomego. A pan, zna ich pan dobrze?

- Tak bym tego nie nazwał. - spojrział na Rose i Petera, niemal niewidocznych za gęstym rzędem krzaków malin. - Trzymają się z boku. Nie są wrodzy, raczej zdystansowani.

- I ludzie to szanują?

- Czemu nie? Spłacili farmę. Dzieci chodzą do szkoły. - Palec, którym pomachał w jej kierunku, wyglądał jak na wpół ugotowana parówka. - Nie

ma praw mówiących, że trzeba być towarzyskim zwierzęciem. Vicki ukryła uśmiech. Towarzyskie zwierzę - to dopiero pomysł.

Pochylił się, całym sobą dając do zrozumienia, że zna jakąś tajemnicę.

„Zaczyna się” pomyślała Vicki.

- Mieszka pani u nich, więc musi pani wiedzieć.

Pokręciła głową, zachowując pełen niezrozumienia wyraz twarzy.

- Wiedzieć co?

- Heerkensowie... - Tak?

- ...cała, rodzina... Nachyliła się w jego stronę.

- ...są...

Ich nosy prawie się stykały.

- ...nudystami.

Vicki zamrugła i wyprostowała się, oniemiała.

Fredederick Kleinbein też się wyprostował i pokiwał przemądrzale głową, podczas gdy jego podbródki przytakiwały mu we własnym rytmie.

- Dotąd musieli chodzić przy pani w ubraniach. -Jego twarz wykrzywiła się w rozmarzonym uśmiechu. - Szkoda, prawda?

- Skąd pan to wie? - wydusiła wreszcie Vicki. Parówkowaty palec znowu zamachał.

- Widzę różne rzeczy. Drobiazgi. Ci Heerkensowie to ostrożni ludzie, ale czasem można dostrzec tam nagie ciało. Po to im te

wielkie psy, żeby ich ostrzec, kiedy ludzie przychodzą. Żeby zdążyli włożyć ubrania. - Wzruszył ramionami. - Wszyscy to wiedzą. Większość ludzi mówi, że ciało to zło, i unika Heerkensów, ale ja mówię: kogo obchodzi, co robią na swojej ziemi? - Pomachał dłonią w stronę krzaków malin. - Dzieciaki są szczęśliwe. Co innego się liczy? Poza tym - uśmiechowi towarzyszył zdecydowanie pożądlivy ruch imponujących brwi - to są bardzo ładne ciała.

Vicki musiała się zgodzić. A więc cała okolica ma Heerkensów za nudystów? Wątpiła, by udało im się stworzyć lepszy kamuflaż. To, w co ludzie wierzą, wpływa na to, co widzą, a ludzie podziwiający nagie ciała raczej nie dostrzegają sierści. „Poza tym o wiele łatwiej uwierzyć w nudystę niż w wilkołaka”. „Tyle że ktoś”, upomniała się, czując, że druga srebrna kula w torbie nagle zrobiła się bardzo ciężka, „nie wierzy w to, w co wierzą wszyscy”.

Chociaż dżip stał na podjeździe, nigdzie nie było wi-dać Marka. Carl usiadł przy kuchennym stole i oparł głowę na dłoniach, wdzięczny za chwilę samotności. Chłopak był jedynym synem jego jedynej siostry, krwią z krwi, ciałem z ciała, jedyną rodziną, jaka mu została. Rodzina znaczy więcej niż osobiste opinie.

Czy to grzech, zastanawiał się, że nie mógł znaleźć w sercu miejsca dla Marka? Że nawet niezbyt go lubił?

Carl podejrzewał, że jego dom jest wykorzystywany jako pewnego rodzaju schronienie. Bo inaczej dlaczego siostrzeniec, którego nie widział od lat, miałby się nagle pojawić na jego progu i zostać na nie wiadomo jak długo? Ten chłopak - mężczyzna -bez wątpienia był grzesznikiem. Ale był też krewnym i to przeważało szalę.

Może Pan wysłał tu Marka właśnie teraz, by został zbawiony? Carl westchnął i kciukiem starł ze stołu kółko po kubku z kawą. Był starym człowiekiem, a Pan ostatnio wiele od niego

wymagał.

„Czy powinienem zapytać Marka, dokąd chodzi w nocy?”

„Czy zdołam udźwignąć tę wiedzę?”

ROZDZIAŁ 7

To są nasze południowe pola, to rezerwat. Pan Kleinbein mieszka tu, a tutaj stoi dom starego Biehna. - Peter spojrział przymrużonymi oczami na szkic, po czym dorysował na ziemi jeszcze trzy linie. - To drogi.

- Old School Road jest zakrzywiona - zauważyła Rose, zaglądając mu przez ramię.

- Kamień przeszkadza.

- Więc zrób tak... - przeciągnęła dłonią po narysowanej przez brata drodze i naszkicowała ją od nowa czubkiem palca - ...i ominiesz kamień. Peter prychnął.

- Ale teraz droga jest pod złym kątem. - Wcale nie. Dalej biegnie tak...

- Ale w złą stronę - przerwał jej brat.

- Wcale że nie!

- Wcale że tak!

Oboje mieli wargi i palce umazane sokiem. Vio ki nie mogła wyjść z podziwu, jak szybko potrafili zmienić się z dorosłych w dzieci i z powrotem.

Wracając z domu pana Kleinbeina - który pożegnał ją popartą porozumiewawczym mrugnięciem radą, by trzymała oczy otwarte - postanowiła nie mówić im, że w powszechnym przekonaniu są nudystami. Jeszcze nie zdecydowała, czy wspomni o tym ich wujowi. Głównie dlatego, że wątpiła, by się w ogóle przejął.

- Skrzyżowanie musi być tu!

- Nie musi.

- Musi!

- To nie ma znaczenia - rozstrzygnęła Vicki, w jednej chwili

kończąc spór. Sądząc po tym, jak rysowały mapę na wytartym, piaszczystym skrawku trawnika, łaki miały marne pojęcie o kartografii. Chociaż bez wątpienia znały każdy krzak i każdy płot, to, co narysował Peter, nie przypomniało tego, co pamiętała Vicki. Zmarszczyła brwi i poprawiła okulary.

- O ile pamiętam, tu jest drzewo. A tu wyszłam z lasu.

- Ale czemu po prostu nie wróciła pani po swoich śladach? -

Rose wciąż, mimo wyjaśnień, nie mogła tego pojąć.

Vicki westchnęła. Łaki miały też mały problem z przyswojeniem sobie idei „zgubienia się”.

Zanim zdążyli wrócić do tematu nosów i węszenia, mały czarny łeb wsunął się pod dłoń Vicki. Cień przysunął się bliżej, by mieć lepszy widok. Peter złapał go za skórę na karku i odsunął.

- Zmykaj stąd, wszystko zepsujesz.

- Nie, w porządku. - Vicki wstała, otrzepując szorty z pyłu.

Trawnik był gęsto usiany łysymi, piaszczystymi plackami. -

Chyba już wszystko zobaczyłam. - Powinnam teraz siedzieć w domu i wydzwaniać. Gapienie się na mapę zbyt wiele nie dawało.

Po krótkiej szamotaninie Cień wyrwał się z objęć kuzyna i zmienił w bardzo podekscytowanego małego chłopca.

- Peter, pokaż Vicki swoją sztuczkę! Łak oblał się lekkim rumieńcem.

- Chyba nie będzie zainteresowana, mały.

- Właśnie że będzie. - Daniel dopadł Vicki. - Będziesz, prawda?

Wcale nie była, ale jak mogła to powiedzieć w obliczu tak zniewalającego, pełnego determinacji entuzjazmu?

- Pewnie, że chcę.

- A widzisz!

Peter poddał się z westchnieniem.

- No dobra. - Odsunął na bok kosmyk włosów, który jak zwykle wpadał Danielowi do oczu. - Przynieś.

Poszczekując piskliwie, Cień popędził do domu.

- Czy on coś w ten sposób mówi? - zastanowiła się głośno Vicki.

- W zasadzie nie. - Rose postawiła uszy niemal na baczność - Daje upust emocjom.

- Więc szczekanie Cienia to jakby odpowiednik: „o rany, o

rany, o rany"?

Bliźnięta roześmiały się.

- Mniej więcej - przyznała Rose.

Cień powrócił z ogromnym żółtym frisbee w pysku. Upuścił je u stóp Petera - wyglądało na więcej niż odrobinę pogryzione - i usiadł, dysząc wyczekująco.

Peter rozebrał się i podniósł plastikowy dysk.

- Gotowy?

W odpowiedzi Cień zamachał nie tylko ogonem, ale całą tylną częścią tułowia.

Niczym antyczny grecki dyskobol Peter wyrzucił frisbee w powietrze. Cień rzucił się w pogoń, a sekundę później pognął za nim Sztorm. Wyprzedził mniejszego łaka, ugiął tylne nogi i wystrzelił w powietrze, rozwierając szczęki, by uchwycić krawędź dysku.

Który zaraz potem został mu wyrwana przez du-żego, czarnego łaka. Cała trójka opadła na ziemię w czarno-rudej kotłowaninie. Rose zachichotała, wcisnęła swoją letnią sukienkę w ręce Vicki i już jako Chmura dołączyła do reszty. Przez pewien czas wszyscy ścigali się po podwórku, aż bliźnięta wspólnymi siłami obaliły większego łaka. Cień, poszczekując kiedy tylko zdołał złapać oddech, skoczył na kotłujące się ciała.

Chwilę później Nadine wystawiła głowę spomiędzy wielokolorowych futer, odrzuciła frisbet i uśmiechnęła się szeroko do Vicki. - Co powiesz na lunch?

- Znaleźliśmy ślady, niecałe czterysta pięćdziesiąt metrów od domu - słowa bardziej przypominały głuche warczenie niż ludzką mowę. Cisza, jaka po nich zapadła, już po kilku sekundach wypełniła się gniewem.

Nadine zacisnęła dłoń na ramieniu partnera.

- Czyje? - zapytała gwałtownie. - Czyje ślady?

- Nie wiemy.

- Ale zapach...

- Czosnek. Ślad czuć tylko czosnkiem.

- Jak świeże? - zapytał Peter.

- Dwanaście godzin. Może mniej, może więcej. -Stuart nie był w stanie usiedzieć w miejscu. Krążył w tę i z powrotem, a włosy stały mu dęba.

Wszystkie dowody wskazywały, że Heban został zastrzelony przez kogoś siedzącego na sośnie w lesie. Czterysta pięćdziesiąt metrów stąd, dwanaście godzin temu - to oznaczało, że zeszłej nocy dom znalazł się w zasięgu strzału.

- Może lepiej zaszyjcie się w jakimś hotelu w mieście, póki to się nie skończy - zaproponowała Vicki, choć z góry wiedziała, co usłyszy.

- Nie ma mowy - odparł ostro Stuart. - To nasze terytorium i będziemy go bronić.

- On nie chce waszego terytorium - Vicki podniosła głos. - On chce was zabić! Ukryjcie się poza jego zasięgiem tylko na jakiś czas. To jedyna rozsądna rzecz, jaką możecie zrobić!

- Nie będziemy uciekać.

- Nie zdołacie się przed nim obronić, skoro jest w stanie dostać się tak blisko.

- To się nie powtórzy - warknął Stuart.

- Jak niby zamierzasz temu zapobiec? - To było gorsze niż kłótnie z Cellucim.

- Będziemy stać na straży...

- Wcześniej tego nie robiliście!

- Wcześniej nie wkroczył na nasz teren! Wzięła głęboki oddech. W ten sposób do niczego nie dojdą.

- Odeślijcie chociaż dzieci.

- Nie!

Vicki odwróciła się do Nadine, szukając u niej pomocy. Z pewnością rozumiała, że trzeba wywieźć dzieci w bezpieczne miejsce.

- Muszą zostać pod opieką watahy. - Nadine mocno obejmowała Daniela, gładząc go po włosach.

Chłopiec trzymał się blisko matki, wyglądał bardzo poważnie.

- Ten tchórz z bronią nie rządzi watahą. - Stuart z impetem opadł na krzesło. - I nie będzie decydował o naszym życiu.

Znajdziesz go!

Nie był wściekły na nią, ale na siebie, na myśl o porażce, o tym, że nie zdoła ochronić rodziny. Mimo to siła jego spojrzenia sprawiła, że Vicki odwróciła wzrok.

- Znajdę - przytaknęła, starając się nie reagować na jego gniew złością. „Miejmy tylko nadzieję, że zdążę na czas

Lunch przypominał atak: mięso, chwytane i rozrywane lśniącymi zębami, robiło za gardło nieznanego wroga. Na szczęście dla Vicki wszystko się w miarę szybko uspokoiło, bo łaki - zwłaszcza te młodsze - nie potrafiły trwać długo w ponurym nastroju. Rozpraszały je sprawy o wiele pilniejsze, na przykład kto zapomniał wyjąć masło z lodówki albo gdzie dokładnie podziela się sól.

Cała rodzina jadła, pozostając w kształtach ludzkich, ale nie w ludzkim stylu.

- To ułatwia dzieciom powrót do szkoły - wyjaśniła Nadine, wsadzając Danielowi widelec w dłoń i sugerując, by zaczął go używać.

Zimna baranina, podana z sałatką, była tłusta i niezbyt smaczna, ale gotowana, Vicki jadła więc z radością.

- Pani Nelson dziś rano poszła do Carla Biehna -oznajmił nagle Peter.

- Carla Biehna? - Donald zerknął na Stuarta, którego uszy znowu przyległy do głowy, a potem na Vicki. - Po co?

- To ważne, by rozmawiać z sąsiadami - wyjaśniła, zerkając na dominującego samca. - Muszę się dowiedzieć, co mogli widzieć.

- Nie było go tu od lat - powiedziała stanowczo Nadina. - Nie, odkąd Stuart przegonił go stąd za straszenie dziewczynek.

Jennifer przez wiele miesięcy śniła koszmary o tym jego Bogu.

- Bogu - prychnął Stuart. - On by nie poznał Boga, nawet gdyby ten ugryzł go w tyłek. Stary, głupi trawojad.

- Kto? - Vicki zamrugła ze zdziwieniem.

- Wegetarianin - przetłumaczyła Rose.

- Sam wam o tym powiedział?

- Nie musiał. - Stuart złamał kość i wyssał z niej szpik. - Śmierdzi jak trawojad.

Donald rzucił na stół piątkę chleba i wytarł dłonie o nagie uda.

- Raz zatrzymał mnie w mieście i zaczął opowiadać o tym, jak źle dawać życie zwierzętom tylko po to, żeby je potem zabijać.

- Mnie też raz tak mówił, ale wyjaśniłem mu, że zabijanie zwierząt jest łatwiejsze, niż zjedanie ich żywcem. - Peter podrzucił rzodkiewkę, złapał ją zębami i zmiażdżył tak głośno, jak tylko się dało.

- Peter, to ohydne. - Jennifer wykrzywiła się z obrzydzeniem. Kuzyn tylko się uśmiechnął i dalej pożerał lunch.

- Nie myśli pani, że to stary Biehn, prawda? - zapytała Rose na tyle cicho, że jej głos przepadł w panującym przy stole harmiderze.

Czy tak myślała? Mieszkający w pobliżu Carl Biehn miał i szansę, by przypadkiem odkryć tajemnicę łąków, i dostęp do drzewa, z którego padły strzały. Jak na swój wiek był w dobrej formie, a historia dowodziła, że głęboka wiara to wypróbowany i wystarczający motyw zbrodni. Gardził jednak zabijaniem, a Vicki w to uwierzyła. Poza butami, które nosili prawie wszyscy, nic na niego nie wskazywało. W dodatku polubiła go i musiała to wziąć pod uwagę. Dobrzy gliniarze wykształcali u siebie wrażliwość na określone cechy osobowości, które, choćby głęboko

ukryte, włączały u nich podświadomy dzwonek alarmowy. Carl Biehn wydawał się przyzwoitym człowiekiem, a tacy należeli do rzadkości.

Ale drugim prawdopodobnym podejrzanym był policjant, a Vicki nie chciała wierzyć, że Barry Wu mógł zabijać łaki. Spojrzała na Colina. Mimo że przewyższał ojca i wuja, był niewielkim, szczupłym mężczyzną i gdyby nadal obowiązywały stare przepisy, pewnie nie zostałby przyjęty do służby. Wyglądał jak ktoś, komu wbito nóż prosto w serce, a potem powoli obrócono ostrze. Odkąd usiadł przy stole, nie powiedział ani słowa.

Czy myślała, że to stary Biehn? Nie. Ale nie chciała też myśleć, że to partner Colina. Nie mogła jednak wykluczyć żadnego z nich, nie - póki nie znajdzie mordercy. Wiele osób miało dostęp do lasu, a wbrew statystyce ci najbardziej podejrzani nie zawsze okazywali się winni.

Odwróciła się do Rose czekającej na odpowiedź z cierpliwością polującego drapieżnika.

- Póki nie dowiem się czegoś więcej, muszę podejrzewać wszystkich, nawet pana Kleinbeina. To zbyt poważna sprawa. Kiedy na stole nie zostało już nic, co można by uznać za jedzenie, łaki rozeszły się każdy w swoją stronę. Donald od razu

się przemienił i ułożył na ganku. Ciebie, za zgodą matki, zawlókł do kąta kość i obgryzał ją z zapalem.

Vicki i Colin podnieśli się jednocześnie. Łak ruszył do wyjścia.

- Colin. - Kobieta zeszywniała, słysząc rozkazujący ton Stuarta.

Łak zamarł, cały spięty. - Pani Nelson chce z tobą porozmawiać.

Odwrócił się powoli, błyskając kłami.

- Colin - to było warknięcie, niskie i złowrogie.

Łak wahał się przez chwilę. Wreszcie oszczędnym ruchem głowy nakazał Vicki, by poszła za nim.

Nie było to ani trochę uprzejme, ale musiało wystarczyć.

Ruszyli po schodach na górę.

- Na zewnątrz jest za gorąco, porozmawiamy u mnie w pokoju - powiedział, nie odwracając się. - Dzieciaki nie będą nam przeszkadzać.

Vicki nie do końca w to wierzyła, pamiętając o specyficznym podejściu łaków do prywatności, ale jeśli Colin miał się dzięki temu lepiej poczuć, mogła z nim gadać nawet na dachu.

Jego pokój znajdował się w nadbudówce nad szo-pą, obok jedyne zamkniętego pomieszczenia, ja-kie Vicki widziała w tym domu.

- Henry - wyjaśnił Colin. - Rygluje się od środka.

- To nie jest sypialnia...

- Nie, schowek. Ale nie ma okna, a jeśli upchnąć trochę rzeczy, robi się miejsce na składane łóżko.

Vicki pogładziła dłonią ciemne drewno, zastanawiając się, czy Henry mógł wyczuć jej obecność w holu. I jak to jest, leżeć tak w ciemnościach.

„Nie widziałem słońca od ponad czterystu pięćdziesięciu lat”.

Westchnęła i weszła do pokoju Colina. Łak rzucił się na łóżko, splótłszy palce z tyłu głowy i zerkał na kobietę spod

zmrużonych powiek. Choć wydawał się zrelaksowany, każdy mięsień miał napięty, jakby szykował się do ucieczki albo walki. Vicki nie była pewna, ale też nie chciała tego sprawdzać.

- Też oddawałam swój do pralni - powiedziała, kiwając głową w stronę czystych koszul od munduru wiszących na drzwiach szafy, wciąż w plastikowych workach. Zdjęła z krzesła spodnie i usiadła. - Miałam ciekawsze rzeczy do roboty niż zasuwanie z

żelazkiem. No dobra - pochyliła się, opierając łokcie na kolanach - myślisz, że twój partner to zrobił? - Oczywiście Colina jeszcze bardziej się zwięziły, a wargi odsłoniły zęby, zanim zdążyła dodać spo-

kojnym tonem: - A może wolałbyś udowodnić, że jest niewinny?

Powoli, nie spuszczać z niej oczu, Colin usiadł. Vicki starała się nie reagować na jego zaskoczone, badawcze spojrzenie. Czekala. Kolejny ruch należał do niego.

- Nie wierzysz, że to nie Barry - odezwał się wreszcie.

- Tego nie powiedziałam. - Oparła podbródek na złożonych dłoniach. - Ale nie chcę wierzyć, że to on, a ty jesteś w stanie to udowodnić. Na litość boską, Colin, zacznij myśleć jak glina, a nie jak... pies pasterski. - Wzdrygnął się. - Miał okazję?

Przez chwilę nie była pewna, czy dostanie odpowiedź, ale Colin usiadł na brzegu łóżka w tej samej pozycji co ona i westchnął.

- Tak. Wtedy, kiedy to się stało, pracowaliśmy na dzienną zmianę. Barry zna farmę i rezerwat. Wczoraj skończyliśmy o jedenastej, więc spokojnie mógł tu przyjechać i zostawić te ślady.

- Dobra, jeden fakt przeciw niemu, no i wiemy, że ma umiejętności...

- Jest tak dobry, że jedzie na następne igrzyska. Ale nie znalazłem żadnego dowodu na to, że odlewa srebrne kule, a uwierz mi, szukałem.

- Ma motyw?

Colin pokręcił głową.

- Skąd mam wiedzieć? Może jest szalony.

- A jest? - Jaki?

- Szalony. Spędzasz z nim osiem godzin dziennie% jeśli jest szalony, chyba zauważyłbyś jakieś objawy? -

Wywróciła oczami, widząc zaskoczenie łaka i po goniła go głosem niczym kijem. - Myśl, do cholery! Chyba czegoś cię nauczyli?

Colin położył uszy po sobie, oddychał szybciej, ale trzymał nerwy na wodzy. Myślał. Vicki była pod wrażeniem jego samokontroli. Gdyby ktoś obcy zwrócił się do niej takim tonem, pewnie zrobiłaby coś głupiego.

Zmarszczył brwi.

- Nie zeznałbym tego pod przysięgą - powiedział powoli - ale dałbym sobie głowę uciąć, że Barry jest normalny.

- Codziennie ryzykujesz życie, zakładając, że jest-wytknęła mu sucho Vicki. - Za każdym razem, gdy wychodzicie razem z posterunku. Skoro już to ustaliliśmy, skupmy się na udowodnieniu, że Barry nie jest zabójcą. - Ale...

- Ale co? - przerwała mu ostro, mając już powyżej uszu jego podejścia do sprawy. Owszem, był w ciężkiej sytuacji, rozdarty między rodziną a partnerem, ale to jeszcze nie powód, żeby rezygnować z myślenia. - Opowiedz mi o nim.

- Hmm... Chodziliśmy razem do szkoły policyjnej. - Przesesał dłonią krótkie włosy. - Gdyby nie Barry, pewnie nie zostałbym gliną i vice versa. Był jedynym kadetem z „widocznych mniejszości etnicznych”, a ja, cóż... wiadomo. Trzymaliśmy się razem, żeby jakoś przetrwać. Po szkole zostaliśmy razem -nie w sensie kopulowania czy innych takich... Vicki nie była zaskoczona, że Barry z filozoficznym spokojem przyjął do wiadomości, jaki gatunek reprezentuje jego partner. Podejście „my przeciw nim”, jakie wykształcali u siebie funkcjonariusze policji, ułatwiało zaakceptowanie faktu, że jeden z „naszych” to wilkołak. „Czy mogę liczyć na mojego partnera?” - to było najważniejsze pytanie, a nie: „czy mój partner wyje do księżycy?”. Teraz, kiedy o tym pomyślała, Vicki doszła do wniosku, że sama zna paru gliniarzy, którzy rzeczywiście wyli.

- ...a tej nocy, kiedy zostałem postrzelony...

- Chwila, że jak?

Colin wzruszył ramionami.

- Zaskoczyliśmy paru rozrabiaków, kiedy obrabiali sklep.

Wyszli z niego, strzelając. Dostałem w nogę. Nic poważnego.

- Mylisz się. Bardzo się mylisz - uśmiechnęła się Vicki. - Barry przy tym był?

- Jasne.

- Widział, jak krwawisz? - Tak.

- Pewnie potem mówiłeś o umieraniu i o tym, jak myślałeś, że

już po tobie?

- Tak, ale...

- Po co Barry miałby strzelać do łaków srebrnymi kulami - drogimi, które do tego musiałyby odlewać sam, ryzykując wpadkę - jeśli wie, że stary dobry ołów w zupełności wystarczy?

- Żeby nas zmylić?

- Colin! - Vicki wzniosła ręce ku niebu. - Tak zrobiłby wariat, a według ciebie Barry jest normalny. Zaufaj instynktowi. W każdym razie wtedy, kiedy

fakty potwierdzają to, co on ci podpowiada.

Colin otworzył usta, zamknął je, a potem otrząsnął się, jakby właśnie zrzucił z ramion ogromny ciężar. Poderwał się na równe nogi, odchylił głowę i zawył.

Vicki zdążyła już zapomnieć, że jej rozmówca jest nagi, a teraz nagle sobie o tym przypomniała. Łaki reagowały tylko na zapach i przez to traktowały ludzi obojętnie, ale libido człowieka było wzrokowcem, a Vicki właśnie wpatrywała się w męskie krocze.

„Boże, dlaczego ja?“, pomyślała, kiedy ogromne czarne łapy opadły na jej ramiona, a wielki różowy język omiół twarz.

Colin pognął porozmawiać z przywódcą watahy - potrzebował pozwolenia Stuarta, żeby wreszcie

powiedzieć Barry'emu, co się dzieje - a Vicki spędziła całe popołudnie przy telefonie, potwierdzając informację, że leśniczy był na północy od początku sierpnia. Co więcej, w przypadku dwóch nocy, kiedy doszło do morderstw, jego alibi mógł potwierdzić cały bar świadków. Kiedy już miała to z głowy, wykreśliła kolejne imię z listy podejrzanych, przebrała się i pojechała z Rose i Peterem do London.

Sztorm przez całą podróż wystawiał łeb przez okno - z otwartym pyskiem, przymykając oczy dla ochrony przed wiatrem, który kładł mu uszy płasko na głowie.

Lista członków obu klubów obserwatorów ptaków była łatwo dostępna. Wystarczyło, że Vicki pokazała każdemu z prezesów swoją licencję i wyjaśni-

ła, że wynajęto ją do znalezienia dalekiego krewnego bardzo bogatej osoby.

- Wiem tylko, że ta osoba kiedyś mieszkała w London i lubiała

obserwować ptaki. Chodzi o bardzo dużą sumę pieniędzy, oczywiście jeśli odnajdę tego krewnego.

- Szuka pani mężczyzny czy kobiety?

- Nie wiem. - Vicki sprawiała wrażenie zniecierpliwionej. -

Staruszek już prawie całkiem stracił kontakt z rzeczywistością i niewiele pamięta. Nie, chwileczkę... mamrotał coś o tym, że jego krewny był strzelcem wyborowym.

Żaden z prezesów nie złapał przynęty. Jeśli mordercą był jeden z ptaszników, nie wspomniał o swoim zainteresowaniu bronią szefowi klubu.

- Nie ma pan przypadkiem kuzyna trzeciego stopnia nazwiskiem Anthony Carmaletti? - zadając to pytanie, Vicki trzymała mocno kciuki. Gdyby którykolwiek z nich miał kuzyna trzeciego stopnia nazwiskiem Anthony Carmaletti, historię o umierającym bogatym krewniakowi diabli by wzięli.

Raz usłyszała stanowcze nie, poparte dwudziesto-minutowym wykładem z genealogii, a raz „zapytam matkę, może się pani ze mną jutro skontaktować?”, i to od osiemdziesięciolatka. Dostała też obie listy. „A Celluci mówi, że marny ze mnie kłamca. Ha!”

- A co teraz? - zapytała Rose, kiedy Vicki wróciła do samochodu.

- Potrzebna mi jeszcze lista członków klubu foto-graficznego, ale wątpię, żeby YMCA po prostu mi ją dało. I policyjna lista zarejestrowanej broni, z którą powinno pójść znacznie łatwiej... - gliniarze zwykli sobie pomagać - ...ale najpierw pogadam sobie z doktorem Dixonem.

Na pierwszy rzut oka doktor Dixon nie mógł być mordercą. Ten kruchy, stary człowiek nie dałby rady wspiąć się na drzewo sam, a co dopiero z karabinem.

Wizyta była krótka, ale przyjemna. Doktor opowiedział Vicki krępujące historie o Peterze i Rose z czasów, gdy byli dziećmi. Bliźnięta nie zwracały na to uwagi, zajęte przeglądaniem w drugim pokoju kolekcji płyt.

- Opera - wyjaśnił Dixon, kiedy Vicki zaczęła się zastanawiać,

co się dzieje. - Każdy łak, jakiego spotkałem, ma świra na jej punkcie.

- Każdy łak?

- Każdy, jakiego spotkałem - podkreślił. - Stara wataha Stuarta z Vermont woli włoską, ale są na tyle blisko cywilizacji, że mogą wybrzydzać. Pozostali, w każdym razie w Kanadzie, zwłaszcza w pobliżu Algonquin Park i przy Mooseane, w niedzielne popołudnia wręcz przyklejają się do telewizora.

- Ile watah tu żyje?

- Wymieniłem już cztery, są jeszcze dwie na Yuko-nie, jedna w południowej Manitobie.. - Marszczył brwi. - Skąd mam niby wiedzieć? Dość, by zachować genetyczne zróżnicowanie. A w którymś momencie rozsmakowały się w operze. Nigdy nie mają jej dość. Pożyczam tej bandzie tutaj płyty, a oni - podniósł głos - czasem mi je oddają.

- Następnym razem, doktorze - zawołał Peter. -Obiecujemy.

-Jasne - mruknął pod nosem Dixon. - Jeśli ten przekłety szczeniak znowu je pogryzł, to ja go...

- ...podrapię za uszami i powiem, że jest cudowny - dokończyła Rose, wchodząc do pokoju z kilkoma albumami pod pachą. - Tak jak zawsze.

Gdy już wychodzili, Vicki zatrzymała się na progu, patrząc, jak Sztorm goni na trawniku motyla.

- Co się stanie, kiedy pan umrze? Doktor prychnął.

- Zgniję. A co?

- Chodzi mi o to, co się stanie z nimi. To, że pana już nie będzie, nie znaczy, że nie będą potrzebować lekarza.

- Kiedy nadejdzie właściwy czas, powiem o nich młodej lekarce która przejęła moją praktykę - roześmiał się nagle. - Dorastała, nie wiedząc, czy chce być lekarzem, czy weterynarzem. Łaki powinny rozwiązać ten problem.

- Niech pan nie czeka zbyt długo - ostrzegła go Vicki.

- To nie pani interes - odparował doktor. - Znam rodzinę Heerkensów od lat, dłużej niż pani żyje. Nie zamierzam paść trupem i zostawić ich, by sami stawiali czoła światu.

- Nie będą sami.

Uśmiechnął się, słysząc jej obronny ton, i odparł znacznie łagodniej:

- Nie, myślę, że nie będą.

Jennifer i Marie nie przyszły na kolację.

- Przed godziną zjadły królika - wyjaśniła Na-dine. Uśmiechała się z czułością i smutkiem, spoglądając na bliźniaczki przez okno. Leżały stulone ze sobą tak mocno, że ciężko było stwierdzić, gdzie się kończył jeden kudłaty kształt, a gdzie zaczynał dru-

Colin już dawno pojechał do pracy, więc przy stole siedziało tylko siedem osób. Daniel starał się za-stąpić brakującą trójkę. Po kolacji Vicki zajęła się notatkami - opisała swoje wrażenia dotyczące Carla Biehna, Fredericka Kleinbeina, ptaszników, doktora, nowych tropów -a potem siedziała, próbując uporządkować w głowie wszystkie odkrycia, jakich dokonała tego dnia. Wiele małych kawałeczków nijak nie chciało ułożyć się we wzór. Grająca w tle muzyka operowa nie pomagała, a dziwne dźwięki, jakie do wtóru wydawali z siebie gospodarze, można było określić jedynie jako rozpraszające.

Właściwie Vicki mogła wymyślić jeszcze kilka innych określeń, ale zamiast tego poszła nad sadzawkę pilnować Cienia, który polował na żaby. W tych okolicznościach to było najbezpieczniejsze wyjście -

- Nie pozwól mu zjeść zbyt wielu - zawołała Na-dine, kiedy wychodzili - bo się rozchoruje.

- Nic dziwnego - mruknęła Vicki, ale koniec końców pozwoliła mu zjeść obie złapane żaby. Ciężko się napracował, biegając raz w jedną, raz w drugą stronę i poszczekując przy tym histerycznie. Uznała, że zasłużył.

Zapadający zmierzch zdawał się trwać godzinami. Świerszcze i Pavarotti akompaniowali zachodzącemu słońcu. Wzrok Vicki słabł z minuty na minutę, a wiatr buszujący w koronach drzew przypominał odgłosy zbliżającej się śmierci: stukanie dwóch gałęzi stało się dźwiękiem odwodzonego kurka. Czekwała na wystrzał, w pełni świadoma, że pozwala wyobraźni wziąć górę nad zdrowym rozsądkiem. Wreszcie ciemność przygnała ją do

kuchennego stołu, w krąg światła rzucanego przez wiszącą żarówkę, dzięki któremu Vicki widziała choć trochę.

W końcu Donald uniósł głowę i oznajmił, wężąc:

- Henry wstał.

Vicki zdjęła okulary i przetarła oczy. Nareszcie. „Kiedy czekasz niecierpliwie na przybycie pijącego krew nieumarłego, to znaczy, że masz za sobą bardzo dziwny dzień”, uznała.

ROZDZIAŁ 8

Kiedy budził się w miejscu innym niż jego pilnie strzeżone sanktuarium, zwykle na chwilę wpadał w panikę, póki nie wróciły wspomnienia. Tej nocy wiedział, gdzie jest, jeszcze zanim odzyskał świadomość. Zapach łąków, nie do pomylenia z niczym innymi, wypełniał jego maleńki pokój.

Przeciągnął się i przez chwilę leżał nieruchomo, wyostrzając zmysły, póki nie sięgnął aż do życia Vicki. Głód zwiększył się i pulsował w rytm jej tętna. Dziś w nocy będzie pił.

Henry zszedł na dół przy akompaniamencie Don Giovanniego Mozarta, który wypełniał cały stary dom, i, jak podejrzewał wampir, spory kawałek przylegających do niego terenów.

System stereo był tym elementem ludzkiej kultury, którą łąki z radością zaakceptowały. Henry skrzywił się. Mozart z całą pewnością nigdy nie wyobrażał sobie, że w takt jego muzyki będą wibrować wilkołacze zaśpiewy, krążąc we wszelkich możliwych tonach wokół nagranego sopranu.

„Cóż, mogło być gorzej”, poddał się entuzjastycznemu powitaniu, jakie zgotował mu Cień. „To mogli być New Kids on the Block”.

Jedną ręką miętosząc uszy łąka, Henry zatrzymał się na progu kuchni, czekając, aż jego oczy przyzwyczają się do światła. Spodziewał się zastać tu Vicki, ale pomieszczenie było puste, nie licząc Donalda, który siedział z nogami na stole, obserwując, jak Jennifer i Marie starają się uporać ze zlewem pełnym naczyń. Chwilę później sytuacja uległa zmianie - Cień pobiegł do nich i przytknął mokry, zimny nos do gołej łydki Marie. Talerz spadł na podłogę, zatoczył się, zatrzymał i tak już leżał zapomniany, podczas gdy bliźniaczki goniły za bratem po

podwórku._

- Dobry wieczór - rzucił Donald, kiedy Henry schylił się po talerz. - Pewnie nie znasz żadnej śpie-waczki operowej?

Kiedyś, jakieś dwieście lat temu, znał tancerkę z opery, ale to nie było to samo.

- Niestety nie. Czemu pytasz?

- Pomyślałem, że gdybyś jąkaś znał, mógłbyś ją tu przywieźć. - Donald machnął ręką, akompaniując Don Giovanniemu. - Miło by było dla odmiany posłuchać tego na żywo.

Henry już miał przypomnieć, że Toronto wcale nie leży daleko, a Kanadyjska Opera Królewska, choć nie mogła się równać z Wiedniem, całkiem nieźle sobie radziła, ale nagle doznał wizji wilkołaka w operze i zrezygnował.

- Gdzie są wszyscy? - zapytał zamiast tego.

- Łapka i Błękitna...

„Stuart i Nadine”, przetłumaczył sobie Henry.

- ...poszli na polowanie, choć ta twoja pani Nelson próbowała protestować. Wyjście straszliwego tria sam widziałeś. Colin jest w pracy, a moja pozostała dwójka...

Duet wybił się nad solo tenora, interpretując nuty niemal w identyczny sposób. Niemal.

- ...siedzi w salonie, z głowami między głośnikami. Pożyczyli dziś od doktora parę starych nagrań mało znanych zespołów, których nie ma jeszcze na CD. - Podrapał się w obrośniętą rudymi włosami pierś i skrzywił. - Osobiście uważam, że tenor jest odrobinę zbyt wyrazisty.

- Od doktora? Czy ktoś został ranny?

- Wszyscy cali i zdrowi. - Vicki wyszła z łazienki.

Jej ton dodawał do słów niewypowiedziane „jak na razie”. -

Musiałam z nim porozmawiać, upewnić się, że nie jest mordercą. - I upewniłaś.

- Owszem. To nie on, nie partner Colina i nie leśniczy. Niestety, co najmniej trzydzieści siedem innych osób regularnie chodzi po lasach z lornetkami. Każde z nich mogło zabić. Nie wspominając o nieznanym liczbie fotografów przyrody, których nazwisk jeszcze nie znam.

Henry uniósł brew i uśmiechnął się.

- Miałaś pracowity dzień. Prychnęła.

- Miałam dzień - poprawiła. - Śledztwo nie posunęło się ani o krok. A Stuart i Nadine wybrali się na małą nocną przechadzkę. - Z jej tonu łatwo można się było domyślić, co Vicki sądzi o tym pomysle.

- Są łowcami...

- Póki to się nie skończy, mogą chodzić na łowy do supermarketu - ucięła ostro. - Jak inni ludzie.

- Oni nie są jak inni ludzie - przypomniał Henry. - Nie możesz ich oceniać według...

- Daruj sobie. Miałam dziś okazję poobserwować to wszystko i więcej nie zniosę - westchnęła, widząc jego minę, i pokręciła głową. - Przepraszam. Jestem trochę sfrustrowana ich nielogicznymi zachowaniami. Możemy gdzieś pójść i porozmawiać?

- Na zewnątrz?

Spojrzała na niego spode łba. - Jest ciemno. Nie będę nic widzieć, a poza tym na zewnątrz roi się od robali. Może u mnie w pokoju?

- Lepiej u mnie. - Jego pokój był co prawda niewielki, ale jako jedyny w całym domu zamykał się od środka. Gdyby tam zaczęli, nie musieliby się nigdzie przenosić, kiedy już nadejdzie czas na posilanie się. Czuł, jak wzywa go krew Vicki. Talerz, który ciągle trzymał, nagle pękł pod naciskiem jego dłoni.

- O, cholera. Donald, przepraszam.

Donald tylko wzruszył ramionami. W kącikach jego ust czaił się podejrzenie domyślny uśmiezek.

- Nie przejmuj się. Nie jesteśmy zbyt przywiązani do zastawy. Dziękując w duchu, że nie może się już rumienić - bladość Tudorów była przekleństwem jego krótkiego życia - Henry wyrzucił obie połówki talerza do śmieci i ponownie odwrócił się do Vicki. Z jej twarzy nie dało się nic odczytać.

- Idziemy? - zapytał, umykając w formalność. Półokrągłe lampy oświetlały schody i korytarz na piętrze, jednak świetnie widzące w ciemnościach łaki nie kłopotowały się założeniem ich też w korytarzu nadbudówki.

Vicki zakłęła i stanęła na skraju półmroku.

- Może jednak mój pokój będzie lepszy... Henry chwycił ją pod ramię i delikatnie pociągnął do przodu.

- To niedaleko.

- Nie matkuj mi tu - rzuciła ostro. - Ślepnę, nie dziecinnieję. Ale zacisnęła palce mocno wokół jego łokcia i Henry poczuł napięcie, jakie towarzyszyło każdemu jej krokowi. Goła czterdziestowatowa żarówka wisiała pośrodku schowka - nazywanie tego miejsca pokojem było zdecydowaną przesadą ~ i dawała dość światła, żeby Vicki mogła dojrzeć twarz wampira. Leżące pod ścianą rzeczy kryły się w cieniu. Vicki wzięła poduszkę i oparła się o ścianę. Henry zaryglował drzwi. Wyczuwał jej narastające pożądanie. Odwrócił się powoli. Jego głód się wzmagił.

- No dobra. - Zrzuciła sandały i podrapała się w bąbel po ugryzieniu komara. „Nic tak nie odwraca uwagi od uporczywego swędzenia w jednym miejscu jak zajęcie się innym swędzącym miejscem”. -Siadaj, a ja ci opowiem, jak mi minął dzień.

Usiadł. Nie miał zbytniego wyboru.

- ...i tak teraz wygląda lista podejrzanych.

- Naprawdę wierzysz, że to mógł być ktoś z ptaszników?

- Albo fotografów. Cholera, wołałabym, żeby to był Carl Biehn albo jego durny siostrzeniec, a nie jakiś spacerowicz, którego nigdy nie wytropimy.

- Nie podejrzewasz Biehna.

- Bądź realistą. To miły facet - westchnęła. -Oczywiście, zdarzało mi się już mylić, dlatego nie skreśliłam go z listy. Weź pod uwagę, że na razie wykluczyłam tylko trzy osoby.

- Nie wierzę. - Henry zaczął masować jej łydkę, wciskając kciuki głęboko pomiędzy mięśnie.

Po nie do końca szczerej próbie wyrwania się Vic-ki zostawiła nogę tam, gdzie była.

- Nie wierzysz w co?

- Że zdarzało ci się mylić.

- Tak. Cóż. Bywa i tak... - przełknęła ślinę, zanim zdołała dokończyć - ...czasami.

Henry wiedział, że teraz już mógłby ją mieć. Udowodniła, co chciała i teraz była gotowa. Bardziej niż gotowa - bicie jej serca wypełniało małe pomieszczenie. Musiał zakuć głód w żelazne kajdany.

- No więc - klepnął ją delikatnie w podeszwę stopy i wypuścił łydkę. - Co chcesz, żebym zrobił?

Otworzyła gwałtownie oczy i zmarszczyła brwi.

Henry czekał z uprzejmym zainteresowaniem wypisanym na twarzy.

Przez chwilę Vicki była rozdarta pomiędzy gniewem a rozbawieniem. Rozbawienie wygrało. Uśmiechnęła się.

- Możesz obstawić to drzewo, które znalazłam. Wiatr się zmienił i teraz wieje od pól. Jeśli pojawi się tam ktoś z karabinem kaliber .30 i będzie wypatrywał celu, złap go i sprawa z głowy.

- Dobra. - Chciał wstać, ale zarzuciła mu nogę na kolana, blokując drogę.

- Czekaj... i nie rób min. Jak dalej będziemy to tak ciągnąć, skończy się na zrywaniu ubrań w kuchni i robieniem z siebie pośmiewiska, a to jeden z moich ulubionych T-shirtów. Skoro już oboje udowodniliśmy, jak panujemy nad swoim instynktami, może uznamy, że jest remis, i przejdziemy do następnego etapu?

- Zgoda. - Wyciągnął rękę, zamierzając wziąć Vicki w ramiona zgodnie z najlepszą romansową tradycją, ale zamiast tego sam został brutalnie przyciągnięty do jej ust.

Nie porwali T-shirtu, ale rozciągnęli go trochę.

Pod koniec przejął kontrolę. Gdy jego zęby przerwały skórę na nadgarstku, jęknęła, wbijając palce wolnej ręki głęboko w ramię wampira. Poruszała się, podczas gdy on pił, aż wreszcie oczyścił ranę, a koagulant zasklepił małe nakłucie.

- To było... niesamowite - westchnęła chwilę później. Jej ciepły oddech musnął czubek głowy Henry'ego.

- Dziękuję. - Czuł słony zapach jej skóry. - Sam byłem zaskoczony. - Obrócił się, żeby spojrzeć na twarz Vicki. - Powiedz, zawsze się kochasz z okularami na nosie?

Uśmiechnęła się i poprawiła je drżącym palcem.

- Tylko za pierwszym razem. Potem mogę już polegać na pamięci. A w pewnych sprawach pamięć mam po prostu fenomenalną. - Poruszyła się tylko po to, żeby poczuć, jak on porusza się obok niej. - Zawsze jesteś taki chłodny?

- Niższa temperatura ciała. Przeszkadza ci to? - Jest sierpień, a my jesteśmy w schowku bez wentylacji. Jak myślisz? - Palcami kreśliła wzory wzdłuż jego kręgosłupa. - To przyjemne.

- Przyjemne - powtórzył. - Ale muszę iść - powiedział łagodnie, siadając na łóżku, jedną dłonią przesuwał po jej śliskim od potu ciele. - Noce są krótkie, a jeśli chcesz, żebym ci rozwiązał tę sprawę.

- Łakom - ziewnęła, zbyt rozleniwiona, żeby reagować na irytujący komentarz. - Jasne, leć, jedź i biegnij - odsunęła nogę, wyrывая ją z uścisku i patrzyła, jak Henry się ubiera. - Kiedy możemy to powtórzyć?

- Za jakiś czas. Krew musi się odbudować.

- Nie mogłeś wypić więcej niż kilka łyków, ile trwa „jakiś czas“?

Wpychając koszulę w dzinsy, pochylił się i pocałował Vicki, przez chwilę ssąc jej dolną wargę.

- Mamy masę czasu.

- Może ty masz - mruknęła. - Ale ja za jakieś sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt lat będę już martwa. I nie zamierzam tego czasu zmarnować.

Funkcjonariusz Barry Wu spojrział na swojego partnera.

Żałował, że nie wie, co się dzieje. Cokolwiek gnębiło Colina przez ostatnie kilka tygodni, zała-ziło mu za skórę i wierciło dziurę w brzuchu, teraz zniknęło - z czego należało się cieszyć, bo wilkołak z depresją nie był najprzyjemniejszym towarzyszem patroli. Jednak Barry wciąż nie wiedział, o co chodziło, i nie był z tego zadowolony. Jeśli Colin miał jakieś kłopoty, on pierwszy powinien o tym wiedzieć. Na litość boską, byli partnerami!

- No dobra. - Kiedy przejeżdżali przez skrzyżowanie, zerknął na Fellner Avenue. Wyglądała spokojnie. - Już wszystko w porządku?

Colin westchnął.

- Już ci mówiłem na początku zmiany, pracujemy nad tym.

Powiem, co jest grane, kiedy Stuart mi pozwoli.

Tego popołudnia nie zdołał go znaleźć, ale miał szczerzy zamiar dopaść przywódcę watahy, gdy tylko skończy swoją zmianę i przedłożyć mu wszystkie wnioski Vicki. Nie czuł się już rozdarty, a im szybciej obgada całą sprawę z Barrym, tym lepiej.

- Ale chodzi o mnie? - drażył Barry.

- Nie, mówiłem ci, że już nie.

- Ale chodziło o mnie?

- Słuchaj, nie możesz poczekać do jutra wieczorem? Obiecuję, że wtedy już wszystko ci opowiem.

- Jutro wieczorem? - Tak.

Barry skręcił w Ashland Avenue. W gorące letnie noce gangi małaolatów często włóczyły się wokół stadionu. Policja miała to miejsce na oku.

- No dobra, owcojebie. Poczekał. Colin skrzywił się w uśmiechu.

- Masz szczęście, że prowadzisz. Barry wyszczerzył się radośnie.

- Gdybym nie prowadził, w życiu bym tego nie powiedział...

Henry stał przez chwilę, wpatrując się w las, z jedną ręką opartą o cedrowy płot. U szczytu łąta lasy tętniły życiem, myśliwych i zwierzyny, zbyt różnorodnym, by zdołał je rozpoznać. Nie wyczuwał żadnych ludzi, ale nie mógł z całą pewnością stwierdzić, czy dlatego, że ich nie było, czy dlatego, że skrywały się wśród pomniejszych żyć.

„Czy posilenie się było błędem?”, zastanowił się. Głód zwiększyłby jego wrażliwość na krew. „Muszę jednak przyznać”, uśmiechnął się na wspomnienie wijącej się pod nim

Vicki, „że właściwie nie miałem zbyt wielkiego wyboru”. Dawniej, kiedy zostawał u łaków dłużej niż trzy dni i musiał się posilić, jechał na parę godzin do London i wynajmował prostytutkę. Nie miał nic przeciwko temu, żeby czasem płacić - koniec końców wołał to niż odwiedziny w spożywczym. Po chwili namysłu uznał, że lepiej nie dzielić się tą refleksją z Vicki.

Płot nie stanowił przeszkody i już chwilę później Henry szedł w ciszy między drzewami, podążając za zostawionym przez kobietę tropem. W pewnym momencie na ścieżkę wybiegło małe zwierzę. Czując zapach wielkiego drapieźnika, zamarło, a jego małe serce zaczęło bić niczym dzwon; wreszcie umknęło pośpiesznie. Henry życzył mu wytrwałości w biegu - maluch mógł nie dożyć ranka. Jakiś czas temu szedł tędy łak. Ślad już prawie całkiem znikł, zachował się tylko tam, gdzie poszycie wciąż było wilgotne.

Zanurkował pod gałęzią i zdjął z niej pojedynczy złotobrazowy włos.

Vicki nie radziła sobie w lesie. Wokół siebie miał na to masę dowodów - drobne ślady jej krwi znaczyły większość tropu. Trudno się dziwić, w końcu pochodziła ze świata stali i szkła. Wsunął włos do kieszeni i ruszył w dalszą drogę, pozwalając myślom błądzić, podczas gdy nogi podążały pewnie przed siebie.

Tej nocy nie zamierzał wychodzić, ale nie mógł spać, więc uznał, że to znak. Usadowił się na drzewie, wdychając głęboko ciepłe, pachnące sosną powietrze. Otarł pot i spojrzał w niebo. Gwiazdy migotały niczym tysiące klejnotów, a malejący księżyc lśnił dumnie odbitym blaskiem. Było dość światła. W dole, z tyłu, zaryczało jakieś duże zwierzę. Krowa albo może owca z którejs z pobliskich farm mogła wejść na teren rezerwatu. To nie miało znaczenia. Teraz, kiedy wiatr się zmienił, interesowały go tylko blade czworokąty pól poza lasem. Przyjdą sprawdzić, co z owcami, a on będzie czekał.

Oparłszy lufę karabinu o gałąź, przytulił delikatnie policzek do kolby i popatrzył przez celownik. Wczesnym latem, kiedy po raz pierwszy zrozumiał, co musi zrobić, zamówił z katalogu Bushnella najprostszy celownik na podczerwień. Zapłacił więcej, niż tak naprawdę mógł wydać, ale nie żałował, podobnie jak ciągłego zużycia baterii litowych, które wymieniał przed każdą misją. Człowiek jest tylko tyle wart, ile sprzęt, którego używa - jego dawny sierżant zadbał, żeby każdy z podkomendnych zapamiętał te słowa.

Za krzyżykiem celownika pojawiły się mgliste kształty drzew, tu i tam poznaczone czerwonymi plamkami ciepła ciał małych zwierząt. Nie kłopotując się włączeniem emitera, przeskanował oba pola, nie dostrzegając nic oprócz owiec. A one były niewinne, nie wybierały sobie panów. Potem zajął się ponownie drzewami.

Czasami polowali na terenie rezerwatu. Wiedział o tym. Może tej nocy też zapolują, a wtedy on...

Zmarszczył brwi, kiedy między dwoma drzewami mignęło coś czerwonego, zbyt bladego jak na te rozmiary. Nie miał pojęcia, co to może być. Powoli, cicho włączył emiter, rzucając na ziemię promień podczerwieni. Chociaż gołym okiem nie dało się tego dostrzec, obraz w celowniku rozjaśnił się, jakby właśnie włączył mocny, czerwony reflektor.

Istota, którą dostrzegł, powinna być...

Henry z trudem wrócił myślami do lasu. Nieskończenie przyjemniej było odtwarzać ponownie w pamięci szczegóły wieczoru, ale wiedział, że zbliża się do sosny. Uniósł głowę, by rozejrzeć się w koronach drzew...

...i zaraz opuścił ją gwałtownie, jęcząc, bo promień czerwonego światła przemknął mu po oczach.

- O, kurwa! - Mark Williams drżącymi rękami uniósł karabin wuja. Nie wiedział, co to było. Nie obchodziło go to. Miewał koszmary o takich istotach, koszmary, które sprawiały, że budził się spo

cony, szukając źródła światła, rozpaczliwie starając się przegonić ciemność.

To nie był człowiek. To było coś groźnego.

Pociągnął za spust.

Śrut rozproszył się na tyle, że nie wyrządził większej szkody, rysując na prawym biodrze i udzie Henry'ego wzór z dziurek.

Światło to była tylko niewinna zaczepka. A to już atak.

Henry kiedyś ostrzegł Vicki, że jego rodzaj ukrywa bestię znacznie bliżej powierzchni niż śmiertelnicy. Kiedy krew powoli zaczęła wsiąkać w jego dzinsy, wypuścił tę bestię na wolność.

Ułamek sekundy później pocisk trafił go w lewe ramię i obrócił wokół własnej osi, podrywając z ziemi. Uderzył głową o pień drzewa i upadł półprzytomny.

Przez zasłonę bólu, przez dudnienie życia wypełniające jego uszy słyszał głosy, a przynajmniej tak mu się wydawało. Męskie głosy. Jeden niemal histeryczny, drugi niski i głęboki. Wiedział, że to ważne, by słuchać, co mówią, zapamiętać, ale nie mógł się skupić. Z bólem potrafił sobie poradzić. Już kiedyś został postrzelony i teraz czuł, że jego ciało zaczyna się naprawiać.

Walczył z nadciągającą szarością, kurczowo trzymając się świadomości, ale przypominało to próbę utrzymania w pięści garści piasku wyslizgującego się między palcami.

Głosy znikły. Nie miał pojęcia, gdzie się podziały.

Ułamek sekundy później pocisk trafił go w lewe ramię i obrócił wokół własnej osi, podrywając z ziemi. Uderzył głową o pień drzewa i upadł półprzytomny.

Przez zasłonę bólu, przez dudnienie życia wypełniające jego uszy słyszał głosy, a przynajmniej tak mu się wydawało. Męskie głosy. Jeden niemal histeryczny, drugi niski i głęboki. Wiedział, że to ważne, by słuchać, co mówią, zapamiętać, ale nie mógł się skupić. Z bólem potrafił sobie poradzić. Już kiedyś został postrzelony i teraz czuł, że jego ciało zaczyna się naprawiać.

Walczył z nadciągającą szarością, kurczowo trzymając się

świadomości, ale przypominało to próbę utrzymania w pięści garści piasku wyslizgującego się między palcami.

Głosy znikły. Nie miał pojęcia, gdzie się podziały.

Potem jakaś ręka delikatnie obróciła go na plecy. Znajomy głos powiedział cicho:

- Musimy go zabrać do domu.

- Wątpię, żeby był w stanie iść. Nie damy rady go nieść. Biegnij po Donalda.

Stuart. Rozpoznał Stuarta. Niezły początek. Zanim Nadine wróciła z Donaldem, udało mu się zebrać coś na kształt myśli.

Miał wrażenie, że jego głowa jest krucha niczym skorupka jajka, ale jeśli nie poruszał nią i był ostrożny, bardzo ostrożny, udawało mu się powstrzymać świat przed dryfowaniem na bok.

Choć łaki nie cackały się zbyt, niosąc go do domu, gdy tam już dotarli, Henry'emu już niemal całkiem przejaśniło się w głowie. Parę pasm szaro-

ści wypływało jeszcze z pulsującego, spuchniętego miejsca u podstawy czaszki, ale ogólnie rzecz biorąc, doszedł do siebie.

Widział Vicki czekającą na ganku, zdenerwowaną, ze wzrokiem wbitym w ciemność. Wyglądała delikatniej i bardziej krucho niż kiedykolwiek. Gdy ją mijali, wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła policzka Henry'ego.

Zmarszczyła gwałtownie brwi

- Co ci się, do cholery, stało?

- Oczywiście, że poszedłem za tobą! - Mark Williams pociągnął jeszcze trochę whisky. - Wracam trochę wcześniej z kumpelskiej partyjki pokera i widzę, jak mój sędziwy wuj wymyka się w środku nocy. niosąc... - machnął ręką w kierunku karabinu, który leżał na kuchennym stole rozłożony na części - ...to coś, Bóg jeden wie, co to jest...

- Bóg wie - przerwał mu cicho Carl, czyszcząc lufę szmatką nasączoną olejem.

- Dobra. Bóg wie. Ale ja nie. - Gwałtownie odstawił opróżnioną szklankę na stół. - A po tym, przez co właśnie przeszedłem,

chyba należy mi się wyjaśnienie.

Carl przez chwilę wpatrywał się w siostrzeńca.

- Usiądź - westchnął.

- Dobra. Usiądę. - Mark opadł na kuchenne krzesła - A ty mów. Na co polowałeś i co to było to coś, co mnie zaatakowało?

Odkąd Pan pokazał mu, co żyło na farmie He-erkensów, i pozwolił poznać, jakie ma obowiązki, Carl Biehn bał się, że okaże się nie dość silny. Był starym człowiekiem, starszym niż wyglądał, a Pan zrzucił na jego barki straszliwy ciężar. Mark nie był kimś, kogo by wybrał, żeby pomógł mu nieść krzyż, ale Pan chadzał niezbadanymi ścieżkami. Mark najwyraźniej został wybrany. To miało sens. Chłopak był jego jedynym żyjącym krewnym, a pociągając tej nocy za spust, udowodnił, że ma dość sił, by dołączyć do krucjaty. Może jego własne grzechy zostaną zmyte przez krew niegodnych, których zniszczy?

Carl podjął decyzję. Wyjął z kieszeni trzy przygotowane naboje i postawił na stole. W świetle żyrandola lśniły niczym małe pociski rakietowe.

- Ja pierdziele... Srebro!

- Tak.

Mark potarł nabój palcem i roześmiał się odrobinę histerycznie.

- Chcesz mi wmówić, że polujesz na wilkołaki? - Tak.

W ciszy, która nagle zapadła, tykanie kuchennego zegara brzmiało nienaturalnie głośno.

„Staruszkowi odbiło. Postradał resztki rozumu. Wilkołaki. Jest szurnięty”.

A potem Carl zaczął mówić. O tym, jak późną wiosną obserwował ptaki i przypadkiem zobaczył pierwszą przemianę. O tym, jak wypatrywał kolejnych. Jak poznał, że ma do czynienia z istotą na wskroś złą. Uświadomił sobie, że to dlatego żaden z członków tej przeklętej rodziny nie przekracza progu domu Bożego. Że nie byli dziećmi Boga, ale Szatana, wysłanymi, by szerzyć ciemność. Aż w końcu zrozumiał, co powinien zrobić.

Musiał ich odesłać z powrotem do piekła, w tym kształcie, który nie był drwiną z obrazu Boga. Pod osłoną nocy, by Pan Kłamstw nie zdołał go powstrzymać.

Ku swojemu zaskoczeniu Mark odkrył, że mu wierzy. To była

najbardziej pokręcona historia, jaką kiedykolwiek słyszał, ale miała w sobie niezaprzeczalny okrucieństwo prawdy.

- Wilkołaki - mruknął, potrząsając głową.
- Wysłannicy Złego - przytaknął wuj.
- A ty je zabijasz? - "I ten facet uważa, że zjedzenie kotleta to grzech".
- Odsyłam tam, gdzie ich miejsce. Demonów nie da się zabić.
- Ale odsyłasz je tam przy pomocy srebrnych kul?
- Srebro to metal Pana, którym zapłacono za życie Jego syna.
- Chryste...
- Nie wzywaj imienia Pana nadaremno.

Mark spojrzał na karabin, już oczyszczony i złożony z powrotem, potem znów na wuja. Ten facet miał świra na punkcie moralności, należało o tym pamiętać. I był bardzo dobrze uzbrojony, świetnym strzelcem.

- No tak. Przepraszam. A co z tym czymś w lesie?
- Nie wiem. - Carl splótł palce i westchnął. - Zastrzeliłem je, żeby cię chronić.

Na samą myśl o tym stworzeniu Mark oblał się potem, a jego serce przyśpieszyło. Przez chwilę miał wrażenie, że zaraz znowu spanikuje. Tej nocy spojrzał śmierci prosto w oczy i choćby bardzo chciał, nigdy nie zdoła zapomnieć dotyku jej zimnych palców. To doświadczenie, pierwotne i przerażające, sprawiło, że znacznie łatwiej było uwierzyć w wilkołaki.

- Może - podsunął, przełykając głośno ślinę - to sam Lucek przyszedł skontrolować swoich poma-gierów?

Carl wolno skinął głową.

- Może. Ale jeśli tak, zostawię tę sprawę Panu. „Łatwo ci mówić”. Mark wytarł wilgotne dłonie o dzinsy. „Nie ciebie to coś chciało dopaść”.

- A co z kobietą?

- Kobieta?

- Tak. Tą niunią Nelson, która dziś tu przylazła.

- To niewinna, przypadkowa osoba. Nie mieszaj jej w to.

Ale Mark przypomniał sobie sosnowe igły i kawałki kory przyczepione do koszulki Blue Jaysów i nie był tego taki pewien.

- Z tej odległości kaliber .30 powinien ci urwać to pieprzone ramię. - Vicki zabezpieczyła koniec bandaża i skrzywiła się, widząc efekty swojej pracy. - Niemożliwe, żeby twój obojczyk odbił taki strzał.

Henry uśmiechnął się, słysząc niedowierzanie w głosie Vicki. Ból był już całkiem znośny, a obrażenia mniejsze, niż się spodziewał. Teoretycznie rzecz biorąc, powinien zregenerować nawet utraconą kończynę, ale nie miał ochoty sprawdzać tego w praktyce. Ze złamanym obojczykiem i kawałkiem ciała wyrwanym z ramienia mógł sobie spokojnie poradzić.

- Mój rodzaj ma mocniejsze kości niż twój - powiedział, próbując rozciągnąć ramię. Vicki zacisnęła pięść i najwyraźniej zamierzała zrobić z niej użytek, więc przestał.

- Mocniejsze? - prychnęła. - Chyba z pieprzonego tytanu.

- Niezupełnie. Tytan by pękł. - Drgnął, kiedy Donald wyciągnął z jego uda kolejny kawałek śrutu. - Zdajesz sobie sprawę, że kiedy się martwisz, twój język staje się o wiele bardziej wulgarny?

- Co ty chrzaniasz?

- W ciągu ostatniej godziny zakląłaś więcej razy, niż odkąd się poznaliśmy.

- Tak? - Zatrzasnęła apteczkę z niepotrzebną gwałtownością. - Cóż, chyba miałam więcej powodów, żeby kląć, prawda? Nie rozumiem, jak to się mogło stać. Ponoć nocą świetnie sobie radzisz. O czym ty myślałeś?

Nie widział powodu, by kłamać.

- O tobie. O nas. O tym, co się stało wcześniej. Oczy Vicki zwięzły się.

- Typowe. Czteryście pięćdziesiąt cholernych lat na tym świecie, a dalej myśli fiutem.

- To wszystko. - Donald wyprostował się i wrzucił pęsetkę do miski ze śrutem. - Parę godzin i będziesz jak nowy. Płytsze rany już się goją.

- Dobry w tym jesteś - zauważył Henry, unosząc lekko nogę. Donald wzruszył ramionami.

- Dwadzieścia, trzydzieści lat temu miałem wiele okazji poćwiczyć. Ludzie wtedy szybciej pociągali za spust, a sierść nie daje zbyt dobrej ochrony. Raz dorobiłem się podobnego wzoru na tyłku. - Obrócił się w sposób nieosiągalny dla ludzkiego kręgosłupa i przyjrzał wspomnianej części ciała. - Chyba już zszedł. - Podniósł miskę i ruszył do drzwi. - Gdybyś był jednym z nas, doradziłbym ci, żebyś się parę razy zmienił, oczyszczając ciało z infekcji. Albo polizał się. A że jest, jak jest... - Wzruszył ramionami i wyszedł.

- Nawet nie miałem zamiaru pytać - zaprotestował Henry, gdy Vicki rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- I dobrze. - Lizać dziury po śrucie, też pomysł. Nie wytrzymała długo. Gniewną minę zastąpił uśmiech, ale zaraz znikł. Vicki przypomniała sobie o kolejnym problemie. - Będziesz musiał znowu pić?

Pokręcił głową i od razu tego pożałował.

- Może jutro, dziś nie.

- Po tym, jak zaatakował cię demon, musiałeś posilić się od razu.

- Uwierz mi, po ataku demona było ze mną o wiele gorzej. Delikatnie położyła dłoń na płaskim brzuchu Henry'ego, w miejscu, gdzie pod pępkiem zaczynała się linia rudozłotych włosów. Gest był jednoznaczny, ale nie przesadnie prowokujący.

- Możesz jutro pić?

- Coś wymyślimy.

Skinęła głową, jeśli nie usatysfakcjonowana, to przynajmniej gotowa poczekać. Pożądanie, które czuła, zawstydzalo ją i miała naprawdę wielką nadzieję, że odpowiadały za to wampiryczne vibracje Henry'ego. Szaleństwo hormonów było jej potrzebne jak dziura w płocie.

- Wiesz, dziwię się, jakim cudem przeżyłeś cztery i pół wieku. Najpierw demon, teraz to. I to tylko w przeciągu czterech miesięcy.

- Możesz nie uwierzyć, ale dopóki cię nie poznałem, wiodłem nudne życie autora romansów.

Uniosła brwi, a okulary zsunęły jej się na czubek nosa.

- No dobra - przyznał. - Nocne życie było trochę lepsze, ale takie rzeczy mi się nie przydarzały.

- Nigdy?

Uśmiechnął się do jednego wspomnienia, chociaż wtedy wcale nie było mu do śmiechu. Też przez kobietę - no dobra, jego schadzki z kobietą.

- No, prawie nigdy...

Prawe kolano wydawało się dwa razy większe niż zwykle i ledwo utrzymywało jego ciężar. Cios żelaznego młota kowalskiego trafił go z boku w sam staw. Po czymś takim człowiek nie byłby w stanie już nigdy chodzić. Henry Fitzroy, wampir, wstał i wybiegł, ale obrażenia i ból nie pozwalały mu przyspieszyć ponad prędkość śmiertelnika. Słyszał już psy. Zbliżały się coraz bardziej. Powinien był wyczuć pułapkę. Usłyszeć, wyczuć albo zobaczyć ludzi czających się w ciemnych zakamarkach. Ale tak niecierpliwie wyczekiwał posiłku, chwili, gdy jego mała Mila go obejmie, że niczego nie podejrzewał. Nie przyszło mu do głowy, że ta mała Mila, z jej słodkim uśmiechem, miękkimi udami i gorącą krwią, wyzna swój grzech księdzu, a ten wzburzy całą wioskę. Obecność wampira okazała się ważniejsza niż świętość konfesjonału.

żelaznego młota kowalskiego trafił go z boku w sam staw. Po czymś takim człowiek nie byłby w stanie już nigdy chodzić. Henry Fitzroy, wampir, wstał i wybiegł, ale obrażenia i ból nie pozwalały mu przyspieszyć ponad prędkość śmiertelnika. Słyszał już psy. Zbliżały się coraz bardziej. Powinien był wyczuć pułapkę. Usłyszeć, wyczuć albo zobaczyć ludzi czających się w ciemnych zakamarkach. Ale tak niecierpliwie wyczekiwał posiłku, chwili, gdy jego mała Mila go obejmie, że niczego nie podejrzewał. Nie przyszło mu do głowy, że ta mała Mila, z jej słodkim uśmiechem, miękkimi udami i gorącą krwią, wyzna swój grzech księdzu, a ten

wzburzy całą wioskę.

Obecność wampira okazała się ważniejsza niż świętość konfesjonału.

Psy go doganiały. W ślad za nimi podążały po-chodnie, kołki i ostateczna śmierć.

Gdyby nie złożyli swojej wiary przede wszystkim w krzyżu, już by go mieli. Tylko kowal zachował tyle przytomności umysłu, żeby uderzyć, kiedy Henry przedarł się przez ich szereg do drzwi.

Potknął się i biały płomień przebiegł przez całe jego ciało. Krew teętniła mu w uszach, gdy obejmował rozpaczliwie drzewa by ustać. Nie mógł dalej iść. Nie mógł się zatrzymać.

"Boli. Boże, jak to boli". Psy były już blisko.

Nie mógł tak umrzeć nie zaledwie po stu lalach, zaszczuty nocą niczym bestia. Żebra zaciskały mu się wokół oszalałego serca, zupełnie jakby czuły ostatnie pchnięcie kołkiem.

Psy już go prawie miały. Była tylko noc, ujadanie i ból.

Nie zauważył urwiska.

O włos minął skały znajdujące się przy brzegu. A potem świat wywrócił się do góry nogami i Henry prawie utonął, nim zdołał wyrwać się z powrotem ku powietrzu. Nie mógł walczyć z prądem, poddał mu się. Na szczęście była już wiosna i większość kłów drapieżnej rzeki spoczywała bezpiecznie jakiś metr pod powierzchnią. Większość. Nie wszystkie.

Tuż przed świtem Henry wydostał się z wody i wsunął się tak głęboko, jak tylko mógł, w wąską szczelinę między skałami, wilgotną i zimną, ale słońce tak głęboko nie sięgało. Na razie był bezpieczny.

Nigdy dotąd nie pragnął tego tak mocno.

- Nie, proszę pana. Nigdy nie mieliśmy z panem Fitzroyem żadnych problemów. - Greg wyprostował się i spojrzał policjantowi prosto w oczy. - To dobry lokator.
- Żadnych dzikich imprez? - zapytał Celluci. - Skarg od

sąsiadów?

- Nie, proszę pana. Żadnych. Pan Fitzroy to bardzo spokojny dżentelmen.

- W ogóle nikt go nie odwiedza?

- Nie, miewa gości. - Uszy starego ochroniarza spłonęły czerwienią. - Jest młoda kobieta...

- Wysoka, krótkie blond włosy, okulary? Około trzydziestki? Greg wzdygnął się trochę, słysząc jego ton.

- Tak, proszę pana.

- Znamy ją. Mów dalej.

- Jest też chłopiec, przed dwudziestką. Trochę niechlujny, zaniedbany. Nie spodziewałbym się takiej znajomości po panu Fitzroyu.

Obecność chłopaka nie była niespodzianką. Kolejny element układanki, przybliżający o krok jej rozwiązanie.

- To wszystko?

- Jeśli chodzi o gości tak, ale...

- Ale co? - Celluci uczepił się tego wahania.

- Cóż, tylko to, że nigdy nie widzimy pana Fitz-roya w dzień. A kiedy się go zapyta o przeszłość...

„Tak, sam mam parę pytań o jego przeszłość”. Fitzroy składał się bardziej z pytań niż odpowiedzi. Celluci nie lubił tego w ludziach, a nie lubił tego jeszcze bardziej teraz, kiedy zaczynał widzieć, czym może wypełnić puste miejsca.

Jeśli Henry Fitzroy sądził, że ukryje, kim jest, czekała go przykra niespodzianka.

Stary spał. Przez ścianę oddzielającą ich sypialnie Mark słyszał jego chrapanie.

- Sen sprawiedliwych - mruknął, zakładając ręce za głowę i spoglądając na płamę na suficie. Chociaż zgodził się pomóc wujowi - staruchowi o krok od grobu - w jego świętej wojnie, nie ustalili jeszcze, jaka rola mu przypadnie. Miał gdzieś, czy wilkołaki były dziećmi diabła czy nie. Ważne, że żyły poza prawem.

Mark był biznesmenem. Musiał znaleźć jakiś sposób, żeby na tej wojence skorzystać.

Gdyby udało mu się złapać jednego wilkołaka... Znał parę osób, które chętnie kupiłyby takie dziwadło. Niestety, ten pomysł rozbijał się o oczywisty problem. Stwór mógł odmówić przemiany -a najwyraźniej kontrolowały ten proces - niszcząc jego wiarygodność. A w handlu wiarygodność była wszystkim.

- No dobra, jeśli nie zarobię na pozostawieniu ich przy życiu...

Uśmiechnął się. Wilkołaki. Wilko-łaki. Wilki.

Martwe wilki oznaczały futra. Wziąć takie razem z głową i już był elegancki dywanik.

Ludzie zawsze chętnie płacili za rzeczy rzadkie i niezwykłe.

ROZDZIAŁ 9

Widział ktoś Daniela? Jennifer podniosła głowę znad paprochów, które wygrzebywała z sierści siostry.

-Jakaś godzinę temu wyszedł na drogę. Powiedział, że zaczeka na listonosza.

- Przecież dziś niedziela. - Nadine wywróciła oczami. - To dziecko nie ma za grosz poczucia, który jest dzień tygodnia. Peter, mógłbyś po niego pójść? jej ton oscylował między rozkazem a prośbą.

W ten sam sposób mówią dobrzy sierżanci, po-myślała Vicki. Może łaki potrafiłyby zintegrować się łatwiej, niż do tej pory sądziła.

Peter ściągnął koszulkę przez głowę i rzucił ją Rose.

- Myślisz, że uda ci się znaleźć kluczyki do samochodu, zanim wrócę?

- Gdzieś tu są - mruknęła, grzebiąc w kolejnym stosie papierów.

- Wiem, że są, czuję ich zapach.

- Nie przejmuj się - poradziła Vicki, ratując przekrzywioną stertę magazynów fermerskich przed ru-nięciem na podłogę. - Jeśli nie znajdziemy ich przed powrotem Petera, weźmiemy samochód Henry'ego.

- BMW? - Peter zrzucił z nóg trampki. - Wiesz, gdzie są kluczyki?

Vicki uśmiechnęła się szeroko.

- Pewnie, że wiem. Henry dał mi je na wypadek, gdybyśmy musieli gdzieś pojechać.

- Świetnie. - Rzucił spodenki Rose na głowę. -Już nie szukaj - poleciał, zmienił się i wypadł przez drzwi niczym burza.

Mark miał tylko przejechać obok farmy i sprawdzić, czy dojrzy któregoś z tych rzekomych wilkołaków i zdoła zerknąć na jego futro. Ale kiedy zobaczył, że przy skrzynce na listy coś siedzi, poczuł się, jakby Bóg dał mu znak. - A jak mnie zapewniono, Bóg jest po naszej stronie.

Zatrzymał się.

„Coś” nie wyglądało na wilka, ale na psa też nie. Było rozmiarów małego owczarka niemieckiego. Sie-działo i patrzyło na niego, z łbem przekrzywionym na jedną stronę, dysząc z gorąca. Jednolicie czarna sierść przypominała wilczą, miała te długie, jedwabiste włosy, które kobiety tak lubią gładzić.

Mark wysunął rękę przez otwarte okno i pstryknął palcami.

- Do nogi! Chodź, mały...

Zwierzę wstało, przeciągnęło się i ziewnęło. Na tle czarnego pyska jego zęby były wyjątkowo białe.

Czemu nie kupił ciasteczek, kawałka wieprzowiny albo czegoś takiego?

- No chodź. - Szkoda, że był czarny. Im rzadziej spotykany kolor, tym wyższa cena.

I wtedy dojrzał rudawy błysk mknący aleją w stronę skrzynki.

Mark pojął, że czarny wilkołak to jeszcze szczenię. Rudy był ogromny i miał najpiękniejszą sierść, jaką Markowi zdarzyło się widzieć. Długie grube włosy mieniły się w słońcu barwami, od ciemnordzawej do prawie rudozłotej. Z każdym ruchem pojawiały się nowe pasemka. Pysk i uszy

miał ostro zakończone, a oczy otaczała ciemniejsza sierść, przez co pysk wilkołaka był tak ekspresyjny, jak twarz człowieka.

Mark znał ludzi, którzy zapłaciliby fortunę za takie futro.

Zwierzę obserwowało go przez chwilę z uniesioną głową, ignorując mniejszego, który próbował je przewrócić. W tym spojrzeniu było coś, co sprawiało, że Mark poczuł się wyjątkowo nieswojo. Już nie miał najmniejszych wątpliwości - te stworzenia były czymś więcej, niż się wydawało. Potem oba zwierzęta, rude i czarne, pobiegły z powrotem do domu.

- O tak - mruknął, odprowadzając je wzrokiem. - Znalazłem swoją żyłę złota. - A najlepsze w tym wszystkim było to, że jeśli coś pójdzie nie tak, cała wina spadnie na szalonego wuja Carla i jego wyso-kokalibrową misję od Boga.

W planie dnia pierwsze miejsce zajmowała przejażdżka do London w celu zdobycia paru informacji.

Vicki szybko odkryła, jaką to niesamowitą atrakcję skrywało BMW Henry'ego. Nisko na tablicy rozdzielczej, ukryte przez wścibskimi spojrzeniami i dodatkowo zamaskowane matowo czarnym wykończeniem wszystkiego, włącznie z przyciskami i wyświetlaczem cyfrowym, znajdowało się arcydzieło odtwarzania CD. Vicki bardzo chętnie podziwiała jakość dźwięku, mogła nawet wysłuchiwać zachwyty Petera nad głośnikami basowymi i wy-sokotonowymi i wewnętrzną stabilizacją czegoś tam, ale nie miała najmniejszego zamiaru słuchać przez całą drogę opery, a już zwłaszcza zawodzących do wtóru łaków.

Poszli na kompromis i podśpiewywali do Con-waya Twitty'ego. Zdaniem bliźniąt klasyka country nie umywała się do opery, ale woleli to niż brak muzyki. Vicki mogła znieść country.

Przynajmniej rozumiała słowa, a Rose miała talent do parodiowania bólu istnienia i łamanego serca.

Przejechali przez wschodnią część miasta Highbury Avenue - drogą numer 126 - w kierunku drogi 401. Kiedy wbili się w ruch miejski, Rose wyłączyła muzykę. Ku zaskoczeniu Vicki siedzący z tyłu

z głową na wpół wystawioną na zewnątrz Peter nie zaprotestował.

- Widzimy inaczej niż wy - wyjaśniła Rose, bardzo ostrożnie zmieniając pas i wymijając osiemna-stokołową ciężarówkę. - Musimy o wiele bardziej uważać, kiedy prowadzimy.

- Większość ludzkości powinna bardziej uważać, kiedy prowadzi - mruknęła Vicki. - Peter, przestań kopać w moje

siedzenie.

- Przepraszam - łak przesunął nogi. - Czemu jedziemy na posterunek w niedzielę? Nie będzie zamknięty?

Vicki prychnęła.

- Zamknięty? Peter, posterunek nigdy nie jest zamknięty. To robota na dwadzieścia cztery godziny, siedem dni w tygodniu. Powinieneś o tym wiedzieć, masz brata policjanta.

- Tak, ale on jest policjantem na prowincji...

- Policja regionu Ontario to taka sama policja jak każda inna... no, może poza tym, że nie eksperymentuje z kolorami aut. -

Vicki lubiła stary zestaw bieli i czerni, i nie podobało jej się, że radiowozy policji w Toronto najpierw zmieniły barwy na jaskrawożółte, a potem na białe. - W zasadzie - ciągnęła - w wielu miejscach to jedyna siła policyjna. Z czego wynika, że w sierpniu, w parne niedzielne popołudnie wszyscy, którzy mieli wystarczająco dobry powód, by nie siedzieć na posterunku, będą gdzie indziej, a ja mogę zdobyć potrzebne informacje.

- Myślałam, że po prostu tam wejdiesz i poprosisz o nazwiska wszystkich, którzy mają zarejestrowany karabin kaliber .30. - Chevrolet wepchnął się przed nich i Rose zwolniła, oddalając się na bezpieczne trzy długości auta, mamrocząc pod nosem: -Dupek.

- Tak zrobię. Ale ponieważ nie mają powodu, by mi tę listę dać, dużo zależy od tego, kogo zapytam. I jak.

Peter prychnął.

- Masz zamiar zastraszyć jakiegoś biednego żółtodzioba, prawda?

Vicki poprawiła okulary.

- Oczywiście, że nie. - Tak naprawdę to nie było zastraszanie, tylko subtelna gra polegająca na wykorzystywaniu przewagi wynikającej z rangi i budzeniu wspólnego dla wszystkich gliniarzy na świecie podejścia „siedzimy w tym wszyscy razem”. Fakt, ona już nie była gliną, ale to nie powinno mieć wpływu

na efekt końcowy.

Posterunek górował nad trasą 401. Budynek z czerwonej cegły mieścił się po południowej stronie Exidor Road, wciśnięty za

hotel Ramada.

Gdyby Vicki dalej była gliną, wszystko by się na pewno udało. Albo gdyby nie spróbowała podejścia „zastraszyć nowicjusza”.

Bardzo stanowcza młoda kobieta, z którą rozmawiała, doskonale wiedziała, że Vicki nie ma żadnych praw do tych informacji, obojętnie, czy pracuje nad sprawą czy nie.

Z sierżantem poszłoby o wiele lepiej, gdyby Vicki nie puściły nerwy.

Wychodząc z budynku, była zła, głównie na siebie samą. Wargi zacisnęła w cienką, białą linię, a płatki nosa drgały jej przy każdym oddechu. Źle załatwiła całą sprawę i wiedziała o tym.

„Tak, nie jestem już gliną. Nie mogę oczekiwać, że będę traktowana jak glina. Im szybciej sobie to wbiję do pustego łba, tym lepiej”. Łatwo było zapomnieć o tej litanii w Toronto, gdzie wszyscy ją znali i gdzie wciąż mogła wykorzystać wiele starych przywilejów. Ale właśnie boleśnie się przekonała, jak to będzie, kiedy w policji miejskiej zabraknie znajomych ze służby. Jej pięści zaciskały się i rozluźniały, jakby szukały gardła, na którym mogłyby się zacisnąć.

Ruszyła w stronę samochodu stojącego samotnie na skraju parkingu. Z każdym krokiem czuła, jak chodnik parzy ją w stopy, ale to było nic w porównaniu z żarem, jaki z niej buchał.

„Gdzie, do cholery,

są bliźnięta?” Prawie miała nadzieję, że zrobili coś głupiego, mogłaby wtedy spuścić trochę pary. Kiedy była już blisko auta, zauważyła, że idą od strony hotelu, niosąc butelki z wodą.

Łaki spojrzały na nią i od razu spuściły wzrok.

- Nie udało się, prawda? - zapytała ostrożnie Rose, zerkając spod opuszczonych rzęs. Ukryte pod włosami uszy położyła płasko po sobie.

- Nie. Nie udało się.

- Poszliśmy tylko po wodę - podsunął Peter, przyjmując identyczną pozycję co siostra. Wyciągnął rękę z jedną z dwóch butelek, które trzymał. - Przynieśliśmy też dla ciebie.

Vicki spojrzała na butelkę, na bliźnięta, potem znowu na butelkę. Wreszcie prychnęła i wzięła ją.

- Dziękuję. - Woda była zimna i to od razu polepszyło sytuację.

- No, uspokójcie się. Przecież was nie ugryzę - mówiąc to, uświadomiła sobie, że tego właśnie się obawiali. Wydało jej się to tak absurdatne, że musiała się roześmiać. Obie pary uszu wystrzeliły w górę, a ich właścicielom wyraźnie ulżyło. Gdyby byli w kudłatej formie, pewnie by zamerdali ogonami. A tak uśmiechnęli się po prostu i zaczęli pić. „Zachowania dominująco-poddańcze”, uznała Vicki, opróżniając swoją butelkę. Trochę ją to martwiło. Jeśli wszystkie łaki, poza dominującą parą, odpowiadały na gniew położeniem uszu po sobie, w świecie ludzi mogły mieć duże problemy.

Kiedy Rose obchodziła samochód, żeby wsiąść od strony kierowcy, dwóch napakowanych młodych mężczyzn, którzy wałęsali się wokół hotelowego ba-senu, zaczęło wykrzykiwać w jej stronę dość jednoznaczne propozycje. Ziewnęła, odwróciła się do nich plecami i wsiadła do samochodu.

„Może jednak nie ma się czym martwić”.

Rzuciła opróżnioną butelkę na tylne siedzenie obok Petera.

- Chodźmy na lunch, zanim wpadnę na kolejny genialny pomysł.

W przeciwieństwie do innych podobnych miejsc, London zdołało rozrosnąć się od małego miasteczka obsługującego otaczającą go społeczność farmerów do średniego rozmiarów miasta, nie tracąc przy tym uroku. Vicki bardzo podobało się to, co widziała

w drodze do centrum. Architekci zostawili mnóstwo parków, zarówno takich zajmujących całe akry, jak i małe place zabaw upchnięte w dziwnych zakamarkach. Wszystko rozplanowano tak, by nie niszczyć już rosnących drzew, a tam, gdzie to było niemożliwe, posadzono nowe. Granie świerszczy towarzyszyło im przez większość drogi, a całe London cicho i spokojnie pławiło się w upale.

Vicki wołała miasta, w których więcej miejsca zajmował asfalt. Miała mocne przekonanie, że w takim miejscu po dwudziestu czterech godzinach zwariowałyby z nudów. Chociaż ostentacyjnie odrzucała powszechnie panujące wśród mieszkańców Toronto złudzenie, że ich miasto było pępkiem świata, nie mogła sobie wyobrazić mieszkania czy pracowania

gdziekolwiek indziej.

- Knajpa nazywa się „Steki u Boba” - wyjaśnił Peter, kiedy Rose zatrzymała się na małym, prawie pustym parkingu. - Właściwie to jest na Clarence Street, ale tam trzeba parkować równolegle.

- Z czym w zasadzie nie radzę sobie najlepiej -dodała Rose, z westchnieniem ulgi wyłączając silnik.

Vicki zadowoliliby się jakimś fast foodem - do szczęścia potrzebna jej była tylko klimatyzacja - ale bliźnięta optowały za miejscem, „gdzie mięso nie jest takie martwe”.

Po przejściu krótkiej przecznicy na wschód od parkingu Rose zatrzymała się gwałtownie przed małym sklepem na rogu.

- Naklejki baseballowe!

Peter skinął głową.

- Poprawią mu humor.

- To jakaś szyfrowana rozmowa - rzuciła w przestrzeń Vicki. - Czy każdy może się przyłączyć?

- Daniel zbiera naklejki baseballowe - wyjaśniła Rose.

Zmarszczyła brwi. - Nikt nie wie dlaczego ani po co, ale zbiera.

Parę sztuk wynagrodzi mu to, że nie mógł pojechać z nami.

- Idźcie. - Vicki zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu kluczyków. - Muszę wrócić i sprawdzić, czy samochód jest zamknięty.

- Ja swoje drzwi zamknąłem - powiedział Peter, zawahał się na chwilę i dodał: - Chyba.

- Właśnie - burknęła Vicki. - A ja nie chcę być tą, która powie Henry'emu, że pożyczylimy jego BMW i zgubiliśmy połowę. Rose machnęła ręką w stronę pustej ulicy. - Ale tu nikogo nie ma.

-Jestem z natury niecierpliwa. Kupcie naklejki, spotkamy się tutaj.

„Jaki sens ma nowa ustawa w sprawie otwierania sklepów w niedzielę”, zastanawiał się Mark Williams, wracając do dżipa, „jeśli miejsca, które muszę odwiedzić, są dalej zamknięte? W naprawdę cywilizowanym kraju nie represjonowano by stylu

życia obywatela i... O!"

Szybko skrył się za ogromnym, starym klonem i opierając jedną rękę o pień, wychylił się, żeby

przyjrzeć się lepiej. To była pani Bezimienna Nelson.

Wydawało mu się, że rozpoznał jej chód. Niewiele kobiet przemierzało ziemię w tak agresywny sposób. Właściwie...

Zmarszczył brwi, obserwując, jak Nelson sprawdza drzwi samochodu, i próbował sobie przypomnieć, czemu ten język ciała wydaje mu się znajomy.

„Jeździ BMW. Niezbyt zużytym”.

Kiedy odwróciła się od samochodu, Mark cofnął się. Nie chciał, by go zauważyła. Wiele jego najbardziej owocnych interesów zaczęło się od tego, że patrzył i trzymał gębę na kłódkę. Kiedy uznał, że minęło dość czasu, zerknął znowu.

„Jezu Chryste. To glina”.

Dla tych, którzy podjęli wysiłek i nauczyli się rozpoznawać określone dyskretne sygnały, gra w „rozpoznaj glinę” była prościutka. Mark Williams już dawno opanował zasady. Już niejedną raz ta umiejętność okazywała się przydatna.

„Pytanie brzmi, co ona ma wspólnego z wilkołakami. Może mój sędziwy wujaszek nie jest taki mądry, jak mu się wydaje. Jeśli jest przyjaciółką rodziny i gliną...”

Kiedy zniknęła w uliczce po drugiej stronie parkingu, opuścił kryjówkę. Nie wiedział, czy jest uzbrojona, ale w tym swoim ogromnym torbiszczu mogła nosić choćby armatę i nikt by tego nie zauważył. Przeszedł przez ulicę, rozmyślając gorączkowo. Jeśli udałoby jej się udowodnić, że stary Biehn strzela do psów sąsiadów, nie musiałaby wcale wspominać o wilkołakach. Wuj by to zrobił. I zostałyby zaraz zamknięte w wariatkowie. I to by było na tyle, jeśli chodzi o szansę na zabicie fortuny.

Prowadziła jakąś sprawę. Igły, które miała wczoraj na bluzce, dowodziły, że znalazła drzewo. Mark był gotów się założyć, że ta przechadzka połączona z podziwianiem kwiatów wuja stanowiła tylko pretekst, żeby się do niego zbliżyć.

Oparł dłoń o rozgrzaną przez słońce karoserię BMW.

"Taka okazja nie może mi przejść koło nosa".

Nie doceniłaby tego. Powiedziałyby, że się wtrąca, że sama da sobie radę, że nie powinien być takim protekcyjnym kretyńcem. Mike Celluci odłożył golarkę elektryczną i spojrzał na swoje odbicie w łazienkowym lustrze.

Podjął decyzję. Jedzie do London. A jak Vicki Nelson będzie miała coś przeciwko, niech sobie to „przeciwko” wsadzi tam, gdzie słońce nie dochodzi.

Nie miał pojęcia, w co ten cały Henry Fitzroy ją wplątał i czy w ogóle go to obchodziło. W London raczej nie mogło zajść coś, z czym Vicki nie dałaby sobie rady - o ile się orientował, elektrownie atomowe w tym regionie nie występowały. Sam Fitzroy to jednak zupełnie inna sprawa.

Zakładając czystą koszulkę, Celluci jeszcze raz powtórzył sobie wszystko, czego się dowiedział o tym autorze romansów historycznych. „Romanse historyczne, na litość boską. To ma być praca dla mężczyzny?” Płacił mandaty na czas, nie wyklócał się o ten za przekroczenie prędkości, który dostał rok temu, nie miał kartoteki. Jego książki dobrze się sprzedawały, konto założył w Canada Trust, płacił podatki i wspierał finansowo Czerwony Krzyż. Niewielu ludzi znało Fitzroya, a strażnik z nocnej zmiany w jego budynku szanował i bał się go jednocześnie.

Niby wszystko w porządku, ale brakowało masy zarejestrowanych danych, które współczesnemu człowiekowi towarzyszyły przez całe życie. Może niezbyt ważnych, przyznał Celluci, wsuwając koszulkę w spodnie, ale było ich wystarczająco dużo, żeby włączył mu się dzwonek alarmowy. Nie mógł szukać głębiej, nie bez ujawniania swojego niezupełnie etycznego śledztwa, ale mógł pokazać to, co znalazł,

Vicki. Była glina. Zrozumie, co znaczą te małe niedociągnięcia w biografii Fitzroya.

Przestępczość zorganizowana. W Kanadzie nie-często się na nią natykano, ale wszystko pasowało do wzoru.

Celluci uśmiechnął się, Vicki od razu zażąda wyjaśnień, a on miał nadzieję, że będzie mógł usłyszeć, jak Fitzroy próbuje się z

tego wykaraskać.

2:15. Zobowiązania rodzinne zatrzymają go w Scarborough do piątej, co najmniej, a i tak siostry będą narzekać. Wzdrygnął się. Dwie godziny jedzenia przypalonych hamburgerów w otoczeniu hordy siostrzeńców i siostrzenic, słuchając, jak szwagrowie rozmawiają o rosnącej przestępczości i krytykują policję. Co za upojny sposób na spędzenie niedzielnego popołudnia.

- Dobra, więc jeśli ten kawałek o broni z „Klubu Wędki i Broni” oznacza uczenie się strzelania i takie tam - Peter, przekonawszy Rose, że on też powinien mieć okazję prowadzić, wyjechał ostrożnie z parkingu - to czego można się nauczyć od wędkarzy?

- Nie mam pojęcia - przyznała Vicki, wygładzając na kolanie serwetkę ze wskazówkami. Była trochę zatłuszczona, ale mapkę dało się odczytać. - Może jak zakładać muchy na haczyk albo czegoś takiego?

- Zakładać muchy na haczyk? - powtórzyła Rose.

-Trzeba to robić szybko, inaczej odlecą - wytłumaczył Peter, skręcając na północ.

Przez następnych kilka przecznic Vicki przekazała im wszystko, co wiedziała o zakładaniu przynęty na haczyki. Im dłuższe były wyjaśnienia, tym bardziej pobieżne. Nie potrafiła też odpowiedzieć na pytanie, czemu dorośli ludzie mieliby stać po uda w lodowato zimnym strumieniu, narażając się na pożarcie żywcem przez insekty, tylko po to, żeby przy odrobinie szczęścia zjeść coś, co nawet ugotowane nie wyglądało na jedzenie, tylko gapiło się na człowieka z talerza. Była jednak skłonna zgodzić się ze stwierdzeniem, że ludzie bywają dziwni. Chociaż Peter prowadził tak samo ostrożnie jak Rose, o wiele łatwiej się dekoncentrował - cokolwiek jaskrawego albo ruchomego odwracało jego uwagę od drogi.

„Raz jeszcze okazuje się, że łaki mieszczą się w statystyce”, pomyślała Vicki, wyglądając przez przednią szybę. „I na

przykładzie widzimy, czemu nastoletnie dziewczęta powodują mniej wypadków niż nastoletni chłopcy".

- Peter, czerwone. - Widzę.

Potrwało chwilę, zanim do Vicki dotarło, że nie zwalniają.

- Peter...

Miał szeroko otwarte oczy i odsłonięte kły. Prawą nogą rozpaczliwie uderzał w podłogę.

- Hamulce nie działają.

- Kurwa!

A potem byli już na skrzyżowaniu.

Vicki usłyszała pisk opon. Świat zwolnił. Odwróciła się, zobaczyła ciężarówkę - tak blisko, że dało się odczytać tablice rejestracyjne. Nie mieli najmniejszych szans na uniknięcie zderzenia. Krzyknęła do Petera, żeby dodał gazu, i samochód wystrzelił do przodu. Krata ciężarówki zasłoniła okno i niczym prasa hydrauliczna zaczęła zgniatać tylne drzwi od strony pasażera. Promienie słońca załśniły w stłuczonym szkłe.

Miliony tęcz o ostrych krawędziach zamigotały w powietrzu.

Świat odzyskał normalną prędkość, podczas gdy samochody wirowały na skrzyżowaniu przy akom-

paniamencie jęków metalu. W końcu tył BMW uderzył w słup z sygnalizacją, a ciężarówka oderwała się od niego.

Vicki wyprostowała się, zakrywając twarz, żeby ją chronić i utrzymać okulary na miejscu. Z ulgą poprawiła je, a potem wyłączyła silnik. W pierwszej chwili słyszała tylko bicie własnego serca, dudniące jej w uszach niczym perkusja na koncercie rockowym. Potem, z oddali, jakby ktoś nagle podkręcił dźwięk, dobiegły głosy, klaksony, a w oddali zawyły syreny. Zignorowała wszystko.

Peter leżał z głową na kierownicy. Vicki odpięła pas i ścisnęła łaka lekko za ramię.

- Peter?

Dolna część jego twarzy była cała we krwi płynącej z rozbitego nosa.

- Hamulce - powtórzył. - Nie... nie zadziałały.

- Wiem. - Delikatnie zwiększyła siłę uścisku. Zaczynał drzeć i chociaż miał do tego prawo, wszyscy mieli, to nie była pora na wpadanie w histerię. -Wszystko w porządku?

Zamrugnął, spojrzał na siebie, potem na nią.

- Tak sądzę.

- Dobrze. Rozepnij pas i zobacz, czy możesz otworzyć drzwi - ton jej głosu był niemal identyczny jak ten, którego Nadine użyła rano, i Peter posłuchał bez wahania. Dziękując w duchu za wypracowane odruchy, Vicki uklękła na siedzeniu i zajrzała na tył, żeby zobaczyć, co z Rose.

Tylne drzwi wgięły się, ale trzymały. Wypełnienie i mechanizm, który w sobie zawierały, leżały na siedzeniu, w dziwaczny sposób wygięte w stronę dachu. Tylne szyby wypadła na zewnątrz, boczna do środka. Większość szkła rozbiła się na miliard małych kawałków, ale trzy duże wbiły się w tapicerkę. Trójkątne ostrze, długie na dwadzieścia centymetrów, drgało tuż nad zwiniętą w kłębek Rose, wbite głęboko w tapicerkę drzwi po przeciwnej stronie. Szkło błyszczało w jasnych włosach dziewczyny niczym śnieg, a jej ramiona i nogi znaczyły liczne powierzchowne nacięcia.

Vicki wyrwała odłamek. BMW z 1976 roku nie miało szyb z bezpiecznego szkła.

- Rose?

Powoli rozluźniła się. - Już po wszystkim?

- Tak. - Żyje?

- Żyjesz. - Chociaż gdyby siedziała po drugiej stronie, byłoby zupełnie inaczej.

- Peter...

- Wszystko z nim w porządku.

- Chcę wyć.

- Później - obiecała Vicki. - Teraz odblokuj zamek w drzwiach, żeby Peter zdołał je otworzyć.

Podczas gdy Peter pomagał siostrze wydostać się z tylnego siedzenia, Vicki przeczołgała się nad rączką skrzyni biegów, ciągnąc za sobą torbę. Zarzuciła ją na ramię, kiedy tylko znalazła się na zewnątrz. Znajomy ciężar niósł ukojenie w tym chaosie. Wokół zebrał się mały tłum, zatrzymywały się kolejne samochody. Jeden z nich, jak zauważyła z zadowoleniem, należał do policji.

Upewniwszy się, że bliźniętom nic się nie stało, Vicki zostawiła

ich, by pocieszali się wzajemnie i poszła sprawdzić, co z kierowcą ciężarówki. Krew spływała mu po twarzy z rozcięcia nad lewym okiem, a szyję znaczyło czerwone otarcie od pasa.

- Chryste, paniusiu - jęknął, kiedy zatrzymała się przed nim. - Popatrz na moją ciężarówkę. - Choć ogromny zderzak przyjął większość uderzenia, krata była wygięta i wgnieciona w chłodnicę. - Nie przejechałem jeszcze pięćdziesięciu kilosów. Żona mi skopie tyłek. - Delikatnie dotknął jedyne ocalałego reflektora. - Halogen kwarcowy. Siedemdziesiąt dziewięć dolców za żarówkę.

- Wszystko w porządku?

Jeszcze zanim się odwróciła. Vicki wiedziała, co zobaczy. Zbyt wiele razy używała tego tonu. Funkcjonariusz miejscowej policji był starszym mężczyzną z siwymi włosami, regulaminowymi wąsami i regulaminowo neutralnym wyrazem twarzy. Jego młodszy partner rozmawiał z bliźniętami, a dwaj mundurowi z drugiego radiowozu zajmowali się kierowaniem ruchem i rozproszeniem tłumu. Słyszała, jak Peter zaczyna bełkotać o awarii hamulców, i doszła do wniosku, że na razie zostawi go samego. Odrobina hysterii pomoże tylko przekonać policję, że mówią prawdę. Ludzie zbyt spokojni zwykle mieli coś do ukrycia.

- O ile się orientuję, wszyscy jesteśmy cali - odparła. Funkcjonariusz uniósł brwi.

- A pani jest?...

- Ach. Przepraszam. Vicki Nelson. Służyłam w policji Toronto, zanim nawalił mi wzrok. - Mówienie o tym już nawet nie bolało. Może była w szoku. - Jechałam w BMW. - Wygrzebała dowód i podała mu go.

- Prowadziła pani?

- Nie. Peter prowadził. - To pani samochód?

- Nie, znajomego. Pożyczył nam go na dzisiaj. Kiedy Peter próbował się zatrzymać na światłach, hamulce nawaliły. - Machnęła ręką w stronę ciężarówki. - Nie miała szans nas minąć.

- Tuż przed moim nosem - zgodził się kierowca, ocierając krew z policzka. - Nawet nie zrobiłem jeszcze pięćdziesięciu kilosów na tej małej. A cały

przód trzeba będzie odnowić. - Westchnął głęboko, a jego brzuch uniósł się i opadł. - Żona mi się dobierze do tyłka.

- Przedtem działały?

- Zatrzymaliśmy się kawałek wcześniej bez zad-nych... - świat zaczął się odrobinę chwiać - ...problemów,

- Lepiej niech pani usiądzie. - Funkcjonariusz ujął ją pod łokieć.

- Nic mi nie jest - zaprotestowała. Uśmiechnął się lekko.

- Ma pani na skroni purpurowego guza wielkości śliwki. Poza tym drobnym szczegółem jestem skłonny przyznać, że nic pani nie jest.

Dotknęła ostrożnie skroni. Jej głowę przeszły białe błyski.

Nagle zaczęło ją boleć. Bardzo. Całe ciało. I nie mogła sobie przypomnieć, jak i kiedy to się stało.

- Za stara jestem na to gównu - mruknęła, pozwalając funkcjonariuszowi odprowadzić się na bok.

- Mnie to pani mówi. - Delikatnie pomógł jej usiąść na krawężniku. - Proszę tu chwilę poczekać. Zaraz panią obejrzy załoga karetki.

Wszystko wydawało się być o jakieś piętnaście centymetrów dalej niż powinno.

- To chyba dobry pomysł - powiedziała powoli. -Karta rejestracyjna, ubezpieczenie i cała reszta jest w skrytce. Skinął głową i ruszył w stronę samochodu. Vicki na jakiś czas przestała zauważać, co się wokół niej dzieje.

Kiedy sanitariusze z karetki zasugerowali, żeby pojechała do szpitala, nie kłóciła się z nimi tylko wyciągnęła z głębin torby numer telefonu doktora Dixona i poprosiła, żeby tam zaraz zadzwoniono. Nalegała też, by Rose i Peter pojechali razem z nią. Policjanci, którzy szybko dostrzegli podobieństwo między bliźniętami a jednym ze swoich kolegów, mieli większą siłę przebicia niż sanitariusz i pomogli całej trójce wsiąść do karetki.

- Nie stawiamy żadnych zarzutów - powiedział Vic-ki starszawy funkcjonariusz, wręczając jej wizytówkę - ale mechanicy sprawdzą, co z tymi hamulcami.

To wizytówka warsztatu, do którego zabierają samochód.

Vicki ostrożnie skinęła głową i schowała wizytówkę do torby. Kiedy karetka odjechała, kierowca ciężarówki z holem spojrział na wrak BMW i pokręcił głową.

- Dobrze, że nie jechali całą rodziną.

- Sztorm. Sztorm!

Sztorm jeszcze raz polizał energicznie Chmurę i spojrział na doktora Dixona.

- Idź do kuchni i przynieś mi szklanek wody. Vicki spróbowała wstać z krzesła, ale staruszek ją powstrzymał.

- Nie, Sztorm pójdzie. Tylko nalej zimnej. I rzuć do niej trochę lodu, jeśli jest w zamrażalniku.

Stukając pazurami o parkiet, Sztorm wyszedł.

Dźwięk przemieszczał się po przedpokoju, a potem ucichł.

Vicki uznała, że łak się przemienił. Chmura, z futrem posklejonym śliną brata, otrząsnęła się i ułożyła z łbem na przednich łapach i zamkniętymi oczami.

Doktor Dixon westchnął.

- Już niewiele brakuje - powiedział miękko do Vicki. - A jej bliźniak to wyczuwa. - Niewiele brakuje do czego?

- Jej pierwszej rui. Sądzę, że odeślą go, jak tylko skończy się to zamieszanie. Mam nadzieję, że nie będzie za późno.

- Za późno? - powtórzyła Vicki, przypominając sobie, że w sobotę rano Nadine wspominała o pierwszej rui Chmury.

- Zwykle to się dzieje pod koniec września albo na początku października. W ten sposób dzieci urodzą się wczesnym latem, a koniec ciąży i pierwsze miesiące ich życia przypadną na okres bogaty w pożywienie - zachichotał. - Łaki nie rodzą się z zębami, ale szybko im wyrastają. Oczywiście to wszystko miało większe znaczenie, kiedy żyli z tego, co upolowali, ale podstawy biologii dalej obowiązują. Dzięki Bogu, przez kilka pierwszych lat przemiany dziecka są powiązane z przemianami matki.

Vicki opuściła rękę na ramię staruszka. W szpitalu opatriono większość jej obrażeń poza okropnym guzem. Bolała ją głowa,

wiedziała, że coś jej umyka.

- Doktorze, o czym pan mówi?

- Co? - Odwrócił się i pokręcił głową. - Przepraszam, jestem już stary, zapoironam, że znasz łaki od niedawna - przybrał ton wykładowcy, mówił wolno i precyzyjnie. - Chmura zbliża się do dojrzałości seksualnej. Jej zapach się zmienia. Sztorm na to reaguje. Nie zauważyłaś, jak ją liże?

- Myślałam, że to dla ukojenia. Żeby oczyścić rany.

- Częściowo tak, ale nie podobało mi się, ku czemu to zmierza. Dlatego posłałem go do kuchni.

- Ale on jest jej bratem - zaprotestowała Vicki.

- Właśnie dlatego rodzina go odsyła. Z bliźniakami jest ciężko, nie można ich trzymać razem podczas pierwszej rui. Sztorm poraniłby się, byleby tylko dostać się do siostry. Z biegiem czasu nauczy się kontrolować, ale pierwszy raz, pierwszy raz dla nich obojga... - doktor zawiesił głos i pokręcił głową.

Milczał, kiedy Peter wrócił do pokoju.

- Tobie też przyniosłem - wręczył Vicki drugą szklanę.

Podziękowała mu. Musiała się napić, choćby wody.

Obserwowała dyskretnie, jak Sztorm opada na podłogę i opiera pysk o plecy Chmury, wzdycha głęboko i od razu zapada w sen. Dla niej wyglądało to całkowicie niewinnie. Zerknęła na doktora Dixona. Nie wydawał się zaniepokojony, więc to zachowanie musiało się mieścić w przyjętych, akceptowanych normach.

Sielska scena zmieniła się gwałtownie chwilę później, kiedy na zewnątrz trzasnęły drzwi, a oba łaki zerwały się i pobiegły do wejścia, szczekając z podnieceniem.

- Ich ojciec - wyjaśnił doktor. - Zadzwoń do niego, kiedy wychodziliśmy ze szpitala. Nie było sensu niepokoić go wcześniej, a teraz może was odwiedzić na farmę.

- Wiedzą, że tak będzie? - zapytała Vicki. - Że Sztorm zostanie odesłany?

Doktor Dixon przez chwilę wyglądał na zaskoczonego.

- Kto? Ach. Chmura i Sztorm? Rose i Peter? ~ Kiedy skinęła głową, westchnął. - Wiedzą, że tak się dzieje, ale to przede

wszystkim łaki i nastolatki. Nie wierzą, że to się przytrafi właśnie im. - Pokręcił głową. - Nastolatki. Nieważne, ile by mi zapłacili nie chciałbym przez to przechodzić jeszcze raz. Vicki wyciągnęła rękę i stuknęła lekko swoją szklanką o jego. - Amen - powiedziała. - Amen.

Marszcząc brwi, Mike Celluci przesuwiał palce po kierownicy. Wyjechał od siostry później, niż planował. Miał szczęście, że w ogóle zdołał tego dokonać. Nikt go nie ostrzegł, że ciotka Mary będzie na „małym rodzinnym grillu”. Wiedzieli, że wtedy za nic w świecie by nie przyszedł.

„Mike, nie spodziewałeś się chyba, że babcia przyjdzie sama. Przecież ona ma osiemdziesiąt trzy lata”.

Gdyby ktoś mu powiedział, że babcia przychodzi, sam by się po nią wybrał. Przejazdźka do Dufferin i St. Clair była rozkoszą w porównaniu z popołudniem spędzonym z ciotką Mary. Chociaż próbował, nie udało mu się uniknąć spotkania i w końcu musiał wysłuchać litanii, którą raczyła go przy każdej okazji, odkąd wszedł w okres dojrzewania.

„Michael, kiedy się ożenisz? Nie możesz zapominać, że jesteś ostatnim z Cellucich. Zawsze powtarzałam mojemu bratu, a twojemu ojcu, niech spoczywa w spokoju, że mężczyźni potrzeba wielu synów, by przetrwało nazwisko, ale on mnie nie słuchał. Córki, miał trzy córki. Kiedy się ożenisz?”

Tego popołudnia jakoś udało mu się utrzymać nerwy na wodzy, ale niewiele brakowało. Gdyby nie babcia...

- Tego mi jeszcze brakowało, pieprzonego korka na czterysta-pieprzonej-jeden. - Miał w schowku koguta i syrenę. Pragnienie, żeby wywalić oba na dach i pojechać po chodniku, omijając niedzielny korek, było niemal nie do zwalczenia.

Planował dotrzeć do London przed zachodem słońca, ale nie miał na to szans. Raczej nie wcześniej niż przed jedenastą, jeśli korek się nie rozładuje. Czas go nie naglił, miał trzy dni wolnego, ale chciał porozmawiać z Vicki jeszcze tego wieczora. Zadzwoił do Dave'a Grahama, żeby mu powiedzieć, dokąd

jedzie, co skończyło się na rzuceniu słuchawką, kiedy tamten wybuchnął śmiechem.

- Ja, zazdrosny - warknął, patrząc spode łba na zachodzące słońce. To nie było zabawne. Vicki musiała się dowiedzieć, z kim się zadaje. Dla każdego ze swoich przyjaciół zrobiłby to samo.

Nagle uśmiechnął się szeroko. Może powinien poznać Vicki z ciotką Mary. Staruszka nie miała by szans.

- Czemu jesteś taka zdenerwowana?

Vicki podskoczyła, odwróciła się i spojrzała na Henry'ego.

- Nie rób tak.

- Jak... Jezu, Vicki, co się stało? - Wyciągnął rękę, żeby dotknąć sinozielonej opuchlizny na jej skroni, ale zrezygnował, kiedy się wzdrygnęła i odsunęła.

- Mieliśmy wypadek.

- Wypadek? - Rozejrzał się. - Gdzie są wszyscy?

- Na zewnątrz. - Vicki wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze. - Uzgodniliśmy, że ja ci powiem. - Peter się zgłaszał, ale Vicki mu nie pozwoliła. Miał dość wrażeń jak na jeden dzień.

Henry zmarszczył czoło. W jej głosie kryły się dziwne niedopowiedzenia, których nie rozumiał.

- Ktoś jeszcze został postrzelony?

- Nie, to nie to. - Wyrzwała za okno. Chociaż słońce już zaszło, niebo dalej miało ciemnoszafirowy odcień. - Łaki trzymają się z dala od tamtych pól

i sprawdzają teren wokół domu. Wygląda na to, że jak na razie ta metoda się sprawdza. Nie, chodzi o coś innego.

- O coś, co ma coś wspólnego z... - spojrzał na jej siniak.

Skinęła głową - ...i ze mną.

- Można tak powiedzieć. Nawaliły hamulce w BMW. Walnęła w nas - w Petera, Rose i mnie - ciężarówka. Samochód jest, cóż, poważnie uszkodzony.

- A wy? Nic poważnego wam się nie stało?

- Gdyby stało się nam coś poważnego - powiedziała ostro Vicki
- nie martwiłabym się, że zdemolowaliśmy ci samochód. -
Wzdrygnęła się. - Przepraszam. To był ciężki dzień.
- Kolejny. - Delikatnie ujął dłonią jej policzek i spojrzał w oczy.
- Nie masz wstrząsu mózgu?
- Nie. Peter rozwalił sobie nos, a Rose dorobiła się kolekcji
skaleczeń od rozbitego szkła. Mieliśmy szczęście. - W świetle
lampy jego orzechowe oczy wydawały się niemal zielone.
Każdy nerw jej ciała
zdawał się kończyć na policzku, przy dłoni dotykającej skóry.
Dziwne, o ile dobrze pamiętała, podbródek nigdy nie był jedną
z jej stref erogennych. Odsunęła się, a dłoń Henry'ego opadła.
- Mieliście bardzo dużo szczęścia - zgodził się, siadając na
krześle. Nie był pewien, czy to Vicki reaguje na jego głód -
posilenie się przyśpieszyłoby gojenie obrażeń - czy to jego głód
rósł pod wpływem jej reakcji. Póki co ignorował obie możliwo-
ści. - Nie rozumiem, co się mogło stać z hamulcami. Na wiosnę
samochód przeszedł kontrolę w serwisie, nie było żadnych
problemów. Od tamtej pory mało jeździłem.
Vicki opadła na krzesło naprzeciw niego.
- Warsztat był dziś zamknięty, w końcu to niedziela.
Porozmawiam jutro z mechanikiem. - Oparła łokcie na stole i
spojrzała wampirowi w twarz. - Niezbyt się przejąłeś
samochodem. Gdyby ktoś rozwalił moje BMW, wpadłabym w
furię.
- Czteryście pięćdziesiąt lat na karku sprawia, że inaczej się
patrzy na przedmioty - wyjaśnił. - Uczysz się do nich zbytnio
nie przywiązywać.
- A do ludzi? - zapytała cicho. Jego uśmiech zmienił się.
- Nie, tego nigdy nie zdołałem się nauczyć. Chociaż ciągle
próbuję.
Vicki nie potrafiła sobie wyobrazić, jak to jest, patrzeć, jak
wszyscy, których się kocha, starzeją się i umierają, a samemu
żyć dalej. Nie wiedziała, skąd Henry bierze siłę, by sobie z tym
poradzić. Co przypomniało jej...
- A jak ty się czujesz? - Delikatnie szturchnęła opatrunek na
jego lewym ramieniu.
- Siniak na udzie, siniak na głowie, ramię się goi - To było

bardziej frustrujące niż bolesne. Zwłaszcza kiedy czuł jej krew tak blisko.

— Masz ten wyraz twarzy.

- Jaki?

- Jakbyś czegoś słuchał.

Bicia jej serca. Pulsowania krwi tui pod skórą. - Lepiej pójdę.

Wstała razem z nim. - Vicki, nie.

W ostatniej chwili przypomniała sobie, żeby nie unosić brwi

- Vicki, nie? Henry, ty musisz się posilić, a ja od-

prżyć. Jestem dorosła i jeśli uważam, że zostało mi jeszcze na zbyciu parę łyków cennych płynów życiowych, to ty nie masz nic do gadania.

Henry otworzył usta, zamknął je i poddał się. Gojenie ran pochłonęło jego wszystkie rezerwy, a głód stawał się zbyt silny, by z nim walczyć. Przynajmniej tak sobie to tłumaczył, wchodząc po schodach na górę.

- Jak śmiałeś! Jak ty, kurwa, śmiałeś! - Barry Wu nie pamiętał, żeby kiedykolwiek wcześniej coś go tak rozwścieczyło. - Ty pierdolony sukinsynu, naprawdę wierzyłeś, że ja mógłbym coś takiego zrobić?!

Colin rozpaczliwie starał się utrzymać nerwy na wodzy, ale czuł, jak reaguje na gniew partnera. Tej nocy nie jechali radiowozem, ale wykonywali zadanie specjalne i dopiero teraz mogli porozmawiać.

- Może byś mnie wreszcie posłuchał. Powiedziałem, że nie wierzyłem, że to ty!

Barry uderzył otwartą dłońią w maskę półcieża-rówki Colina.

- Ale też nie wierzyłeś, że tego nie zrobiłem! Trzeba było cholernego detektywa z Toronto, żeby cię przekonać.

- Musisz przyznać, że dowody...

- Nic nie muszę przyznawać! - Odszedł parę kroków, po czym wrócił. - A jak, kurwa, masz zamiar się wytłumaczyć z tego, że przeszukałeś moje mieszkanie?

- A co? Miałem siedzieć na tyłku i czekać, aż facet znowu

zaatakujecie?

- Mogłeś mi, kurwa, powiedzieć!

- No właśnie, kurwa, nie mogłem! - Hej!

Żaden z nich nie usłyszał zatrzymującego się samochodu.

Odwrócili się jednocześnie, ramię w ramię, w pozycji obronnej, sięgając po broń.

„Której żaden z nich nie ma”. Celluci ironicznie uniósł brew.

„Co za szczęście dla całej naszej trójki”.

- Moglibyście znaleźć sobie inne miejsce na sprzeczkę.

Funkcjonariusze policji obrzucający się obelgami na parkingu pod posterunkiem nie wyglądają dobrze w oczach cywilów. - O ile pamię-

tał, kiedyś pewien sierżant powiedział to samo jemu i Vicki

Ani Barry, ani Colin nie tracili czasu na zastanawianie się, skąd obcy wiedział, że są funkcjonariuszami, choć nie mieli na sobie mundurów. Byli młodzi. Od niedawna w policji. Nie byli głupi.

- Nie, sir - odpowiedzieli zgodnie, prawie stając na baczność.

Celluci ukrył uśmiech.

- Szukam kogoś. Kobiety. Nazywa się Vicki Nelson. Jest prywatnym detektywem z Toronto. Pracuje tu dla jakichś ludzi, którzy mają owczą farmę na północ od miasta. Sądzę, że do tej pory zdążyła się już skontaktować z policją, choćby po to, żeby zdo-być informacje. Możecie mi pomóc?

Colin podszedł do samochodu, starając się ukryć troskę pod maską obojętności.

- Proszę mi wybaczyć, sir, ale czemu pan jej szuka? Ma kłopoty?

„Trafione za pierwszym razem. Pewnie zmusiła tego biednego dzieciaka, żeby dla niej przejrzał akta”.

- Jestem jej przyjacielem. Mam dla niej informacje dotyczące mężczyzny, z którym podróżuje.

- Henry'ego? - Troska przebiła się na zewnątrz. Informacje o Henrym mogły oznaczać kłopoty.

- Znasz go?

- Tak. - Barry był lekko zaskoczony zmianą w głosie partnera, który ciągnął: - Nazywam się Colin He-erkens. Henry i Vicki są na mojej rodzinnej farmie. -A potem zaczął podawać

szczegółowe wskazówki.

Krył się za tym jakiś zabawny podtekst, trochę to Barry'ego denerwowało.

Kiedy samochód odjechał, Colin wybuchnął śmiechem i klepnął przyjaciela w plecy.

- Chodź. - Otworzył drzwi do półciężarówki i wsiadł. - Nie chcesz tego przegapić.

- Czego?

- Tego, co się stanie, kiedy ten facet przyjedzie na farmę.

- A co się stanie? Colin wywrócił oczami.

- Chryste, Barry, wiem, że twój nos jest gównem wart, ale nie wierzę, że tego nie wyczujesz. Ten facet prawie zzieleniał z zazdrości. - Przechylił się i otworzył drzwi od strony pasażera. - Gdybyś nauczył się odczytywać sygnały pozawerbalne, byłbyś lepszym gliną.

- Tak? - Barry wsiadł do półciężarówki. - Gdybym chciał pracować z psami, wstąpiłbym do psiego oddziału. - Rozsiadł się wygodnie i zapiął pas. - Nadal chcę wiedzieć, co się stanie, kiedy ten facet przyjedzie na farmę.

- Nie mam pojęcia - uśmiechnął się szeroko Colin, wyjeżdżając na ulicę. - Ale będzie ciekawie.

- Bawi cię to, prawda?

- Uważamy, że ludzie są ogólnie zabawni. Można się uśmieć.

- Owcojeb.

- Żółty dupek.

- Wiesz, pewnie twój wuj nie będzie zachwycony, że wysłałeś tego faceta na farmę. - Barry zabębnił pakami o tablicę rozdzielczą i zerknął na partnera. - Chodzi mi o to, że nie jesteś wielką szychą
Colin skrzywił się.

- Masz rację. Chyba zareagowałem na jego zapach i całą tę sytuację. Wuj Stuart dobierze mi się do gardła. - Wciągnął powietrze głęboko przez zęby. - Chyba nie pomyślałem.

- To jedna z twoich słabych stron. - Ta, która sprawi, że nie awansuje. Zatrzyma go na ulicy, w mundurze. Barry wątpił, żeby Colin kiedykolwiek zaszedł wyżej niż był teraz i czasem zastanawiał się, jak łak sobie poradzi, kiedy on awansuje.

- Barry, CHCIAŁEM ci powiedzieć.

- Zapomnij o tym. - Wiedział, że zapomni. Łaki żyły tu i teraz.
Jemu zajmie to trochę więcej czasu.

ROZDZIAŁ 10

To idiotyzm. Jest 11:30, Vicki już pewnie śpi. Cel-luci siedział w samochodzie i gapił się na ciemną bryłę domu. „W każdym razie jest już w łóżku”. Tej myśli wolał nie rozwijać. „W kuchni pali się światło. Ktoś nie śpi. Mógłbym się przynajmniej upewnić, że nic jej nie jest...” -Jezu!

Zaglądająca przez okno od strony pasażera biała głowa należała do największego psa, jakiego kiedykolwiek widział. Mieszaniec owczarka, malamuta, i, gdyby to było możliwe, wilka. Sprawiał wrażenie nie tyle wrogo nastawionego, co zaciekawionego, a jego oczy... Może nie były aż tak dziwne, jak mu się wydawało, a może to szyba zniekształcała obraz, tak czy inaczej Celluci otworzył okno na tyle, żeby zmieściła się w nim tylko głowa psa. A na wypadek, gdyby bestia chciała rzucić się do środka, trzymał palec na przycisku.

Nawet jeden włoszek nie przekroczył granicy wyznaczonej przez uchyloną szybę, ale mokry czarny nos drgnął kilka razy, kiedy zimne powietrze z wnętrza samochodu ulatywało w noc

To nie szyba, te oczy naprawdę były dziwne. Cel-luci nie potrafił określić, w czym tkwi różnica, ale nigdy nie widział psa z aż tak ludzkim spojrzeniem

Nagle ogromny pies odwrócił się i szczekając, pobiegł do domu. Na tle ciemnego nieba wyglądał jak negatyw.

Zrozumiawszy, że nie ma innego wyboru, Cel-luci wyłączył silnik. Został już zaanonsowany, więc równie dobrze mógł wejść.

- Vicki, obudź się. No dalej, Vicki.

Vicki próbowała zignorować i głos, i dłoń delikatnie potrząsającą za ramię, ale ciało zdradziło ją i zaczęło się budzić. Wreszcie poddała się, mruknęła coś nieprzyzwoitego i sięgnęła po okulary. Chłodne palce poprowadziły jej nadgarstek we właściwym kierunku. Nie otwierała oczu, póki okulary nie znalazły się na miejscu - bez nich i tak była ślepa jak kret. W słabym świetle padającym z korytarza ledwie widziała ciemniejszy zarys ciała mężczyzny. To musiał być Henry, bo jako jedyny w tym domu zwykł nosić ubranie. Poza tym zdradzała go temperatura ciała.

- Henry, miło mi, ale jestem wykończona. Powtórki dziś nie będzie. Spadaj. W jego głosie brzmiał uśmiech.

- Następnym razem to ja będę tym, kto bardziej się wysila. Ale nie dlatego cię budzę. Mamy towarzystwo i chyba lepiej, żebyś wstała.

- Która jest? - 11:33.

Vicki naprawdę nie lubiła zegarków z wyświetlaczem. Tylko miłośnicy wyścigów konnych i adwokaci musieli rozliczać życie z każdej sekundy.

- Dopiero zasnąłam. To nie może poczekać do rana?

- Raczej nie.

- No dobra - westchnęła i wysunęła nogi spod kołdry. - Kto to?

- Detektyw sierżant Michael Celluci. - Kto?!

- De

tek...

- Słyszałam za pierwszym razem. Zamknij drzwi

Zrobił, jak kazała, zasłaniając oczy przed nagłym blaskiem.

Ubrania, które nosiła w ciągu dnia, musiały wystarczyć, zresztą Celluci widywał ją w gorszym stanie.

- Jesteś pewien?

- Na sto procent. Chmura sprawdziła, co to za samochód, kiedy tylko się zatrzymał. Powiedziała, że wywęszyła broń, więc zajrzała do środka. To Michael Celluci. Biorąc pod uwagę, w jakich okolicznościach się poznaliśmy, raczej go nie zapomnę. Vicki miała bardzo mgliste wspomnienia na temat tego, jak

Henry i Celluci się poznali, ale usprawiedliwił ją nieco fakt, że była wtedy zmęczona, wykrwawiała się na śmierć i lada chwila miała zostać złożona demonowi w ofierze.

- Co on tu robi?

- Nie wiem. - Wampir oparł się o ścianę i czekał, aż Vicki przeciągnie koszulkę przez głowę, zanim zaczął mówić dalej. - Ale pomyślałem, że zechcesz usłyszeć, jak to wyjaśnia.

- Zechcę? - Wsunęła stopy w sandały i wstała, przeczesując dłońmi włosy. Ani myślała szukać szczotki. - Za żadne skarby świata nie przegapiłabym tego. A jeśli nie wydarzyło się nic, o czym musiał mnie od razu powiadomić - a nic takiego do głowy mi nie przychodzi - będę miała parę rzeczy do powiedzenia. Henry pragnął przeżyć kolejne czterysta pięćdziesiąt lat, więc przezornie ugryzł się w język.

-Jestem detektyw sierżant Michael Celluci, proszę pani. Jest tu Vicki Nelson?

- Tak. Henry poszedł ją obudzić.

- Niepotrzebnie. - Henry musiał go zobaczyć, jak zbliżał się do domu i rozpoznać. „W takim razie ma wzrok jak sowa. Ja nie widziałem ziemi pod stopami, chmury wszystko zaciemniły”. - Jest późno. Wiem już, że dobrze trafiłem, mogę wrócić jutro.

- Bzdura. - Kobieta gestem zaprosiła go do kuchni. - Jechał pan aż z Toronto, więc może pan jeszcze chwilę poczekać. Ona zaraz zejdzie.

Skoro poszli ją obudzić, nie miał wyjścia. Gorsze od wywleczenia Vicki z łóżka byłoby wywleczenie jej z łóżka i zniknięcie bez słowa wyjaśnienia. Wsunął odznakę i identyfikator z powrotem do kieszeni i zajął miejsce na krześle, obserwując uważnie ogromnego białego psa, który mu się przyglądał. „To idiotyzm. Jedna noc więcej nie zrobiłaby różnicy. A Vicki nie będzie zadowolona, że ją obudzo-no”.

Do kuchni wszedł rudy pies i usiadł obok białego. Nie wyglądał na zadowolonego z obecności gościa. Wydawał się też większy,

choć trudno w to było uwierzyć.

- Co to za rasa?

- Ich przodkami była rzadka europejska rasa łowicka. Pewnie nigdy pan o niej nie słyszał.

- Coś jak wilczarze?

- Tak, coś takiego. - Przysunęła sobie krzesło i usiadła, przyszpilając go intensywnym, pełnym ciekawości spojrzeniem.

- Jestem Nadine Heerkens--Wells. Razem z mężem prowadzimy tę farmę. Vicki dla nas pracuje. Czy jest coś, o czym powinnam wiedzieć, detektywie?

- Nie, proszę pani. To państwa nie dotyczy. - Celluci miał problem z przyjęciem do wiadomości faktu, że Henry Fitzroy przyjaźni się z kimś takim, jak ta kobieta. Choć robiła wrażenie, z ciemnymi włosami i nietypowymi rysami twarzy, otoczenie mówiło jasno: biała klasa niższa. Jej pomięta sukienka bez rękawów wyglądała, jakby ją dopiero co podniosła z podłogi i zarzuciła. „A wokół leży dość szmat, żeby ubrać jeszcze z sześć osób, co dowodzi, że nie obchodzi ich zbytnio stan ich garderoby”. Wszystkie meble musiały mieć co najmniej dziesięć lat, kłębki sierści leżały w każdym kącie, a stół kuchenny był zużyty i wysłużony w charakterystyczny sposób, świadczący, że w tym domu się nie przelewa.

„Oczywiście, mogą wydawać wszystko na psie żarcie”.

Usłyszał kroki na schodach i wstał, odwracając się w stronę drzwi prowadzących na korytarz.

- No dobra, Celluci, co jest? - Vicki zatrzymała się tuż przy nim i zadarła głowę. - Lepiej, żeby ktoś konał... - „bo inaczej zaraz ktoś inny zacznie”, dodawał ton jej głosu.

- Jasna cholera, co ci się stało w głowę?

- W co? A, to. Mieliśmy wypadek samochodowy.

Chyba walnęłam w tablicę rozdzielczą. - Palce jej prawej dłoni poklepały powietrze nad sinozieloną opuchlizną. - W szpitalu mówią, że to tylko guz. Wygląda fatalnie, ale nie ma żadnych większych uszkodzeń. - Zmrużyła oczy, a okulary ześlizgły się jej na czubek nosa. - Twoja kolej.

Henry, który stał tuż przy drzwiach, ukrył uśmiech. Vicki najwyraźniej uważała, że Celluci ma prawo wiedzieć o

wypadku. Kiedy o nim opowiadała, wyzwanie umknęło z jej głosu i postawy. Wróciło, gdy tylko skończyła.

Celluci wziął głęboki wdech.

- Możemy porozmawiać gdzieś na osobności?

- Na osobności?

Spojrzał ponad jej ramieniem na Henry'ego.

- Tak, na osobności. To znaczy, że chciałbym porozmawiać z tobą sam na sam.

Vicki zmarszczyła brwi. Znała już takie spojrzenia. Tłumacząc to na zachowania policyjne, był gotów dokonać aresztowania.

Ale dlaczego Henry'e-go?...

- Pójdziemy do twojego samochodu.

- Myślałem, że nie widzisz w ciemności.

- Wiem, jak wyglądasz. - Złapała go za ramię i popchnęła w stronę tylnych drzwi, rzucając pozostałym „zaraz wracam”.

Gdy tylko wyszli, Peter przeciągnął się.

- Ciekawe, czemu nie chciała porozmawiać z nim w salonie? - powiedział.

Henry uśmiechnął się.

- Tam, gdzie słyszelibyście ich każde słowo?

- No cóż...

- Vicki debrze wie, jak dobry słuch mają łaki. - Henry podszedł do okna i spojrzał na samochód Celluciego. - I jak dobrze słyszę ja.

- No więc?

Zabębnił palcami o kierownicę. Od czego zacząć?

- Chodzi o twojego przyjaciela, pana Fitzroya. Vicki prychnęła.

- No co ty powiesz,

- Sprawdziłem go...

- Co zrobiłeś?

Zignorował to wtrącenie i mówił dalej:

- ...i znalazłem parę nieścistości, o których powinnaś wiedzieć.

- Zakładam, że miałeś bardzo dobry powód, by nadużywać

władzy? - Napięte mięśnie szczęki uciskały jej skroń, zaostrzając ból i sprawiając, że rozlewał się po całej czaszce, ale Vicki nie odważyła się rozluźnić zaciśniętych zębów. Jeśli Celluci odkrył tajemnice Henry'ego, musiała się o tym dowiedzieć. Nie mogła ryzykować, że zapomni się i wda w pełną krzyków sprzeczkę. „To później”.

Celluci słyszał w jej głosie stłumiony gniew, widział zaciśnięte wargi na tle bladej twarzy. Nie miał pojęcia, czemu trzymała nerwy na wodzy, ale czuł, że długo to nie potrawa. Nie było co marnować czasu.

- Powód, Celluci.

- Czy to, co zdarzyło się wiosną, nie wystarczy?

- Nie, jeśli zacząłeś go sprawdzać teraz.

- Dlaczego sądzisz, że zacząłem go sprawdzać teraz?

Dostrzegł jaśniejszy przeblysk uśmiechu. Bynajmniej nie przyjaznego.

-Jedziesz tu aż z Toronto, wdzierasz się do obcego domu o 11:30 w nocy, sprawiasz, że wyrwają mnie ze snu i wywlekają z łóżka, a ja mam uwierzyć, że chcesz mi powiedzieć coś, o czym wiesz od miesięcy? Przyznaj się do winy, Celluci, dowody świadczą przeciwko tobie.

- Słuchaj - odwrócił się do niej - twój przyjaciel nie jest tym, za kogo go uważasz.

- A za kogo ja go uważam? - Ton głosu Vicki nie wróżył nic dobrego.

- No nie wiem. - Celluci obiema dłońmi przeczesał włosy. - A nie, cholera, wiem! Myślisz, że to jakiś egzotyczny amant z książki, z którym będziesz jadła kolacje przy świecach, spędzała romantyczne noce przy świetle księżyca...

Vicki poczuła, że opada jej szczęka.

- ...ale w informacjach na jego temat są dziury, przez które tir by przejechał. Wszystko wskazuje, że Fitzroy ma coś wspólnego z przestępczością zorganizowaną.

- Przestępczością zorganizowaną? - powtórzyła głucho.

- Po dodaniu wszystkich faktów, tylko to pasuje. Parsknęła. Nie mogła nic na to poradzić, nie wytrzymała.

Celluci pochylił się, próbując wyczytać coś z jej twarzy. Kiedy już otrząśnie się z szoku, będzie chciała się dowiedzieć, co

odkrył.

Vicki jeszcze kilka razy powtórzyła „przestępczość zorganizowana”, zanim całkiem straciła kontrolę.

Patrzył, jak się pokłada ze śmiechu, i zastanawiał się, czy powinien ją spoliczkować. Zawsze mógł potem tłumaczyć, że myślał, iż wpadła w histerię.

Wreszcie Vicki wzięła się w garść.

- Teraz mnie wysłuchasz? - wycodził.

Vicki pokręciła głową i odsunęła z jego czoła długi kosmyk - nie musiała go widzieć, wiedziała, że tam jest.

- Odłożymy na razie twoje motywy na bok. Bardziej nie mogłeś się mylić. Uwierz mi, Mike. Henry Fitzroy nie ma nic wspólnego z przestępczością zorganizowaną. Z żadnym jej rodzajem.

- Sypiasz z nim, prawda?

To by było na tyle, jeśli chodzi o motywy. „Jesteś moja”, wibrowało w jego głosie i w zadanym pytaniu. Niestety, teraz nie mogła wybić mu z głowy tych archaicznych poglądów - to było zbyt niebezpieczne dla Henry'ego.

- A co to ma do rzeczy?

- Nie chciałybyś uwierzyć...

- Gówno prawda. Bardzo chętnie uwierzę, że jesteś szowinistycznym dupkiem z przerośniętym instynktem posiadania, a sypiam z tobą - tyle w kwestii dobrych intencji. Nie chciał krzyczeć aż tak głośno, ale jego głos niemal odbijał się echem we wnętrzu samochodu.

- Vicki, mówię ci, że Henry Fitzroy nie... Co to było?

- Co? - Vicki wyjrzała przez okno, ale w mroku nic nie widziała. Poprawiła okulary. Bez efektu.

- Coś właśnie tędy przebiegło. To mógł być jeden z tych wielkich psów. Wyglądał, jakby był ranny.

- Szlag! - Wypadła z samochodu i już biegła w stronę domu, jeszcze zanim skończyła kląć. Wokół panowała ciemność absolutna. Vicki widziała tylko bladą plamę światła w kuchennym oknie. „To duży budynek. Na pewno go nie przegapię”. Potem przypomniała sobie, co Henry mówił pierwszej nocy

o zakręcającej ścieżce. Za późno. Potknęła się i upadła, ryjąc

rękami w miękkiej ziemi grządek.

- Chodź. - Celluci postawił ją na nogi i mocno trzymał za ramię.

- Jeśli to takie ważne, zaprowadzę cię.

Razem wpadli przez kuchenne drzwi, akurat by ujrzeć, jak ogromne rude zwierzę pada na podłogę. Sierść na jego klatce piersiowej miała ciemniejszy odcień śmiertelnej czerwieni.

- Za duży na Sztorma - powiedziała Vicki, wrywając się z uścisku Celluciego. - To musi być...

W jednej chwili nie było już żadnych wątpliwości. Kształt się zmienił, a krew zaczęła wypływać z paskudnej rany po prawej stronie piersi Donalda.

Vicki i Nadine niemal równocześnie padły na kolana przy rannym łaku. Nadine, która zabrała ap-teczkę spod zlewu, fachowo opatrzyła rany.

- Większość zabiegów wykonujemy sami - powiedziała, odpowiadając na nieme pytanie Vicki.

Nic dziwnego. Przez wieki nie mieli opieki lekarskiej, obecność doktora Dixona tak naprawdę niewiele dla nich znaczyła.

- Nie wygląda na postrzał. - Wspólnie owinięły bandaż wokół szyi Donalda. - Chyba oberwał rykoszetem od jakiejś skały.

Nadine prychnęła.

- Poczyszające.

- Sądziłam - warknęła Vicki, podtrzymując Donalda, podczas gdy Nadine dalej owijała go bandażem - że wszyscy zgodziliśmy się trzymać z dala od tych pól.

- Nie jest łatwo dać sobie radę z imperatywem terytorialnym.

- Z nabojem kaliber .30 też nie.

- O czym wy, do diabła, mówicie? - Celluci postąpił o krok. - Co tu się dzieje?

- Później, Mike. Chyba trzeba go zabrać do szpitala.

- Masz rację. Chmuro!

Ku zaskoczeniu Celluciego wielki biały pies wybiegł z pokoju.

- Co on robi? Zadzwoń na 911?

- Tak - rzuciła ostro Vicki, poprawiając okulary wierzchem okrwawionej dłoni.

Henry ruszył przez kuchnię. Ktoś musiał się zająć Michaeliem Cellucim i chociaż wcale mu się to nie uśmiechało, wyglądało na to, że trafiło na niego.

„Nie ma powodów do paniki, detektywie, to tylko wilkołaki”.
Lepiej użyć siły, niż cokolwiek wyjaśniać. Zabrać go stąd i tak zakreślić jego umysłem, żeby już sam nie wiedział, co właściwie zobaczył.

Niestety, zanim Henry pokonał cztery metry dzielące go od Celluciego, sytuacja ponownie uległa zmianie.

Stuart, który zobaczył obcy samochód zaparkowany przy drodze, zabrał ze stodoły spodenki i zmienił się przed wejściem do domu. Mowa i para rąk często robiły wielką różnicę w przypadku nieplanowanej konfrontacji. Teraz żałował, że zrezygnował z pazurów i zębów. Członek jego watahy został ranny, a zapach krwi sprawił, że wargi Stuarta uniosły się, odsłaniając zęby.

- Co tu się dzieje? - warknął.

- Donald został ranny. Vicki mówi, że to rykoszet. Karetka już tu jedzie - Nadine wyrzuciła z siebie słowa, nie podnosząc głowy.

- Zmienił się?

- Kiedy stracił przytomność. Stuart odwrócił się twarzą do obcego. Włosy na

karku stanęły mu dęba, uszy położył płasko po sobie.

- A ten to widział?

- Tak, ten to widział. - Szczeka Celluciego wysunęła się do przodu w niebezpieczny sposób. - I chcę usłyszeć jakieś wyjaśnienia. Natychmiast.

- Proszę nie prowokować, detektywie. - Henry widział, że Stuart już ledwie nad sobą panuje. Re- agował na agresję Celluciego tak, jak reagowałby na wyzwanie rzucone przez dominującego samca swojego gatunku.

- Nie wtrącaj się. Fitzroy. - Zaciskając pięści, Celluci spojrzął w oczy stojącemu w drzwiach mężczyźnie. Zniósł już wystarczająco dużo i więcej nie zamierzał. Psy nie zmieniają się w ludzi. - Chcę wyjaśnień. Już.

Warkot był ostrzeżeniem i coś w głębi mózgu Celluciego to zrozumiało. Tyle że sam Celluci nie zamierzał słuchać.

- No? Czekam!

Długo nie musiał. Jego już i tak chwiejący się w posadach świat

rozpadł się do reszty, kiedy szorty opadły na podłogę, a ogromna czarna bestia, składająca się głównie z zębów, rzuciła mu się nagle do gardła. Wtedy coś go odepchnęło. Henry i bestia upadli na podłogę. Wampir zablokował atak sprawnym ramieniem i zdołał powalić łaka na podłogę. Ale nie był w stanie go tam utrzymać, nie robiąc mu przy tym krzywdy. „Przynajmniej jego gniew zmienił kierunek”. Celluci wiedział, że człowiek nie może się poruszać tak szybko, jak robił to Henry Fitzroy. Bestia atakowała błyskawicznie, a on już był gdzie indziej. W ułamku sekundy. Albo prawie. Znowu. I znowu. Szybciej niż bicie serca. I nieustannie wydawał z siebie głęboki, gardłowy warkot zagrożonego zwierzęcia, przy każdym ataku osiągający pełne dzikości crescendo.

„Mały taniec śmierci”, pomyślał Henry. Zęby kłapnęły w powietrzu tuż obok jego biodra. Nawet teraz, z uszkodzonym ramieniem zdołałby zmusić łaka, żeby się poddał - był od niego szybszy i silniejszy, ale co potem? Pokonać dominującego samca i rządzić watahą? „Nie, wielkie dzięki, nie skorzystam”, stwierdził, kiedy wykonywali kolejną figurę. Ale czuł, że jego ciało reaguje na zapachy, dźwięki i gniew i zastanawiał się, jak długo jeszcze będzie w stanie się kontrolować. „Musi być jakiś sposób, żeby to przerwać...”

Nagle to przestał być jego problem.

Ponieważ Donald wciąż leżał na podłodze, atakującym rudym łakiem musiał być Sztorm. Henry pośpiesznie usunął się z drogi, a oba samce, warcząc

i kłapiąc zębami, potoczyły się po podłodze, odskoczyły od siebie, przez chwilę krążyły i znowu rzuciły sobie do gardeł.

„Dość!” Celluci opadł na kolano i wyciągnął broń z kabury na kostce. Nie myślał jasno i nie był pewien, do kogo - czego - ma zamiar strzelić - „Na litość boską, to jest czyjaś kuchnia!” - ale z bronią w dłoni czuł, że odzyskuje przynajmniej część kontroli nad sytuacją.

Wtedy Sztorm zaskamlał i rzucił się na podłogę, unosząc w górę wszystkie łapy. Miał naderwane jedno ucho. Długie, białe zęby zacisnęły się wokół jego gardła.

Celluci uniósł broń.

Cienkie, przesywające wycie przedarło się przez panujący chaos i wszyscy gwałtownie zamarli, zupełnie jakby ktoś krzyknął: „raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy”. Potem, niemal jednocześnie, odwrócili się. Cień siedział na progu drzwi prowadzących na korytarz, unosząc pysk i ciężko pracując gardłem. Grobowe wycie wznosiło się i opadało. Trwało ledwie ponad minutę, wibrując w żyłach i kościach, nie dając się zignorować, aż wreszcie zakończyło się małą czkawką.

Nadine zareagowała pierwsza. Zostawiła Donalda z Vicki i rzuciła się, by wziąć Cienia na ręce. Wtulił się w matkę, próbując schować głowę w jej piersi. Podniosła jego łeb i spojrzała z niepokojem w oczy.

- O co chodzi, małeńki? Co się stało?

Zachęcony, żeby przemówić, a więc przemienić się, Daniel wyjrzał zza ramienia matki i zaszlochał.

- Ten pan chce zastrzelić tatusia!

Wszystkie głowy odwróciły się w stronę, którą wskazywał palec Daniela - wszystkie poza głową Sztorma, który leżał na podłodze, przyszpilony ogromną łapą wuja i poddawał się wylizywaniu nadgryzionego ucha.

Vicki ukłękła, wciąż trzymając dłoń na grubej warstwie bandaży owiniętego wokół klatki Donalda i pilnując jego pełnego wysiłku oddechu. Wywróciła oczami i westchnęła.

- Na litość boską, Celluci, odłóż ten substytut penisa.

Za przezroczystych drzwi niespodziewanie dobiegł gromki śmiech. Zebrani znowu odwrócili głowy, tym razem żeby spojrzeć na Barry'ego i Colina wchodzących do kuchni.

- Mówiłem ci, że jeśli staniemy na stacji, przegapimy najlepsze

- powiedział Colin.

- Na pewno widziałam to w którymś z filmów braci Marx -

mruknęła Vicki. - Jakie są szanse, że jakoś się ogarniemy, zanim przyjedzie karetka?

Colin rozejrzał się po kuchni, węsząc. Przestał się uśmiechać, kiedy dostrzegł leżące na podłodze ciało.

- Tato! - padł na kolana, odpychając Vicki. - Co mu się stało?

- Rykoszet. Nasz strzelec chybił.

- Czy on...?

- Co najmniej jedno złamane żebro i rozdarte mięśnie. Nie wiem jak z obrażeniami wewnętrznymi.

- Czemu on tu leży? Musimy go zabrać do szpitala! - Chwycił ojca pod pachy.

Vicki odsunęła jego dłonie.

- Spokojnie, karetka już jedzie.

- Jeśli został postrzelony w ludzkim kształcie, będziemy musieli to zgłosić - wtrącił Barry, delikatnie dotykając pleców Colina.

- Nie został - powiedziała Vicki, wstając. - Zmienił się, kiedy wszedł do domu. Ty jesteś Barry Wu?

- Tak, proszę pani.

- Chcę z tobą porozmawiać.

- Tak, proszę pani. Później. Eee... jeśli zmienił się w domu... - spojrzał na Celluciego i z powrotem na Vicki.

_Westchnęła.

- Tak, widział. - Odwróciła się do Celluciego, wy cierając zakrwawione palce o szorty. - Mike, odłóż to.

Oddychając ciężko, spojrzał na broń, jakby widział ją pierwszy raz w życiu.

- Mike, odłóż to.

Spojrzał na nią, marszcząc brwi.

- To jakieś wariactwo - powiedział.

- Wszystko da się bardzo prosto wyjaśnić. - Podeszła bliżej. W razie czego była gotowa się na niego rzucić. Przy odrobinie szczęścia zawaha się, zanim do niej strzeli i wtedy ona zdąży go rozbroić.

- Dobra. - Odgarnął kosmyk włosów z czoła. - Słucham.

Vicki zerknęła na Nadine, która wzruszyła ramionami.

- Powiedz mu. Jeśli uważasz, że to zniesie.

Vicki pomyślała, że i tak nie mają wyboru, w każdym razie nie, jeśli chcą, żeby broń wróciła tam, gdzie jej miejsce.

- To co z tym prostym wyjaśnieniem? - naciskał Celluci.

Wyprostowała się, spojrzała mu w oczy i takim tonem, jakby stwierdzała coś najzupełniej oczywistego, powiedziała:

- Wilkołaki.

- Wilkołaki - powtórzył odruchowo, potem pochylił się i wsunawszy trzydziestkęósemkę do kabury, poprawił jeszcze nogawkę dzinsów. Wyprostował się, spojrzał na Cienia

ocierającego się o ojca, na Sztorma i Chmurę, którzy robili mniej więcej to

samo, a potem na Henry'ego. - Ty też? - zapytał. - Nie.

- Dobrze. - Celluci skinął głową. Wziął głęboki oddech i zaczął kłać. Po włosku. Robił to przez jakieś trzy minuty. Zdołał nawet użyć słów, których nie miał w ustach od dzieciństwa.

Większość wykrzyczał na Vicki, która cierpliwie czekała, aż mu przejdzie.

Henry doskonale znał włoski, a przynajmniej jego odrobinę archaiczną formę. Zauważył z lekkim podziwem, że Celluci powtarzał się tylko w przypadku przymiotników, którymi wzbogacał swoje przekleństwa.

Jego zasoby słownikowe wyczerpały się akurat wtedy, gdy na końcu alei błysnęły światła karetki.

Wówczas Nadine przejęła dowodzenie.

- Chmuro! Zabierz Cienia na górę i przypilnuj, żeby on i bliźniaczki nie schodzili na dół. Sztormie, zostań w kudłatym kształcie, ciągle krwawi ci ucho. Łapko, ubierz się w coś. „Łapka?“, powtórzyła w duchu Vicki, podczas gdy Stuart wciągał spodnie od dresu. „Kudłaty kształt Stuarta ma na imię łapka?..”

- Colin - ciągnęła Nadine, zamykając drzwi za Chmurą i Cieniem - pojedziesz za nimi do miasta na wypadek, gdyby potrzebna była transfuzja. Vicki, zabierzesz się z nim karetką? Jeśli się obudzi...

- Nie ma sprawy.

„Innym rozkazała, a ją zapytała”, z lekkim rozbawieniem zauważył Henry.

Kiedy sanitariusze wynosili Donalda na noszach, Celluci złapał Vicki za ramię i odciągnął ją na stronę.

- Jadę za wami. Musimy porozmawiać.

- Już się nie mogę doczekać.

- I dobrze. - Uniósł wargi w górę, odsłaniając zęby w parodii uśmiechu. Nikt ze znajdujących się w kuchni, czy to wilkołak, czy wampir, nie zdołałby wyszczerzyć się wymowniej.

ROZDZIAŁ 11

Bo szpital musi zgłaszać rany postrzałowe. Powinieneś o tym wiedzieć.

Colin spojrział na Barry'ego i dwóch innych funkcjonariuszy rozmawiających nieopodal pokoju pielęgniarek.

- Mówiłaś, że to rykoszet. Vicki wywróciła oczami.

- Colin...

- No dobra, przepraszam. Tylko co ja im, do cholery, powiem?

- Ty nic im nie powiesz. - Zakryła ręką ziewnięcie. - Ja to zrobię. Zaufaj mi. Siedziałam w tym dłużej niż ty, wiem, co policja chce usłyszeć i jak im to powiedzieć.

- Vicki. - Celluci poklepał ją po ramieniu. - Przykro mi rozwiewać twoje radosne złudzenia, ale je-steś najgorszym kłamcą, jakiego znam.

Odwróciła się w jego stronę, poprawiając okulary.

- Kłamać policji? Nawet by mi to przez myśl nie przeszło.

Każde słowo, jakie wypowiem, będzie w stu procentach prawdziwe.

- Więc ktoś jakiś czas temu ćwiczył strzelanie w tym lesie?

- Nie jestem pewna, czy trzy strzały można nazwać ćwiczeniami.

- Należało to jednak zgłosić, proszę pani. Jeśli ktoś strzela na terenie rezerwatu, chcielibyśmy o tym wiedzieć.

- Zdaniem rodziny to tylko dlatego, że Arthura Fortrina nie ma teraz w mieście - wtrącił się Colin.

Kiedy się nim lekko pokierowało, Colin zdumiewająco dobrze

radził sobie z mówieniem półprawdy. „Ale tak na dobrą sprawę nie ma innego wyjścia”, uświadomiła sobie Vicki.

Funkcjonariusz wyglądał na nieprzekonanego.

- Nie sędzę, żeby nieobecność jednego leśniczego miała tu coś do rzeczy. A ty powinienes lepiej wiedzieć, co należy robić - zamknął notatnik. - Powiedz rodzinie, że następnym razem, gdy usłyszą strzały, mają do nas zaraz zadzwonić. Może uda nam się zauważyć strzelca albo jego samochód.

- Powiem im, ale... - Colin wzruszył ramionami.

- Tak, wiem, ale czy oni posłuchają. - Funkcjonariusz westchnął i spojrzał na Vicki. Nie podobało mu się, że prywatny detektyw z Toronto pęta się po kawałku lasu, za który on odpowiadał, ale policyjna

przeszłość dodawała jej wiarygodności. Ostrzeżenie, żeby na siebie uważała, utknęło mu w gardle, kiedy spojrzał jej w oczy.

Wyglądała na kogoś, kto potrafi zadbać o siebie i o wszystko, co stanie jej na drodze. Odwrócił się do Colina. - Czy ma to coś wspólnego z wyjazdem twojej ciotki Sylvii? Colin prychnął.

- Cóż, powiedziała, że wynosi się stąd na dobre.

- Pojechała na Yukon?

- Tak. Jej brat, wuj Robert, ma dom tuż pod Whi-tehorse.

Powiedziała, że u nas robi się zbyt tłoczno.

- Wuj Jason też wyjechał, prawda?

- Tak. Ojciec oskarżył ciotkę Sylvie o zapoczątkowanie exodusu i zagroził, że zamknie Petera, Rose i mnie w domu, póki wszystko się nie uspokoi.

- Szczerze mówiąc, dziwię się, że mieszkał z wami tak długo.

Mężczyzna potrzebuje własnych czterech kątów. -

Funkcjonariusz żartobliwie szturchnął Co-lina w żebra długopisem. - A ty kiedy się wyprowadzasz?

- Kiedy uznam, że jestem gotów popełnić samobójstwo, zjadając to, co sam ugotuję.

Obaj roześmiali się, a rozmowa zeszła na tematy kulinarne.

Do Vicki dotarło, że łąki nie są aż tak odizolowane od świata, jak jej się wydawało. Colin, podejmując pracę, sprawił, że ludzie zaczęli na nich zwracać uwagę. Na szczęście policja zwykła troszczyć się o swoich. Ale w sprawie strażów mogli

zrobić niewiele. Pozostawało liczyć na to, że zwiększenie liczby patroli w rejonie da Vicki więcej czasu na znalezienie tego psychopaty, zanim jeszcze ktoś zginie. Łaki będą musiały pogodzić się z tym, że są obserwowane, i przez jakiś czas bardziej uważać, kiedy się przemieniają. To nie była wielka cena.

- ...w każdym razie z Donaldem wszystko w porządku. Wypuścili go ze szpitala i oddali pod opiekę doktora Dixona - starszynek ma dar przekonywania - i pewnie już jutro będzie mógł wrócić do domu. Postrzelono go w jednym kształcie, a potem się przemienił, więc nie ma niebezpieczeństwa zakażenia. Colin już wraca, wszystko wam dokładniej wyjaśni. A, Nadine, będę nocować w mieście.

- Wyjaśnienia? - Aha.

- Ufasz mu w tej sprawie?

- Powierzyłabym mu własne życie.

- To dobrze. Bo powierzasz mu nasze. Vicki odwróciła się lekko, aby spojrzeć na Cel-

luciego, który opierał się o ścianę naprzeciw automatów telefonicznych. Wyglądał na zmęczonego, ale nic poza tym nie dało się z niego wyczytać. Postawił wszystkie mury, jakie nauczyli się wznosić w pracy.

- Będzie dobrze. Dasz mi Henry'ego?

- Chwileczkę. - Nadine podała słuchawkę wampirowi. - Miałaś rację - przyznała, gdy ją wziął.

Nie wyglądał na ucieszonego. Jeśli twarz Cellu-ciego była bez wyrazu, twarz Henry'ego równie dobrze mogła być wykuta z kamienia.

- Vicki?

- Cześć. Uznałam, że powinnam ci to powiedzieć. Zostaję na noc w mieście. Potrzebuję trochę czasu sam na sam.

- Sam na sam?

- No, poza farmą.

- Nie powiem, żebym był zaskoczony. Ty i pan Celluci macie

dużo do obgadania.

- Co ty nie powiesz... Zrobisz coś dla mnie?

- Wszystko - zanim zdążyła odpowiedzieć, przemyślał to i dodał: - Prawie wszystko.

- Tej nocy trzymaj się blisko domu.

- Czemu?

- Bo jest 3:40 rano, a słońce wschodzi około 6:00.

- Vicki, już od bardzo dawna unikam świtu. Nie matkuj mi.

No dobra. Może na to zasłużyła.

- Henry, słuchaj, jest już późno, ty masz tylko jedną sprawną rękę - w najlepszym razie półtorej - a ja ciężki dzień za sobą, który w dodatku jeszcze się nie skończył. Bardzo cię proszę, spraw, żebym przez następnych kilka godzin musiała się martwić przynajmniej o jedną osobę mniej. Wiemy, że zabójca podchodzi prawie pod sam dom, nie wiemy za to, gdzie dokładnie strzelał do Donalda.

- Nie zapytałaś go?

- Nie było okazji. Słuchaj. - Oparła się o ścianę. - Załóżmy, że farma jest atakowana, i zachowujemy się odpowiednio do sytuacji, dobrze?

- Prosisz mnie, żebym to zrobił dla twojego spokoju?

Wciągnęła głęboko powietrze i wypuściła je powoli. Nie miała prawa prosić, by zrobił dla niej coś takiego z takiego powodu.

- Tak.

- Dobrze. Usiądę sobie cichutko w kuchni i popracuję nad fabułą następnej książki.

- Dziękuję. I zatrzymaj łaki w domu. Nawet jeśli będziesz musiał zabić drzwi na krzyż. - Potarła grzbiet nosa. - Ile razy mam jeszcze powtarzać, żeby trzymały się z dala od tych pól?

- Wróg, którego nie zobaczą ani nie wywęszą, nie jest dla nich realny.

Prychnęła.

- Cóż, śmierć jest realna. Do zobaczenia jutro wieczorem.

- Możesz na to liczyć. Vicki? Będą z nim problemy?

Spojrzała na Celluciego, który właśnie starał się ukryć ogromne ziewnięcie.

- Jest mistrzem w sprawianiu problemów, ale zwykle nabiera rozumu, gdy go wystarczająco mocno walnę.

Rozłączyła się i na chwilę oparła czoło o chłodną słuchawkę. Nie pamiętała, kiedy ostatnio tak bardzo chciało jej się spać. - Chodź. - Celluci wyprowadził ją na parking, gdzie żar uderzył w nich niczym ściana ognia. - Znam tani, czysty motel przy lotnisku, gdzie można się zjawić o dowolnej porze, byle z gotówką.

- Jakim cudem znalazłeś takie miejsce? - Ziewnięcie niemal zwichnęło jej szczękę, a jego skutkiem był ból, idący w podkutych butach od posiniaczonej skroni. - Nieważne. Nie chcę wiedzieć. - Wsiadła do samochodu i pozwoliła głowie opaść na zagłówek. - Wiem, że nie możesz się już doczekać, żeby zacząć przesłuchanie. Może po prostu zacznę od początku i opowiem ci to moimi własnymi słowami? - Gdyby dostawała dolara za każdym razem, kiedy powiedziała coś takiego do świadka, byłaby bogatą kobietą.

Z zamkniętymi oczami zaczęła od Rose i Petera, których poznała w mieszkaniu Henry'ego. Skończyła na postrzeleniu Donalda, akurat kiedy zatrzymali się przy motelu. Jedyne, o czym nie wspomniała, to prawdziwa natura Henry'ego. To była tajemnica ła-ków, nie Vicki, nie mogła jej zdradzić.

Ale Celluci powiedział tylko:

- Zaczekaj w wozie, wynajmę pokój.

Nie miała zamiaru ruszać się bardziej, niż to było konieczne, więc zignorowała jego ton i czekała. Na szczęście wrócił z kluczami do pokoju na parterze. Miała poważne wątpliwości, czy dałaby radę wejść po schodach.

- Czemu jesteś taki milczący? - zapytała, ostrożnie siadając na jednym z podwójnych łóżek. -

Spodziewałam się co najmniej kolejnej porcji włoskiej hysterii.

- Myślę. - Usiadł na drugim łóżku, odpiął kaburę i starannie ułożył ją na szafce. - Ta idea, o ile się orientuję, jest ci obca.

Tyle że nie wiedział, co myślał. O niektórych rzeczach Vicki na pewno mu nie powiedziała. Był wyczerpany i miał wrażenie, że to wszystko przydarzyło się komuś innemu. Nie mógł uwierzyć, że naprawdę sięgnął po broń. Już łatwiej było mu uwierzyć w wilkołaki.

- Wilkołaki - mruknął. - A co potem?

- Spanie? - podsunęła z nadzieją, choć odrobinę bełkotliwie

Vicki.

- Ma to coś wspólnego z tym, co zdarzyło się wiosną?

- Spać? - Coś jej tu nie grało, ale nie była w sta nie zmusić mózgu, żeby zaczął pracować.

- Nieważne. - zdjął jej okulary i położył obok broni, a potem szybko rozebrał Vicki. Pozwoliła mu na to. Nienawidziła spać w ubraniu, a sama nie miała dość sił, by się go pozbyć.

- Dobranoc, Vicki.

- Dobranoc, Mike. Nie martw się - walczyła ze swoimi ustami, żeby przepchnąć przez nie ostatnie słowa. - Rano wszystko znowu będzie miało sens.

Okrył ją.

-Jakoś w to wątpię - powiedział miękko, chociaż wątpił, czy ona go jeszcze słyszy.

Henry wstał i spojrział na nocne niebo, starając się uporządkować swoje uczucia. Zazdrość była czymś, z czym jego rodzaj szybko uczył sobie radzić - inaczej długo by nie pożyli. „Jesteś moja!” - brzmiało to bardzo dramatycznie, zwłaszcza połączone z powiewaniem peleryny i odpowiednim podkładem muzycznym, ale w prawdziwym życiu sprawy wyglądały nieco inaczej.

Problemem musiał zatem być sam Celluci.

- Ten człowiek żyje tak, jakby cały czas rzucał wyzwanie - mruknął Henry. Nie zdziwiło go, że Stuart zaatakował detektywa - tak to się kończyło wśród dominujących samców. To, że Henry od jakiegoś czasu był w pobliżu, też nie pomogło. Chociaż cieszył się specjalnymi przywilejami, Stuart w jego obecności zawsze był podenerwowany, wciąż domagając się, by jeden z nich się poddał. To samiec alfa miał chronić watahę. Frustracja spowodowana bezsilnością i tym, że musieli szukać pomocy u obcych, też robiła swoje.

Jeśli dodać do tego charakter Celluciego i stan Stuarta, walka była nieunikniona. Za to interwencja Sztorma zaskoczyła wszystkich, włączając w to samego łaka. Chmura musi być już

blisko rui, skoro jej bliźniak zaczyna się zachowywać tak irracjonalnie.

Co, w mniej lub bardziej bezpośredni sposób, sprowadzało temat z powrotem do Vicki.

Henry uśmiechnął się szeroko. Gdyby Celluci był wilkołakiem, wyrysowałby moczem okrąg wokół Vicki, oznajmiając światu: „To moje!” A Vicki wstałaby i z tego okręgu wyszła.

- Nie jestem o niego zazdrosny - poinformował noc, zdając sobie sprawę, że to prawie kłamstwo.

- Umiemy kochać? - Proces już się rozpoczął, chociaż nie doszło jeszcze do ostatecznej przemiany.

Christina odwróciła się do niego. Jej ciemne oczy skrywały w cieniu wachlarze hebanowych rzęs.

- Wątpisz w to? - zapytała, wsuwając się w jego ramiona.

Od tamtego czasu zdarzyło mu się kogoś kochać jakieś pół tuzina razy i zawsze było to niczym wybuch fajerwerków na tle długiego życia w mroku.

Czy to znowu się stało? Nie był pewien. Ale wiedział, że bardzo chce powiedzieć Mike'owi Cellu-ciemu: „może i dnie są twoje, ale noce należą do MNIE”.

Celluci pewnie byłby równie mało skłonny się z tym zgodzić, jak Vicki.

- Nie możesz zapominać o tym, co robią w ciągu dnia. -

Christina położyła jego głowę na swoich piersiach i delikatnie pogładziła. - Bo jeśli tak zrobisz, jad będzie sączył się do twojego serca, zmieni twoją naturę i staniesz się jedną z tych istot nocy, których mają się prawo bać. A strach jest tym, co nas zabija.

Może kiedy już łaki będą bezpieczne, zapyta ją: „czy dasz mi swoje noce?”. Może.

Chciał jej dotknąć, objąć... Nie, chciał ją schwycić, rzucić na ziemię i udowodnić, że należy do niego. Siła pożądania przeraziła go, zatrzymała. Niepewny usiadł na skraju łóżka, obserwując, jak ona śpi, słuchając jej miękkiego oddechu na tle warkotu tajniej klimatyzacji.

Oboje mieli innych kochanków. „Ona miała innych kochanków”.

Mike Celluci z trudem rozluźnił dłonie i ułożył płasko na nagich udach. Odetchnął głęboko schłodzonym powietrzem. Pomiedzy nim a Vicki nic się nie zmieniło, odkąd pojawił się Henry Fitzroy.

Nagle nie mógł przestać myśleć o pierwszych ośmiu miesiącach po tym, jak opuściła służbę. Bardzo się wtedy pokłócili, a potem całkiem stracili kontakt. Dni zaczęły zmieniać się w tygodnie, tygodnie w miesiące, świat stawał się coraz bardziej nie do wytrzymania. Póki nie zniknęła z jego życia, nie miał pojęcia, jak ważną jego częścią była. Nie brakowało

mu seksu. Tęsknił za rozmowami i kłótniami -u większość ich rozmów kończyła się kłótnią - za tym, żeby mieć obok siebie kogoś, kto załapie żart. Stracił najlepszego przyjaciela i ledwie nauczył się żyć bez niej, kiedy los znowu ich ze sobą połączył. Nikt nie powinien przechodzić przez coś takiego dwa razy. Ale Fitzroy przecież nigdzie jej nie zabierał. Prawda?

- Słuchaj, jeśli myślisz, że po tym, co zaszło minionej nocy, grzecznie wrócę do Toronto, to się mylisz. Odwożę cię na farmę. Wsiadaj.

Vicki westchnęła i poddała się. Znała ten ton. Mówił: „dzieje

się tu więcej, niż widać na pierwszy rzut oka, a ja mam zamiar to rozpracować i nic mnie nie obchodzi, co ty o tym myślisz". Poza tym było za gorąco, żeby się kłócić. No i gdyby jej nie odwiózł, ktoś z farmy musiałby po nią przyjechać. A to nie było sprawiedliwe.

Wiedział już o wilkołakach, więc nie powinien sprawiać żadnych problemów. Zwłaszcza że Henry będzie bezpieczny.

- No dobra - zapalił silnik i podkręcił klimatyzację - jakie są szanse, że twój włochaty przyjaciel znowu rzuci mi się do gardła?

- Zależy. Jakie są szanse, że będziesz się zachowywał jak ostatni dureń?

Skrzywił się.

- Tak się zachowywałem?

Vicki pokręciła głową. „A już myślałam, że nie ma żadnych zalet rekompensujących te wszystkie wady...”

- No cóż - powiedziała głośno - podważyłeś autorytet Stuarta w jego własnym domu.

- Byłem trochę zdenerwowany, wilkołaki to dla mnie nowość. Nie byłem sobą.

- Z całą pewnością byłeś sobą - poprawiła go z uśmiechem Vicki. - Ale myślę, że w normalnych okolicznościach Stuart jakoś sobie z tym poradzi.

Zatrzymali się w przydrożnym hotelu na śniadanie. Vicki pozwoliła Celluciemu wypytywać o sprawę. Tylko raz zestresowali kelnerkę, kiedy Vicki wykrzyknęła: „...odstrzelić mu czubek głowy z takiej odległości, to musiał być strzał!”, akurat kiedy kobieta stawiała przed nimi talerze. Jeśli Celluci zauważył, że omija udział Henry'ego w sprawie, nie wspomniał o tym. Nie mogła się zdecydować, czy był taktowny czy zamknięty w sobie.

- Zdajesz sobie sprawę - powiedział, spychając resztki potrawki na kupkę - że było ich dwóch? Jeden z karabinem, drugi ze śrutówką?

Pokręciła głową, odstawiając odrobinę zbyt gwałtownie pusty kubek po kawie.

- Nie sądzę. Wszystko wskazuje, że to robota jednej osoby.

Wiem, wiem. - Uniosła rękę, powstrzymując jego protesty. - Henry'ego postrzelono dwukrotnie. - Obrażenia wampira omówiła wyjątkowo pobieżnie. - Ale jeden człowiek może strzelać z dwóch różnych broni, a dotąd nic nie wskazywało na udział drugiej osoby. Celluci prychnął.

- Pieprzyć dowody. Kropka.

- Ale ślady, drzewa, rodzaj strzału, wszystko wskazuje na jedną osobę z dużą obsesją. Myślę, że on - rozłożyła dłonie, kiedy Celluci uniósł brwi - albo ona trzymali śrutówkę pod ręką, na wypadek gdyby ktoś podszedł za blisko.

- Tak jak twój przyjaciel pisarz. - Jasne było, co myśli i o samym Henrym, i o Henrym pętającym się po lesie w charakterze wielkiego detektywa.

- Henry Fitzroy umie o sobie zadbać.

- Ależ oczywiście. - Wstał i rzucił na stół dwudziestkę. - Właśnie dlatego go postrzelono. Nie mogę wyjść z podziwu, że pozwoliłaś amatorowi pętać się tam po nocy.

- Nie wiedziałam o śrutówce - zaprotestowała, kiedy wychodzili. Zaraz pożałowała, że w ogóle to powiedziała. - Henry jest dorosły - mruknęła pod nosem, wsiadając do samochodu. - Na nic mu nie pozwalałam.

- A to niespodzianka.

- Nie będę z tobą o nim rozmawiać.

- A czy ja mówiłem, że chcę o nim rozmawiać? - Wyjechał z parkingu i skręcił na północ. - Vicki, zadałaś się z watahą wilkołaków. W tej sytuacji przestępczość zorganizowana to mały pikuś.

- Henry nie ma nic wspólnego z przestępczością zorganizowaną.

- Dobra. Jasne. W tej sytuacji to, z czym ma coś wspólnego, cokolwiek by to było, to mały pikuś.

Vicki poprawiła okulary i zsunęła się głębiej w fotel. „Ty nic nie wiesz”, pomyślała. Rozpoznawała sposób, w jaki zaciskał zęby. Chociaż Celluci chwilowo był pochłonięty sprawą łaków, nie zrezygnuje z podejrzeń wobec Henry'ego. „Świetnie. Henry sam sobie z tym poradzi. Zapewne nie pierwszy raz w ciągu czterystu lat”. Ostatnie, o czym marzyła, to znaleźć się między młotem a kowadłem, kiedy ci dwaj pójda na noże, ale bardzo chętnie złapałaby ich za łby i stuknęła z całej siły, jeśli

oczywiście okaże się to konieczne.

- Słuchaj - odezwała się, zanim dojechali do Highbury Avenue - skoro masz zamiar się tu kręcić, możesz zrobić coś pożytecznego.

Spojrzał na nią podejrzliwie.

- Co?

- Skręć w prawo. Zajrzysz na posterunek. - Był bystry, musiała mu to przyznać. Od razu domyślił się, o co chodzi.

- Nie dostałaś listy zarejestrowanej broni? Czemu?

- No... - Vicki kilka razy przesunęła wyloty klimatyzacji. - Policja i ja mieliśmy drobne nieporozumienie. - Niezbyt chciała się do tego przyznać, w pełni świadoma, że Celluci powiększy sobie to drobne nieporozumienie do właściwych rozmiarów.

- Założę się - burknął i ku jej zaskoczeniu odpuścił.

Dwadzieścia minut później, kiedy wyszedł z posterunku, odbił to sobie z nawiązką.

- Drobne nieporozumienie? - Trzasnął drzwiami i odwrócił się, żeby na nią spojrzeć. - Vicki, być może zniszczyłaś jakiegokolwiek szanse na współpracę z miejscową policją teraz i na wieki wieków. Coś ty im powiedziała?

Powtórzyła. Pokręcił głową.

- Dziwię się, że sierżant dyżurny wypuścił cię żywą.

- Domyślam się, że nie masz listy?

- Jak na to wpadłaś, Sherlocku? Ale za to nasłuchałem się o prawidłowych procedurach.

- Szlag! Potrzebna mi ta lista.

- O tym trzeba było pomyśleć, zanim wspomniałaś o jego matce. - Celluci zatrzymał się przy wyjeździe z parkingu. - Którędy?

- W lewo. - Vicki odczekała, póki nie skręci i nie włączy się do ruchu, zanim dodała: - Chcę, żebyś wziął od YMCA listę członków.

- Im też podpadłaś?

Uznała, że to uzasadnione pytanie.

- Nie, ale nie mam prawa prosić ich o listę, a oni nie mają powodu, by mi ją dać. Ty jesteś gliną. - Szturchnęła go palcem w biceps. - Mili ludzie, tacy jak ci w YMCA, ufają policji.

Gdybyś ich poprosił o pierworodnego, zaraz by ci dali smarka-

cza.

- Chcesz, żebym dla ciebie kłamał? Vicki uśmiechnęła się, odsłaniając zęby.

- Zawsze się przechwalasz, jaki to jesteś w tym dobry. Mili ludzie z YMCA okazali się skłonni do współpracy dokładnie tak, jak Vicki mówiła. Celluci, wsiadając do samochodu, rzucił jej na kolana listę członków klubu fotograficznego.

- Coś jeszcze? - burknął, odpalając silnik.

- To ty zdecydowałeś się zostać - wytknęła Vicki, przeglądając listę w poszukiwaniu znajomych nazwisk. Żadnego nie rozpoznała, więc złożyła ją starannie i wsadziła do torby. - Na razie tyle. Jedźmy na farmę, marzę o świeżych ciuchach. - Chociaż rano wzięła cudowny, długi prysznic w zamkniętej na klucz hotelowej łazience, wciąż miała na sobie wczorajsze szorty i koszulkę, a one się do noszenia już nie nadawały.

- Zastanawiałem się właśnie, co tak śmierdzi. - Odwał się, Celluci. Na pewno znajdziesz dro-

Znalazł, chociaż musiał zacząć od posterunku.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu, a Vicki prawie przysypiała, spoglądając przez okno na mijane pola i drzewa, i znowu drzewa, i pola, i...

Nagle się wyprostowała.

- Chyba przegapiłeś skręt.

- O czym ty mówisz?

- Nie pamiętam, żebym wcześniej widziała tę zrujnowaną szkołę.

- To, że jej wcześniej nie widziałas, wcale nie...

- Słuchaj, jeździłam już tędy trzy razy. Z czego dwa - uprzedziła jego kolejną uwagę - w świetle dziennym, kiedy wszystko widziałam. Myślę, że przegapiłeś skręt.

- Może i masz rację - przyznał, rozglądając się po okolicy w poszukiwaniu jakichś wskazówek. -Zawracamy czy przy pierwszej okazji skręcamy na wschód?

- Wiejskie drogi zwykle idą w kratkę. O ile tylko przy pierwszej okazji pojedziemy dalej na południe, powinniśmy trafić.

- W takim razie w następną na wschód.

Vicki zsunęła się niżej i oparła kolana o tablicę rozdzielczą. Oboje wiedzieli, że mądrzej byłoby zawrócić i poszukać właściwego skrzyżowania, ale Vicki po raz pierwszy od kilku dni czuła się spokojna i zrelaksowana. Mike'a Celluciego rozumiała. Reprezentował to, co zwyczajne, w świecie pełnym niezwykłości. Przy nim nie musiała być tak czuj-na, jak przy Henrym czy łakach. Gdyby teraz zawrócili, ta sielanka skończyłaby się o wiele wcześniej.

Nie odważyła się zgadywać, jakie powody, żeby jechać przed siebie, miał Celluci.

Droga, w którą skręcili, po sześciu kilometrach zaprowadziła ich na farmę. Farmer, nie starając się ukryć rozbawienia, wyjaśnił, jak jechać, podczas gdy jego pies obsikiwał im tylną oponę. Przegapili skręt na południe, bo sądzili, że to tylko niewielka ścieżka.

- Ta droga ma więcej dziur niż Spadina Avenue -burknęła Vicki, starając się nie walić za bardzo głową o sufit. - Mógłbyś nieco zwolnić?

- Wyglądaj czerwonej stodoły.

Czerwona stodoła albo wyblakła, albo się rozsypała, w każdym razie nie było jej tam, gdzie powinna być zdaniem farmera. W końcu na drugim skrzyżowaniu skręcili na zachód. Po jakichś dwóch kilometrach droga łagodnym łukiem zaczęła biec na południe.

- Jak tak dalej pójdzie, wylądujemy z powrotem w London. Celluci westchnął.

- Czy nikt tu nie słyszał o znakach drogowych? Na wprost jest jakiś budynek. Może tam dostaniemy lepsze wskazówki. Skręcili na podjazd, zanim Vicki rozpoznała biały dom.

- Znowu się pani zgubiła, pani Nelson? - Carl Biehn podszedł do samochodu od strony pasażera, otrzepując ręce z ziemi.

Vicki uśmiechnęła się do niego.

- Nie tym razem, panie Biehn. - Wskazała kciukiem za swoje plecy. - On prowadził.

Carl pochylił się, by zajrzeć do środka, i skinął głową Celluciemu. Ten odwzajemnił powitanie.

- Wygląda na to, że źle skręciliśmy.

- Na wsi o to nietrudno - odparł starzec, prostując się. Wyglądał na zmęczonego. Miał podkrążone oczy, a bruzdy biegnące od kącików jego ust pogłębiły się.

- Jakież problemy w ogrodzie?

Z jakichś powodów to pytanie go zaniepokoiło.

- Nie, żadnych. - Oderwał kawałek błota przyschnięty do kciuka. Jego dłonie poruszały się nieustannie, jak podczas mycia.

- No, no, no. Znowu się pani zgubiła, pani Nelson? - Słowa były identyczne, ale ton niemal obraźliwy. - Chyba musi się pani pogodzić z faktem, że niektórzy nie są stworzeni do życia na wsi.

Vicki rozważała przez chwilę zrewanżowanie się Markowi Williamsowi uśmiechem równie fałszywym, ale uznała, że nie ma co się wysilać. Nie lubiła go i nie obchodziło ją, czy on się o tym dowie.

Wepchnął się przed wuja i pochylił, opierając jedną rękę o krawędź otwartego okna.

- Widzę, że dziś udało się pani wywieźć kogoś na manowce. - Jego lewa ręka wsunęła się do auta tuż przed nosem Vicki. - Mark Williams.

- Celluci. Michael Celluci.

Vicki miała wielką ochotę ugryźć wycofujące się opalone ramię. Powstrzymała się. Czas spędzony z łąkami musiał tak na nią wpłynąć. „Jeszcze złapię coś paskudnego...”

- Co się pani stało w głowę? - wydawał się zatroskany.

- Miałam wypadek. - To nie była jego sprawa.

- Coś poważnego? - Carl zajrzał siostrzeńcowi przez ramię.

- Tylko guz - zapewniła Vicki. Skinał, usatysfakcjonowany odpowiedzią, a ona rzuciła Markowi spojrzenie zniechęcające do zadawania jakichkolwiek pytań.

- Próbowaliśmy dostać na się na farmę Heerken-sów. - Celluci zachował neutralny wyraz twarzy. Nie przyjacielski, nie wrogi, po prostu obojętny. Vicki też tak umiała, ale jej się nie chciało.

- To nietrudne. Jakież trzy, cztery kilometry prosto i potem w pierwszą w lewo. Droga prowadząca do farmy jest jakieś dwa kilometry dalej - roześmiał się. Jego oddech rozpełzł się po

samochodzie, woniejąc miętą. - I kolejne dwa kilometry, zanim dojedziecie do celu.

- Prywatność to nic złego - stwierdził obojętnie Celluci.

- Nic a nic - zgodził się Mark. Wyprostował się, a złote włoski na jego rękach zaśniły w słońcu. - Popieram ją z całego serca.

„O, z pewnością”, pomyślała Vicki. „Ależ ja bym chciała zajrzeć w te małe sekreciki, które skrywa twoja prywatność. Pewnie wystarczyłoby na pięć do dziesięciu lat na dobry początek...”

- Pani Nelson? - Carl przestał ścierać ziemię, ale dalej wydawał się zaniepokojony. - Długo pani zostanie u Heerkensów?

- Mam na dzieję, że nie.

- To brzmi, jakby się pani o to modliła.

- Może tak właśnie jest - westchnęła. Zostanie tak długo, póki nie dopadnie tego drania z karabinem, a jeśli interwencja sił wyższych miała jej w tym pomóc, była gotowa się modlić.

Poprawiła okulary i odwróciła się, żeby pomachać, podczas gdy Celluci zawrócił na podjeździe i ruszył z powrotem na drogę.

Carl uniósł napięte ramię w oszczędnym geście, ale Mark, w pełni świadomy, że jego pożegnanie nie dotyczyło, machał z zapalem.

- No i?

- No i co? Nie pytasz mnie chyba o opinię?

- Celluci.

Zacisnął wargi i odwrócił się twarzą do drogi.

- Stary jest czymś zmartwiony, pewnie tym młodym. Szkoda, że rodziny się nie wybiera. Jeśli dodać to, co mi powiedziałaś przy śniadaniu, i to, czego byłem świadkiem teraz, moje wspaniałe zdolności dedukcyjne mówią mi, że lubisz pana Biehna, który, przyznaję, sprawia wrażenie porządnego człowieka, a nie lubisz pana Williamsa.

Vicki prychnęła.

- Nie mów mi, że ty go lubisz?

- Nie wydawał się aż taki zły. Hej! Nie bij kierowcy!

- Więc niech mi kierowca główna nie wciska. Celluci uśmiechnął się.

- Co? Czyżbyś chciała, żeby ktoś potwierdził twoje zdanie? To byłby pierwszy taki przypadek.

Vicki czekała. Wiedziała, że nie przepuściłby okazji, żeby powiedzieć, co myśli.

- Myślę - kontynuował, odpowiadając na niewypowiedziane pytanie - że Mark Williams sprzedałby własną matkę, gdyby uznał, że na tym zyska. Jestem pewien, że coś knuje. Tacy jak on zawsze tak robią.

Vicki poprawiła okulary, mimo że siedziały porządnie na swoim miejscu. Piekło zamarznie, zanim ktoś taki jak Mark Williams znajdzie w sobie dość dyscypliny, żeby stać się takim strzelcem, jak ten, który polował na łaki.

Carl Biehn odwrócił się, gdy tylko samochód zjechał z podjazdu. Ogród zawsze go uspokajał, ale nie tym razem - tego ranka doprowadzał go do szaleństwa. Wciąż, od nowa i od nowa, słyszał skomlenie istoty, którą zranił tej nocy. To nie była istota Boża, więc jej ból nie powinien mieć takiej siły, by go poruszyć, ale nie mógł wygnać tego wspomnienia z serca i umysłu.

Pan poddawał go próbie. Sprawdzał, czy jest Mu oddany. Złu nie wolno współczuć. Trzeba je przegnać. - Dwoje glin. - Mark Williams cmoknął z namysłem. - Wygląda na to, że sprowadziła posiłki. - Wielka szkoda, że wczorajszy wypadek nie usunął problemu, ale jak zawsze mawiał, bez ryzyka nie ma zysku. Nawet jeśli przyjaciel pani Nelson przyjechał tu zbadać wypadek, Mark był wystarczająco ostrożny, żeby nie zostawić na samochodzie żadnego wskazującego na niego śladu. Musiał jednak zacząć działać. Z policją wężącą naokoło i szurniętym wujem na karku zbyt łatwo mógł ponieść klęskę.

- Będziesz znowu walczył z moim ojcem?

- Nie, jeśli on nie będzie walczył ze mną. Daniel odwrócił się i spojrzał na Stuarda, który

stał za krzesłem, powarkując cicho. - Tatusiu?

Stuart zignorował go. Łak i detektyw skrzyżowali spojrzenia.

- Tatusiu? Mogę go dla ciebie ugryźć? Stuart spojrział na syna ze zdumieniem.

- Czy możesz co?

- Czy mogę go dla ciebie ugryźć? - Daniel odsłonił białe ząbki.

- Danielu, nie można po prostu chodzić i gryźć ludzi. Czego innego cię uczyliśmy.

Mały łak zmrużył oczy.

- Ale przecież ty chciałeś go ugryźć - wytknął.

- To co innego.

- Dlaczego?

- Zrozumiesz, jak będziesz starszy.

- Zrozumiem co?

- Cóż... - rzucił bezradne spojrzenie Celluciemu, który rozłożył ręce, również nie mogąc wymyślić żadnej odpowiedzi. - To... męska sprawa.

Daniel prychnął.

- Mnie nigdy nie dają nikogo ugryźć - poskarżył się, kopnął drzwi i wyszedł na podwórko.

Chociaż śmiech mógł być ostatnią kroplą, która przeleje czarę, Vicki nie mogła się powstrzymać.

Opadła na wysłużoną kanapę, trzymając się za boki i walcząc o oddech.

- Męska sprawa - udało jej się w końcu wykrztusić, a potem zaczęła się śmiać jeszcze głośniej.

Obaj mężczyźni spojrzeli na nią, a potem na siebie. Mieli identyczne wyrazy twarzy.

- Stuart Heerkens-Wells.

- Michael Celluci.

- Ona jest z tobą?

- W życiu jej nie widziałem.

Kiedy Vicki zeszła na dół w świeżym ubraniu, w kuchni była tylko Nadine.

- Gdzie są wszyscy? - zapytała, poprawiając okulary i stawiając torbę na podłodze.

- Moje córki gonią szczury w stodole, mój syn, mam nadzieję, zamęcza się, goniąc za frisbee...

Vicki wyjrzała przez okno i ku swojemu zaskoczeniu zobaczyła, jak Celluci rzuca Cieniowi frisbee.

- A co on tu jeszcze robi?

- Chyba na ciebie czeka. Vicki westchnęła.

- Wiesz, kiedy skręciliśmy na drogę do farmy, podziękowałam mu i kazałam spadać. Nie wiem, czemu spodziewałam się, że posłucha.

- To mężczyzna. Zbyt wiele od niego wymagasz. W każdym razie Rose i Peter ubierają się, żeby pojechać z tobą do miasta, a Łapka poszedł sprawdzić stado. Vicki już wiedziała, o co chciała zapytać.

- Łapka? On mi nie wygląda na łapkę.

- Może teraz nie - przyznała Nadine - ale był najmłodszy i najmniejszy z trojaczków. Podejrzewam, że wtedy to do niego pasowało.

- Najmniejszy?

Nadine uśmiechnęła się szeroko.

- Cóż, chyba trochę wyrósł.

Właśnie wtedy Celluci wszedł do kuchni, zostawiając na trawniku Cienia z wywieszonym językiem i frisbee.

- Jesteś gotowa, dobrze. Zbierajmy się, już prawie południe.

Henry Fitzroy zdaje się dalej zalega w łóżku? - powstrzymał się przed wyrażaniem dez-

- Miał ciężką noc. - Jak my wszyscy. Wtedy do niej dotarło.

- Dokąd się zbieramy?

- Do miasta. Musisz sprawdzić, co u mechanika - o ile nie jest ci obojętne, czy Petera oskarżą o prowadzenie niesprawnego auta. Poza tym musimy popytać, kto z miejscowych potrafi dobrze strzelać. Najlepiej pójść tam, gdzie bawią się duzi chłopcy. No i trzeba odebrać Donalda i odwieźć do domu.

- No i co z tego? - Skrzyżowała ręce na piersi. - Co to ma wspólnego z tobą?

- Postanowiłem się tu pokreć. - Odwrócił się do Nadine. - Żadnych dodatkowych kosztów.

Vicki ugryzła się w język, żeby nie powiedzieć „spieprzaj”. Prawie się przy tym udusiła, ale jej duma, stawiana na szali przeciw życiom łaków, była niczym. Z drugiej strony jednak, wbrew temu, co myślał, Mike Celluci nie miał ani monopolu na odkrywanie prawdy, ani prawa wtykać nos w nie swoje sprawy.

- Co jest? - Peter wszedł za siostrą do kuchni i spoglądał to na Vicki, to na Celluciego, wężąc przy tym. W powietrzu unosiły się dziwne wonie.

- Vicki właśnie decyduje, kto ją zawiezie do miasta - wyjaśniła mu Nadine.

- Rose - rozstrzygnął bez wahania Peter. - Ja się jeszcze nie najlepiej czuję po wczorajszym.

Rose wywróciła oczami,

- Wolisz siedzieć i wystawiać głowę za okno.

- To też.

- Ja prowadzę, bo jedziemy moim wozem. Bliźnięta odwróciły się jednocześnie, żeby spojrzeć na Vicki.

„Powinam mu powiedzieć, żeby wracał do domu, i dopilnować, żeby tak zrobił, nawet jeśli musiałabym przy tym złamać parę kości. Nie potrzebuję jego łaskawej pomocy”.

Widząc jej wahanie, Peter podszedł o krok bliżej i zniżył głos.

- Eee... Vicki, Henry'emu to się chyba nie spodoba.

Jej oczy zwięzły się gwałtownie w wąskie szparki. Co, do cholery, miał z tym wspólnego Henry? Złapała torbę i ruszyła do wyjścia.

- Co tak stoisz? - naskoczyła na Celluciego. - Podobno masz prowadzić.

Przez moment patrzył badawczo na Petera, a potem ruszył za nią.

- O co w tym wszystkim chodziło? - zastanawiał się Peter, kiedy bliźnięta pośpieszyły za nimi. - Czemu ciotka Nadine się śmiała?

- Naprawdę nie wiesz?

- Naprawdę.

Rose westchnęła i pokręciła głową.

- Peter, czasami bywasz straszliwym durniem.

- Wcale że nie.

- Wcale że tak.

Kłóciłoby się tak przez całą drogę do London, gdyby Vicki nie zagroziła, że obojgu zawiąże pyski.

ROZDZIAŁ 12

Tu jest wasz problem. Vicki spojrzała na silnik BMW Henry'ego. Nic nie wyglądało na uszkodzone. - Gdzie?

- Tu. - Mechanik wskazał trzymanym w ręce śrubokrętem. - Linka hamulcowa, przy głównym cylindrze.

- Coś nie tak z linką hamulcową?

- Tak. Jest dziurawa. - Jak to dziurawa?

Mechanik westchnął. Wyraz jego twarzy jęczał „kobiety!” niemal tak głośno, jakby powiedział to na głos.

- Dziurawa. Czyli nie cała.

- Ktoś ją przedziurawił? - Chwilę potrwało, zanim dotarło do niej, co to znaczy. Czy stawka poszła w górę? Morderca uświadomił sobie, kim ona jest i postanowił coś z tym zrobić? Zmarszczyła brwi. To nie pasowało do wzoru. Nagle powietrze w warsztacie, i tak już ciężkie od oparów oleju i benzyny, prawie przestało się nadawać do oddychania.

- Nie powiedziałem, że ktoś to zrobił. Widzi pani tutaj? -

Podniósł czarny, gumowy pasek końcem śrubokręta. - Ocierało się o ten kawałek metalu. Tuż pomiędzy żeberkami. Przetarło się. - Wzruszając ramionami, pozwolił paskowi opaść. - Zdarza się. Hamulce pracują jeszcze przez jakiś czas, ale płyn wycieka. A jak wycieknie go wystarczająco dużo... -Usmarowanym palcem narysował linię w poprzek własnego gardła.

- Tak, wiem. - Vicki wyprostowała się. - Byłam tam. Więc powie pan policji, że to?...

- Wypadek. Pech. Niczyja wina. - Wzruszył ramionami i pokręcił głową nad zniszczoną częścią samochodu. - Cud, że wszyscy wyszli z tego żywi.

Szczęściarze.

Ogromni szczęściarze, uświadomiła sobie Vicki. Niemal otarła się o śmierć, a gdyby Rose siedziała po przeciwnej stronie siedzenia, nie przeżyłaby wypadku. Podtrzymując okulary, pochyliła się znowu nad linką hamulcową. Coś jej tu nie pasowało.

- Po cholere ktoś robiłby samochód, w którym linka hamulcowa się ociera?

W głosie mechanika słychać było obojętność.

- Bo to stare auto. Z 1976 roku. Takie rzeczy się psują. Mogła być wada na linii produkcyjnej. Żadne dwa stare auta nie są takie same.

No dobra, może to i miało sens, pech i tyle, nic innego nie sprawiło, że ona, Rose i Peter byli w aucie, akurat gdy ujawniła się wada. Boże, jeśli nie można polegać na BMW...

Tyle że... Przy rozdarciu były dwa ślady, miejsca, w których żółte oznaczenia na pasie wydawały się jaśniejsze, gdzie zebrany brud mógł zostać starty, zupełnie jakby ktoś trochę pomógł pechowi Ostrożnie, żeby nie dotknąć gumy, Vicki przycisnęła palec do wystającego kawałka metalu, który mógł spowodować szkodę. Nie był ostry, ale krawędź była wyraźna.

- Załóżmy, że chciałby pan uszkodzić czyjeś hamulce, ale tak, żeby to wyglądało na wypadek. - Wskazała na silnik. - Ile czasu by to panu zajęło?

Mechanik spojrział na nią badawczo.

- Niewiele.

W restauracji byli jakieś półtorej godziny. Masa czasu.

Zaintrygowany pomysłem, sięgnął do wnętrza samochodu. -

Jeśli złapałbym tutaj...

- Proszę nie dotykać! Odsunął się gwałtownie.

- Nie myśli pani...

- Myślę, że nie chcę ryzykować. Proszę zadzwonić na policję.

Jeśli nie ma pan numeru funkcjonariusza, który był na miejscu wypadku...

- Nie, nie, mam.

- Dobrze. Proszę mu powiedzieć, że pańskim zdaniem ktoś mógł przy aucie majstrować. Powinni przynajmniej zdjąć odciski palców. - Miała własny zestaw, niezbyt zaawansowany

technicznie, ale wystarczający, żeby zebrać odciski z tłustego paska. Jednak dobrze by było włączyć w to policyjnych techników.

- Czemu pani nie zadzwoni?

- Bo to pan jest ekspertem.

Spojrzał na nią spode łba, ale po chwili westchnął.

- Dobra, paniusiu, wygrałaś. Zadzwonię. - Teraz.

- Dobra, teraz. Proszę niczego nie dotykać, kiedy mnie nie będzie.

- Jasne. A pan niech niczego nie dotyka, zanim technik nie zrobi, co do niego należy.

Spojrzenie spode łba wróciło. Zrobił dwa kroki, zatrzymał się i odwrócił.

- Ktoś panią próbował zabić, co?

- Możliwe. - Albo Petera. Albo Rose. Pokręcił głową. Na jego twarzy malował się jednocześnie szacunek i zniesmaczenie.

- Założę się, że nie pierwszy raz. - Poszedł do biura, nie czekając na odpowiedź.

Vicki potarła kciukiem niewyraźne blizny na lewym nadgarstku. Znowu widziała przed sobą niehumaniczny uśmiech i słyszała, jak demon mówi: „Więc to ty będziesz ofiarą”. Kropla potu, niemająca nic wspólnego z panującym upałem, spłynęła jej między piersiami. Serce zaczynało dudnić coraz mocniej. Widmo śmierci wciąż było tak blisko. Wielokrotnie ćwiczoną sposobem Vicki odepchnęła wspomnienie i zakopała je głęboko pod innymi.

Realny świat jeszcze przez chwilę wydawał jej się dziwny, ale potem potrząsnęła głową i zmusiła się do skupienia na chwili obecnej. Przy samochodzie Rose opowiadała Celluciemu jakąś historię, która wymagała obfitej gestykulacji. Peter trzymał się blisko, jakby ją chroniąc. Kiedy Celluci się roześmiał, Vicki zobaczyła, że ramiona łaka sztywnieją.

- Peter! Możesz tu przyjść? Niechętnie posłuchał. Wskazała brodą na samochód.

-Jakie są szanse, że wyczujesz czyjś zapach na gumowej linie hamulcowej?

Peter popatrzył na silnik i zmarszczył nos.

- Prawie żadne. Zapach płynu hamulcowego jest za mocny. A co?

Vicki nie widziała powodu, by kłamać, w końcu łaki wiedziały, że są w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

- Ktoś chyba sfabrykował wczorajszy wypadek.

- O rany. Henry się wkurzy?

- Henry?

- No, ktoś mu zmasakrował samochód.

- I prawie nas zabił - przypomniała mu Vicki.

- A. Tak.

Drzwi do biura otworzyły się i mechanik wrócił do warsztatu.

Nie wyglądał na uszczęśliwionego.

- No dobra. Zadzwoiłem. Mówi, że ktoś tu przyjdzie. Później - spojrzał na samochód, a potem na Vida - chce z panią pogadać.

Proszę nie opuszczać miasta.

- Nawet mi to przez myśl nie przeszło. Dziękuję, bardzo nam pan pomógł.

Na jej uśmiech odpowiedział prychnięciem i znacząco pochylił się nad jednym z pozostałych aut, niebieskim saabem, który miał swoje najlepsze dni już dawno za sobą.

Vicki rozpoznawała odprawienie na pierwszy rzut oka. Więcej już nie mogła działać, postanowiła więc nie zwracać na nie uwagi.

- Peter, chodź.

Marszcząc brwi w zamyśleniu, łak wyszedł za nią z warsztatu.

- Co jest? - zapytała, kiedy szli przez parking do auta

Celluciego.

- To pewnie nic, ale kiedy rozmawiałaś z panem

Przeuprzejmym, obwąchałem krawędzie maski.

No bo jeśli ktoś majstrował przy hamulcach, mu-siał ją najpierw

otworzyć. - Wziął głęboki oddech. - W każdym razie przez

chwile wydawało mi się, że wylapałem znajomy zapach. Potem mi umknął. Przepraszam.

- Rozpoznałbyś go znowu?

- Tak myślę.

- Jeśli się na niego natkniesz, powiedz mi natychmiast. Ten facet jest niebezpieczny.

- Hej - zaprotestował. - Wiem. To mojego ojca postrzelili.

Vicki zastanawiała się, czy powinna mu powiedzieć, że ten, kto strzelał do jego ojca, i ten, kto grzebał przy samochodzie Henry'ego, to prawdopodobnie dwie różne osoby - metody działania zbyt się od siebie różniły. W jej osobistym rankingu nowa groźba, której nie towarzyszył żaden wzór umożliwiający przewidzenie kolejnych posunięć, zapowiadała o wiele większe niebezpieczeństwo. Postanowiła jednak milczeć. Co by to dało?

Celluci czekał, aż Peter i Rose weszli do domu doktora Dixona i dopiero wtedy ruszył do centrum.

- Ciężko ich nie lubić, prawda?
- A co w nich jest do nielubienia?
- I to mówi kobieta, która kiedyś uznała, że bycie nastolatkiem powinno być ścigane prawem?
- No cóż, typowymi nastolatkami to chyba nie są?

Celluci zerknął na nią kątem oka.

- No dobra, co jest? Masz marny humor, odkąd wyjechaliśmy z warsztatu.

Vicki poprawiła okulary i westchnęła.

- Myślałam właśnie...
- A to nowość. Zignorowała go.
- ...że jeśli ktoś zadaje sobie trud, żeby spróbować mnie zabić, to muszę wiedzieć coś, czego nie jestem świadoma. Zabójca uważa, że jestem zbyt blisko rozwiązania.
- Albo to nie ty stanowiłaś cel, tylko Rose i Peter. Ty tam byłaś przypadkiem.

- Nie, zabijanie łaków przebiega według schematu, po co go zmieniać? Sprawdza się przecież.

Mam wrażenie, że ten wypadek był wymierzony we mnie.

- Przeczucie?
- Nazywaj to jak chcesz. Byle nie kobiecą intuicją, bo zmasakruję ci twarz.

Nie zamierzał wygłaszać niczego w tak oczywisty sposób samobójczego, zatem zignorował groźbę.

- Powtórzmy to, co wiesz.
- Niewiele tego - oparłszy kolana o deskę rozdzielczą, Vicki zaczęła wyliczać na palcach. - Wiem, że nie zrobił tego Barry Wu. Wiem, że nie zrobił tego doktor Dixon. Wiem, że nie zrobił tego Arthur Fortrin. To mógł być każdy, wliczając przypadkowo spotkanych ludzi, którym ktoś z tej trójki nagadał coś po pijaku w barze. Kiedy Barry mi powie, kto w London potrafi oddać takie strzały, porównam nazwiska z listą ludzi regularnie odwiedzających rezerwat. Mam nadzieję, że uda nam się odszyfrować te wskazówki i trafić do sprawcy, zanim znów pojedzie do pracy.
- Celluci wziął leżącą na jej kolanach kartkę, zerknął na nią i odłożył z powrotem. Mimo porannej nadprogramowej wycieczki po okolicy nadal głęboko wierzył, że bez problemu wszędzie znajdzie drogę.
- A jeśli Barry tego nie wie?
- Ktoś musi wiedzieć. Znajdę tego kogoś - wygładziła mapę na kolanie. - A, Frederick Kleinbein też tego nie zrobił.
- Kto?
- Cóż, jego chyba można nazwać najbliższym sąsiadem. Powiedział mi, że Heerkensowie mają głęboko skrywany, mroczny sekret - uśmiechnęła się. - Wiesz, oni są nudystami.
- Nudystami?
- Tak mi powiedział. Wygląda na to, że miejscowi wolą wierzyć w nudystów niż w wilkołaki. Rzucił jej krzywe spojrzenie.
- Nie dziwi mnie to. Jestem jednak zaskoczony, że nie ściągnęły tu stada młodych mężczyzn z lornetkami.
- Odniosłam wrażenie, że „psy” zajęły się tym problemem. Celluci, któremu zdarzyło się być obiektem podjętej przez jednego z tych „psów” akcji, mógł sobie łatwo wyobrazić, jak zniechęciło to podglądaczy.
- Vicki uznała burknięcie za zgodę i mówiła dalej.
- Jedyni ludzie, z jakimi poza tym naprawdę rozmawiałam, to Carl Biehn i Mark Williams.
- Chwilę potrwało, zanim skojarzył nazwiska.
- Ci dwaj dzisiaj rano?
- Tak.
- Więc może to oni?

- Mało prawdopodobne - prychnęła. - Możesz sobie wyobrazić kogoś takiego jak Williams zadającego sobie trud, żeby zostać strzelcem wyborowym? Nie ma szans. Dla niego coś, co nie przyniesie zysku natychmiast, nie jest warte zachodu.

- A ten starszy? Wuj? Vicki westchnęła.

- Jest wegetarianinem.

- Vicki, ten ktoś nie zjada łąków. On je tylko zabija.

- To głęboko wierzący człowiek.

- Tak jak i gromada innych świrów. To marny powód, by go z góry wykluczyć.

- Uprawia ogródek.

- A ty go lubisz.

Znowu westchnęła, bawiąc się wentylatorem klimatyzacji.

- Tak. I ja go lubię. Wydaje się być porządnym, przyzwoitym człowiekiem.

- Kolejne przeczucie?

- Odwal się, Celluci. - Pod wpływem jaskrawego światła słońca, wczorajszych obrażeń i braku snu pojawiał się u niej ogromny ból głowy. - Owszem, ma oślizgłą szuję za siostrzeńca, ale to jeszcze nie powód, żeby go oskarżać o wielokrotne morderstwo. Zamierzam poprosić Barry'ego, żeby sprawdził drogiego pana Williamsa, tak na wszelki wypadek. A ty, jeśli chcesz się na coś przydać, a wiatr będzie wiał w dobrą stronę, możesz w nocy poobserwować drzewo.

- Dziękuję ci bardzo. O tym zawsze marzyłem: spędzić noc w lesie i zostać zjedzonym żywcem przez komary. - „Podczas gdy ty i Henry spędzicie sobie przyjemną noc w domu? Nie ma szans”. Spojrzał na nią, a potem na drogę. - Skąd pomysł, że facet tam wróci?

- To część wzoru. Kiedy wiatr wieje od strony pól.

- Wiec czemu nie zetniemy tego drzewa?

- Przyszło mi to do głowy.

- Skoro już ci tyle do głowy przychodzi, to może mi coś wyjaśnisz. Jeśli facet wraca do tego drzewa, czemu go nie obstawiłaś?

- Niby jak? Wiesz, że ni cholery nie widzę po zmroku. Henry poszedł...

- Wysłałaś cywila!
- Sam się zgłosił! - rzuciła ostro, ignorując fakt, że sama też była teraz cywilem.
- Do postrzelenia też?
- Henry jest dorosły. Znał ryzyko.
- Dorosły. Jasne. A skoro już o tym mowa: wedle swojego prawa jazdy, Fitzroy ma dwadzieścia cztery lata. - Oderwał wzrok od drogi, żeby rzucić Vicki długie, znaczące spojrzenie. - Jesteś od niego prawie osiem lat starsza, czy to... Co cię tak rozbawiło?

Chociaż ból głowy tylko się od tego zwiększał, Vicki nie mogła przestać się śmiać. „Aż o osiem lat.

O Boże”. Wreszcie dotarła do niej lodowata cisza i sprawiła, że trochę się opanowała. „Całe osiem lat...”

Ściągnęła okulary i rękawem otarła oczy.

- Mike, nie masz nawet pojęcia, jak mało to znaczy.
- Najwyraźniej nie - burknął przez zaciśnięte zęby.
- Hej! Ścigamy kogoś czy co? Właśnie przyśpieszyłeś przed żółtym światłem. - Vicki zerknęła na jego szczękę i uznała, że najwyższy czas zmienić temat. - Co takiego mogłabym wiedzieć, żeby warto było mnie zabić?

Zmiana tematu nie należała do najzgrabniejszych w dziejach świata, ale Celluci się jej uchwycił. Nagle już nie chciał wiedzieć, z czego Vicki się tak śmiała. Był całe dwanaście lat starszy niż Henry pieprzony Fitzroy. Jego męska duma mogła tego nie znieść.

- Na twoim miejscu ściągnąłbym Carla Biehna i jego siostrzeńca na przesłuchanie.
- Na jakiej podstawie?
- Ktoś myśli, że za dużo wiesz. A to jedyni ktosie, z którymi rozmawiałaś i których nie wykluczyłaś.
- Nie jesteś na moim miejscu. - Vicki podrapała się w bąbel po ugryzieniu komara. - I na wypadek, gdybyś nie zauważył, to nie tylko nie jest sprawa policji. Policja pod żadnym pozorem nie może się o tym dowiedzieć.
- Już się dowiedzieli. Zapomniałaś o zgłoszonym wczoraj postrzale?
- Queen Street. Skręć tutaj. Barry mieszka pod 321. - Poprawiła

okulary i dodała: - Policji się tylko wydaje, że coś wiedzą. Nie mają pojęcia, co się naprawdę dzieje.

- A nie sądzisz, że się dowiedzą? - zapytał, objeżdżając róg wielkim łukiem, żeby ominąć małego chłopca na rowerku.

Vicki rozłożyła ręce.

- Niby jak? Ty im powiesz?

- Będą prowadzili śledztwo.

- Jasne. Radiowozy policji regionalnej będą przez parę tygodni objeżdżały rezerwat częściej niż wcześniej, a potem coś ważniejszego niż przypadkowy postrzał postawi ich na nogi i zmusi do brania nadgodzin.

- Ale to nie był przypadek - wytknął Celluci, starając się utrzymać nerwy na wodzy.

- Oni o tym nie wiedzą. - Vicki rozluźniła się niemal na siłę. Zaciskanie zębów wywoływało ból w skroni, a na osła siedzącego obok nie miało żadnego wpływu. - I się nie dowiedzą.

- Dowiedzą, kiedy odkryjesz, kto zabija. Chyba że - ciągnął ironicznie - planujesz zaaranżować mały wypadek, który rozwiąże problem?

- Tu - wskazała. - Trzysta dwadzieścia jeden. Zgodnie ze znakiem, parking dla gości jest z tyłu.

To, czego nie powiedziała, było o wiele bardziej donośne od jej słów.

- Jezu, Vicki. Doprowadzisz do procesu, prawda?

Wpatrywała się w czubki swoich butów.

- Odpowiedz, do cholery. - Gwałtownie nacisnął hamulec i jeszcze zanim samochód stanął, złapał ją za ramię i odwrócił twarzą do siebie.

- Procesu? - Wyrwała mu ramię. Boże, czasem był taki tępy. - A co podczas procesu stanie się z łakami?

- Prawo...

- Celluci, oni nie chcą procesu. Chcą sprawiedliwości, a nie dostaną jej, jeśli zabójca zostanie oskarżony. Dobrze wiesz, że ofiara stoi na niemal tej samej pozycji co oskarżony. Jakie oni mają szanse? Jeśli nie jesteś biały, jesteś biedny, albo, uchwaj Boże, kobietą, dla systemu nie kwalifikujesz się na człowieka. A łaki nie są ludźmi! Jak system ich potraktuje? I jakie będą

wiedli życie, kiedy już z nimi skończy? Nie wierzył w to, co słyszał.

- Próbujesz przekonać mnie czy siebie?

- Zamknij się, Celluci. - Specjalnie nie chciał jej zrozumieć.

„Jego własny, schludny pogląd na świat nawala, a on nie umie sobie z tym poradzić. To nie moja wina”.

Uniósł głos, tak jak i ona wcześniej.

- Nie mam zamiaru stać i patrzeć, jak odrzucasz wszystko, w co zawsze wierzyłaś.

- To nie stój! Idź sobie!

- Chcesz być sędzią i ławą przysięgłych - a kto będzie katem?

Też ty? _

Przez chwilę spoglądali na siebie. Wreszcie Vicia zamknęła oczy. Bicie jej serca zmieniło się w odgłos wystrzału, a pod powiekami zobaczyła krwawiącego Donalda i resztę watahy, leżących tam, gdzie rzuciły ich kule, całych we krwi. I tylko ona, Vicki, została, by ich oplakiwać. Drżąc, wciągnęła głęboko powietrze, potem jeszcze raz i otworzyła oczy.

- Nie wiem - powiedziała cicho. - Zrobię, co będę musiała.

- A jeśli to oznacza morderstwo?

- Opuść sobie, Mike. Proszę. Powiedziałam, że nie wiem.

Przejechał włosy palcami i zacisnął usta, żeby nie wy dostały się z nich rzeczy, które chciał powiedzieć. Wszystkie poza jedną.

Udało mu się nawet sprawić, żeby jego głos brzmiał w miarę spokojnie.

- Kiedyś wiedziałaś.

- Kiedyś życie było o wiele prostsze. Poza tym - odpięła pas, roześmiała się niepewnie i nieprzekonująco, i otworzyła drzwiczki - jeszcze tego sukinsyna nie złapałam. Będziemy się martwić tym wróblem, gdy złapiemy go już w garść.

Celluci poszedł za nią do budynku, w którym mieszkał Barry Wu. W jego głowie gniew mieszał się z troską. „Kiedyś życie było o wiele prostsze”. Temu nie mógł zaprzeczyć.

- Przede wszystkim potrzebny ci dobry zestaw noży.

- Mam noże.
- Też coś. Nowe noże. Fabrycznie naostrzone nie są nic warte.
- Naostrzę je po południu.
- Ech. - Starszy mężczyzna, wyciągnął rozdartą kopertę ze stosu papierów zalegających na kuchennym stole i nabazgrał na jej odwrocie adres.
- Idź tam - polecił. - Ostatnie miejsce w tym mieście, gdzie to porządnie robią.

Mark Williams złożył kopertę i schował do portfela. Kilka pytań o handel futrami doprowadziło go do tego starego.

Pięćdziesiątka zapewniła mu kilkogodzinny instruktaż.

Pamiętając, jaki majątek miały mu przynieść futra, uznał, że warto było wydać te pieniądze.

- Dobrze. Słuchaj, powtórzmy jeszcze raz. Jeśli nie będziesz się śpieszył, nie powinno być żadnych problemów. Najpierw tniesz wzdłuż brzucha - tam jest gładko i łatwo - potem...

- Problem w tym, że nikogo innego nie ma. Szczerze mówiąc, wątpię, czy mnie udałoby się tak strzelić. Na pewno nie w nocy.

- Barry wystawił głowę z łazienki, gdzie przebierał się do pracy.

- Mało ćwiczyłem z celownikiem.

- A ktoś z oddziałów specjalnych?

- Ma pan na myśli glinę? - Opuścił brwi.

Celluci westchnął. Jego zdaniem młodzi mężczyźni, próbujący patrzeć na kogoś spode łba, przypominali poirytowane panienki.

- Chcesz powiedzieć, że żaden glina w London nie zszedł na złą drogę?

- No nie... Ale tu nie jest tak jak w Toronta - Zniknął w sypialni i zaraz wyszedł w rozpiętej koszuli od munduru, niosąc służbowe buty. - Chyba mógłbym popytać - zaproponował, przysiadając na skraju jedyne wolnego krzesła. W mieszkaniu dało się zauważyć pewne braki w umeblowaniu, chociaż telewizor i zestaw stereo były najlepszej jakości. - Ale prawdę mówiąc, nie sądzę, żeby któryś z chłopaków umiał coś takiego

zrobić. - Wziął głęboki oddech. -Zabrzmiało to pyszałkowato, ale nawet biorąc poprawkę na to, że nie za bardzo umiem obchodzić się z celownikiem, żaden z nich nie jest w mojej lidze.

Vicki podniosła z honorowego miejsca na telewizorze zdjęcie Barry'ego z ceremonii ukończenia szkoły policyjnej. Tylko jedna z szeroko uśmiechniętych twarzy należała do przedstawiciela mniejszości. „Plus pięć kobiet i wilkołak. Wspaniały zestaw”. Wszystkie kobiety były białe. Wilkołak w zasadzie też. „A policja się zastanawia, czemu jej relacje ze społeczeństwem są coraz gorsze”. W zasadzie policja wiedziała, czemu jej relacje ze społeczeństwem są coraz gorsze, tylko nie potrafiła wymyślić rozwiązania. Niestety, „to trochę potrwa” nie było dobrą odpowiedzią w sytuacji, gdy czasu coraz bardziej brakowało.

- Dziwi mnie, że nie zagarnęli cię od razu chłopcy ze S.W.A.T.*

- Ostrożnie odstawiła zdjęcie na miejsce. Wciąż trudno było jej myśleć o sobie i o policji jako odrębnych bytach.

Uśmiechnął się z odrobiną dumy.

- Powiedzieli mi, że jak tylko wrócę z olimpijskim złotem, jestem ich. - Uśmiech znikł, kiedy Barry pochylił się, żeby zawiązać sznurowadło. - Może ich też sprawdzę, co?

- No cóż, jeśli udałoby ci się dowiedzieć, co ich najlepsi strzelcy wyborowi robili w noc, w które doszło do morderstw, mogłoby to nam pomóc.

- Tak - westchnął. - Szkoda, że w te nocie nie było jakiegś wielkiej sytuacji kryzysowej z zakładnikami. To by ich oczyściło.

- Szkoda - przytaknęła Vicki, ukrywając będący absolutnie nie na miejscu uśmiech. Ten chłopiec -młody mężczyzna - mówił całkiem serio.

* S.W.A.T. (Special Weapons Assault Team) - wyspecjalizowane jednostki amerykańskiej policji.

- Po prostu nie mogę uwierzyć, że ktoś strzela do rodziny Colina. To znaczy - wyprostował się i zaczął zapinać koszulę drżącymi ze złości palcami - to chyba najmiłsi ludzie, jakich

znam.

- Nie przeszkadza ci, że zmieniają się w zwierzęta? - zapytał Celluci.

Barry zeszywniał.

- Nie zmieniają się w zwierzęta - powiedział ostro. - To, że mają kudłaty kształt, nie czyni z nich zwierząt. Zresztą większość zwierząt, jakie ostatnio spotkałem, chodziła na dwóch nogach! A Colin to świetny glina. Gdy już złapie trop, żaden podejrzany mu się nie wymknie. Nie moglibyście sobie wyobrazić lepszego wsparcia w ciężkiej sytuacji. W dodatku łaki są wręcz stworzone do działania w zespole.

-Ja tylko zapytałem, czy ci to przeszkadza stwierdził łagodnie Celluci.

- Nie. - Wpychając koszulę w spodnie, Barry lekko poczerwieniał. - Już nie. To znaczy, jak już się kogoś pozna, nie da się go nienawidzić tylko dlatego, że jest wilkołakiem.

„Słowa mądrości w naszych czasach” pomyślała Vicki.

- Wracając do strzelania...

- Chyba znam kogoś, kto mógłby pomóc Benie Reid. To kopalnia wszystkich wiadomości, wiecie, potrafi rzucać faktami sprzed pięćdziesięciu lat. Jeśli ktoś w okolicy jest w stanie oddać takie strzały, ona będzie o tym wiedziała. Albo będzie w stanie się dowiedzieć.

- A ona strzela?

- Czasem, z małych kalibrów, ale z dużych już nie. Musi mieć już ponad siedemdziesiątkę.

- Znasz jej adres?

- Nie. Jej numeru telefonu nie ma w książce - słyszałem, jak o tym raz mówiła na strzelnicy - ale nietrudno ją znaleźć.

Większość popołudni spędza w Grove Road Sportsman's Club, siedząc w sali klubowej, pijąc herbatę i krytykując wszystkich strzelających. - Podniósł głowę znad kartki, na której zapisywał wskazówki. - Raz mi powiedziała, że ramię mam zbyt napięte. Miała rację.

- Czemu nie ćwiczysz na strzelnicy policyjnej? -zapytał Celluci. Barry wyglądał na trochę zawstydzonego. Podał im zapisany adres klubu.

- Czasem tak robię. Ale zawsze przyplącze się jakaś publiczność, a poza tym... cele wyglądają jak ludzie. Nie podoba mi się to.

- Mnie to nigdy nie przeszkadzało - powiedziała Vicki, wrzucając kartkę do torby. Owszem, było to realistyczne, ale w zasadzie wszystko, do czego miał strzelać policjant, miało kształt człowieka. Coroczne sprawdziany ze strzelectwa zawsze sprawiały, że odrobinę się wstydziła swoich umiejętności. Razem z Barrym, który wkładał po drodze skórzaną kurtkę, zeszli na parking.

- Wolę się spocić, niż zedrzeć sobie łokcie na chodniku. - Włożył jeszcze kask z odblaskowym paskiem z tyłu, ostrożnie umieścił policyjną czapkę pod siedzeniem motoru i odjechał. Vicki westchnęła, ostrożnie opierając się o gorącą karoserię samochodu Celluciego.

- Powiedz mi, że nigdy nie byłam takim napalonym małolatem.

- Nie byłaś - prychnął Celluci. - Byłaś gorsza. Opadł na winylowe siedzenie. Nie było żadnego cienia, w którym dałoby się zaparkować - nie, żeby zwrócił na to uwagę, zbyt zajęty rozmową, jaką toczyli po drodze. Zaklął pod nosem, kiedy dotknął łokciem rozgrzanego siedzenia. Otworzył drugie drzwiczki i kiedy Vicki wsiadała, zajął się klimatyzacją.

Echa ich kłótni wciąż jeszcze odbijały się we wnętrzu auta. Nie odzywali się, w obawie, by nie zacząć następnej.

Celluci nie miał ochoty wygłaszać monologu o niebezpieczeństwach dokonywania sądów moralnych i wiedział, że dla Vicki temat jest zamknięty. „Ale jeśli sądzi, że odłożyłem to do omówienia, gdy już ta sprawa się skończy, to się myli”. Nie musiał pokazywać się w pracy aż do czwartku, a potem, jeśli uzna to za konieczne, może pójść na chorobowe. Tu już nie chodziło o Henry'ego Fitzroya. Vicki trzeba było ratować przed nią samą.

A na razie zawarli rozejm.

- Już prawie 2:30, a ja umieram z głodu. Może zatrzymamy się, żeby coś zjeść?

Vicki podniosła głowę znad nabazgranych wskazówek Barry'ego i z wdzięcznością przyjęła ofertę pokoju.

- Możemy wziąć na wynos i zjeść w samochodzie.
- Dobra. - Wyjechał na ulicę. - Ale nie kurczaka. W tym upale cały samochód przesiąknie jego zapachem i nigdy się od niego nie uwolnię.

Zatrzymali się przy pierwszym fast foodzie, na jaki się natknęli. Siedząc w samochodzie i zjadając frytki, Celluci czekał, aż Vicki wyjdzie z łazienki. Jego uwagę zwrócił czarno-złoty džip zaparkowany po drugiej stronie ulicy. Już go wcześniej widział, nie pamiętał gdzie, ale źle mu się kojarzył.

Kierowca zaparkował przed starym zakładem szewskim. Wyblakły znak wiszący w połowie okna głosił: „Każdy chodzi struty, gdy ma dziurawe buty”. Celluci wałkował niejasne wspomnienie, póki w drzwiach zakładu nie pojawiła się odpowiedź.

- Mark Williams. Nic dziwnego, że źle mi się kojarzy. - Williams miał w sobie to coś, czego Celluci nie znosił. Bez wahania wymieniłby kogoś tak nadzwyczaj czarującego na najgorszy możliwy charakter. Uśmiechnął się, odgryzając ogromny kęs burgera. „Co wyjaśnia, co mnie ciągnie do Vicki”. Pogwizdując radośnie, Williams podszedł do džipa od strony kierowcy, otworzył drzwi i zanim wsiadł, wrzucił na siedzenie pasażera pękatą, owiniętą w papier paczkę. Gdyby to był jego rejon, Celluci podszedłby z nim pogawędzić, tak dla zasady. Uświadomić mu, że jest obserwowany, i spróbować przekonać się, co niesie w paczce. Mocno wierzył, że takich jak Mark Williams na wszelki wypadek trzeba mieć na oku. Jednak to nie był jego teren, więc tylko patrzył, jak mężczyzna odjeżdża.

Dżip odsłonił drugi znak wiszący w oknie zakładu.
„Ostrzenie noży”.

- Bertie Reid? - Siedzący za biurkiem mężczyzna w średnim wieku zmarszczył brwi. - Chyba jeszcze nie przyszła, ale... - Zadzwoił telefon. Mężczyzna odebrał, wywracając przy tym oczami. - Grove Road Sportsman's Club. Tak, jutro w nocy na

strzelnicy. Nie, proszę pani, podczas konserwacji nikt nie będzie tam strzelał. Dziękuję. Do zobaczenia. Cholerne telefony - ciągnął, odłożywszy słuchawkę. - Alexandrowi Grahamowi Bellowi należałoby założyć parę cementowych butów i wrzucić go do oceanu Na czym stanęliśmy?

- Bertie Reid - powtórzyła Vicki.

- Ach tak. - Spojrzał na wiszący na ścianie zegar. - jest dopiero trzecia. Bertie będzie pewnie naj-wcześniejszym dopiero za godzinę. Jeśli wolno zapytać czego chce od niej para detektywów z Toronto?

Bardziej niż trochę rozbawiona założeniem, że jej licencja dotyczyła też Celluciego, Vicki przywołała na twarz swój najlepszy zawodowy uśmiech, specjalnie ćwiczony; by wzbudzać zaufanie społeczeństwa.

- Potrzebujemy paru informacji o strzelaniu, a Barry Wu powiedział nam, że pani Reki jest najlepszą osobą, by nam ich udzielić.

- Znać Barry'ego?

- Często współpracujemy z policją. - Celluci nie miał nic przeciwko udawaniu partnera Vicki. Lepsze to niż afiszowanie się z odznaką po całym London. Jego przełożeni w Toronto nie byłiby z tego zadowoleni

- My też - zapewnił gorliwie. - Członkowie klubu są odpowiedzialni za swoją broń. Każdy element, który się u nas pojawia, jest rejestrowany przez policję. Nie trzymamy tu amunicji. Ci, którzy prowokują strzelaniny w restauracjach i szkołach albo przypadkiem odstrzelują wujkowi Ralphowi głowę nową zabawką kaliber .30, to dupki, które myślą, że broń to supernaładowane przedłużenie fiuta - proszę mi wybaczyć określenie - a nie członkowie naszego klubu.

- Nie, żeby lepiej było postrzelić kogoś celowo niż przez przypadek - zauważyła gorzko Vicki. Jednak rozumiała jego punkt widzenia. Skoro nie dawało się wepchnąć samej idei broni z powrotem do puszek Pandory, dobrze było odebrać jej cały blask i uczynić po prostu jeszcze jednym narzędziem albo hobby. Osobiście jednak uważała, że należałoby wprowadzić na całym świecie tak skomplikowane i długie procedury kontroli, by każdy, od producentów do użytkowników, rezygnował, byle

tylko nie bawić się w wypełnianie papierków. A kara za użycie broni przy popełnianiu przestępstwa powinna być odpowiednia do rodzaju przestępstwa... Żeby można było z niej drania zastrzelić, a potem pogrzebać ją razem z ciałem. Doszła do takich wniosków kiedyś, kiedy zobaczyła, co kaliber .12 może z bliska zrobić z ciałem siedmiolatka.

- Nie ma pan nic przeciwko, żebyśmy zaczekali na przyjazd pani Reid? - zapytał Celluci, zanim mężczyzna za biurkiem zdążył zdecydować, czy słowa Vicki były atakiem na niego, czy wyrazem poparcia. Miał już dość awantur jak na jeden dzień. Lekko zmarszczył brwi i wzruszył ramionami.

- Chyba nie zaszkodzi, zwłaszcza że Barry was przysłał. Wiecie, on jest dumą i radością naszego klubu. Nikt tutaj nie może się z nim równać. Chłopak jedzie na następne igrzyska i jeśli na tym świecie jest jakaś sprawiedliwość, wróci stamtąd ze złotem. Cholera! - Sięgając po dzwoniący telefon, wskazał na schody. - Pokój klubowy jest na drugim piętrze, tam możecie poczekać na Bertie.

W pokoju klubowym stało kilka brązowych i złotych biurowych sof i krzeseł, parę znacznych rozmiarów stołów i szafka na nagrody. W małej kuchni w rogu najważniejsze miejsce zajmował ogromny dzban do parzenia kawy, słoiki z kawą rozpuszczalną, elektryczny czajnik i cztery, różniące się rozmiarami, dzbanki do herbaty. O 3:00 w poniedziałek jedyną osobą przebywającą w pomieszczeniu był mały szary kot zwinięty w kłębek na „Biblii Strzelca”. Podniósł łeb, gdy Vicki i Celluci weszli do środka, po czym ostentacyjnie ich zignorował. Zza ogromnych okien na północnej ścianie dochodziły odgłosy wystrzałów.

Celluci wyjrzał na zewnątrz, a potem wziął z jednego ze stołów lornetkę i zaczął obserwować cel.

- O ile to nie jest spisek mający na celu zmylenie tropów - powiedział chwilę później, podając lornetkę Vicki - to żaden z tych dwóch na pewno nie jest strzelcem, którego szukamy. Vicki odstawiła lornetkę na stół, nawet przez nią nie spoglądając.

- Słuchaj, Celluci, nie ma sensu, żebyśmy siedzieli tu oboje do czwartej. Może podjedziesz do doktora, zabierzesz bliźniaki i

ich ojca do domu, a potem wrócisz po mnie?

- A co w tym czasie będziesz robić?

- Pokręcę się po klubie, zadając pytania, a potem porozmawiam z Bertie. Nic, co wymagałoby obecności ciebie w charakterze niańki.

- Próbujesz się mnie pozbyć?

- Staram się być rozsądna. - Stłumiła westchnienie, gdy skrzyżował ręce na piersi. - Słuchaj, wiem, jak bardzo nienawidzisz czekania, i wątpię, żeby tu się działo cokolwiek, co mogłoby nam obojgu dostarczyć zajęcia na godzinę.

Miała rację, chociaż niechętnie to przyznawał. - Moglibyśmy porozmawiać - zaproponował ostrożnie.

Vicki pokręciła głową. Kolejna „rozmowa” z Cel-lucim to ostatnie, czego jej teraz było trzeba.

- Pogadamy, jak będzie po wszystkim. Wyciągnął rękę, żeby poprawić jej okulary.

- Trzymam cię za słowo - brzmiało to bardziej jak groźba niż obietnica. - Zadzwoń na farmę, kiedy będziesz chciała, żebym przyjechał. Nie ma sensu, żebym zwał ci się na głowę w samym środku rozmowy.

- Dzięki, Mike.

- Nie ma za co.

- No i na co mi to było? - zastanowiła się głośno, kiedy już miała salę klubową dla siebie. - Doskonale wiem, co on teraz robi. - Krzesła były wygodniejsze, niż na to wyglądały i Vicki w przyjemnością opadła na złoty welur. - Zgodził się, żeby wymagłować łaki o Henry'ego, a mnie przy tym nie będzie. - Czy chciała, żeby dowiedział się o Henrym? - Już i tak grzebie w jego przeszłości - wyjaśniła kotu. - Lepiej, żeby się dowiedział od łaków niż przypadkiem. To było bardzo rozsądne wyjaśnienie i Vicki postanowiła w nie uwierzyć. Miała nadzieję, że Henry też to robi.

ROZDZIAŁ 13

Przykro mi, mineliście się. Właśnie wrócił do łóżka.

- Wrócił do łóżka? - Celluci zerknął na zegarek. - Za dziesięć czwarta po południu? Jest chory?

Nadine pokręciła głową.

- Niezupełnie. Alergia dawała mu w kość, więc wziął lekarstwo i poszedł na górę odpocząć. - Włożyła prześcieradło do kosza na pranie, starając się zapamiętać, że kiedy Henry się obudzi, trzeba go będzie uświadomić w kwestii jego domniemanej alergii.

- Miałem nadzieję, że uda mi się z nim porozmawiać.

- Powiedział, że wstanie wieczorem. Zdaje się, że stężenie pyłków maleje po zmroku. - Sięgnęła jednocześnie po wiszące na sznurze pranie, tracąc przy tym równowagę. Niemal w tej samej chwili mocny chwyt Celluciego uratował ją przed upadkiem. „Aż szkoda, że nie jest łakiem” pomyślała, jednocześnie dziękując mu i strząsając jego rękę. „I dobrze, że Stuart jest w oborze”. - Może pan z nim później porozmawiać - dodała - jeśli zostanie pan na kolacji.

Alergia. Henry Fitzroy nie wyglądał na kogoś, kogo byle alergią zwałiby z nóg. Chociaż Celluci bardzo chciał wierzyć, że pisarze, a już zwłaszcza autorzy romansów, są słabymi wymoczkami żyjącymi w świecie wyobraźni, nie mógł zaprzeczyć, że od tego mężczyzny wręcz bije siła. Nadal uważał, że romanse to zaledwie przykrywka dla powiązań z przestępczością zorganizowaną. W końcu, ile czasu mogło zajmować pisanie książki?

Zostawało go dużo na angażowanie się w wiele niemoralnych przedsięwzięć.

Niestety, nie mógł się tu kręcić i czekać w nieskończoność.

- Dziękuję za zaproszenie, ale...

- Detektywie?

Odwrócił się.

- Pani Nelson dzwoni. Do pana.

- Proszę mi wybaczyć. Nadine skinęła, prawie niewidoczna zza zwojów

potarganej pościeli, sponiewieranej przez łaki podczas nocnych przemian.

Zastanawiając się, co znowu poszło nie tak, Celluci podążył za rudowłosym nastolatkiem do małego pokoiku przy kuchni, który pozostał po większym, podzielonym, gdy w domu założono kanalizację i trzeba było urządzić gdzieś łazienkę.

- Dziękuję, yyy... - Poznał bliźniaczki jakiś kwadrans wcześniej, kiedy pomagały Peterowi i Rose zaprowadzić Donalda na piętro i do łóżka, ale nie miał pojęcia, z którą z nich rozmawia.

- Jennifer - zachichotała i odgarnęła z twarzy rudą grzywę. - Ta ładniejsza.

- Proszę mi wybaczyć - uśmiechnął się Celluci. - Zapamiętam na przyszłość.

Znowu zachichotała i uciekła.

Wciąż się uśmiechając, podniósł starą, czarną słuchawkę - pewnie to ten sam telefon, który podłączono trzydzieści lat temu, kiedy zakładano linię.

- Celluci.

Vicki, która uczyła się manier w tej samej szkole, nie zwracała uwagi na brak uprzejmych ozdobników. Sama ich rzadko używała.

- Właśnie się dowiedziałam, że Bertie Reid będzie najwcześniej o piątej.

- Zaczekasz na nią?

- Chyba nie mam wyjścia.

- Przyjechać do ciebie?

- Nie, to bez sensu. Zostań na farmie, żebym mogła do ciebie zadzwonić. I spróbuj trzymać ła... Heer-kensów z dala od tych pól.

- W dzień powinno tam być bezpiecznie.

- Nie obchodzi mnie to. Nikt już nie zostanie postrzelony, nawet

jeśli będę musiała ich wszystkich uwiązać na smyczach.
Rozłączyła się, nie pytając o Henry'ego. Celluci uznał, że to trochę dziwne - zupełnie jakby wiedziała, że go nie będzie w pobliżu. Oczywiście, może po prostu była bardziej taktowna niż zwykle, ale mocno w to wątpił.

Rozważając możliwości, wrócił na podwórko.

- Wygląda na to, że jeszcze trochę tu zostanę. Kobieta, z którą Vicki ma porozmawiać, spóźnia się.

- Nie ma sprawy. - Nie była to do końca prawda, ale zdaniem Nadine Stuart musiał popracować nad tolerowaniem niewilkolących samców dominujących. Ten gliniarz z Toronto świetnie się nadawał na obiekt ćwiczebny. Ostatnim razem niemal skończyło się katastrofą, a i tak było im trudno ukryć swe istnienie, nawet bez Stuarta rzucającego wyzwanie każdemu samcowi alfa. Wiedziała, że jej partner ma trudności z zaakceptowaniem obcych w roli obrońców watahy, ale co się stało, to się stało. Stuart musiał nauczyć się z tym żyć. „Albo wszyscy umrzemy. Jak Srebrna”. Podała Celluciemu garść klamerek. - Proszę to odłożyć do koszyka, dobrze?

Dziwiąc się milcząco tak nagłemu zasmuceniu, Celluci posłuchał. Zastanawiał się, czy powinien coś powiedzieć. A jeśli tak, to co?

- Mamo? - Daniel, idealne wcielenie sześciolatniej melancholii, wywlókł się zza rogu i potknął o schodek. - Chcę iść nad sadzawkę, ale nie ma mnie kto zabrać. Tatuś wsadził głowę w traktor i mówi, że Peter i Rose naprawiają płot przy drodze, a wuj Donald jest chory, a Colin jest w pracy, a Jennifer i Marie opiekują się wujem Donaldem... - zrobił pauzę i westchnął głęboko. - I tak sobie myślałem...

- Nie teraz, kochanie - odgarnęła mu włosy z oczu. - Może później.

Hebanowe brwi Daniela opadły.

- Ale ja chcę iść teraz. Gorąco mi.

- Mogę go zabrać - zaproponował Celluci. - Nie mam nic innego do roboty. - To w zasadzie była prawda. Przyszło mu też do głowy, że dzieci każdego gatunku zwykle wiedzą więcej, niż podejrzewają dorośli. Jeśli Fitzroy był starym przyjacielem rodziny, Daniel mógł wyjaśnić parę nieścisłości.

- Umie pan pływać? - zapytała wreszcie Nadine. - Jak ryba.

- Mamo, proszę.

Rozważyła, co jest ważniejsze: wygoda czy bezpieczeństwo jej dziecka z tym nieznajomym. Uczciwie stawiając sprawę, ostatniej nocy nie można było uznać za argument świadczący na niekorzyść detektywa. Samce nie działały rozsądnie, kiedy buzowała im krew.

- Mamusiu!

A wyzwanie właściwie dało mu pewnego rodzaju pozycję w watasze.

- No dobrze.

Daniel objął matkę za nogi i wydał z siebie dźwięk bardzo podobny do radosnego szczeknięcia. Potem odbiegł, rzucając przez ramię podekscytowane: „No chodź!” do Celluciego, który podążył za nim w odrobinę spokojniejszym tempie. - Hej! Odwróciła się i ledwie zdążył złapać ręcznik, zanim dostał nim w twarz.

Nadine uśmiechnęła się szeroko. Koniuszek języka wystawał odrobinę zza bardzo białych zębów.

- Przyda się. I proszę mu nie pozwalać jeść żab! Potem mu obiad zaszkodzi.

- Nie wiem. Przyjeżdżał tu, odkąd pamiętam. Tłumaczenie: trzy albo cztery lata.

- Często przyjeżdża? - Jasne. Masę razy.

- Lubisz go?

Daniel odwrócił się i zaczął iść tyłem, zerkając na Celluciego zza dzikiej burzy czarnych włosów.

- No jasne. Henry przywozi mi różne rzeczy. - Jakie?

- Figurki. No wiesz, superbohaterowie i takie tam. - Zmarszczył brwi. - Ale je łatwo pogryźć. -Zahaczył naga piętą o kępę trawy i machając ramionami, usiadł. Warknął na bezczelną przeszkodę i ostrzegłszy ją przed konsekwencjami kolejnych próba ataku, chwycił wyciągniętą rękę Celluciego.

- Nic ci się nie stało?

- Nic. - Podbiegł kawałek, a potem wrócił, tylko po to, by udowodnić, że nic mu nie jest - Gorzej się przewracałem. Celluci zabił komara.

- Daleko do tej sadzawki? - Wyplątał zmiażdżonego insekta z włosów na ramieniu i wytarł rękę o spodnie.

- Nie. - Trzy skoki udowodniły, że zwieszająca się gałąź wciąż była za wysoko, i Daniel ruszył dalej.

- To część farmy?

- Aha. Dziadek wykopał ją grizilion lat temu. Kiedy mama była mała - dodał, na wypadek gdyby Celluci nie wiedział, ile to jest grizilion lat.

- Henry chodzi z tobą pływać?

- Nie. Nie wolno mi pływać w nocy, chyba że wszyscy tu są.

- Henry'ego nigdy nie ma w dzień?

Daniel westchnął i spojrział na Celluciego jak na idiotę.

- Oczywiście, że jest. Teraz jest dzień.

- Ale on śpi.

- No. - Przelatujący motyl rozproszył go. Zaczął za nim gonić, póki ten nie wzleciał wysoko pomiędzy rosnące wzdłuż ścieżki topole.

- Czemu nie chodzi z tobą pływać w dzień?

- Bo śpi.

- Akurat wtedy, kiedy chcesz iść pływać? Daniel zmarszczył nos i podniósł głowę znad chrząszcza, którego obserwował. - Nie.

Strażnik z budynku powiedział już Celluciemu, że Henry Fitzroy prowadził wybitnie nocne życie. Praca nocami i spanie w dzień nie było niczym niezwykłym, ale jeśli dodać do tego pozostałe fragmenty układanki - czy raczej ich brak - z całą pewnością nie rozwiewały podejrzeń.

- Czy Henry przywozi kogoś ze sobą? - Jasne. Przywiózł Vicki.

- Kogoś innego? - Nie.

- Wiesz, co Henry robi, kiedy jest w domu?

Daniel wiedział, że nie wolno mu mówić, że Henry jest wampirem, tak samo jak wspominać, że jego krewni są wilkołakami. Wbijano mu to do głowy, odkąd pamiętał. Ale policjant wiedział o kudłatych kształtach i był przyjacielem Vicki, a ona znała tajemnicę Henry'ego. Więc

może detektyw też wiedział? Daniel uznał, że należy zachować ostrożność.

- Nie wolno mi mówić. To brzmiało obiecująco.

- Nie wolno ci mówić czego?

Daniel spojrzał na mego spode łba. Ten dorosły był naprawdę nudny, chciał tylko rozmawiać, czyli nici z zabawy w kudłatej formie. Z Vicki było o wiele zabawniej. Rzuciła mu patyk, żeby go gonił.

- Jesteś zły na Henry'ego, bo jest z twoją partnerką?

- Ona nie jest moją partnerką - powiedział ostro Celluci, zanim przyszło mu do głowy, że mądrzej byłoby nie odpowiadać.

- Pachniesz, jakby była - zmarszczył brwi. - Ale ona nie.

Musiał zapytać.

- A jak ona pachnie?

- Sobą.

„To nie jest temat na rozmowę z sześciolatkiem”, przypomniał sobie Celluci, kiedy ścieżka doprowadziła ich na małą łąkę, na której końcu migotała w słońcu niebieskozielona sadzawka.

- O rany! Kaczki. - Daniel zrzucił spodenki i pobiegł przez pole, szczekając piskliwie i machając hi-sterycznie ogonem. Stado odczekało, aż prawie dotarł do sadzawki i dopiero wtedy odleciało. Skoczył

za nimi, rozpryskując wodę i szczekając, póki nie zniknęły mu z oczu. Wtedy usiadł na płyciźnie, napił się wody i odwrócił, sprawdzając, czy jego kompan aby na pewno był świadkiem brawurowej szarży na wroga.

Celluci roześmiał się i podniósł porzucone spodenki.

- Dobra robota - zawołał. Przez kręgosłup przeszedł mu dziwny dreszcz, kiedy zobaczył, jak chłopiec się przemienia, ale zaraz znikł. Przechodząc przez łąkę, Celluci postanowił odpuścić sobie Hen-ry'ego na resztę popołudnia i po prostu dobrze się bawić.

- Głęboko? - zapytał, kiedy był już przy sadzawce.

- Na samym środku zakryłoby cię całego - stwierdził Daniel po chwili obserwacji.

Ponad sześć stóp to bardzo głęboko dla takiego

Daniel zlizął z nosa kroplę wody. - Oczywiście, że umiem -

oznajmił z uraza. - Pieskiem.

- Myślisz, że skończymy przed kolacją? - Rose otarła pot z czoła.

- Chyba wuj Stuart nie dał nam wyboru - rzucił Peter, opierając się o drewniany młotek. - Ostatnio zrobił się strasznie warkliwy.

- Na wypadek gdybyś zapomniał, rodzina jest w niebezpieczeństwie. Ma dobry powód.

- Jasne, ale czemu niby ma warczeć akurat na mnie?

Rose tylko wzruszyła ramionami i zaczęła ściśle ubijać ziemię wokół metalowego słupka. Nie znosiła ilości ubrań, jaką trzeba było nosić przy tym zajęciu - butów, dzinsów, koszulki - ale płotów nie dało się naprawiać w sukience, zwłaszcza że każdy kawałek wydawał się stanowić podpórkę dla co najmniej jednego krzaka malin.

- Chodzi mi o to - Peter odwinął z rolki dwudziestocentymetrowy kawałek drutu i zaczął przytwierdzać dolną część ogrodzenia do słupka - że warczy na nas, czego byśmy nie robili.

„Chciałeś powiedzieć: czego ty byś nie robił”.

Rose westchnęła i nic nie powiedziała. Ostatnio sama czuła się bardzo dziwnie. Na pewno nie miała zamiaru krytykować swojego bliźniaka.

Zmrużył oczy w słońcu, białozółtej kuli blasku na popołudniowym niebie i z trudem powstrzymał się, by nie wywiesić języka i zacząć dyszeć.

- Też mi dzień na pracę na drodze. Nie do uwierzenia, że jest aż tak gorąco.

- Ty przynajmniej możesz zdjąć koszulę. - Ty też.

- Nie tuż przy drodze.

- Czemu nie? - uśmiechnął się. - Tędy nigdy nic nie jeździ.

Zresztą masz takie małe cycki, że nikt ich nie zauważy.

- Peter!

- Peter! - przedrzeźniał ją. - No dobra, jeśli ten pomysł ci się nie podoba, to może powleciesz się do domu i przyniesiesz wodę?

Rose prychnęła.

- Jasne. A ty w tym czasie oprzesz się o płot i będziesz patrzył, jak świat się kręci?

- Nie - pochylił się i podniósł sekator. - Ja w tym czasie oczyszczę kolejny słupek.

Przeniosła wzrok ze słupka na brata, potem odwróciła się i ruszyła w stronę domu.

- Lepiej, żebyś tak zrobił... - rzuciła przez ramię ostrzeżenie.

- A jeśli nie, to co?

- Jeśli nie to... to odgryzę ci ogon - roześmiała się, kiedy Peter skulił się, słysząc ich ulubioną groźbę z dzieciństwa, a potem pobiegła, czując na plecach jego spojrzenie, póki nie zeszła z pola na drogę.

Peter zerknął na talię swoich dżinsów. Były zbyt obcisłe, zbyt wysokie, za bardzo grzały. Chciał... Właściwie to nie wiedział już, czego chce.

- To było koszarne lato - mruknął, idąc wzdłuż płotu. Tęsknił za ciotką Sylvia i wujem Jasonem. Dwoje starszych odeszło i wyglądało na to, że on i Rose nie mają wyboru. Muszą dorosnąć i ich zastąpić.

Nagle zapragnął wyc, ale zamiast tego wyładował frustrację na zaroślach. Może powinien sobie zorganizować życie poza watahą, tak jak Colin. Odrzucił ten pomysł niemal w tej samej chwili, kiedy na niego wpadł. Colin nie miał bliźniaka, a Peter nie potrafił sobie wyobrazić życia bez Rose. Ledwie wytrzymali w jedenastej klasie, kiedy rozkład zajęć izolował ich od siebie na niemal cały dzień. Nauczycielka nie miała pojęcia, jak mało brakowało, by ją ugryźli, kiedy nie chciała tego zmienić, mówiąc, że już czas, by wyzwolili się z niezdrowej zależności emocjonalnej. Peter zdekapitował sekatorem parę stokrotek.

„Co ona tam wie. Może gdyby ludzie wykształcili u siebie jakąś zależność emocjonalną, świat nie byłby taki popieprzony”.

Odgłos zbliżającego się samochodu sprowadził go do płotu, skąd mógł zobaczyć kierowcę. Czarno--złoty dżip zwolnił, kiedy się z nim zrównał, zatrzymał się kawałek dalej i cofnął, rozpryskując żwir. To był ten sam dżip, który parkował tu w niedzielny poranek, kiedy Peter poszedł do skrzynki pocztowej, by zawołać Cienia. Zjeżyły mu się włosy na karku.

Odłożył sekator i przeskoczył przez płot. Najwyższa pora się dowiedzieć, czemu ten facet się tu kręci.

Mark Williams nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Nie tylko natknął się na samotnego wilkołaka, ale w dodatku na jednego z rudowłosych. Młodych rudowłosych. Z jego doświadczenia wynikało, że nastolatki łatwo dawały się zmanipulować, wówczas działały impulsywnie i nieostrożnie.

Nawet w dzinsach i sportowych butach istota miała w sobie wilczy wdzięk. Patrząc, jak przeskakuje przez płot i podchodzi do auta, Mark nabrał przekonania, że to druga, ludzka wersja zwierzęcia, które widział poprzedniego dnia. Układ głowy, wyraz ostrożnej ciekawości na twarzy były, biorąc poprawkę na różnice w kształcie, identyczne.

Opuścił okno, postanowiwszy wykorzystać to przypadkowe spotkanie. Zawsze był zdania, że najlepiej mu wychodziły improwizacje.

- Jesteś jednym z Heerkensów?

- Tak. A co?

- Mogłeś mnie ostatnio zauważyć w okolicy. - Taaa.

Mark rozpoznał tę pozę. Zwierzę chciało robić za bohatera.

„Jeśli zostaniesz w spodniach, dostaniesz swoją szansę”.

- Hmm... Zwróciłem uwagę na wasz mały problem.

- Jaki problem?

Mark wycelował w niego palcem i powiedział:

- Pif-paf. Słyszałem, że w tym miesiącu straciliście dwóch członków rodziny. Mam... eee... - Nagły dźwięk zaskoczył go, zwłaszcza gdy uświadomił sobie, co słyszy. Wilkołak warczał, dźwięk dobiegał

z jego gardła i bez wątpienia był groźbą. Mark wsunął rękę w powrót do samochodu, a palec położył na przełączniku zamykającym okno. Nie warto ryzykować. - Mam pewne informacje, które mogą wam pomóc złapać winnego.

Zainteresowany?

Zwierzę w ludzkiej skórze zmarszczyło rude brwi.

- Czemu mi to mówisz?

Mark uśmiechnął się ostrożnie, by nie pokazywać zębów.

- A widzisz tu kogoś innego? Pomyślałem, że może będziesz chciał coś z tym zrobić.

Warczenie ucichło i wreszcie całkiem umilkło.

- Ale.

- Nieważne. - Mark wzruszył ramionami. „Teraz ostrożnie, rybka już prawie połknęła haczyk...”-Jeśli wolisz siedzieć bezpiecznie w domu, kiedy inni ratują twoją rodzinę... - zaczął zamykać okno.

- Nie! Czekaj! Powiedz mi! „Złapany”.

- Mój wuj, Carl Biehn...

- Trawojad?

Odraza bijąca z tego określenia nie mogła przejść niezauważona. Mark ukrył uśmiech. Planował powiedzieć, że jego wuj widział coś przez lornetkę, kiedy obserwował ptaki, ale szybko dokonał zmian w scenariuszu, wykorzystując uprzedzenia drapieżnika względem wegetarianina. Nawet jeśli, jak to się mówi, w ten sposób rzucał wuja wilkom na pożarcie.

- Tak. Trawojad. To on. Ale nikt ci pewnie nie uwierzy. Spotkaj się ze mną w nocy w jego starej stodole, dostarczę ci dowody.

- Nie wierzę ci.

-Jak sobie chcesz. Gdybyś jednak uznał, że twoja rodzina jest warta odrobiny twojego czasu, znajdziesz mnie w stodole o zachodzie słońca. Myślę, że możesz o tym uprzedzić... swoich - westchnął głęboko, kręcąc głową. - Ale bez dowodów ci nie uwierzy. Trawojad? Ta, jasne! Nie bardziej niż ty wierzysz mnie. A jeśli nie przyjdiesz, stracisz jedyną szansę na ich ocalenie. Ja tam bym nie chciał, żeby coś takiego zalegało na moim sumieniu.

Zamknął okno i odjechał, zanim wilkołak zdążył zrozumieć, co miał na myśli, i zadać jeszcze jakieś pytania. Parę punktów planu mogło się nie powieść, ale Mark był niemal pewien, że prawidłowo ocenił bestię, a ryzyko się opłaca.

Zerknął we wsteczne lusterko. Stwór dalej stał przy drodze.

Lada chwila przekona sam siebie, że niezależnie od tego, jakie motywy kierowały nieznajomym, nie zaszkodzi sprawdzić, jakimi dowodami dysponuje. I jak każdy młody, nic nikomu nie powie. Nie, póki sam nie będzie pewien.

- No, dalej, ocal świat. Zostań bohaterem. Zdobądź dziewczynę.

- Mark poklepał stos wnyków leżących na siedzeniu pasażera. - Zrób ze mnie bogacza.

Rose wróciła do płotu z dzbankiem wody, akurat kiedy kurz wzbity przez odjeżdżający samochód zaczął opadać. Widziała, że Peter z kimś rozmawiał, ale nie dojrzała ani nie wywęszyła, kto to był.

- Hej - zawołała. - Stoisz na drodze z jakiegoś powodu?

Peter prawie podskoczył.

- Peter? Co się stało?

- Nic. - Otrząsnął się i przeskoczył z powrotem na drugą stronę płotu. - Nic się nie stało.

Rose zmarszczyła brwi. To było oczywiste kłamstwo. Już miała mu to wytknąć, kiedy przypomniała sobie, co poradziła jej ciotka Nadine, kiedy

wspomniała, że Peter ostatnio bywa humorzasty. „Daj mu trochę przestrzeni, Rose. Chłopcom w jego wieku jest trudno”, wcześniej nigdy niczego przed sobą nie ukrywali, ale może ciotka Nadine miała rację.

- Proszę - podała mu dzbanek - może poczujesz się po tym lepiej.

- Może. - Wątpił w to. Ich palce zetknęły się i poczuł, jak delikatny dreszcz przemyka w górę jego ramienia i odbija się echem po całym ciele. Świat gdzieś znikł i został tylko jej zapach, delikatny, ciepły i tak bardzo, bardzo bliski. Zachwiał się. Poczuł, jak ktoś wyjmuje dzban z jego dłoni i chwilę później lodowata woda opryskała mu twarz i tors.

Rose próbowała się nie śmiać. Wyglądał na wkurzonego, ale z tym mogła sobie poradzić.

- Myślałam, że zaraz zemdlejesz. - Zrobiła krok w tył.

- Gdybyśmy mogli się przemienić - warknął Peter, potrząsając głową i rozbryzgując wokół kropelki wody - przegoniłbym cię aż do sąsiedniego hrabstwa i wtedy...

- I wtedy co byś zrobił? - drażniła się z nim, umykając z jego zasięgu. Nagle odkryła w sobie dziwne poczucie władzy. Gdyby jeszcze tylko nie miała na sobie tylu ubrań.

- Wtedy... - Strumyczek wody prześlizgnął się pod paskiem jego

spodni. - Wtedy... Cholera, Rose, to jest zimne! Odgryzłbym ci ogon, właśnie to bym zrobił!

Roześmiała się, nie mogąc się już powstrzymać

- Chodź. - Podniosła młot i ruszyła w stronę płotu. - Skończmy robotę, zanim wuj Stuart odgryzie nam obojgu ogony.

Peter chwycił szpulę z drutem i poszedł za nią.

- Ale ja jestem cały mokry - mruknął, wycierając wilgoć z obrośniętej włosami piersi.

- Przestań narzekać. Jeszcze chwilę temu było ci za gorąco.

Podniosła młot nad głowę. Peter poczuł jej pot, a jego uszy zaczęły płonąć. W jednej chwili podjął decyzję. Tej nocy pójdzie do stodoły Carla Biehna.

Przez moment myślał, czy nie powiedzieć o tym wujowi Stuartowi. Ale gdyby to zrobił, wuj albo od razu odrzuciłby wszelkie informacje dotyczące tra-wojada i chciałby wiedzieć, o co chodziło informatorowi, albo uwierzyłby, a po dowody poszedłby sam.

Tak czy inaczej, Peter zostałby zepchnięty na boczny tor. A to nie mogło się zdarzyć.

Powie wujowi, kiedy już będzie miał dowód. Przedstawi mu wtedy niezbity argument. Udowodni starszemu łakowi, że Peter jest kimś, z kim trzeba się liczyć. Nie dzieckiem. Już widział, jak wyzywa samca alfa i wygrywa. Jak rządzi watahą. Jak zdobywa prawo do rozmnażania.

Gdyby wrócił z informacją, która ocali rodzinę, Rose na pewno byłaby pod wrażeniem.

- Ty jesteś tą młodą kobietą, która chciała się ze mną widzieć?

Vicki rozbudziła się gwałtownie i spojrzała na zegarek. Była 6:10.

- Cholera - mruknęła, poprawiając okulary. W ustach miała niesmak, jakby właśnie napiła się wody ze ścieku.

- Proszę, to powinno pomóc.

Vicki zagapiła się na kubek herbaty, który nagle pojawił się w jej ręce, i pomyślała: „czemu nie?”.

Chwilę później już знаła odpowiedź.

„Bo nienawidzę herbaty. Po co w ogóle ją piłam?”

Ostrożnie odstawiała kubek i zebrała się w sobie. „Jestem w sali klubowej Grove Road Sportman's Club. Więc ta drobna kobieta w niebieskich dżinsach to pewnie...”

- Bertie Reid?

- We własnej osobie. A raczej to, co z niej zostało.

- Staruszka uśmiechnęła się, pokazując zęby, zbyt równe, by mogły być prawdziwe. - A ty zapewne jesteś Vicki Nelson, prywatny detektyw. - Uśmiech poszerzył się, a twarz wokół niego stała się jeszcze gęstsza siecią zmarszczek. - Słyszałam, że potrzebna ci moja pomoc.

- Tak. - Vicki przeciągnęła się, przeprosiła i patrzyła, jak Benie siada ostrożnie na jednym z obitych złotym welurem krzeseł, balansując z wprawą ustawionym na kolanie kubkiem. - Barry Wu powiedział mi, że jeśli ktoś w tym mieście może mi pomóc, to właśnie pani.

Ta uwaga najwyraźniej sprawiła staruszce przyjemność.

- Tak powiedział? Jak miło. Sympatyczny chłopiec ten Barry, z następnych igrzysk jak nic wróci z medalem.

- Wszyscy to mówią.

- Nie, wszyscy mówią, że wróci ze złotem. Ja nie. Nie chcę wbić chłopaka w dumę, zanim jeszcze tam pojedzie. Nie chcę też, żeby źle się czuł, wracając ze srebrem. Bycie drugim na całym świecie to nie powód do rozpaczy, a wszyscy ci domorośli, fotelowi sportowcy, którzy kręcą nosem na drugie miejsca, zasługują na porządnego kopniaka. - Wzięła głęboki oddech i duży łyk herbaty. - A teraz do rzeczy. Co chciałaś wiedzieć?

- Czy w okolicach London, nie tylko w tym klubie, jest ktoś, kto dorównałby Barry'emu Wu w strzelaniu?

- Nie. Coś jeszcze?

Vicki zamrugła oczami.

- Nie? - powtórzyła.

- O nikim takim nie wiem. Znam parę dzieciaków, które mogą być w tym dobre, jeśli poćwiczą, i jednego czy dwóch stałych bywalców, po których czasem widać, jacy kiedyś byli dobrzy, ale ludzie ze zdolnościami Barry'ego i samodyscypliną konieczną, by je rozwijać, to rzadkość. - Uśmiechnęła się i wzniosła

kubek do góry w toaście. - Dlatego tylko jeden medal jest ze złota.

- Szlagi

Staruszka przez chwilę wpatrywała się w twarz Vicki, potem odstawiła kubek i usiadła wygodniej, krzyżując odziane w dżinsy nogi. Jasnozielone paski na sportowych butach były najjaskrawszym elementem w pokoju.

- Ile wiesz o strzelectwie wyczynowym?

- Niewiele - przyznała Vicki.

- Więc powiedz mi, czemu zadajesz takie pytanie, a ja ci powiem, czy dobrze je sformułowałaś.

Vicki zdjęła okulary i potarła dłońmi twarz. Nic to nie pomogło. Wręcz przeciwnie. Kiedy dotknęła siniaka na skroni, uświadomiła sobie, że to był bardzo zły pomysł. Wsadziła okulary z powrotem na nos i sięgnęła do torby po fiolkę z tabletkami, które jej dali w szpitalu. „Kiedyś bez problemu mogłam kochać się z wampirem, wyjść cało z poważnego wypadku, odwieźć klienta do szpitala, nie spać do świtu, a potem spędzić dzień, klóćąc się z Cellu-cim o etykę. Chyba się starzeję”. Połknęła tabletkę bez popijania. Mogła wziąć łyk herbaty, a na to nie była gotowa.

- Potłukłam sobie głowę - wyjaśniła, wrzucając małą plastikową buteleczkę do torby.

- Podczas pełnienia obowiązków? - zapytała Bertie. Wyglądała na zaintrygowaną.

- Tak jakby - westchnęła Vicki. W ciągu ostatnich kilku minut w jakiś sposób doszła do wniosku, że Bertie ma rację. Nie знаła się na strzelectwie, nie wiedziała więc, czy zadaje właściwie pytanie. Zniżonym głosem, tak żeby jedyna osoba poza nimi siedząca w pokoju nic nie słyszała, przedstawiła ocenzurowaną wersję wydarzeń, które sprowadziły ją do London.

Bertie gwizdnęła cicho, słysząc opis strzałów, które zabiły „dwa psy rodziny”.

- Chcę się upewnić, że dobrze zrozumiałam: czterysta pięćdziesiąt metrów, w nocy, do ruchomego celu, z czubka sześciometrowego drzewa?

- Nie więcej niż pięć metrów, może tylko trzy.

- Tylko trzy? - Bertie prychnęła. - A oba psy zabił pojedynczy, identyczny strzał w łeb? Chodź. - Odstawiła kubek na bok i wstała z krzesła. Jasnoniebieskie oczy świeciły zza dwuogniskowych soczewek.

- Dokąd idziemy?

- Do mnie. Jeden taki strzał to mogło być szczęście albo przypadek. Ale dwa... dwa oznaczają, że mamy do czynienia z wytrenowanym talentem. Takich umiejętności nie zdobywa się w ciągu jednego dnia. Jak już mówiłam, na świecie jest tylko parę osób, które są w stanie tak strzelać, a twój strzelec nie wyskoczył Zeusowi z głowy. Chyba zdołam ci pomóc go znaleźć, ale musimy iść do mnie. Tam mam wszystkie materiały. Ci tutaj nie poznaliby książki, nawet gdyby ich w tyłek ugryzła. - Machnęła ręką, wskazując na salę. Mężczyzna około czterdziestki, siedzący przy jednym ze stołów i głaszczący kota, z zaskoczeniem jej odmachał. - Czytają tylko pisma o broni. Cały czas powtarzam, że to miejsce potrzebuje biblioteki. Pewnie zostawię im swoją w testamencie. Będzie przez dziesięć, dwadzieścia lat obrastać kurzem, póki się nie zestarzeje, a wtedy ją wywalą. Przyjechałaś samochodem? - Nie.

- Nie? Myślałam, że każdy detektyw ma zgrabne, czerwone, seksowne autko. Nieważne. Pojedziemy moim. Mieszkam blisko. - Nagła seria strzałów odwróciła jej uwagę i przyciągnęła do okna. - Ha! Mówiłam mu, że jeśli chce stawać do zawodów tej jesieni, nie powinien kupować Winchestera. Przyzwyczajenie się do niego zajmie mu miesiące. Ten głupiec powinien był mnie posłuchać. Robercie! Mężczyzna przy stole prawie podskoczył.

- Słucham?

- Jeśli Gary tu przyjdzie, powiedz mu, że powiedziałam: „a nie mówiłam”.

- Eee... jasne, Bertie.

- Jego żona jest na strzelnicy - szepnęła do Vicki, kiedy szły do drzwi. - Przychodzą tu w prawie każde popołudnie, po pracy. On nienawidzi broni, ale kocha żonę, więc poszli na kompromis: ona strzela tylko do tarcz, on na to nie patrzy. Samochód Bertie okazał się ogromnym starym fordem Contry Squire Station, białym, z listwami w kolorze drewna. Osiem

cyldrów zawyło, kiedy wyjeżdżały na autostradę, a potem, przy stałej prędkości siedemdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę ograniczyło się do równomiernego pomrukiwania. Vicki starała się nie kręcić nosem na prędkość -a raczej jej brak - ale czuła, że czas przecieka jej przez palce. Mogła mieć tylko nadzieję, że rana Donalda przypomni łakom, czemu po zmroku muszą się trzymać blisko domu. Póki upierały się przyprawie do chodzenia po własnym terenie, każdy zachód słońca, każdy dodatkowy dzień, jaki spędzała nad sprawą, narażał kolejnego z nich na niebezpieczeństwo. Jeśli nie mogła ich przekonać, by zostały w domu - a jak dotąd nie udało jej się to - musiała znaleźć zabójcę najszybciej, jak to było możliwe.

Wyminął ich głośno trąbiący samochód.

- Chciałam sprawić sobie naklejkę na zderzak „Zatrąb na mnie, a przestrzelę ci oponę”, ale znajomy wybił mi to z głowy - westchnęła Bertie. - Jeżdżenie z taką prędkością to marnowanie zasobów naturalnych. - Jakby dla podkreślenia swoich słów zwolniła o pięć kilometrów.

Vicki też westchnęła, choć z zupełnie innych powodów.

ROZDZIAŁ 14

Bertie Reid mieszkała w małym bungalowie jakieś dziesięć minut samochodem od strzelnicy. „Dziesięć minut jazdy, gdyby prowadził ktokolwiek inny” westchnęła w duchu Vicki, idąc za staruszką do domu.

- Mogłabym skorzystać z pani telefonu? Muszę zadzwonić do - „do diabła, jak określić Cellucie-go?” - mojego kierowcy i dać mu znać, gdzie jestem.

- Telefon stoi tam. - Bertie wskazała na pokój dzienny. - Pójdę zaparzyć herbatę. Chyba że wo-lisz kawę.

- Tak, jeśli można prosić.

- Mam tylko rozpuszczalną.

- Wystarczy. Dziękuję. - Vicki nie była snobem poza tym wszystko wydawało jej się lepsze od her-baty.

Telefon, biały aparat z wybieraniem tonowym, stał na stosie gazet przy wypchanym fotelu w kwiatki i dopasowanym podnóżku. Tuż za nim znajdo

wała się lampa z trzema ruchomymi kloszami, a na jednym z szerokich podłokietników leżał pilot, częściowo schowany za gazetą z programem telewizyjnym.

„Centrum dowodzenia, nie da się ukryć”. Vic-ki wybrała numer Heerkensów. Czekać, aż ktoś na farmie odbierze, rozejrzała się po pokoju. Pełno w nim było książek - na półkach, na podłodze, na innych meblach. Klasyka, romanse - zauważyła dwa autorstwa Elizabeth Fitzroy - czyli Henry'ego - kryminały, literatura faktu. Vicki zdarzało się widzieć księgarnie z mniej zróżnicowaną ofertą.

- Halo?

- Rose? Tu Vicki Nelson. Jest tam jeszcze Mike Celluci?

- Aha. Ciotka Nadine zaprosiła go na kolację. Pójdę po niego. Kolacja. Vicki pokręciła głową. To powinno być interesujące, małe starcie samców alfa nad hot dogami. Usłyszała w tle jakieś głosy, potem ktoś podniósł słuchawkę.

- Ale masz wycucie czasu, właśnie usiedliśmy. Podjechać po ciebie?

- Jeszcze nie. Pani Reid przyjechała później. Jestem teraz u niej i trochę tu jeszcze posiedzę. Nie wie, kim może być strzelec, ale sądzi, że jest w stanie się dowiedzieć.

- Jak?

- Każdy, kto strzela aż tak dobrze, musiał pobić jakiś rekord, a jeśli ktoś gdzieś to zarejestrował, to ona powinna mieć kopie. - Rozejrzała się po pokoju.

Nie wyglądało na to, żeby cokolwiek zostało ułożone na półkach według jakiegoś klucza. - Ale to może trochę potrwać.

- Chcesz, żebym przyjechał?

- Nie, - Im mniej czasu z nim spędzała, tym mniej prawdopodobne było, że wróci do popołudniowej kłótni. Nie chciała się teraz tym zajmować. To, że Celluci ją wkurzy, nikomu nie pomoże. Miała znaleźć mordercę i go powstrzymać, a nie kłócić się

o stronę etyczną sprawy. - Wolałabym, żebyś został i miał na wszystko oko.

- A co z Henrym?

Co z Henrym? Zastanawiała się, jak wyjaśniono mu jego nieobecność. Celluci przysięgał, że zawsze wie, kiedy ona kłamie, więc ostrożnie dobierała słowa.

- On nie ma wykształcenia.

- Chryste, Vicki, to są wilkołaki. Ja nie mam wykształcenia. - W myślach zobaczyła, jak odgarnia kosmyk włosów z czoła. - I nie o to mi chodziło.

- Słuchaj, Mike, powiedziałam już, co myślę o twojej teorii na temat przestępczości zorganizowanej. I nie mam teraz czasu cackać się z twoim posiniaczonym samczym ego. Ty i Henry musicie się jakoś dogadać. - Najlepszą obroną jest atak. Nie miała pojęcia, od kogo to po raz pierwszy usłyszała, ale miało to sens. - Zadzwoń, gdy już wszystko załatwię - odkładając słuchawkę, słyszała, że Celluci jeszcze coś mówi. Nie sprawiał

wrażenia zadowolonego. „Zapewne powtórzy mi to później, więc nic mnie nie ominie”.

Popołudniowe słońce sięgało długimi złotymi palcami w głąb pokoju. Do zmroku zostały jeszcze prawie dwie i pół godziny. Vicki zorientowała się, że marzy o tym, żeby zepchnąć złotą kulę w dół i uwolnić Henry'ego ze szponów dnia. W przeciwieństwie do Mike'a Celluciego, który próbował dopasować stare reguły do nowej gry, wampir rozumiał.

„A ja całkiem niedawno myślałam, że miło byłoby mieć przy boku Celluciego, ostoję normalności. Kiedy moje życie stało się takie skomplikowane?”

- Śmietanka i cukier? - zawołała z kuchni Bertie.

Vicki pokręciła głową, próbując strząsnąć pajęczynę problemów.

- Tylko śmietankę. - Nie pozostawało jej nic innego, jak liczyć, że wszystko się w końcu samo rozwiąże.

Dodatkowa sypialnia została przekształcona w bibliotekę. Na trzech z czterech ścian królowały półki z książkami, ostatnia była zastawiona szafkami na akta. Ogromne, zawalone papierami biurko zajmowało prawie całą podłogę. Vicki od razu zwróciła na nie uwagę.

- To biurko partnerskie - wyjaśniła Bertie, gładząc lśniąca krawędź ciemnego drewna. - Tak na prawdę to dwa biurka, ale jeden mebel - zdjęła z krzesła stos gazet. - Ruth i ja kupiłyśmy je prawie dwadzieścia pięć lat temu. Jeśli nie liczyć samochodów czy domu, to najdroższa rzecz, jaką kiedykolwiek kupiłyśmy.

- Ruth? - Vicki znalazła na biurku skrawek miejsca na swoją kawę.

Staruszka sięgnęła po oprawioną fotografię stojącą na jednej z półek. Uśmiechnęła się odruchowo i podała ją Vicki.

- Moja partnerka. Byłyśmy razem przez trzydzieści dwa lata. Zmarła trzy lata temu. Atak serca. -W jej uśmiechu więcej było smutku niż radości. -Bez niej nie ma już po co utrzymywać porządku. Musisz mi wybaczyć ten bałagan.

Vicki oddała jej zdjęcie.

- Ciężko stracić kogoś bliskiego - powiedziała miękko, myśląc, że ten sam odcień bólu krył się w oczach Nadine, gdy mówiła o

swojej bliźniaczce. - A ja jestem ostatnią osobą, która ma prawo krytykować czyjkolwiek bałagan. Jeśli tylko trafi w nim pani znaleźć to, czego pani potrzeba.

- No cóż... - Bertie ostrożnie odstawiała zdjęcie na półkę i wskazała rzędy książek: Historia strzelectwa wyborowego, Strzelanie jako sport, Strzelanie z miejsca, Podręczna książka o strzelaniu do celu. - Od czego zaczynamy?

Vicki sięgnęła do torebki po listy osób, które okazyjnie bywały na terenie rezerwatu - ptaszników i fotografów - i położyła je na biurku.

- Pomyślałam, że zaczniemy od samej góry i porównamy te nazwiska z listami kanadyjskich drużyn olimpijskich, potem zwycięzców zawodów regionalnych, a w końcu lokalnych. Bertie pochyliła się i przejrzała listy.

- Byłoby łatwiej, gdybyśmy miały też listę posiadaczy broni. Czy policja przypadkiem?...

- Ma.

Staruszka wyglądała na zaskoczoną tonem głosu Vicki. Lekko zadrgały jej mięśnie wokół ust, ale wyraz twarzy Vicki pomógł jej powstrzymać ciekawość. Po chwili zapytała:

- Tylko kanadyjskie?

- Na początek tak. - Vicki wzięła duży łyk kawy i zastanowiła się, czy powinna przeprosić. W końcu to jej cholerna wina, że nie miała policyjnej listy. - Jeśli nic na nich nie znajdziemy, zajmiemy się innymi krajami. Jeśli pani ma...

- Mam spis wszystkich strzeleckich drużyn olimpijskich z ostatnich czterdziestu lat, do tego z amerykańskich zawodów krajowych, większości regionalnych i lokalnych w Pensylwanii, Michigan i Nowym Jorku.

Drużyny kanadyjskie zajmowały siedem grubych czerwonych segregatorów. Nawet jeśli zignorować statystyki, kopie artykułów z gazet i wyniki, zostawało tyle nazwisk do przejrzenia, że na samą myśl o tym Vicki znowu rozbolała głowa.

„Gdyby to był serial telewizyjny, znalazłabym na tym drzewie kawałek koszuli, która mogłaby należeć tylko do jednej osoby, potem byłby pościg samochodowy, walka, przerwa na wyjście do kibelka

i wszystko by się ślicznie rozwiązało w mniej niż godzinę".
Położyła jedną z list obok pierwszego segregatora i poprawiła okulary. „Witajcie w prawdziwym świecie”.

Podczas obiadu Peter z dziesięć razy zmieniał zdanie, czy powiedzieć reszcie rodziny, co wiedział, czy nie. Powinni wiedzieć. Ale gdyby od razu pokazał im dowód... Powiedzieć - nie powiedzieć. Nie powiedzieć - powiedzieć.

Część niego chciała zrzucić całą sprawę na barki starszych łaków, żeby wszystkim się zajęli, ale kolano Rose, co chwila trącające go pod stołem, wybijało mu ten pomysł z głowy. Ledwie czuł smak jedzenia, bo za każdym razem, kiedy brał wdech, czuł tylko zapach bliźniaczki i myślał tylko o tym, żeby jej zaimponować.

- Peter! Chleb?

- Przepraszam, ciociu. - Nie pamiętał, żeby prosiła o chleb, ale jej ton świadczył, że tak było. Po dając talerz z ciężkim razowcem, uświadomił sobie, że cokolwiek by postanowił, nie może powiedzieć ciotce. Niepoparte dowodami stwierdzenie „myślę, że chyba wiem, kto zabił twoją bliźniaczkę” tylko by rozdrapało rany. Zresztą w jej oczach wciąż był szczeniakiem i traktowała go tak samo jak Daniela. Musiał udowodnić, że jest już mężczyzną. Wcześniej tego nie zauważył, ale ciotka Nadine pachniała bardzo podobnie do Rose.

Nie mógł powiedzieć ojcu. Ojciec był ranny. Nie mógł nawet z nim porozmawiać o tym, co go gnębi, bo ojciec nie robił nic bez omówienia tego wcześniej z wujem Stuartem.

„Wuj Stuart”. Peter odgryzł kawałek mięsa, kiedy wuj Stuart wziął solniczkę od Rose. „Nie musiał jej dotykać. Myśli, że jest taki... taki cholernie macho. Myśli, że wie wszystko. Cóż, ja wiem coś, czego on nie wie”.

- Peter, czemu jesteś zły? Spojrzał na młodszego kuzyna.

- Nie jestem zły.

Daniel wzruszył ramionami.

- Pachniesz, jakbyś był zły. Znowu się rzucisz na tatusia?

- Powiedziałem, że nie jestem zły.
- Peter. - Stuart zmarszczył brwi i odsłonił zęby.
Peter zdusił pragnienie, by odchylić głowę i odsłonić gardło.
Uszy miał płasko położone po sobie, a rozdarty płatek pulsował w rytm jego tętna.
- Nic nie zrobiłem! - warknął, podrywając się od stołu. Wybiegł z kuchni. „Tylko poczekajcie”, pomyślał, rozbierając się i przemieniając. „Już ja wam pokażę”.
Rose uczyniła ruch, jakby chciała za nim pójść, ale Nadine popchnęła ją z powrotem na krzesło. - Nie.
Stuart westchnął i potarł bliznę nad łukiem brwiowym, ślad po pierwszej walce, jaką stoczył jako dorosły. Musiało się tak skończyć, z obcym w gronie rodziny. Zerknął na Celluciego, który spokojnie wycierał keczup z łokcia - Daniel znowu dał się ponieść emocjom, kiedy dorwał się do ściskanej butelki - a potem na Nadine. Musieli wreszcie coś postanowić w sprawie rozdzielenia bliźniąt. Dłużej nie mogli już tego odkładać.

Sztorm pętał się wokół stodoły, szukając szczerów, na których mógłby się wylądować. Bezskutecznie. Nie poprawiło mu to humoru. Pogonił stadko szpaków, ale odleciały, zanim zdążył zatopić w którymś zęby. Skrył się w cieniu przy samochodzie Cellucie-go i wygryzł sobie z łapy kępkę zmatowiałej sierści. „Życie jest do dupy”, uznał.

Do zmroku pozostały jeszcze prawie dwie godziny. Dwie godziny, zanim udowodni, ile jest wart. Zanim złapie tego człowieka zębami za gardło i wy-trząśnie z niego prawdę. Wyobraził sobie reakcję rodziny i Rose, kiedy wejdzie i oznajmi: „wiem, kim jest zabójca”. Albo nawet lepiej - wejdzie i rzuci jego ciało na podłogę.

Wtem. poprzez zapach stali, benzyny i oleju, dotarł do niego delikatny, znajomy trop. Na samochodzie Cellucie-go, od strony pasażera, wzdłuż krawędzi okna był kawałek, który pachniał dokładnie tak jak człowiek w czarno-złotym dżipie.

Skrzywił się i polizał po nosie.

Wtedy sobie przypomniał.

Zapach, który poczuł w warsztacie, trop na lince hamulcowej we wraku samochodu Henry'ego, był identyczny.

To wszystko zmieniało. Wieczorne spotkanie mogło być pułapką. Sztorm podrapał ziemię i zaskamlał z podniecenia. To był coś! To wystarczyło, żeby inni potraktowali go poważnie.

- Peter?

Postawił uszy. To był głos wuja dochodzący z okolic domu. Nie wołanie, lecz rozmowa. Sztorm przysunął się odrobinę, tak, żeby wyjrzeć zza samochodu, ale nie zostać zauważonym. Był po zawietrznej, a to dobrze służyło podsłuchiowaniu.

- Wszystko z nim w porządku - mówił Stuart. - To po prostu nastolatek.

Celluci prychnął.

- Rozumiem. Te nastolatki.

Obaj mężczyźni pokręcili głowami.

Sztorm warknął cicho. Więc wystarczyło jedno słowo, żeby go określić? Powiedzieć „nastolatek”, jakby to oznaczało chorobę. Jakby to wszystko wyjaśniało. Jakby wciąż był dzieckiem. Zjeżyły mu się włosy na karku, a wargi odsłoniły zęby, lśniące, długie kły. Już on im pokaże. Tej nocy.

- ...oczywiście, aż do wczesnych lat sześćdziesiątych większość strzelców była zdania, że nikt nigdy nie strzeli więcej niż 1150 w zawodach międzynarodowych. Ale w 1962 roku gość imieniem Gary Anderson wystrzelał 1157 punktów. Parę szczęk wtedy opadło na ziemię, a większość uznała, że nikt go nigdy nie pobije. - Bertie pokręciła głową nad tym, w co zwykła wierzyć większość. - Oczywiście, mylili się. Tamto 1150 to było coś, co nazywają czynnikiem psychologicznym i kiedy Gary pobił rekord, przestało się liczyć. Zrobię jeszcze herbaty. Na pewno nie chcesz kawy?

- Nie, dziękuję. - Odkąd Vicki opuściła służbę, jej poziom

tolerancji na kofeinę obniżył się. Czują działanie trzech kubków, które już wypła. Nerwy miała napięte do granic wytrzymałości. Zostawiła Bertie w kuchni i popędziła do pokoju dziennego, do telefonu.

Wieczór minął niemal niezauważenie, kiedy porównywała listy nazwisk. Słońce, dysk tak ogromny, czerwony i odcinający się od reszty nieba, jakby był sztuczny, zbliżało się już do horyzontu. Vicki spojrzała na zegarek. 8:33. Trzydzieści pięć minut do zachodu słońca. Trzydzieści pięć minut do Hen-ry'ego. Powiedział, że tej nocy jego ramię będzie już w pełni sprawne, więc może on i Celluci mogliby zacząć się razem przy drzewie, a Peter przyjechałby po nią? Parsknęła, kiedy wyobraziła sobie, jakby to wyglądało. Usiadła w fotelu i włączyła jedno ze świateł. Z całą pewnością wypła za dużo kawy.

Nazwiska jedenastu strzelców olimpijskich pasowały do nazwisk członków miejscowych klubów. Nadszedł czas na kolejny krok.

- Halo? Pani Scott? Nazywam się Terri Hanover, jestem pisarką i pracuję nad artykułem o uczestnikach igrzysk olimpijskich. Zastanawiałam się, czy jest pani krewną Briana Scotta, który był członkiem kanadyjskiej drużyny w 1976 roku w Montrealu? Nie? Ale była pani w Montrealu. To bardzo ciekawe, ale niestety muszę porozmawiać osobiście z uczestnikami. - Vicki stłumiła westchnienie. - Przepraszam, że przeszkodziłam. Dobranoc.

Jeden z głowy, jeszcze dziesięciu. Kłamać, żeby odkryć prawdę. „Cześć. Nazywam się Vicki Nelson i jestem prywatnym detektywem. Czy ktoś z członków pani rodziny strzelał ostatnio do wilkołaków?”

Poprawiła okulary i wybrała kolejny numer, niemal bez żadnej nadziei na powodzenie.

Dla Henry'ego zachód słońca był niczym zawieszenie między życiem a śmiercią. Albo raczej śmiercią a życiem. W jednej chwili nie istniał. W drugiej wrócił

świadomość i strząsnęła z niego ślady dnia. Leżał nieruchomo, wsłuchując się w bicie swojego serca. Czuł prześcieradło, materac pod nim, a jeszcze niżej łóżko. Zapach łąków przenikał wszystko i zagłuszał nawet jego własny, ale nie dziwiło go to. Gotowy na kolejną noc, otworzył oczy i wstał, sięgając zmysłami poza swoją kryjówkę.

Vicki nie było w domu. Za to był Mike Celluci.

Po prostu wspaniale. Czemu się go jeszcze nie pozbyła? A skoro już o niej mowa, to gdzie się po-dziewała?

Przeciągnął się i zerknął na świeżą skórę na rannemu. Chociaż to miejsce wciąż było odrobinę nadwrażliwe, a mięśnie jeszcze nie do końca się odbudowały, tworząc na razie wgłębienie, rana już się zagoiła. Dzień pozwolił mu odzyskać siły, a głód skurczył się do szeptu, który łatwo było zignorować.

Ubierając się, myślał o detektywie sierżancie Cel-lucim. Łaki musiały go zaakceptować, bo Henry nie wyczuwał u śmiertelnika strachu ani gniewu. Chociaż dalej uważał, że najbezpieczniej byłoby wypalić z umysłu Celluciego wspomnienie wilkołaków i przemiany, której był świadkiem, nie mógł podjąć decyzji, nie wiedząc, co wydarzyło się w ciągu dnia. Żałował, że nie wie, o co podejrzewa go ten człowiek, co powiedział Vicki zeszłej nocy, i co ona mu powiedziała.

--Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać. - Otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. Mike Celluci był w kuchni. Tam do niego dołączy.

Na chwilę przed tym, jak słońce znikło za horyzontem, Sztorm przeskoczył przez płot za stodoła i pod jego osłoną oddalił się od domu. Wuj kazałby mu wracać, Rose chciałyby wyjaśnić. I jedno, i drugie oznaczałoby katastrofę, więc użył wszystkich znanych sztuczek, żeby pozostać w ukryciu.

Nie miało znaczenia, ile czasu mu to zajmie, człowiek będzie na niego czekał. Na pewno. Jego uszy przyległy do głowy, a oczy zaślniły. Człowiek dostanie więcej, niż chciał.

- Nic?

- Nic. - Vicki przetarła oczy i westchnęła. - I chyba mam dość na dziś. Nie sądzę, żebym dała radę ponownie stawić czoła tym listom bez dwunastu godzin snu.

- Nie widzę powodu, dla którego miałabyś to robić - powiedziała Bertie, zabierając talerze po kanapkach. - To przecież nic pilnego. Z całą pewnością ci ludzie mogą przez parę dni trzymać swoje psy na uwięzi.

- To nie takie proste.

- Dlaczego?

- Bo to nigdy nie jest proste. - Mętne wyjaśnienie, ale lepszego nie miała. Nawet gdyby mogła o tym mówić, Vicki wątpiła, czy byłaby w stanie oddać peł-

nię imperatywów terytorialnych łaków - nie, kiedy oznaczało to takie głupie zachowania, jak świadome wystawianie się na cel. Zerknęła na zegarek i wyciągnęła z torebki kolejne dwie tabletki przeciwbólowe, połykając je bez popijania. O 11:00 Colin skończy służbę. Za mniej więcej godzinę uda się na posterunek i wróci z nim na farmę. A na razie...

- Jeśli jeszcze trochę pani ze mną wytrzyma, zajmę się przeglądaniem druzyn spoza Kanady.

Bertie wyglądała na nieprzekonaną.

- Nie mam nic przeciwko. Jeśli uważasz, że dasz radę...

- Muszę dać. - Vicki wydobyła się z głębin fotela, który zdawał się wciągać ją z powrotem w swoje odmęty. - Ludzie, z którymi dziś rozmawiałam, pewnie będą mówić o telefonie - podniosła głos, żeby przekrzyczeć grającą jej w głowie perkusję. - Muszę działać szybko, zanim strzelec się zorientuje i ukryje. - Potrząsnęła szybko głową, żeby wszystko wróciło na miejsce. Do perkusji dołączyło uderzenie talerzy. Kolana się pod nią ugięły i rozpaczliwie schwyciła się najbliższej szafki, szukając wsparcia. Przy okazji zrzuciła trzy książki na podłogę.

Wciąż opierając się o szafkę, pochyliła się, żeby je podnieść, i

zamarła.

- Wszystko w porządku? - pełne niepokoju pytanie Bertie zdawało się dochodzić z bardzo daleka.

- Tak. W porządku - wyprostowała się powoli, trzymając w ręce trzecią książkę, która spadła okładką do góry tuż u jej stóp.

Makbet.

Tego ranka Carl Biehn cały czas pocierał dłonie, próbując z nich zetrzeć brud. Jak Lady Makbet, pomyślała, podnosząc książkę, i zastanowiła się, co takiego mogło się stać, żeby stary człowiek był aż tak zdenerwowany. Ale Lady Makbet czyściła ręce z powodu poczucia winy, a nie nerwów. Czemu Carl Biehn czuł się winny?

Z powodu czegoś, co zrobił jego głupi siostrzeniec? Możliwe, ale Vicki w to wątpiła. Założyłaby się, że Carl Biehn był człowiekiem, który brał pełną odpowiedzialność za własne zachowanie i od innych oczekiwał tego samego. Jeśli czuł się winny, to znaczy, że coś zrobił.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że to on jest mordercą. Ale wiedziała, że jej wiara nie ma tu nic do rzeczy.

Większość morderstw popełniają ludzie, których ofiara zna osobiście.

W ciągu całej historii ludzkości głęboka wiara wielokrotnie stanowiła powód, dla którego przelewano rzeki krwi.

Nie zaszkodziłoby sprawdzić. Tylko, żeby się upewnić.

Nie było go w żadnej z drużyn kanadyjskich, ale Biehn to nazwisko europejskie. To, że nie miał akcentu, nic nie znaczyło.

- Na pewno wszystko w porządku? - zapytała Bertie, kiedy Vicki się do niej odwróciła. - Wyglądasz, cóż, dość osobliwie.

Vicki odstawiła egzemplarz Makbeta z powrotem na półkę.

- Muszę przejrzeć europejskie zespoły. Niemców, Holendrów...

- Lepiej by było, gdybyś usiadła z zimnym okładem na głowie.

To nie może poczekać do jutra?

Nie było powodu, dla którego by nie mogło.

- Nie. - Vicki powstrzymała się od pokręcenia głową. Obraz dłoni starego człowieka stał jej przed oczami. - Nie sędzę, żeby mogło.

Sztorm, przycupnąwszy na skraju lasu, obserwował stodołę starego Biehna. Sprawdził wiatr. Mężczyzna z czarno-złotego dżipa był w środku sam. Trawojad został w domu. Najprostsza droga wiodła przez pole, ale nawet w ciemnościach Sztorm nie miał zamiaru tak się wystawiać. Kawałek na wschód płot biegł od lasu aż do drogi, mijając stodołę o ledwie dwadzieścia metrów. Nierówna linia drzew i krzewów sprawiała, że w nocy kształty były dziwne i nieregularne. Nawet inny łak miałby trudności z dostrzeżeniem Sztorma. Szybko przemierzył korytarz tworzony przez cienie. Chociaż ciągnęło go, żeby rzucić się w pościg, zignorował paniczną ucieczkę przerażonego królika. Tej nocy polował na większą zwierzynę.

Ani we wschodnio-, ani zachodniemieckich drużynach nie było Carla Bielma. Vicki westchnęła, kartkując segregator w poszukiwaniu list z Holandii. Kiedy zamknęła oczy, widziała tylko czarne znaczki na białym tle.

„Biorąc pod uwagę migrację, Biehn może pochodzić skądkolwiek. Może powinnam szukać alfabetycznie.

Alfabetycznie...” Nieprzytomnie spojrzała na stronę, a jej serce zaczęło nienaturalnie głośno bić.

Rozciągnęły się przed nią rzędy kwiatów, a męski głos powiedział: „wszystko od a do zy”.

Zy. Kanadyjczycy ostatnią literę alfabetu wymawiali jako zet. Amerykanie mówili zy.

Sięgnęła po katalog zawierający informacje o amerykańskich drużynach olimpijskich. Wiedziała już, co tam znajdzie.

Henry stał w zacienionym korytarzu na parterze i słuchał, jak Celluci cierpliwie tłumaczy Danielowi, że jest już za ciemno na zabawę frisbee. Nie podejrzewał, że ten troszczy się o dzieci, ale tak naprawdę w ogóle sobie nim nie zaprzętał głowy. Teraz będzie musiał to robić.

Ten mężczyzna był bliski Vicki. Dobry przyjaciel, kolega z pracy, kochanek. Będą mieli ze sobą kontakt. Muszą więc zdefiniować łączące ich stosunki, dla obopólnego bezpieczeństwa.

Jak większość z jego rodzaju, Henry wolał ograniczyć kontakty ze śmiertelnym światem do minimum i mieć je pod kontrolą. Mike Celluci nie był kimś, z kim normalnie by się zadawał. Był zbyt...

Henry zmarszczył brwi. Zbyt uczciwy? Zbyt silny? Czy upadły książę zaczął unikać uczciwych i silnych, a zadawać się ze słabymi łajdakami? W ciągu całego życia od takich ludzi wymagał lojalności. Teraz był wart mniej niż wcześniej.

Wyszedł z cienia.

Mike Celluci nie słyszał kroków, ale poczuł coś za plecami i odwrócił się. Przez chwilę nie mógł poznać mężczyzny stojącego w drzwiach do kuchni. Postawa i moc nabyta przez wieki uderzyły go z niemal fizyczną siłą, a kiedy orzechowe oczy napotkały

jego spojrzenie, musiał zwalczyć nieracjonalne pragnienie, by upaść na jedno kolano.

„Co tu się, do cholery, dzieje?” Potrząsnął głową, żeby rozjaśnić myśli, i rozpoznał Henry'ego Fitz-roya.

- Chcę z tobą pogadać - powiedział ostro, żeby ukryć zmieszanie.

Telefon zadzwonił, sprawiając, że obaj zamarli.

Chwilę później Nadine weszła do kuchni, przeniosła wzrok z jednego mężczyzny na drugiego i westchnęła.

- To Vicki. Jej głos dziwnie brzmi. Chce rozmawiać z...

Celluci nie czekał, aż usłyszy imię, wpadł do pokoiku i złapał słuchawkę. Musiał jednak przyznać, że w jakiś dziwny, niemy sposób Henry Fitz

roy pozwolił mu odebrać telefon, inaczej detektyw nie byłby w stanie się ruszyć, „jeśli ten facet jest tylko autorem romansów,

to ja..." Nie potrafił wymyślić wystarczająco obrazowego porównania.

- Co jest?

- Gdzie Henry?

- A co? - Wiedział, że nie powinien wyładowywać na niej złości. Ale i tak to zrobił. - Chcesz mu przesłać buziaczka przez telefon?

- Celluci, odpiardol się - wyczerpanie dodało wyrazu jej słowom. - Carl Biehn był członkiem amerykańskiej drużyny strzeleckiej na letnich igrzyskach olimpijskich w 1960 roku w Rzymie.

W tej rozmowie nie było już miejsca na złość.

- Więc znalazłaś strzelca.

- Na to wygląda. - Chyba nie była z tego zadowolona.

- Vicki, tę informację trzeba przekazać policji.

- Daj mi Henry'ego. Nawet nie wiem, dlaczego z tobą rozmawiam.

- Jeśli tego nie zgłosisz, ja to zrobię.

- Nie. Nie zrobisz.

Już miał powiedzieć, że ani ich przyjaźń, ani łaki nie mogły stać ponad prawem, ale zimna ostateczność, jaka brzmiała w jej głosie, powstrzymała go. Przez chwilę czuł strach. A potem już tylko zmęczenie.

- Słuchaj, Vicki, podjadę po ciebie. Nic nie robimy, póki nie porozmawiamy.

Nagły hałas w kuchni zagłuszył odpowiedź. Przyciskając słuchawkę brodą, podszedł do drzwi, żeby je zamknąć. Ale zatrzymał się. I słuchał.

I już wiedział.

Dobrzy gliniarze nie żartują sobie z intuicji. Ich życie zbyt często od niej zależy.

- Sytuacja się zmieniła - przerwał Vicki. Nie usłyszał, co mówiła. - Będziesz musiała tu wrócić sama. Peter zniknął.

Sztorm przekradł się od płotu do stodoły skulony tak bardzo, że

szorował brzuchem po ziemi. Kiedy dotarł do kamiennych fundamentów stodoły, zamarł. Deski były stare i wypaczone, między nimi ziały szpary. Sztorm zmienił się - żeby nie przeszkadzał mu już pysk, nie dlatego, że jeden kształt miał lepszy wzrok niż drugi - i przytknął oko do pęknięcia.

Na jednym końcu stołu paliła się lampa naftowa, oświetlając profil mężczyzny z dżipa. Stał tyłem do drzwi, zajęty czymś, czego Peter nie mógł dostrzec. Śrutówka leżała na skraju stołu, w jego zasięgu.

Pod zapachem człowieka, zapachem lampy, pozostałościami zapachu zwierząt, które kiedyś tu mieszkały, krył się silny zapach naoliwionej stali. Było go więcej, niż mogła wydzielić broń. Peter skrzywił się, przemienił i pod kradł do ogromnych drzwi frontowych. Jedno skrzydło było lekko uchylone, wystarczająco, żeby wślizgnąć się do środka, ale pod ta-kim kątem, że nie mógł wpaść do stodoły i od razu rzucić się do ataku.

Odślonił zęby, a w jego gardle zadrżało bezgłośnie warczenie. Człowiek go nie docenił. Łak, który nie chciał, by go słyszano, słyszany nie był. Mógł wpaść do środka, skrócić i zaatakować, zanim człowiek sięgnie po broń, o wycelowaniu i strzale nie wspominając.

Ruszył do przodu. Zapach naoliwionej stali stał się silniejszy. Klepisko pod jego łapami poruszyło się, a on zamarł. Wtedy zauważył pułapki. Trzy z nich były ułożone przy uchylonych drzwiach, w wykopanych w ziemi dziurach, przykryte czymś zbyt lekkim, by je uaktywnić albo uniemożliwić szcękcom zaciśnięcie się. Nie wiedział, co to było, ale pachniało jak torf, którego ciotka Nadine używała w ogródku.

Z łatwością by przez nie przeskoczył, ale podłoga za nimi też wyglądała na ruszaną i nie miał pewności czy stanięcie na niej będzie bezpieczne. Nie mógł też się zmienić i przejść pomiędzy nimi nie stając się łatwym celem.

Z nosem przy ścianie okrążył budynek. Każde możliwe wejście miało ten sam zapach.

Każde poza jednym.

Wysoko na wschodniej ścianie, niemal całkiem ukryta za gałęziami młodego kasztanu, była mała kwadratowa klapka,

używana, kiedy jeszcze w oborze było bydło, do wrzucania klocków siana na strych. Łaki z zasady nie wspinały się na drzewa, co nie znaczyło, że tego nie umiały. Poznaczone odciśkami palce u rąk i nóg potrafiły znaleźć podparcie, którego ręce i nogi zwykłego człowieka by nie wykorzystały.

Przesuwając się ostrożnie po niebezpiecznie wąskim konarze, Peter sprawdził otwór i nie znalazł żadnych pułapek. Bezszelestnie wślizgnął się do środka, gratulując sobie w duchu przechytrzenia wroga.

Stare poddasze pachniało zgniłym sianem i ziemią. Peter, skulony, przemknął do dużego, kwadratowego otworu, przez który wpadało światło, żeby spojrzeć w dół. Znajdował się niemal dokładnie nad stołem, na którym poza latarnią leżał owinięty w brązowy papier pakunek, notatnik i ogromny fartuch ochronny.

Mężczyzna z dzipa zerknął na zegarek i zaczął nasłuchiwać.

To było pułapka zastawiona na kudłaty kształt.

Nie miał już żadnych wątpliwości. Ten człowiek zabijał jego rodzinę. Człowiek, który wiedział o nich dość, by przewidzieć, w jakim kształcie Peter się tu zjawi.

Peter uśmiechnął się, a jego oczy zaśniły w świetle lampy.

Nigdy nie czuł się taki żywy. Jego całe ciało pulsowało życiem.

Nie miał zamiaru rozczarować człowieka. Skoro chciał kudłatej formy, to ją dostanie. Zęby i pazury zaraz się nim zajmą.

Odsunawszy się od krawędzi świetlika, przemienił się i skoczył.

Warcząc, wylądował na plecach człowieka.

Razem runęli na ziemię.

Przez ułamek sekundy Mark Williams był zadowolony, widząc kształt, który wypadł z poddasza. Idealnie odgadł sposób rozumowania zwierzęcia. Lecz nie pomyślał o poddaszu i nie uświadamiał sobie, z czym będzie miał do czynienia.

Bardziej przerażony niż kiedykolwiek w życiu, walczył jak szaleniec. Kiedyś widział, jak owczarek niemiecki zabił susła, łapiąc go za kark i miażdżąc kręgosłup. Jego to nie mogło spotkać. Pazury wbijały mu się przez cienką koszulę w skórę, czuł gorący oddech przy uchu. Zdołał się obrócić i wcisnąć przedramię pomiędzy rozwarte szczęki bestii. Drugą ręką

rozpaczliwie przesuwał po podłodze w poszukiwaniu broni. Sztorm wypuścił ramię i zanurkował do nagle odsłoniętego gardła.

Mark zobaczył, jak nadciąga śmierć. A potem się zatrzymuje.

„Nie mogę tak po prostu rozerwać facetowi gardła. Co ja robię?” W jednej chwili żądza krwi zniknęła.

Obie nogi Marka znajdowały się pod brzuchem bestii. Kopnął z całej siły.

Całkowicie zaskoczony Sztorm uderzył o ziemię. Poderwał się z powrotem. Podłoga pod jego lewą tylną łapą poruszyła się.

Zgrzytnęły stalowe szczęki.

Ten dźwięk, połączony z pełnym bólu i strachu skomleniem sprawił, że Mark podniósł się powoli na kolana. Uśmiechnął się, widząc, jak rudy wilkołak walczy z potrzaskiem, kręcąc się i powarkując, próbując w panice wyrwać się na wolność.

Szamotanina była coraz słabsza, aż wreszcie zwierzę, dysząc, zaległo na podłodze.

"Nie! Proszę nie!" Nie mógł się przemienić. Nie, kiedy jego noga była uwięziona w pułapce. „Boli. Boże, jak to boli". Czuł zapach własnej krwi i własnego strachu. „Nie mogę oddychać. To boli".

Sztorm półprzytomnie zdawał sobie sprawę, że to nie pułapki powinien się bać. Człowiek, który zbliżał się z odsłoniętymi zębami, był o wiele bardziej niebezpieczny. Zaskamlał i przednimi pazurami zaskrobał o ziemię, ale nie udało mu się wstać. Jego głowa nagle stała się zbyt ciężka, by mógł ją podnieść.

- Mam cię, sukinsynu. - Trucizna była na gwarancji Mark nie żałował wydanych pieniędzy. Krzywiąc się, sięgnął do ramienia. Kiedy cofnął rękę, była

czerwona od krwi. Starannie trzymając się poza zasięgiem bestii, tak na wszelki wypadek, przykucnął tuż przy jej głowie. - Mam nadzieję, że boli jak diabli.

„Może... jeśli zawyję... usłyszą mnie..."

Wtedy zaczęły się konwulsje i było już za późno.

ROZDZIAŁ 15

Nie wiem! Ostatnio zachowywał się dziwnie. Stuart i Nadine wymienili spojrzenia nad głową Rose. Nadine już otwierała usta, ale wyraz twarzy partnera sprawił, że je zamknęła. Teraz nie było czasu na wyjaśnienia.

- Rose. - Celluci szybkim krokiem przeszedł przez kuchnię i spojrzał dziewczynie prosto w twarz. - To ważne. Czy poza rodziną, Vicki, panem Fitzroyem i mną Peter z kimś dzisiaj rozmawiał?

„On coś wie”, pomyślał Henry. „Nie powinienem był mu pozwolić odebrać tego telefonu”. Rose zmarszczyła brwi.

- No... Rozmawiał z mechanikiem w warsztacie, z doktorem Dixonem, doktor Levin - tą, która przejęła praktykę po doktorze Dixonie, była u niego trochę - hmmm... panią Von Thome, sąsiadką doktora i kimś przejeżdżającym drogą, ale nie widziałam z kim.

- Widziałaś samochód?

- Tak. Czarny, ze złotymi paskami i kołpakami z fałszywego złota - zmarszczyła nos. - Samochód pozera. - Wyraz jej twarzy zmienił się ponownie, gdy zobaczyła reakcję Celluciego. - To jest odpowiedź, na którą pan czekał, prawda? Prawda? - Zrobiła krok w jego stronę, obnażając zęby. - Gdzie jest Peter? Co się stało z moim bratem?

- Myślę - powiedział bezbarwnym głosem Stuart - że lepiej by było, gdyby pan nam powiedział, co wie.

Tylko Henry mniej więcej zdawał sobie sprawę, jaki konflikt targa Cellucim, ale nie miał dla niego ani odrobiny współczucia. Na pytanie „prawo czy sprawiedliwość” była tylko jedna odpowiedź. Patrzył, jak mięśnie na plecach Celluciego sztywnieją. Słyszał, jak jego serce przyśpiesza.

Doświadczenie mówiło Celluciemu, że powinien udzielić im jakiejś enigmatycznej odpowiedzi i zająć się sprawą sam. Jeśli wilkołaki chciały być traktowane jak reszta społeczeństwa, nie postępować wbrew przyjętym w społeczeństwie regułom. A jeśli mógł spełnić swój obowiązek, tylko siłą wyrywając się z tego domu... zacisnął pięści.

Z gardła Stuarta dobiegło niskie warczenie.

I z gardła Rose.

I Nadine.

Henry zrobił krok w przód. Miał dość. Wtedy Daniel zaczął szlochać. Rzucił się do nóg matki i skrył twarz w jej spódnicy.

- Zabiją Petera! - Materiał nie tłumiał płaczu sześciolatniego dziecka, które niewiele rozumiało z tego, co się dzieje.

Celluci spojrział na Daniela, który zdawał się mieć niezwykły talent to sprowadzania uwagi z powrotem na to, co najważniejsze, a potem na Rose.

- Nie możecie pozwolić, żebym się tym zajął? -zapytał miękko.

Pokręciła głową, powoli zaczynając wpadać w panikę.

- Pan nie rozumie.

- Pan nie jest w stanie zrozumieć - dodała Na-dine, ściskając Daniela tak mocno, że aż pisnął.

Celluci zobaczył ból w oczach starszej kobiety, ból, który ranił i uderzał, który będzie trwał dłużej, niż ktokolwiek powinien go znosić. Mógł oszczędzić go Rose.

- Carl Biehn był olimpijskim strzelcem wyborowym. Jego siostrzeniec, Mark Williams, jeździ czar-no-złotym dżipem.

Oczy Rose rozszerzyły się.

- Jeśli to on rozmawiał po południu z Peterem... -Jej sukienka opadła na podłogę. Chmura wypadła z kuchni i pognąła w noc.

- Rose, nie! - Henry wybiegł za nią, zanim Stuart, który wciąż mierzył się z Cellucim, zdążył zareagować.

„Jezu Chryste! Nikt nie porusza się tak szybko!" Celluci schwycił Stuarta za ramię, kiedy Henry rozpląnął się w mroku nocy.

- Czekaj! - zawołał. - Musicie mi pokazać drogę do farmy Carla Biehna.

- Puszczaj, człowieku!

- Do diabła, Stuart, ten facet ma broń! Już strzelił do Henry'ego!

Atak skończy się tym, że was powystrzela jak kaczki. Zdażymy tam przed nimi, jeśli pojedziemy samochodem.

- Nie liczyłbym na to. - Stuart zaśmiał się, ale bez radości w głosie. - To nasze polowanie. Ty nie masz prawa tam być.

- Zabierz go, Stuart - ton Nadine nie pozwalał na sprzeciw. - Pomyśl, co będzie potem.

Samiec warknął, ale po chwili wyrwał ramię z uścisku Celluciego i ruszył do drzwi.

- No dobra, chodź.

„Potem?” zastanawiał się Celluci, kiedy szli przez trawnik.

„Matko Boska, oni chcą, żebym tam był i wyjaśnił, skąd się wzięło ciało...”

- Czemu to tyle trwa? - Vicki poprawiła okulary i odwróciła się od okna. Po zachodzie słońca nie widziała nic poza własnym odbiciem w szybie, ale to nie powstrzymało jej od chodzenia w tę i z powrotem po pokoju i zerkania raz po raz w ciemność.

- Musi przyjechać aż z Adelaide i Dundas - zauważyła Bertie. - Zajmie mu to parę minut.

- Wiem! - Wzięła głęboki oddech. - Przepraszam. Nie powinnam na panią naskakiwać. Chodzi o to, że... gdyby nie te cholerne oczy, sama bym prowadziła.

Byłabym już w połowie drogi! Bertie zamyśliła się.

- Nie ufasz, że twój partner sobie z tym poradzi?

- Celluci to nie partner, tylko przyjaciel. Nie mam partnera. W zasadzie. - Henry na pewno nie pozwoli Celluciemu zrobić nic głupiego, ale kto uratuje Petera, kto będzie pilnował łąków, kto złapie tego cholernego drania - Vicki zawsze wyobrażała go sobie z twarzą Marka Williamsa, nawet jeśli to nie on pociągał za spust - a potem... a potem co? - Muszę tam być. Skąd mam wiedzieć, że to sprawiedliwość, jeśli mnie tam nie będzie? Zrozumiawszy, że na niektóre pytania nie należało odpowiadać, Bertie mądrze zachowała milczenie.

- Cholera, przecież powiedziałam mu, że to pilne! - Vicki rzuciła się z powrotem do okna i wyjrzała w noc. - Gdzie on

jest? - Do końca służby została godzina, a że Colin był już z powrotem na posterunku, Vicki bez problemu przekonała sierżanta dyżurnego, by zwolnił go wcześniej z pilnych przyczyn rodzinnych. - Czemu... Jest! - Światła skrzyły na podjazd.

Vicki chwyciła torbę i rzuciła się do drzwi, krzycząc przez ramię:

- Proszę z nikim o tym nie rozmawiać. Odezwę się.

Na zewnątrz, kompletnie ślepa, skierowała się w stronę reflektorów i cudem uniknęła przejechania przez jeden z niebiesko-białych radiowozów z London. Gdy tylko się zatrzymał, otworzyła tylne drzwiczki i padła na siedzenie.

Barry wrzucił wsteczny i spalił gumę na podjeździe, a Colin odwrócił się do niej.

- Co się dzieje? - warknął.

Vicki uczepliła się siedzenia, podczas gdy samochód pokonał zakręt na dwóch kołach.

- Carl Biehn był olimpijskim strzelcem wyborowym w czasach Korei i marynarki.

- Ten trawojad?

- Może i nim jest - ucięła ostro - ale jego siostrzeniec...

- Był oskarżony o fałszerstwo w 1986, posiadanie kradzionych dóbr w 1988, a parę miesięcy temu o współudział w morderstwie - wtrącił się Barry. Żadnych wyroków. Wywinął się trzy razy. Sprawdziłem dziś po południu.

- A ta pilna sprawa? - warknął Colin, odsłaniając zęby.

- Peter zniknął.

Trawa i zielsko smagały go po nogach. Drzewa, które widział tylko kątem oka, rozmywały się, ledwie dostrzegał nierealne cieniście kształty, zanim znikły. Płot nie stanowił żadnej przeszkody - przeskoczył nad nim i wylądował, nie zwalniając kroku. Henry zawsze wiedział, że łąki były w stanie wręcz niewiarygodnie przyspieszyć, ale aż do tej

nocy nie miał pojęcia, jak bardzo. Chmura gnała do swojego bliźniaka. Nie oddalała się zbyt od Henry'ego, ale i tak obawiał się, czy ją w ogóle złapie.

Teraz, kiedy posrebrzona księżycem samica wciąż pozostawała poza jego zasięgiem, Henry oddałby nieśmiertelne życie za dawaną jego rodzajowi w legendach możliwość zmiany kształtu. We wszystkim dorównywał łakom, ale cztery nogi mogły biec szybciej niż dwie.

Od wielu lat tak nie biegł. Z całych sił starał się zmniejszyć odległość dzielącą go od Chmury. Ten wyścig musiał wygrać, by ocalić chociaż jedno z nich.

Rozpryskując ziemię i kurz za samochodem, Cellu-ci przejechał przez zakręt na końcu drogi, walcząc, by utrzymać stałą prędkość. Zawieszenie szorowało po ziemi, a ze zbiornika oleju wydobył się krzyk protestu, gdy zahaczył o wystającą skałę. Nieustające staccato kamieni uderzających o podwozie uniemożliwiało rozmowę.

Stuart wciąż warczał gardłowo.

Przez to wszystko przebijał się głos ze wspomnień Celluciego.

„Chcesz być sędzią i ławą przysięgłych - a kto będzie katem? Też ty?”

Bał się bardzo, że wkrótce otrzyma odpowiedź. Modlił się, by Vicki nie przyjechała za późno.

Kiedy Chmura dopadła otwartych drzwi obory. Henry był tuż za nią. Jeszcze krok, może dwa i zdołałby ją zatrzymać.

Ale ona poczuła zapach bliźniaka i warcząc, skoczyła naprzód.

Kiedy łapy łaka oderwały się od ziemi, Henry z przerażeniem spostrzegł fałszywą podłogę i stalowe szczęki pod nią. Zbierając wszystkie pozostałe siły, rzucił się na Chmurę w desperackim skoku.

Już kiedy ją łapał, wiedział, że to nie wystarczy, więc obrócił się i osłonił walczącego łaka własnym ciałem. Uderzyli w podłogę i potoczyli się.

Wnyki zamknęły się - jedne schwyciły kilka srebrno-białych włosów, drugie nic.

Kiedy Henry toczył się po podłodze, miał przed oczyma kalejdoskop obrazów: rdzawe ciało leżące nieruchomo na stole, śmiertelnik stojący nad nim, od szyi do kolan osłonięty fartuchem, z cienkim nożem migoczącym w świetle lampy - a gdy zaczął się podnosić, jedną ręką wciąż trzymając dyszącą Chmurę, już wiedział. Gniew, czerwony i gorący, przetoczył się falą przez jego ciało.

Wtedy Chmura wyrwała mu się i zaatakowała.

Drugi raz tej nocy Mark Williams spojrział śmierci w twarz. Ale tym razem wiedział, że śmierć się nie zatrzyma. Krzyknął i upadł na stół. Czuł na gardle gorący oddech i jeden z białych kłów, a potem nagle nic. Zadziałał instynkt. Nie tracąc czasu na myślenie, chwycił za broń.

Henry walczył z Chmurą i własną żądzą krwi. „To siedemnastoletnia dziewczyna, jeszcze prawie dziecko. Nie wolno jej pozwolić, żeby zabijała”. Łaki nie żyły już z dala od ludzi. Jaki sens miałoby zwycięstwo, które sprawi, że do końca swoich dni będzie żyła ze splamioną duszą? Próbowала mu się wyrwać, a on powtarzał jedyne słowa, które teraz miały znaczenie:

- On ciągle żyje, Chmuro. Sztorm żyje. Wreszcie znieruchomiała, pisnęła i odwróciła się do stołu, z uniesionym pyskiem, żeby poczuć jego zapach.

Kolejne skamlenie przeszło w wycie.

Teraz, gdy skupiła się na Sztormie, a nie na zabijaniu, Henry wstał.

- Zostań - rozkazał, a Chmura opadła na podłogę, drżąc z chęci podejścia do bliźniaka, ale nie potrafiła się przeciwstawić. Henry podniósł głowę i spojrział prosto w podwójną lufę strzelby.

- Więc on jeszcze żyje, tak? - I strzelba, i śmiech drżały jednakowo niepewnie. - Nie czułem bicia serca. Jesteś pewien? Henry słyszał pełne wysiłku bicie serca Sztorma, czuł, jak jego

krw przedziera się przez zainfekowane trucizną ciało. Pozwolił swej żądy rosnąć.

- Znam życie - powiedział, robiąc krok w przód. -I znam śmierć.

- Taaak? - Mark zwilżył wargi. - A ja znam paciorek. Stój.

Henry uśmiechnął się.

- Nie. - Wampir. Księżę Ciemności. Dziecko Nocy. To wszystko było w jego uśmiechu.

Stół, który miał za plecami, uniemożliwiał ucieczkę. Mark nie miał wyboru. Pot zebrał mu się na czole i spłynął bokiem nosa. To tego demona postrzelił w lesie. Miał kształt człowieka, ale w jego twarzy nie było nic ludzkiego.

- Nie... nie wiem, czym jesteś - wyjąkał, zmuszając trzęsące się palce, by nie wypuściły broni - ale wiem, że można cię zranić. Jeszcze jeden krok i lufa obróci się na tyle, że Chmura znajdzie się poza linią strzału. „Jeszcze jeden krok”, powtarzał Henry, napędzając głód złością, „i ten potwór będzie mój”. Uniósł stopę.

Drzwi stodoły otwarły się na oścież.

- Rzuć to! - rozkazał Celluci.

Obok niego Stuart warknął. Z trudem powstrzymywał się, by nie zaatakować, aż drżały mu mięśniem Wycie Chmury wyrwało go z samochodu, jeszcze zanim tan się zatrzymał. Nawet nie zdążył pomyśleć i zdjąć ubrania - teraz utrzymywało go w ludzkim kształcie.

Lufa drgnęła, po czym uniosła się.

- Nie mam zamiaru.

- Co tu się dzieje? - wykrzyknął Carl Biehn. Miał karabin i trzymał na muszce mężczyzn stojących w drzwiach. Usłyszał, jak samochód zatrzymuje się na podjeździe, rozpryskując żwir. Usłyszał też wycie i już wiedział, że maczają w tym palce diabelskie pomioty. Zabranie karabinu zajęło mu tylko chwilę. Wciąż nie wiedział, co się dzieje, ale jego siostrzeniec potrzebował pomocy, to pewne.

- Zabezpiecz i rzuć pistolet na ziemię - wskazał lufą. - Tam, z dala od wszystkich.

Z zaciśniętymi zębami Celluci zrobił, jak mu kazano. Innego wyjścia nie widział. Szczęknięcie stalowych szczęk, które zamknęły się, gdy broń uderzyła o ziemię, zaskoczyło

wszystkich jednakowo.

- Pułapki - stwierdził Stuart. - Tam i tam. - Klepisko tuż przy jego bosych stopach zostało poruszone. - I tu.

- A teraz przejdźcie tam - rozkazał Carl. - Do innych, żebym... - Kiedy ruszyli między pułapkami do lampy, rozpoznał Stuarta. Cały dzień modlił się o odpowiedź na swoje wątpliwości, a teraz Pan wydał bezbożnika w jego ręce. Potem zobaczył Chmurę, wciąż skuloną za Henrym, niezwracającą uwagi na nic, poza ciałem na stole.

I wtedy zobaczył Sztorma.

Opuścił karabin na biodro, trzymając go niczym rewolwerowiec, z palcem na spuście. Celując w grupę intruzów skupionych teraz po jednej stronie stodoły, zbliżył się do stołu.

- Co tu się dzieje? - powtórzył. - Jak zginęło to stworzenie?

- On nie zginął. - Rose rzuciła się w ramiona Stuarta. - On nie umarł, wuju, on nie umarł!

- Wiem, Rose. Uratujemy go. - Poglądził ją po głowie, spoglądając na Williamsa, który gapił się, jakby pierwszy raz widział nagą dziewczynę. Rose potrzebowała ukojenia, ale jeśli mieli ocalić siebie i Sztorma, potrzebowała przede wszystkim zębów i pazurów. W duchu przeklął ubranie, które zmuszało go do pozostania w ludzkim kształcie.

- Przemień się - rozkazał. - Obserwuj. Bądź gotowa.

- Przestańcie. - Lufa przesuwiała się od Stuarta do Chmury i z powrotem. - Nie będziecie odczyniać diabelskich sztuczek.

Chmura zaskamlała, ale Stuart wsunął dłoń w gęste kudły na jej karku i powiedział cicho:

- Czekaj.

Carl przełknął ślinę. Ból w oczach tego zwierzęcia, kiedy patrzyło na niego, zlał się w jedno z płaczem istoty, którą zranił. Wątpliwości zalegające w jego sercu stały się coraz cięższe.

Misja Pana nie powinna nieść bólu. Odwrócił się i spojrzał na Sztorma z pełną przerażenia fascynacją.

- Siostrzeńcze, zadałem ci pytanie. Mark, zanim odpowiedział, odsunął się od Hen

ry'ego - przypadkiem zbliżając się jednocześnie do drzwi, na wszelki wypadek - walcząc z niewy-powiedzianym rozkazem brzmiącym „spójrz na mnie”.

- Ponieważ zostaliśmy zapewnieni - powiedział z wymuszonym uśmiechem - że mój gość nie jest martwy, zapewne chcesz wiedzieć, jak to ująłeś, „co tu się dzieje?” To proste, naprawdę. Postanowiłem połączyć twoją świętą wojnę z własnym planem zysku.

- Misja Pana nie ma przynosić zysków! - Carl, nagle niepewny tak wielu innych spraw, w to wierzył niezachwianie.

- Gówno prawda. Ty chcesz dostać nagrodę w niebie. A ja chcę moją... Stój! - Ruszył strzelbą, a Henry zamarł. - Nie wiem, czym jesteś, ale mam niemal pewność, że z tej odległości strzał z obu luf wyśle cię co najmniej do piekła. Chętnie się przekonam, czy się nie mylę. - Białe plamki wirowały mu przed oczyma, oddychał ciężko, pot, spływający do zadrapań na plecach, palił go żywym ogniem.

Celluci spojrział na Henry'ego. Zastanawiał się, co takiego widział w nim Mark, że był tak przerażony. Zastanawiał się, ale tak naprawdę nie chciał wiedzieć. Ich jedyną szansą był Carl Biehn, niepewny i w pewien sposób, mimo niekwestionowanych umiejętności strzeleckich, kruchy i stary.

- To zaszło za daleko - powiedział spokojnie, starając się, by jego głos był głosem rozsądku, lejącym się niczym balsam na niespokojną duszę. - Cokolwiek pan myślał, kiedy zaczynał, teraz wszystko się zmieniło. Pana zadaniem jest to zakończyć.

- Zamknij się! - krzyknął Mark. - To nie twoja sprawa!

Carl podniósł dłoń z głowy Sztorma i mocniej ścisnął karabin.

- I co teraz? - zapytał z desperacją w głosie. Pytanie było echem wszystkich modlitw bez odpowiedzi.

- Sam mówiłeś, że muszą zginąć. Tego - Mark wskazał na Sztorma - już mamy z głowy. Ta - Chmura zaskamlała i przycisnęła się do nóg Stuarta - też mi się przyda. Szkoda, że nie możemy zmusić tego dużego, żeby się przemienił przed śmiercią.

Stuart warknął i napiął mięśnie do skoku.

- Nie! - rozkaz Henry'ego osadził łaka z powrotem w miejscu, rozwścieczonego i bezradnego. Obie lufy były wycelowane w niego, każda pod innym kątem. Atak, wszystko jedno, czy skuteczny czy nie, skończyłby się fatalnie co najmniej dla jednego z nich. Musieli szybko znaleźć inny sposób, bo chociaż

serce Sztorma walczyło o przetrwanie, Henry słyszał, jak słabnie, jak coraz bardziej rozpaczliwie chwyta się życia.

- Zamknij tę potępioną mordę - polecił Mark. Jego ręce, zaciśnięte na strzelbie, pociły się, ale choć wuj trzymał gości na muszce, nie odważył się ich wytrzeć. Zdawał sobie sprawę, że kiedy zacznie się strzelanina i nie będzie już nic do stracenia, ten stwór zaatakuje. Trzeba to rozegrać delikatnie, by nie uszkodzić futer. A jeśli nie zdoła zaangażować w to wuja... „Biedny staruszek, wiecie, nie do końca miał równo pod sufitem”. - No dobra, odwróćcie się wszyscy i stańcie w szeregu pod tamtą ścianą.

- Mark, po co?

- Żebym ja ich pilnował, a ty odesłał do piekła, gdzie ich miejsce. - W nagłym przeblysku inwencji dodał: - Wola Pana musi zostać wypełniona.

Carl uniósł głowę.

- Wola Pana musi zostać wypełniona. - Nie jemu ją kwestionować.

- Panie Biehn. - Celluci zwilżył wargi. Czas wyłożyć karty na stół. - Jestem detektyw sierżant Cellud z policji miejskiej Toronto. Moja odznaka jest w lewej przedniej kieszeni moich spodni.

- Policjant? - Lufa karabinu opadła w stronę podłogi.

- On się zadaje z pomiotami szatana - powiedział ostro Mark. Ten glina zginie od strzału z karabinu. „Biedny wuj Carl...” Lufa powędrowała w górę.

- Policjanci nie są odporni na diabelskie pokusy. - Spojrzał uważnie na Celluciego. - Czy zostałeś zbawiony?

- Panie Biehn, jestem praktykującym katolikiem i jeśli pan chce, mogę wyrecytować Ojcze Nasz, Skład Apostolski i trzy zdrowaśki - głos Celluciego stał się łagodnym głosem kogoś, komu można ufać. - Rozumiem, dlaczego strzelał pan do tych ludzi. Naprawdę. Ale czy nie przyszło panu do głowy, że Bóg ma plany, których pan nie jest świadomy, i że może, tylko może się pan mylić? - Ponieważ wciąż żyli, z całą pewnością mu to przyszło do głowy. Celluci uczepił się tej myśli jak rzep. - Może odłoży pan broń i porozmawiamy, pan i ja. Zobaczymy, czy jakoś uda się zrobić coś z tym bałaganem. - A na koniec,

siegając do głębin pamięci, do dzieciństwa, kiedy ubrana na czarno babcia co niedziela kazała mu się uczyć jednego wersetu z Biblii, dodał: - Nie ma bowiem nic ukrytego, co by nie wyszło na jaw, ani nic tajemnego, co by się nie stało wiadome*.

- Święty Łukasz, księga dwunasta, wers drugi. - Carl zadrżał i Mark zobaczył, jak mu się wymyka.

- Wuju, nawet diabeł umie cytować.

* Za: Biblia Tysiąclecia, tłum. o. Walenty Prokulski.

- A jeśli nie jest diabłem, to co? - Na policzku starca zadrżał mięsień. - Zamordujesz przedstawiciela prawa?

- Ludzkiego prawa, wuju, nie boskiego.

- Odpowiedz na pytanie!

- Tak, odpowiedz mu, Mark. Popełniłbyś morderstwo?

Złamałbyś przykazanie? - Teraz Celluci używał swojego głosu niczym dłuta odsłaniającego przegniłe wnętrze. - Nie zabijaj.

Co z tym?

Tej nocy Mark już dwa razy wymknął się śmierci. Gdy rozpoznał istotę, która zaatakowała go w lesie, wiedział, że za trzecim będzie potrzebował czegoś więcej niż tylko szczęścia. Aby on przeżył, wszyscy inni w stodole muszą umrzeć. A on zamierzał przeżyć. Ten przeklęty policyjny bękart manipulował wujem. Staruszek jako żywy kozioł ofiarny był lepszy niż staruszek jako martwa wymówka. Tyl-ko wtedy Mark mógł wyjść z tego cało i jeszcze na tym zarobić.

- Wuju... - Podkreśl pokrewieństwo. Przypomnij, z kim łączą go więzy krwi, lojalność rodzinna. - To nie są istoty Boże. Sam tak mówiłeś.

Carl spojrział na Chmurę i zadrżał.

- Oni nie są istotami Bożymi. - Potem przeniósł znękanie spojrzenie na Celluciego. - Ale co z nim?

- Potępiony na własne życzenie. Z własnej woli zadaje się z pomiotami Szatana.

- Ale jest policjantem, prawo...

- Nie martw się, wuju. - Mark nie próbował nawet ukryć nagłej ulgi. Jeśli staruszek martwił się o konsekwencje, decyzja już zapadła. Wszystko było przesądzone. - Postaram się, żeby to

wyglądało na wypadek. Tylko uważaj, kiedy będziesz zabijał wilki... psy, wszystko jedno. Bylebyś tylko nie uszkodził futra. Tego akurat nie należało mówić. Gdy się zorientował, było już za późno.

Staruszek otrząsnął się i wyprostował, zupełnie jakby unosił na ramionach straszliwy ciężar.

- Wielu rzeczy nie jestem pewien, prócz jednej. To, co wydarzy się tej nocy, wydarzy się na chwałę Pana, a nie dla twojego zysku. - Wycelował karabin w Marka. - Odłóż broń i stań razem z nimi.

Mark otworzył usta i zamknął je. Nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

- Co pan chce zrobić? - zapytał ostrożnie Cel-luci.

- Nie wiem. Ale on nie weźmie w tym udziału.

- Nie możesz mi tego zrobić - Mark odzyskał głos. - Jesteśmy rodziną. Jestem z twojej krwi.

- Odłóż broń i idź do nich. - Carl już wiedział, gdzie popełnił błąd. Zszedł ze ścieżki, którą wskazał mu Pan. Sam miał nieść swój krzyż, nie powinien się z nikim dzielić.

- Nie. - Mark rzucił pełne przerażenia spojrzenie na Henry'ego, który kusił go bezgłośnie, by podszedł jak najbliżej. - Nie mogę... Nie zrobię tego... Nie możesz mnie zmusić.

Carl poruszył karabinem.

- Mogę.

Mark zobaczył w uśmiechu Henry'ego śmierć, której dziś tak bardzo starał się umknąć.

- Nie! - obrócił się, wciąż z bronią w ręku.

Carl Biehn zobaczył wycelowany w siebie wylot lufy i przygotował się na śmierć. Nie mógł strzelić do jedyne go syna swojej siostry, nawet żeby ocalić siebie. „Wieczne odpoczywanie racz mi dać...”

Chmura zareagowała odruchowo i rzuciła się w powietrze. Jej przednie łapy uderzyły w klatkę piersiową starca i wystrzał trafił nieszkodliwie w zachodnią ścianę, podczas gdy oni razem opadli na ziemię.

Wtedy do akcji wkroczył Henry.

W jednej chwili dzieliła ich odległość niemal trzech metrów, w drugiej Henry wyrwał strzelbę z rąk Marka i cisnął nią z taką

siłą, że przebiła ścianę obory. Jego palce zacisnęły się na gardle śmiertelnika. Z miejsc, gdzie paznokcie przebiły skórę, spłynęła krew.

- Nie! - Celluci ruszył w jego stronę. - Nie możesz!

- Nie zamierzam - odparł cicho. Zrobił jeden krok, drugi.

Szczęknęły wnyki, a Henry rozluźnił uścisk.

Ramię, które zatrzymało Celluciego, okazało się bariera nie do pokonania. Nie mógł go poruszyć. Nie mógł ominąć.

Potrwało chwilę, zanim ból przebił się przez ścianę strachu.

Trzymając się za gardło, Mark oderwał wzrok od Henry'ego i spojrzał w dół. Buty z miękkiej skóry marnie chroniły przed stalowymi szczękami. Jego krew była gęsta i czerwona.

Wydobył

z siebie niewyraźny, zduszony jęk, opadł na kolana i zdrętwiałymi palcami spróbował sięgnąć do zawiasu, żeby rozewrzeć wnyki. Wtedy zaczęły się konwulsje. Trzy minuty później był martwy. Wampir opuścił ramię.

Celluci przesunął wzrok z ciała na Henry'ego i zapytał, choć usta miał suche ze strachu:

- Nie jesteś człowiekiem, prawda?

- Niezupełnie. - Przyglądali się sobie nawzajem.

- Mnie też zabijesz?

Henry pokręcił głową i uśmiechnął się. To nie był ten sam uśmiech, który widział umierający Mark Williams. To był uśmiech człowieka, który przeżył czterysta pięćdziesiąt lat dzięki wiedzy, kiedy należy przestać i odejść. Tak jak teraz, dołączając do Stuarta i Chmury przy ciebie Sztorma.

„A co teraz?” zastanawiał się Celluci. „Po prostu sobie pójdę i zapomnę o tym, co się stało? Mam się zająć ciałem? Co?”

Właśnie był świadkiem morderstwa.

- Chwileczkę, jeśli Sztorm żyje, to może...

- Widział pan dość śmierci, by umieć ją rozpoznać, detektywie.

Fitzroy miał rację. Widział dość śmierci, by ją teraz poznać, rzuconą na ziemię u jego stóp. Nawet mętne światło nie mogło jej ukryć.

- Ale czemu tak szybko?

- Bo był tylko człowiekiem - prychnął Stuart. Ostatnie słowo brzmiało niczym przekleństwo.

- Jezu Chryste, co się stało?

Celluci odwrócił się na pięcie, zaciskając pięści, mimo - a może właśnie dlatego - że rozpoznał głos.

- Co ty tu robisz? W nocy jesteś ślepa jak kret! Vicki miała go gdzieś.

Colin przecisnął się obok niej do środka, rozpaczliwie próbując dostać się do brata.

Barry podążył za nim. Jeden krok, drugi i podłoga drgnęła pod jego stopą. Poczul uderzenie stali wbijającej się w cholewkę skózanego, policyjnego buta.

- Colin!

Łak zatrzymał się i na wpół odwrócił do partnera, oświetlonego światłem latarki, którą trzymała Vicki. Jak nigdy dotąd zapragnął być w dwóch miejscach naraz.

Vicki nie mogła kazać mu wybierać.

- Idź - poleciała. - Ja się zajmę Barrym. Poszedł.

Ostrożnie klękając na jednym kolanie, Vicki oświetliła stopę Barry'ego. Mięśnie jego nogi zdrząły, ocierając się o jej ramię. Wetknąwszy latarkę pod brodę, obejrzała wnyki.

- Możesz stwierdzić, czy przebiły się przez but? Usłyszała, jak przetyka ślinę.

- Nie wiem.

- OK. Nie sądzę, żeby tak się stało, ale będziemy mieli pewność, dopiero gdy to zdejmę. - Już prawie dotykała metalu, kiedy Celluci jej przeszkodził.

- Są zatrute. - Zanim zdążyła zaprotestować, wsunął pordzewiały żelazny pręt w zawias. - Trzymaj mu nogę nieruchomo.

Podeszwa i wzmocnienie na palcach mocno oberwały, ale były całe. Barry oparł się o ramię Vicki, ulga sprawiła, że dopiero teraz zareagował. „Mogłem umrzeć”, pomyślał, przetykając ślinę. Upał miał niewiele wspólnego z potem, który przykleił mu koszulę do pleców. „Mogłem umrzeć”. Stopa go bolała. To nie miało teraz znaczenia. „Mogłem umrzeć”. Wziął głęboki oddech. „Ale nie umarłem”.

- Wszystko w porządku? - zapytała Vicki, przyglądając mu się na tyle uważnie, na ile pozwalał jej wzrok.

Skinął głową, wyprostował się i zrobił jeden krok. Potem drugi,

już mniej niepewny, z powrotem.

- Tak. W porządku. Vicki uśmiechnęła się i omiotła światłem latarki

wnętrze obory. Na ziemi leżało ciało. Carl Biehn siedział na jakiejś beczce i wyglądał na oszołomionego. Wszyscy pozostali

- Colin, Chmura, Henry Stuart -zgromadzili się przy Sztormie.

- Czy on?...

- Żyje - powiedział Celluci. - Williams złapał go w jedną z tych pułapek. Jest ich tu pełno, więc stawiaj nogi tam, gdzie ci powiem.

- A Williams?

- Nie żyje. - Celluci kiwnął głową w stronę Carla Biehna i powiedział do Barry'ego: - Idź tam i pilnuj go.

Barry, wdzięczny za to, że dostał coś do roboty, pokuśtykał na drugą stronę obory.

Przez całą drogę, jaką przebyła na tylnym siedzeniu radiowozu, Vicki myślała tylko o tym, żeby zdążyć na czas i coś zmienić.

No i proszę, już było po wszystkim, a światło latarki ukazywało jej tylko pojedyncze sceny zawieszony w ciemnej próżni.

- Mike, co się stało?

Przez chwilę się zastanawiał, po czym szybko przedstawił jej fakty, starając się zbytnio nie kolo-ryzować. Mówiąc, co zrobił Henry, obserwował ją uważnie, nie zdołał jednak niczego wyczytać z jej twarzy.

- A Peter? To znaczy Sztorm? - zapytała, kiedy skończył.

- Nie wiem.

ROZDZIAŁ 16

Vicki rzuciła się ku rozmazanej plamie światła. W miarę jak podchodziła bliżej, niewyraźne postacie stawały się coraz wyraźniejsze. Gdyby Sztorm umarł, chyba nie zdołałaby sobie tego wybaczyć. To ona pomyliła się w ocenie, pewna, że Carl Biehn nie może być zabójcą. Pozwoliła, by Celluci ujął ją pod rękę i poprowadził przez ostatnie kilka metrów. W dłoni trzymała zapomnianą latarkę.

Chmura opierała przednie łapy na stole i roz-paczliwie lizała pysk brata, jego sierść. Stuart podtrzymywał Sztorma, Colin drżącymi palcami gładził rudy grzbiet, szlochając gardłowo. Henry... Vicki zmrużyła oczy, patrząc na wampira pochylonego nad jedną z tylnych łap łaka. Wyprostował się.

- Trucizna rozeszła się po całym ciele - oznajmił. - Umrze, jeśli spróbuję ją wydobyć.

Z gardła Colina zaczął się wydobywać dziwny dźwięk. Nie do końca wycie, nie do końca płacz.

- Zabierzcie go do doktora Dixona.

Chmura ją zignorowała. Pozostali wciąż się gapili.

- Vicki, nie możemy go ruszyć - powiedział miękko Henry. - W tej chwili balansuje na krawędzi. Zbyt łatwo byłoby go zepchnąć prosto w przepaść.

- Gdybyśmy tylko mogli sprawić, żeby się przemienił. - Stuart oparł policzek o łeb Sztorma. Gniew w jego głosie podkreślał ból wryty na twarzy.

Vicki przypomniała sobie o tym, co doktor mówił o przemianie w jakiś sposób neutralizującej infekcję. Uznała, że truciznę można uznać za coś podobnego do infekcji.

- Nie może się zmienić, bo jest nieprzytomny? Stuart przytaknął. Jego łzy znaczyły rude futro ciemnymi wzorami.
- A co z wymuszeniem przemiany u nieprzytomnego?
- Nic o nas nie wiesz, człowieku.
- Wiem tyle, ile potrzeba. - Serce Vicki zaczęło mocniej bić, kiedy zbierała wszystko, co powiedział jej doktor Dixon, dodając własne obserwacje. Wyszło jej coś, co mogło podziałać, wiedziała o tym. - Jeśli nie przemieni się sam z siebie, może przemieni się dla Rose. Bliźnięta są powiązane. Doktor Dixon to mówił, Nadine mówiła, cholera, wszyscy to widzicie. A Rose i Peter są... - nie mogła znaleźć na to właściwych słów, nie z Rose - Chmurą pod nosem. „Do diabła, nie da się tego obejść”.
- Kiedy Rose wchodzi w okres rui, wciąga Petera ze sobą. Ich zachowania są teraz powiązane bardziej niż kiedykolwiek. Jeśli Rose. nie Chmura, zrobiłaby... no... może to by zmieniło Sztorma w Petera. Stuart podniósł głowę.
- Zdajesz sobie sprawę, co się może stać? Jak silna jest ta więź u naszego rodzaju?
- Vicki westchnęła.
- Słuchaj, nawet jeśli to podziała, to on i tak jest zbyt chory, żeby cokolwiek zrobić, a poza tym... - pogładziła palcem nieruchome ciało Sztorma. „Kazirodztwo albo śmierć, co za wybór” - ...czy to nie jest lepsza z dwóch opcji?
- Tak. O tak. - Rose nie czekała na odpowiedź Stuarta. Rzuciła się na bliźniaka, tuląc go do siebie, jak tylko się dało, ocierając twarzą o jego pysk.
- Stuart puścił Sztorma i wyprostował się.
- Wezwij go - powiedział. W jego głosie brzmiała rezygnacja, na twarzy odmalowywała się czujność. Nie mógł pozwolić, żeby sprawy posunęły się za daleko. - Sprowadź go z powrotem, Rose. - „Ale nie zatrać się w tym”. Rose nie powinna wchodzić w ruję bez wsparcia Nadine. Zdarzało się już, że kopulacje niszczyły całe watahy. - Peter?
- Vicki czuła siłę zawartą w tym imieniu. Po kręgosłupie przeszedł jej dreszcz. „Tym właśnie jesteś”, mówiło. „Wróć do nas”.
- Peter, proszę. Proszę, Peter, nie zostawiaj mnie.

Przez długą straszliwą chwilę wyglądało na to, że nic się nie dzieje. Rose dalej wołała. Jej smutek, ból, pragnienie, miłość przywołałyby umarłego z zaświatów. Z pewnością musiały podzielać na tego, który jeszcze żył.

- Poruszył się - powiedział nagle Henry. - Widziałem jak drgnął mu nos.

- Poczul jej zapach - stwierdził Stuart. I on, i Co-lin poruszyli się, jakby im było niewygodnie.

I wtedy to się stało. Na tyle wolno, że Vicki zawsze potem przysięgała, że widziała dokładny moment przemiany.

Peter odchylił głowę i jęknął. Jego skóra była szara i wilgotna, a lewa stopa straszliwie zmasakrowana przez wnyki.

Rose obrzucała pocałunkami jego usta, gardło, oczy, póki wuj nie ściągnął jej ze stołu i nie potrząsnął nią mocno. Wybuchnęła płaczem i wtuliła twarz w pierś Petera, ściskając jego dłoń.

- Serce bije mocniej. - Henry słuchał, jak walczy, zmusza opieszalą krew, by płynęła. - Życie mocniej się go trzyma.

Myślę, że możemy go teraz ruszyć

- Za chwilę. - Vicki wzięła głęboki oddech. Czowała się, jakby wciągała powietrze pierwszy raz od dawna i nawet duszne, przesiąknięte naftą opary obory miały słodki smak. „Jezu Chryste, jak my to wyjaśnimy policji?” - Zrobimy tak...

- Przepraszam.

Przez chwilę nie mogła rozpoznać starca, który podszedł bliżej światła lampy. Barry Wu podążał za nim niczym czujny cień. Carl Biehn wyciągnął drżącą dłoń i delikatnie pogładził srebrne włosy Rose. Potarła nosem jego nadgarstek. Gdy zobaczyła, z kim ma do czynienia, zmrużyła oczy.

- Wiem, że to nie wystarczy - zaczął, mówiąc tylko do niej. Jego słowa znaczył ból. - Ale wiem, że się myliłem. Mimo zła, które wyrządziłem tobie i twoim pobratymcom, mimo że pogrążyłaś się we własnej rozpacz, uratowałaś mi życie, ryzykując własne. To właśnie jest ścieżka Pana - musiał przerwać. - Chciałem ci podziękować i powiedzieć, jak bardzo mi przykro, chociaż wiem, że nie mam prawa do przebaczenia.

Odwrócił się i Vicki napotkała jego spojrzenie.

Oczy miał zaczerwienione, ale zaskakująco przejrzyste. Widać w nich było ból, ale już nie wątpliwości. Ten człowiek pogodził

się z sobą samym. Vicki przypomniała sobie własne słowa: „wydaje się porządnym, przyzwoitym człowiekiem”. Skinęła, on zaś odpowiedział skinieniem i przeszedł obok niej, zgarbiony, ale wciąż pełen cichej godności.

- Dobra, ludzie, to będzie tak proste, jak tylko się da. -

Zamrugnęła gwałtownie, żeby oczyścić oczy, i poprawiła okulary. - Oto co się stało. Policja już wie, że ktoś strzelał do psów Heerkensów - i do samych Heerkensów - i tego się trzymajmy. Najwidoczniej Peter coś odkrył...

- Rozmawiał po południu z Markiem William-sem - wtrącił Celluci, zastanawiając się, jak daleko się posunął w tym surrealistycznym wyjaśnianiu.

- Świetnie. Nabrał podejrzeń i przyszedł tutaj. W międzyczasie ja zdobyłam tę samą informację, zadzwoniłam, odkryłam, że Peter zaginął, ściągnęłam Colina ze służby i razem pojechaliśmy tutaj. Tymczasem ty - wskazała palcem na Celluciego - i ty - palec przesunął się w stronę Stuarta - ruszyliście mu na ratunek. Kiedy tylko się da, mówimy prawdę. Henry, ciebie tu nie było. Wampir skinał głową. Trzymanie się z dala od policyjnych śledztw było jednym z warunków przetrwania.

- Colin, ty i Barry zabierzcie Petera do samochodu. Rose, zostań z nim. Nie pozwól mu się przemienić. Ciebie też tu nie było. Chłopcy zabrali cię po drodze, kiedy biegłaś, chcąc się tu dostać, wściek-

ła, że Stuart i Celluci cię ze sobą nie zabrali. Zrozumiano?

Rose pociągnęła nosem i puściła bliźniaka tylko na chwilę, żeby wciągnąć na siebie koszulkę. Sięgała jej do uda i wystarczyła na przyjazd do doktora, u którego cała rodzina na wszelki wypadek trzymała ubrania.

Colin delikatnie podniósł brata i ruszył w stronę drzwi. Rose poszła za nimi, z dłońmi na ciele nieprzytomnego łaka.

- Zaczekajcie przy samochodzie - zawołała Vic-ki, wysyłając za nimi Barry'ego. - Jest jeszcze parę rzeczy, które musicie wiedzieć.

- Na przykład, co chcesz zrobić z ciałem - powiedział ostro Celluci, przeczesując dłońmi włosy. Jego cierpliwość właśnie się wyczerpała. - Nie wiem, czy dobrze mu się przyjrzałaś, ale ktoś z całą pewnością pomógł mu w

osiągnięciu obecnego stanu. Trochę trudno będzie to wyjaśnić. A może po prostu chcesz je pochować w lesie i zapomnieć? A pan Biehn? Jakie jest jego miejsce w tej twojej bajeczce?...

Wystrzał, choć dziwnie stłumiony, sprawił, że Celluci drgnął gwałtownie. Stuart warknął i zaczął walczyć ze spodniami.

Nawet Henry odwrócił się w stronę dźwięku. Zza obory dobiegły okrzyki i czyjeś szybkie kroki.

Vicki tylko zamknęła oczy i starała się nie słuchać, skupić myśli na kwiatach, które w porannym świetle sierpniowego słońca będą błyszczeć niczym upadła tęcza. - Poszedł za róg, wsadził sobie lufę w usta i palcem u nogi pociągnął za spust.

Poczuła na ramionach ręce Celluciego i otworzyła oczy.

- Wiedziałaś, że to zrobi, prawda? Wzruszyła ramionami na tyle, na ile to było możliwe w jego uścisku.

- Podejrzewałam.

- Nie, wiedziałaś. - Potrząsnął kobietą. - Czemu go, do cholery, nie powstrzymałaś?

Wsunęła swoje ramiona pomiędzy jego i wyrwała mu się. Przez chwilę stali, patrząc na siebie, a kiedy uznała, że wreszcie ją usłyszeli, odpowiedziała:

- Mike, on nie mógł żyć z tym, co zrobił. Kim ja jestem, żeby go do tego zmuszać? - Poprawiła okulary i wzięła głęboki, oczyszczający oddech. - Jeszcze nie skończyliśmy. Jest tu gdzieś nafta do tej lampy?

- Tu, przy stole. - Stuart pochylił się, żeby podnieść pięciogalonową puszkę.

- Nie, nie dotykaj.

Celluci już wiedział, co Vicki chce zrobić. Miał ostatnią szansę, żeby ją powstrzymać, przywrócić wydarzeniom tej nocy majestat prawa. Ale gdyby spróbował, i Henry, i Stuart bez wahania stanęliby po jej stronie.

Vicki wyciągnęła z torby parę skórzanych rękawiczek i jakby czytając mu w myślach, zapytała:

- Chciałeś coś dodać, Celluci?

Powoli, uświadomiwszy sobie, że nie ma żadnego wyboru, pokręcił głową. Dokonał wyboru, kiedy podał im informację, którą od niej otrzymał. I ona, i on o tym wiedzieli. „Może to i

lepiej".

Założywszy rękawiczki, Vicki ostrożnie pochyliła się i podniosła puszkę, sądząc po ciężarze, niemal pełną. Odkręciła nakrętkę i zatrzymała się. Potrzebowała obu rąk, ale bez latarki stawała się ślepa, gdy tylko odeszła od lampy.

- Niech to diabli...

Celluci odkrył, że patrzy na Henry'ego, którego twarz mówiła wyraźnie: „twój wybór”. Dopiero po chwili pojął, że nie zostało to powiedziane głośno.

„Mój wybór. Jasne. Jakbym jakiś miał”. Ale mimo to podniósł latarkę.

Vicki spojrzała mu w twarz, ale światło było zbyt słabe, żeby mogła coś z niej wyczytać. „Nie, żeby

Celluci zwykł bawić się w ukryte przesłania”. Wystarczyło, że tu był. To pomagało. „No to do roboty”.

Przeszła ścieżką wyznaczaną przez promień światła do ciała Marka Williamsa, ostrożnie rozlewając naftę na klepisko.

Ściskając puszkę, mogła ukryć drżenie palców. Kiedyś prawo znaczyło dla niej wszystko.

- Uznają, że miała miejsce walka. Prawdopodobnie Carl Biehn wszedł i zobaczył, że jego siostrzeniec robi coś - cokolwiek by to było - Peterowi. Podczas walki Mark Williams nadepnął na jedne ze szczęk. Z żalu, poczucia winy czy Bóg wie czego Carl Biehn się zastrzelił. Niestety, podczas walki została przewrócona puszką z naftą.

Światło prześlizgnęło się po ciele. Mark Williams bez wątplenia umarł w męczarniach. Ślad palców Henry'ego na szyi był wciąż widoczny. Vicki nie umiała wykrzesać z siebie iskry żalu. Kiedy Mark Williams żył, czuła do niego tylko odrazę. Śmierć tego nie zmieniła. „Prędzej pożałuję, że zdeptałam karalucha”, pomyślała, stawiając puszkę obok ciała i przewracając ją. - A co z Carlem Biehnem? - Zostawicie go w spokoju. Niech spoczywa w miejscu, które sam wybrał. -

Wróciła ścieżką światła do stołu i podniosła lampę. Płomień wyrysował cienie, które tańczyły przed jej oczami, nawet gdy odwróciła wzrok. - Niestety, podczas walki została też przewrócona lampa.

Siła, z jaką ją stłukła, wyrażała wszelkie emocje, jakich

brakowało w głosie Vicki.

Nafta w pękniętym pojemniku zapaliła się pierwsza, potem płomień przemknął po ścieżce wytyczonej przez Vicki.

- Mike, Stuart, przyjrzyjcie się dobrze. To właśnie zobaczyliście po przybyciu na miejsce. - Ściągnęła rękawiczki i wrzuciła do torby. - Oraz nagie ciało Petera na stole. Wpadliście do środka, zabraliście Petera i prędko wyszliście. Potem płomienie były zbyt duże, żeby wrócić do środka. A teraz wynośmy się stąd. Obora jest stara, wyschnięta na wiór i zaraz zacznie płonąć. Ubrania Marka Williama zapłonęły z sykiem. Nafta otoczyła kontur jego ciała głodnymi płomieniami.

Vicki zatrzymała się w drzwiach, puszczać ramię prowadzącego ją Celluciego. Pomarańczowa plama musiała być ogniem wspinającym się po północnej ścianie. Teraz nie daliby rady już tego zatrzymać, nawet gdyby chcieli. Przez chwilę zastanawiała się, kim właściwie są ci „oni” ale zaraz wyprostowała się i poszła porozmawiać z Colinem i Barrym.

- Kiedy przyjechaliśmy - pouczyła ich - Cełlu-ci i Stuart kładli właśnie Petera na trawie. Obora płonęła. O reszcie zapomnijcie. Wsadziliście Petera do samochodu, zgłosiliście pożar i pojechaliście do miasta, po drodze zabierając Rose.

- Ale co z... - Głos Barry'ego nie był głosem szczęśliwego człowieka.

Vicki czekała w milczeniu. Nie widziała twarzy policjanta, ale mogła sobie wyobrazić, co dzieje się w jego głowie.

Usłyszała, jak wzdycha.

- Nie ma innego sposobu, prawda? Nie bez ujawniania łaków i... - w tej pauzie mieściło się imię Henry'ego i decyzja, by nie wypowiadać głośno swoich podejrzeń - ...innych rzeczy.

- Nie, nie ma. I nie pozwól nikomu przyjrzeć się twoim butom. Patrzyła, jak tylne reflektory ich samochodu oddalają się, a potem przyspieszają na autostradzie, po czym odwróciła się do trzech mężczyzn ~ wampira, wilkołaka i policjanta - stojących na tle płonącego budynku. Kiedy ogień zgaśnie, zostaną tylko prochy i niewiele więcej.

Jakby teraz przyszła jego kolej na czytanie w myślach, Celluci powiedział sucho:

- Jeśli zbiorą prochy, każdy kompetentny kryminolog znajdzie

tysiąc dziur w twojej historyjce.

- Czemu mieliby przeprowadzać śledztwo? Biorąc pod uwagę, że na miejscu byłeś ty, ja i dwóch funkcjonariuszy miejscowej policji, radośnie uwierzą w nasze słowa.

Musiał przyznać, że miała dużo racji. Trzech gliniarzy i jedna eksgliniara dzięki kłamstwu niczego nie zyskiwali - a chęć ukrycia rodziny łaków raczej nikomu do głowy nie przyjdzie. Wszystko zostanie ładnie opakowane i opisane, a policja zajmie się jakąś inną sprawą, którą da się rozwiązać.

Vicki prychnęła.

- Policja lubi pytania bez odpowiedzi. Udziel im za dużo odpowiedzi, a pomyślą, że sam wymyśliłeś pytania. - Noc była gorąca, bez jednego podmuchu wiatru, a obora jasno płonęła, ale Vicki i tak objęła się ramionami. Wygrali, powinna być szczęśliwa, czuć ulgę, coś takiego. A ona czuła pustkę.

- Hej! - Henry żałował, że nie widzi jej oczu. Dostrzegał tylko płomienie odbijające się od jej okularów. - Wszystko w porządku?

- Tak. W porządku. Czemu miałoby być inaczej? Poprawił jej okulary.

- Tak tylko pytam. Uśmiechnęła się, trochę niepewnie.

- Lepiej idź. Nie wiem, ile czasu zajmie dotarcie tu strażakom i policji.

- Wrócisz na farmę? - Jak tylko policja ze mną skończy. Spojrzał na Celluciego, ale nic nie powiedział. Vicki westchnęła.

- Idź - powtórzyła. Poszedł.

Jego miejsce zajął Celluci. Vicki znowu westchnęła.

- Słuchaj, jeśli masz zamiar wygłosić kolejny wykład o etyce i moralności, to wybacz, ale jestem w kiepskim nastroju.

- Właściwie zastanawiałem się, czy wypalanie trawy też było częścią twojego planu? Może mała dywersja? Zaczynają lecieć iskry, a pole za stodołą jest strasznie suche.

Płomienie sięgały już dachu i cały budynek otaczała czerwonożłota poświata.

Vicki nie planowała więcej zniszczeń.

- W ogrodzie jest pompa z długim węzłem. Polejcie pole.

- Skąd, do cholery, miałem to wiedzieć?

- Mogłeś spojrzeć! Chryste, czy ja muszę wszystko robić sama?
- Nie, dzięki, ty już dość zrobiłaś. - Chciał cofnąć te słowa w chwili, gdy je wypowiedział, ale ku jego zaskoczeniu Vicki zaczęła się śmiać. Nie brzmiało to histerycznie, po prostu zwykły śmiech. - No co?

Chwilę potrwało, zanim odzyskała głos, a nawet wtedy wydawało się, że zaraz znów wybuchnie śmiechem.

- Właśnie sobie pomyślałam, że już prawie po wszystkim, tylko krzyków jeszcze brakuje.

- No i co?

- No to. - Zamachała bezradnie ręką i znowu zaczęła się śmieć. - No i jest po wszystkim.

- Odwiedzisz nas jeszcze? Kiedy będziesz miała dość Toronto?

- Odwiedzę - uśmiechnęła się Vicki. - Ale w tej chwili tęsknię za miejską ciszą i spokojem.

Nadine prychnęła.

- Nie wiem, jak wy to znosicie. Śmierdzi, no i tylu obcych na twoim terytorium... - Chociaż wciąż było widać po niej ból po stracie bliźniaczki, w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin rana w widoczny sposób się zagoiła. Vicki nie wiedziała i nie chciała wiedzieć, czy powodem tego była śmierć Marka Williamsa i Carla Biehna, czy ocalenie Petera.

Rose też się zmieniła. Było widać, że nie jest już dzieckiem, lecz powoli staje się kobietą. Nadine trzymała ją blisko siebie, powarkując, gdy zbliżał się któryś z samców.

Vicki poszła do drzwi, gdzie czekał na nią Henry. Napięcie między nimi dałoby się nożem pokroić.

- W oborze, zanim przyjechałaś - wyjaśnił wcześnie. - Wydałem mu rozkaz, a on nie miał wyjścia, musiał posłuchać.

- Zwampirowałeś go?

- Nazywaj to, jak chcesz. Obaj udajemy, że nic się nie stało, ale potrwa trochę, zanim on o tym zapomni.

Cień, cały ubabrany ziemią, wyczołgał się spod pieca na drewno. Zaciskał zęby na ogromnej kości. Poczłapał do drzwi i upuścił ją u stóp Vicki.

- To moja najlepsza kość - wyjaśnił. - Chcę, żebyś ją wzięła i o mnie nie zapomniała.

- Dziękuję, Danielu. - Kość zniknęła w głębinach jej torebki. Wyjęła mu z włosów kłębek kurzu. - Chyba mogę ci obiecać, że nigdy, przenigdy cię nie zapomnę.

Daniel pisnął, a za chwilę Cień rzucił się na jej nogi, szczekając z ekscytacją.

"A co mi tam" pomyślała Vicki, przyklękła i zrobiła to samo, czym kiedyś przywitała Sztorma - wsunęła palce głęboko w grubą, miękką sierść na karku łaka i podrapała go porządnie. Trudno było powiedzieć, któremu z nich bardziej się to podobało.

Celluci oparł się o drzwi samochodu i podrzucał kluczyki w rękę. Od zachodu słońca minęło półtorej godziny i chciał już jechać. Po ostatnich dwóch dniach zwyczajna miejska przestępczość jawiła mu się jako upragniony relaks.

Wciąż nie był pewien, czemu zaproponował Vic-ki i Henry'emu, że odwiezie ich do Toronto. Nie, to nie całkiem prawda. Wiedział, czemu zaproponował to Vicki, ale nie miał pojęcia, dlaczego uwzględnił też Henry'ego. Jasne, jego BMW będzie gotowe najwcześniej za tydzień, ale to marny powód.

- Co im zajmuje tyle czasu? - mruknął.

Jakby w odpowiedzi drzwi kuchenne otworzyły się i wypadł przez nie merdający ogonem Cień. Vicki i Henry wyszli za nim w towarzystwie reszty rodziny, poza Peterem, który został u doktora Dixona.

Vicki miała rację w sprawie policyjnego śledztwa. Wszystko było takie dziwne, a świadkowie tak wiarygodni, że policja doszła do wniosków im podsuniętych, a resztę sama sobie dopisała. Pomogło też to, że Mark Williams miał kartotekę, a sprawy dopełnił raport o jego ostatnich poczynaniach nadesłany z Vancouver.

Celluci z trudem utrzymał równowagę, kiedy Cień podskoczył do niego, polizał go ze dwa razy po twarzy, a potem, hałasując,

zaczął okrażać idącą przez trawnik grupę. Wilkołaki. Już nic nie będzie takie samo. Jeśli istniały wilkołaki, to kto wie, jakie jeszcze mityczne stwory czekają za rogiem.

Vicki wydawała się to wszystko akceptować bez najmniejszych problemów. Zawsze wiedział, że jest niezwykłą kobietą. Zwykle upartą, arogancką, mającą zawsze własne zdanie kobietą, ale mimo to, niezwykłą. Z drugiej strony, pomyślał, zaciskając palce na kluczykach, Vicki znała Henry'ego od Wielkanocy, więc może to wszystko nie było dla niej nowością.

Kto wie, czym się ta dwójka zajmowała?

Podczas pożegnań Stuart podszedł do niego z wyciągniętą ręką.

- Dziękuję za pomoc.

W jego głosie nie słychać było specjalnej wdzięczności, ale Celluci rozumiał, czym jest duma. Uśmiechnął się ostrożnie, żeby nie odsłaniać zębów, i uściśnął dłoń łaka.

- Nie ma za co.

Uścisk już od samego początku był mocny, ale szybko stał się jeszcze silniejszy, tak że żyły na przedramionach obu mężczyzn napięły się, a Celluci, choć był prawie dwadzieścia pięć centymetrów wyższy i proporcjonalnie cięższy, zaczął się martwić o swoje kości.

Nadine, wyczuwszy zapach rywalizacji, trąciła Vicki i obie odwróciły się, żeby popatrzeć.

- Będą tak trwać, póki któryś nie złamie ręki? -zastanowiła się sucho Vicki, zerkając na nieruchome kształty mocujące się w blasku świateł samochodu.

- Ciężko powiedzieć, kiedy chodzi o samców -odparła takim samym tonem Nadine. - Jak już mózg im się wyłączy, ciała działają jeszcze godzinami.

Jeśli nagłe przerwanie uścisku poprzedzały jakieś sygnały, to Vicki ich nie zauważyła. W jednej chwili stali nieruchomo, niemal jakby walczyli wręcz, w następnej poklepywali się po ramionach jak najlepsi przyjaciele. Uznała, że osiągnęli pożądany stan napięcia wewnętrznego, które uruchomiło właściwy przełącznik i pozwoliło życiu toczyć się dalej - ale nie miała zamiaru o to pytać, bo tak naprawdę nie chciała wiedzieć.

Podczas gdy Stuart wypytywał, z czego śmieje się jego

partnerka, Celluci odkrył nowy problem logistyczny - kto usiądzie obok niego na siedzeniu pasażera. To było dziecinne zmartwienie, ale chociaż miejsce powinno przypaść Vicki - jako wyższa potrzebowała więcej miejsca na nogi - nie chciał, żeby Henry Fitzroy siedział za nim w ciemności przez całą trzygodzinną podróż.

Vicki podjęła decyzję za niego. Przesuwała palce wzdłuż samochodu, póki nie trafiła na klamkę tylnych drzwi.

Otworzyła, wrzuciła do środka torbę i w ślad za nią wsiadła do środka, ostrożnie odsuwając Cienia - który chciał ją jeszcze parę razy polizać zanim zamknęła drzwi. Znała Mike'a Celluciego od ośmiu lat i dobrze wiedziała, co się dzieje w jego głowie, nawet w tej chwili. Jeśli sądził, że będzie robiła za pośrednika między nim a Henrym... lepiej niech to jeszcze raz przemyśli.

Kiedy wampir zajmował miejsce pasażera i zapinał pas, jego twarz była bez wyrazu.

Cień gonił za samochodem aż to końca drogi na farmę, a potem siedział przy skrzynce na listy, póki nie zniknęli mu z oczu.

Kiedy dojechali do drogi 401, Celluci nie mógł znieść już ciszy ani chwili dłużej.

- No więc - oczyścił gardło - wszystkie twoje sprawy są takie interesujące?

Vicki uśmiechnęła się szeroko. Wiedziała, że pierwszy się złamie.

- Nie, nie wszystkie. Ale mam dość nietypowych klientów.

- Można tak powiedzieć - burknął Celluci. - Co się stanie z Rose i Peterem?

- Jak tylko Peterowi się polepszy, Stuart odeśle go do rodziny w Vermont. Rose jest tym załamana.

- Przynajmniej przeżył i jest kogo odesłać.

- To prawda.

- Rose spędzi następny tydzień, wyjąc w swoim pokoju, a trzy dorosłe samce pójda się gdzieś schować.

- Trzy? Jej ojciec...

- Wygląda na to, że biologiczny imperatyw jest bardzo silny.

- No tak, ale...

- Nie panikuj, Celluci, Nadine przypilnuje, żeby do niczego nie doszło.

- Tylko samiec alfa ma prawo do kopulacji - dodał Henry.
- Tak? Świetnie. - Celluci zabębnił palcami w kierownicę i kątem oka spojrzał na drugiego mężczyznę. - Nie jestem pewien, gdzie w tym wszystkim jest twoje miejsce.
Henry uniósł rudozłotą brew.
- W tym konkretnym przypadku pełniłem rolę pośrednika. Zwykle jestem tylko przyjacielem. -A ponieważ nie mógł się oprzeć, dodał: - Czasem pomagam Vicki z pracą nocą.
- Założę się, że pomagasz. - Silnik zawył, kiedy Celluci wyprzedził ciężarówkę. - I pewnie masz więcej wspólnego z tym... czymś, na co wpadliśmy wiosną, niż mi mówisz. - Być może.
- Być może nic - Celluci przeczesał dłonią włosy. - Słuchaj, Vicki, zadawaj się z tyloma upiorami, duchami i innymi kreaturami, na które można się natknąć nocą - rzucił kolejne spojrzenie na Hen-ry'ego - iloma chcesz. Ale odtąd trzymaj mnie od tego z daleka.
- Nikt cię tu nie zapraszał - wytknął Henry, zanim Vicki zdążyła się oderwać.
- Powinniście być cholernie zadowoleni, że się pojawiłem!
- Powinniśmy?
- Tak, powinniście!
- Może zechciałby pan to rozwinąć, detektywie.
- Może zechciałbym, autorze.
Vicki westchnęła, usiadła wygodniej i zamknęła oczy. Zapowiadała się długa podróż do domu.